

The book cover features a dramatic sunset scene with silhouettes of riders on horseback in the distance. In the foreground, several arrows with blue and white feathers are arranged in a tripod-like structure, standing in shallow water. The overall color palette is dominated by warm oranges, yellows, and dark blues.

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 12

KRÓLEWSKI
ZWIADOWCA

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 12

KRÓLEWSKI ZWIADOWCA



Tłumaczenie
Zuzanna Byczek



Tytuł oryginału: *Rangers Apprentice. The Royal Ranger*
First published by Random House Australia Pty Limited, Sydney, Australia
This edition published by arrangement with Random House Australia Pty Ltd.
Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2013

Redakcja i korekta: Zespół
Skład i łamanie: EKART

ISBN 978-83-7686-217-0

Copyright © John Flanagan 2013
All rights reserved.

Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © 2013 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11 +

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna.
ul. Kazimierzowska 52 lok. 104
02-546 Warszawa
www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji ebook
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2013

Skład wersji elektronicznej:
Virtualo Sp. z o.o.

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

- [W serii](#)
- [Dedykacja](#)
- [Mapa](#)
- [Rozdział 1](#)
- [Rozdział 2](#)
- [Rozdział 3](#)
- [Rozdział 4](#)
- [Rozdział 5](#)
- [Rozdział 6](#)
- [Rozdział 7](#)
- [Rozdział 8](#)
- [Rozdział 9](#)
- [Rozdział 10](#)
- [Rozdział 11](#)
- [Rozdział 12](#)
- [Rozdział 13](#)
- [Rozdział 14](#)
- [Rozdział 15](#)
- [Rozdział 16](#)
- [Rozdział 17](#)
- [Rozdział 18](#)
- [Rozdział 19](#)
- [Rozdział 20](#)
- [Rozdział 21](#)
- [Rozdział 22](#)

- [Rozdział 23](#)
- [Rozdział 24](#)
- [Rozdział 25](#)
- [Rozdział 26](#)
- [Rozdział 27](#)
- [Rozdział 28](#)
- [Rozdział 29](#)
- [Rozdział 30](#)
- [Rozdział 31](#)
- [Rozdział 32](#)
- [Rozdział 33](#)
- [Rozdział 34](#)
- [Rozdział 35](#)
- [Rozdział 36](#)
- [Rozdział 37](#)
- [Rozdział 38](#)
- [Rozdział 39](#)
- [Rozdział 40](#)
- [Rozdział 41](#)
- [Rozdział 42](#)
- [Rozdział 43](#)
- [Rozdział 44](#)
- [Rozdział 45](#)
- [Rozdział 46](#)
- [Rozdział 47](#)
- [Rozdział 38](#)
- [Rozdział 49](#)
- [Rozdział 50](#)
- [Rozdział 51](#)

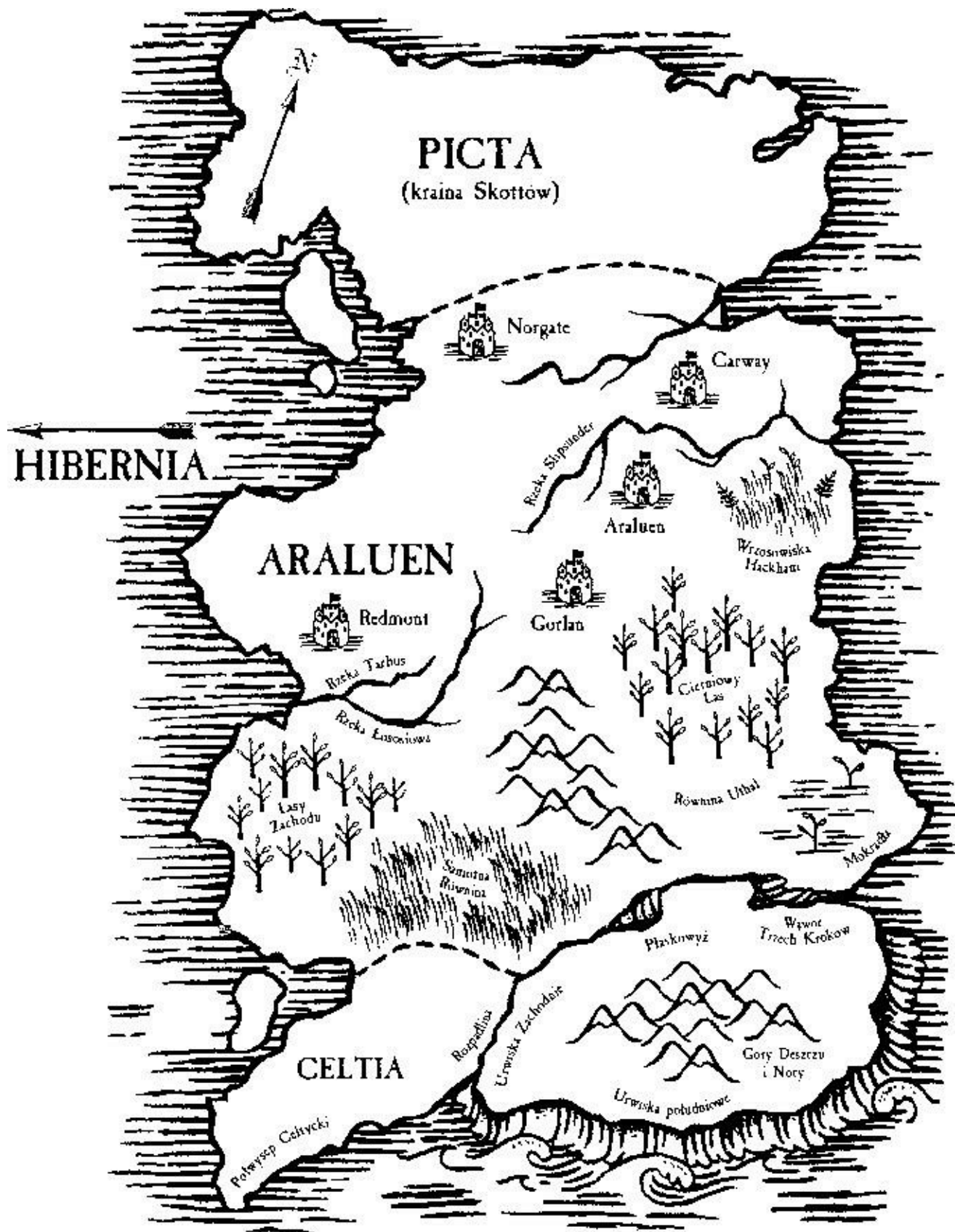
- [Rozdział 52](#)
- [Rozdział 53](#)
- [Rozdział 54](#)
- [Rozdział 55](#)
- [Epilog](#)

W SERII ZWIADOWCY UKAZAŁY SIĘ

KSIĘGA 1: RUINY GORLANU
KSIĘGA 2: PŁONĄCY MOST
KSIĘGA 3: ZIEMIA SKUTA LODEM
KSIĘGA 4: BITWA O SKANDIĘ
KSIĘGA 5: CZARNOKSIĘŻNIK Z PÓŁNOCY
KSIĘGA 6: OBLEŻENIE MACINDAW
KSIĘGA 7: OKUP ZA ERAKA
KSIĘGA 8: KRÓLOWIE CLONMELU
KSIĘGA 9: HALT W NIEBEZPIECZEŃSTWIE
KSIĘGA 10: CESARZ NIHON-JA
KSIĘGA 11: ZAGINIONE HISTORIE
KSIĘGA 12: KRÓLEWSKI ZWIADOWCA

KOLEJNY TOM SERII UKAŻE SIĘ W 2014 ROKU

ARALUEN, PICTA I CELTIA





Ten rok w majątku Scanlon nie był zbyt urodzajny. Zbiór pszenicy można było nazwać co najwyżej skromnym, sady zaatakowała zaraza, trzy czwarte jabłek zgniło na drzewach.

Ciężkie czasy nastały dla dzierżawców, pracowników gospodarstwa, sadowników i zbieraczy owoców. Następne zbiory miały odbyć się dopiero za trzy miesiące, a oni zostali właściwie bez jedzenia.

Dennis, pan tych włości, był człowiekiem dobrego serca. A także praktycznym. Dobre serce kazało mu przyjść z pomocą podwładnym w potrzebie, praktyczna strona jego natury zaś pozwoliła dojrzeć w takim postępowaniu słuszne posunięcie biznesowe. Zdawał sobie sprawę – węż tego, że jeśli jego pracownicy i dzierżawcy zaczną głodować, prawdopodobnie ruszą na poszukiwanie zajęć w rejonach, które nie zostały tak ciężko dotknięte nieurodzajem. A kiedy wrócą dobre czasy, okaże się, że w Scanlon brakuje rąk do pracy.

Przez lata Dennis zebrał spory majątek, który pozwalał mu przetrwać trudniejszy okres. Wiedział jednak, że jego pracownicy są w zupełnie innej sytuacji. Dlatego postanowił podzielić się swym bogactwem i przyjść im z pomocą. Kazał zbudować kuchnię dla potrzebujących. W ten sposób zapewnił swoim ludziom przynajmniej jeden porządny posiłek dziennie, może nieszczerólnie wyrafinowany – zwykle była to zupa czy owsianka – lecz przynajmniej ciepły, sycący i pożywny. Dennis wierzył, że koszt tego przedsięwzięcia zwróci się z nawiązką, zapewniając mu lojalność i przywiązanie pracowników i dzierżawców.

Kuchnia znajdowała się w parku, od frontu budynku mieszkalnego. Składały się na nią rzędy prostych stołów i ław oraz wielki stół, na którym podawano jedzenie. Przed słońcem i niepogodą chronił ją płócienny dach, rozpięty na słupkach. Boki były jednak otwarte i płótno nie dawało wielkiej ochrony, kiedy wiało i padało naprawdę porządnie. Ale pracownicy majątku byli twardymi ludźmi i takie zabezpieczenia zupełnie im wystarczały.

Słowo kuchnia właściwie nie było trafnym określeniem, ponieważ gotowano w wielkiej kuchni w głównym budynku, a tutaj jedynie wydawano jedzenie. Posiłek był darmowy, lecz dla zasady ci, którzy mogli sobie na to pozwolić, zostawiali czasami w zamian drobną zapłatę, najczęściej w formie kilku miedziaków bądź w naturze – parę królików czy dziką kaczkę.

Kuchnia działała każdego wieczoru przez dwie godziny, tak by ludzie nie musieli kłaść się spać z pustym żołądkiem.

Zapadał już zmrok, gdy nagle do stołu, przy którym wydawano posiłki, podszedł obcy mężczyzna.

Był wysoki, miał sięgające ramion brudne jasne włosy. Nosił skórzany kubrak, jakich używają woźnice. Za pas zatknął parę grubych rękawic oraz sztylet w zniszczonej skórzanej pochwie. Jego oczy, bezustannie rozbiegane, nigdy nie zatrzymywały się na dłużej na żadnym punkcie. Przez to sprawiał wrażenie, jakby był wiecznie przestraszony i nieustannie przed czymś uciekał.

Ochmistrz, odpowiedzialny za wydawanie posiłków, rzucił mu podejrzliwe spojrzenie. Kuchnię stworzono na potrzeby miejscowych mieszkańców, nie podróżnych, a on nigdy wcześniej nie widział tego człowieka.

– Czego chcesz? – spytał niezbyt przyjaznym tonem.

Woźnica przestał strzelać oczami na boki i na moment zatrzymał wzrok na twarzy ochmistrza. Widać było, że ma ochotę odpysknąć, ale ochmistrz był potężnie zbudowany, a w dodatku za jego plecami stało dwóch innych mężczyzn, zapewne mających za zadanie pilnować porządku. Oni również sprawiali dość groźne wrażenie. Obcy wskazał ruchem głowy kocioł, pełen gęstej zupy, wiszący nad ogniem.

– Chcę jeść – odparł szorstko. – Nie miałem nic w ustach cały dzień.

Ochmistrz zmarszczył brwi.

– Możesz dostać zupy, ale musisz zapłacić – powiedział. – Darmowe jedzenie dostają wyłącznie dzierżawcy i pracownicy... – a – Woźnica spojrział na ochmistrza spode łba, lecz w końcu sięgnął do brudnej zniszczonej sakiewki, wiszącej u pasa. Grzebał w niej przez chwilę, pobrzękując monetami, wyjął kilka, część włożył z powrotem. Rzucił na stół trzy fenigi.

– Starczy? – zapytał. – Więcej nie mam.

Ochmistrz uniósł brew z niedowierzaniem. Słyszał wyraźnie pobrzękiwanie monet i widział, jak woźnica wrzucił część

z powrotem do sakiewki. Ale miał za sobą długi dzień pracy i nie zamierzał wdawać się w spory. Uznał, że najlepiej dać temu człowiekowi trochę jedzenia i czym prędzej się go pozbyć. Zwrócił się do dziewczyny, stojącej obok kotła z zupą:

– Podaj mu jedzenie.

Nalała porządną porcję do drewnianej miski i postawiła ją przed mężczyzną. Dołożyła jeszcze kawałek chleba z chrupką skórką.

Woźnica powiódł wzrokiem po stołach. Na niektórych stały kwatki piwa. Nie było w tym nic niezwykłego. Piwo nie kosztowało wiele, a Denis uznał, że jego ludziom należy się coś do popicia. W głębi, za stołem, na którym podawano jedzenie, stała beczka, krople skapywały z kraniku. Woźnica wskazał ją ruchem głowy.

– A piwo? – zapytał.

Ochmistrz wyprostował się czujnie. Zachowanie obcego stanowczo mu się nie podobało. Owszem, zapłacił za jedzenie, ale suma była doprawdy nędzna, dostał zaś za nią całkiem porządny posiłek.

– To będzie kosztowało dodatkowo – odparł. – Dwa fenigi.

Pomrukując gniewnie, woźnica znów zaczął grzebać w sakiewce. Nie wyglądał na ani trochę zakłopotanego, choć przecież przed chwilą twierdził, że nie ma więcej pieniędzy. Rzucił monety na stół. Ochmistrz skinął głową w stronę jednego ze swoich pomocników.

– Daj mu kwatkę.

Woźnica zabrał miskę z zupą, chleb i piwo, po czym odwrócił się bez słowa.

– I dziękuję – rzucił sarkastycznie ochmistrz, ale blondyn całkowicie go zignorował. Przesuwał się między stołami, przypatrując się twarzom siedzących dokoła nich ludzi. Ochmistrz nie spuszczał z niego oka. Woźnica wyraźnie kogoś wypatrywał – i wyraźnie nie chciał tego kogoś spotkać.

Jeden z pomocników, który przed chwilą nalał nieznanemu piwo, przysunął się bliżej i powiedział, tłumiąc głos:

– Wygląda, jakby szukał kłopotów.

Ochmistrz przytaknął.

– Najlepiej niech zje jak najszybciej i się wynosi. Nie dawaj mu dodatkowej porcji, nawet gdyby chciał za nią zapłacić.

Mężczyzna mruknął zgodnie, po czym odwrócił się do grupki, która właśnie podeszła do stołu, z nadzieją spoglądając na kocioł z zupą.

– Podejdź bliżej, Jem. Zaraz dostaniecie coś na ząb.

Trzymając miskę z zupą wysoko w górze i starając się nie potrącać siedzących przy stole, woźnica skierował się na sam koniec zaimprovizowanej jadalni, tam, gdzie markiza stykała się z piaskową ścianą budynku. Siadł przy ostatnim stole, twarzą w stronę otwartej części, tak by widzieć wchodzących. Zabrał się za jedzenie, ale ponieważ jego oczy bezustannie latały we wszystkie strony, po chwili oblał sobie zupą całą brodę i górną część ubrania.

Upił spory łyk piwa, nadal uważnie obserwując otoczenie ponad brzegiem drewnianego kufła. Postawił niemal puste naczynie na stole. Dziewczyna, która chodziła między stołami i zbierała brudne nakrycia, zatrzymała się, zerknęła do prawie opróżnionego kufła i wyciągnęła rękę. W tym momencie woźnica chwycił ją za nadgarstek tak mocno, że zaskoczona, straciła dech w piersiach.

– Zostaw – burknął. – Jeszcze nie skończyłem.

Wyrwała rękę i wykrzywiła usta.

– No to wysij sobie te ostatnie kropelki, waśniaku – rzuciła z kpiarskim uśmiechem.

Potem odeszła gniewnym krokiem. Odwróciła się jeszcze, by na niego spojrzeć. Zmarszczyła czoło. Z tyłu, tuż za krzesłem woźnicy stał jakiś mężczyzna, ubrany w pelerynę z obszernym kapturem. Nie zauważyła, kiedy przyszedł. Jeszcze przed chwilą nikogo tam nie było. I nagle się pojawił, jakby wyskoczył spod ziemi. Potrząsnęła głową. Dziwne, pomyślała. I nagle uświadomiła sobie, co oznacza ta peleryna w zielonoszare cętki. To był strój zwiadowcy. Ludzie powiadali, że zwiadowcy potrafią dokonywać nieprawdopodobnych rzeczy – jak na przykład pojawiać się i znikać zniemacka.

Ten stał tuż za krzesłem woźnicy, całkowicie nieświadomego jego obecności.

Cień szerokiego luźnego kaptura skrywał rysy przybysza. Widać było jedynie stalowosrebrną brodę. Po chwili odrzucił kaptur, odsłaniając ponurą twarz, ciemne oczy i siwiejące, nierówno przycięte włosy.

Zza poły peleryny wyjął ciężką sakwę, po czym delikatnie postukał jej obuchem w ramię woźnicy. Nie zabrał broni, tak by mężczyzna mógł zobaczyć ją kątem oka.

– Nie odwracaj się.

Woźnica zmartwił. Sztywno wyprostowany na swoim miejscu, instynktownie zaczął odwracać się, by zobaczyć, kto stoi za jego plecami. Saksa znów postukała go w ramię, tym razem mocniej.

– Powiedziałem, że masz się nie odwracać.

Te słowa zabrzmiały bardziej stanowczo niż poprzednie. Siedzący najbliżej ludzie zauważyli, że coś się dzieje. Słumiony pomruk głosów powoli ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się na stół w głębi, przy którym siedział skamieniały woźnica.

Ktoś rozpoznał cętkowaną pelerynę i ciężki nóż.

– To zwiadowca.

Woźnica drgnął na te słowa. Na jego twarzy pojawił się wyraz lęku.

– A ty jesteś Henry Wozak – powiedział zwiadowca.

Lęk ustąpił miejsca skrajnemu przerażeniu. Mężczyzna pospiesznie potrząsnął głową i zaprzeczył gwałtownie, plując śliną dokoła.

– Nie! Jestem Henry Furman! Pomyliłeś mnie z kimś, przysięgam!

Wargi zwiadowcy wykrzywiły się uśmiechu.

– Wozak... Furman. Niezbyt pomysłowo, jeśli próbujesz zmienić tożsamość. Z Henry'ego też powinieneś raczej zrezygnować.

– Nie wiem, o czym mówisz! – wymamrotał woźnica. Znów zaczął się odwracać i znów saksa uderzyła go w ramię.

– Mówiłem, żebyś się nie odwracał.

– Czego chcesz ode mnie? – Głos mężczyzny przeszedł w pisk. Obserwujący tę scenę ludzie domyślali się, że obcy doskonale

wie, o co chodzi ponuremu zwiadowcy.

– Może ty mi powiesz.

– Ja nic nie zrobiłem! Nie wiem, kim jest ten cały Wozak, ale to nie ja! Mówię ci, pomyliłeś mnie z kimś! Zostaw mnie w spokoju.

Próbował nadać ostatnim słowom moc rozkazu, lecz zupełnie mu to nie wyszło. Zabrzmiały raczej jak pełne poczucia winy błaganie o łaskę niż święte oburzenie niewinnie oskarżonego. Przez kilka sekund zwiadowca nic nie mówił. W końcu wypowiedział cztery słowa:

– Gospoda pod Skrzydlatym Smokiem.

Teraz strach i poczucie winy aż nazbyt wyraźnie malowały się na twarzy woźnicy.

– Pamiętasz, Henry? Gospoda pod Skrzydlatym Smokiem w lennie Anselm. Półtora roku temu. Byłeś tam.

– Nieprawda!

– A mówi ci coś nazwisko Jory Ruhl? Pamiętasz go? Był przywódcą twojej bandy, prawda?

– Nigdy nie słyszałem o żadnym Jorym!

– A mnie się wydaje, że owszem.

– Nigdy! I nigdy nie byłem w Gospodzie pod Skrzydlatym Smokiem i nie mam nic wspólnego z...

Nagle urwał, uświadomiwszy sobie, że o mało się nie zdradził.

– A więc nigdy tam nie byłeś i nie masz nic wspólnego z... z czym dokładnie, Henry?

– Z niczym! Niczego nie zrobiłem. Przekręcasz moje słowa! Nie było mnie tam! Nie wiem, co tam się stało.

– A może chodzi ci o pożar, który wzniciłicie ty i Ruhl? W płomieniach zginęła pewna kobieta, pamiętasz? Kurierka. Wybiegła z budynku, ale potem zobaczyła dziecko, które utknęło w środku i próbowało się wydostać. To nie był nikt ważny, zwykła mała wieśniaczka. Ty pewnie w ogóle nie zwróciłbyś uwagi na kogoś takiego.

– Wymyśliłeś to wszystko! – wykrzyknął woźnica.

Zwiadowca nie zamierzał ustąpić.

– Kurierka jednak wcale nie uważała, że to ktoś pozbawiony znaczenia. Wróciła do płonącego budynku, ruszyła małą na ratunek. Zdążyła wypchnąć dziewczynkę przez okno, ale w tym momencie dach się zapadł i sama zginęła. Teraz chyba sobie przypominasz?

– Nie znam żadnej Gospody pod Skrzydlatym Smokiem! Nigdy nie byłem w lennie Anselm. Pomyliłeś mnie z...

Nagle, z prędkością i zręcznością, przeczącą jego potężnej posturze, woźnica zerwał się i odwrócił twarzą do zwiadowcy. Jednocześnie prawą dłonią wyszarpnął sztylet z pasa i zamierzył się.

Był szybki, ale zwiadowca okazał się jeszcze szybszy. Słyszał, jak w głosie mężczyzny narasta desperacja i spodziewał się takiego podstępного ruchu. Zrobił pół kroku w tył i zablokował saksą sztylet w dłoni woźnicy. Ostrza uderzyły o siebie ze zgrzytem. Zwiadowca odparował cios. Obrócił się na prawej pięcie, jednocześnie kierując ostrze w dół, lewą ręką zaś walnął woźnicę w szczękę.

Ten krzyknął, przerażony i całkowicie zaskoczony, i zatoczył się do tyłu. Potknął się o ławkę, na której siedział przed chwilą, uderzył o kant stołu, a potem osunął się z hukiem na ziemię.

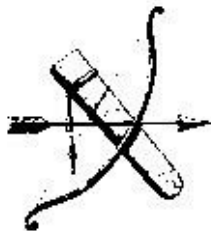
Leżał nieruchomo. Trawę zabarwiła ciemna złowieszcza plama.

– Co tu się dzieje? – Ochmistrz wyszedł z za stołu w asyście swych dwóch pomocników. Utkwił wzrok w zwiadowcy, który spokojnie odwzajemnił jego spojrzenie, po czym wzruszył ramionami, wskazując na postać, leżącą na ziemi. Ochmistrz oderwał od niego wzrok, ukląkł i odwrócił ciężkie ciało.

Oczy woźnicy były szeroko otwarte. Na twarzy malował się grymas przerażenia. W piersi tkwił jego własny sztylet.

– Nadział się na swój własny nóż. Nie żyje – stwierdził ochmistrz. Spojrzał na zwiadowcę, ale nie dojrzał w jego ciemnych oczach poczucia winy czy żalu.

– Co za strata – powiedział Will Treaty. Potem otulił się peleryną, odwrócił i ruszył w swoją stronę.





Pierwsze promienie słońca rozjaśniły niebo na wschodzie. W parku, otaczającym Zamek Araluen ptaki oznajmiły śpiewem początek dnia – najpierw nieśmiało, pojedynczo bądź parami, by w końcu połączyć głosy w jeden wielki radosny chór. Od czasu do czasu któryś przemykał pośród rzadko rosnących drzew, poszukując jedzenia.

Most zwodzony był akurat podniesiony. Sprawa oczywista. Podnoszono go każdego wieczoru o dziewiętej, chociaż w Araluenie od kilku lat panował pokój. Jednakże doświadczeni ludzie wiedzieli, że pokój może zostać zniszczony w każdej chwili, bez ostrzeżenia. Jak kiedyś ujął to król Duncan: „Od nadmiaru ostrożności nikt jeszcze nie zginął.”

Brzegi fosy łączył wąski drewniany mostek – dosłownie kilka desek, powiązanych liną i łańcuchami. W razie ataku można było podnieść go bez trudu. Po drugiej stronie stało dwóch strażników, a na murach czuwali kolejni. Wiele par oczu przeczesywało pięknie utrzymany park, otaczający zamek ze wszech stron pasem o szerokości kilkuset metrów, oraz gęste lasy dokoła.

Nagle jeden z mężczyzn dał kuksańca swemu towarzyszowi.

– Idzie – powiedział.

Spośród drzew wychynęła smukła postać i zaczęła wspinać się w górę łagodnego porośniętego trawą wzniesienia. Postać miała na sobie sięgający ud myśliwski kaftan ze skóry, przewiązany pasem, wełnianą tunikę z długimi rękawami, wełniane spodnie i buty pod kolana z miękkiej niegarbowanej skóry.

Strażnicy nie zaniepokoiili się na jej widok, dobrze ją znali. Była to dziewczyna – choć nic w jej wyglądzie tego nie zdradzało. Miała piętnaście lat i często wymykała się z zamku na polowanie, ku wściekłości rodziców. Strażnicy uważali, że to bardzo zabawne. Była wśród nich popularną figurą – radosna, wesoła, zawsze gotowa podzielić się łupami. Dlatego też przymykali oko na jej wyczyny. Ale też o nich nie rozpowiadali. W końcu jej matką była regentka Cassandra. Ojcem dziewczyny był także nie byle kto – tylko sam Sir Horace, pierwszy rycerz królestwa Aralueny.

Maddie – lub raczej, jak brzmiał formalnie jej tytuł, księżniczka Madelyn – podeszła bliżej, rozpoznała mężczyzn, stojących na straży i uśmiechnęła się promiennie. Należeli do jej ulubieńców.

– Dzień dobry, Lenie. Dzień dobry, Gordonie. Widzę, że mieliście spokojną noc.

Gordon uśmiechnął się i odparł:

– Tak, aż do chwili, gdy nagle z lasu wypadła jakaś żądna krwi wojowniczką i przypuściła atak na nasz zamek, wasza wysokość.

Zmarszczyła brwi.

– Co mówiłam na temat tej całej „waszej wysokości”? Trochę zbyt sztywna forma jak na tak wczesną porę, jest dopiero piąta rano.

Strażnik kiwnął głową i poprawił się.

– Wybacz, księżniczko. – Popatrzył na mury. Jeden ze strażników pomachał na znak, że również ją rozpoznał. – Przypuszczam, że twoi rodzice nie mają pojęcia o tej wyprawie?

Maddie zmarszczyła nos.

– Nie chciałam zawracać im głowy – odparła niewinnie.

Gordon uniósł brew i uśmiechnął się konspiracyjnie.

– Jak widzisz, nic mi się nie stało – dodała.

Strażnik imieniem Len niepewnie wzruszył ramionami.

– W lesie bywa niebezpiecznie, księżniczko. Nigdy nie wiadomo.

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Na pewno nie nazbyt niebezpiecznie dla żadnej krwi wojowniczką. Wiesz, że w razie czego potrafię się obronić. Mam sakwę i procę.

Dotknęła skórzanych pasków na szyi. A potem, jakby to jej o czymś przypomniało, sięgnęła do wypchanej torby myśliwskiej.

– Tak przy okazji, mam tu zajaca i parkę grzywaczy. Może wam się przydadzą?

Strażnicy popatrzyli prędko na siebie. Wiedzieli, że jeśli Maddie zjawi się na zamku z nową zdobyczą, rodzice zaraz zaczną

zadawać pytania. Poza tym trochę świeżego mięsa stanowiłoby miłe urozmaicenie żołnierskiej diety.

Gordon wahał się.

– Gołębie, czemu nie. Ale zając? Kiedy żona zacznie go przyrządzać i ludzie się zwiedzą, zaraz pomyślą, że kłusowałem.

Tylko król, członkowie jego rodziny oraz najwyżsi urzędnicy i rycerze mieli prawo polować w najbliższym otoczeniu zamku na taką zwierzynę jak zające. Oczywiście zwiadowcy polowali tam, gdzie chcieli, całkowicie lekceważąc przepisy. Zwykli ludzie mogli łowić drobniejsze zwierzęta, jak łasice, gołębie i kaczki. Ale zając to było zupełnie coś innego. Wieśniak czy żołnierz mógłby przypłacić taką zdobycz grzywną.

Maddie machnęła ręką.

– Jak ktoś będzie pytał, powiedz, że ja ci go dałam. W razie czego mogę to potwierdzić.

– Nie chciałbym, żebyś miała kłopoty. – Gordon nadal się wahał, ale już wyciągał rękę po zająca.

– Nie pierwszy raz. I pewnie nie ostatni. Bierz. A ty, Lenie, weź grzywacze – zaproponowała księżniczka.

Strażnicy w końcu się poddali. Wzięli od Maddie zająca i gołębie, dziękując chóralnie. Maddie znów machnęła ręką.

– Naprawdę nie ma za co. Nie chciałam ich wyrzucać, marnować jedzenia. Dzięki wam nie będę musiała się tłumaczyć.

Strażnicy schowali łupy w niewielkiej budce, dającej im schronienie w razie niepogody. Maddie pomachała im na pożegnanie, lekkim krokiem pokonała mostek i skierowała się do niewielkiej furki z boku głównej bramy, prowadzącej do zamku. Strażnicy uśmiechnęli się do siebie. Oto jedna z dodatkowych korzyści tego zawodu.

– Miły dzieciak – powiedział Len.

Gordon, starszy od nich o kilka lat, zgodził się ze swym towarzyszem.

– Tak jak jej matka – stwierdził. A potem dodał z namysłem: – Wiesz, księżniczka Cassandra też lubiła wymykać się z zamku jako młoda dziewczyna. I lubiła nas podchodzić.

Len uniósł brwi ze zdumieniem.

– Naprawdę? Nigdy o tym nie słyszałem.

– O, tak. – Gordon pokiwał głową. – Trenowała swe umiejętności na strażnikach. Potrafiła nagle wyciągnąć procę i wymierzyć pociskiem w grot włóczyń któregoś z nas. Prawdziwy postrach. Ale w końcu przyzwyczailiśmy się do tych facecji.

Len próbował pogodzić obraz obecnej księżniczki Cassandry, tymczasowo pełniącej funkcję władczyni królestwa, z wyobrażeniem awanturniczej chłopczycy, terroryzującej zamkowych strażników.

– Nigdy byś nie powiedział. Jest taka spokojna i dystygowana, prawda?



GDZIEŚ TY BYŁA, U LICHA CIĘŻKIEGO?! – wykrzyknęła spokojna i dystygowana księżniczka Cassandra.

Słowa odbiły się echem od ścian królewskiej komnaty. Maddie zamarła w miejscu.

Udało się jej przemknąć na palcach na piętro i bezgłośnie wśliznąć do środka. Ostrożnie nacisnęła klamkę i prędko otworzyła drzwi, by zawiasy nie zdążyły zaskrzypieć. Wnętrze było pogrążone w ciemności, ciężkie draperie zasłaniały okna, żar dogasał w kominku.

Zatrzymała się tuż za drzwiami. Jej czujne zmysły szukały oznak cudzej obecności w holu. Zanim wspięła się po schodach, zdjęła buty, teraz trzymała je w lewej dłoni. Ucieszyła się, że rodzice nadal są u siebie i śpią. Zaczęła ostrożnie przesuwając się po grubym dywanie w kierunku własnych pokoi.

I właśnie w tym momencie jej matka – mistrzyni ataków z zasadki, jak zresztą większość matek – zaskoczyła ją tym wściekłym wrzaskiem, który nadal wibrował echem pośród ścian komnaty.

Maddie zamarła w pół kroku, z jedną nogą uniesioną nad dywanem. Rozejrzała się gorączkowo dokoła. Była przekonana, że nikogo tam nie ma. Teraz dostrzegła niewyraźny zarys sylwetki, siedzącej w wielkim krześle z wysokim oparciem.

– Mamo! – powiedziała, prędko odzyskawszy rezon. – Przestraszyłaś mnie!

– Ja ciebie przestraszyłam? – Cassandra wstała i podeszła do córki. Miała na sobie koszulę nocną i ciężki płaszcz kąpielowy dla ochrony przed zimnem. Łatwo było dostrzec podobieństwo łączące te dwie kobiety. Obie były niewysokie, smukłe i pełne gracji. Obie miały zielone oczy i piękne rysy twarzy. I obie trzymały podbródek uniesiony w ten sam sposób, świadczący o uporze i stanowczości. Ludziom zdarzało się brać je za siostry i nie było w tym nic dziwnego. Obie zostały również obdarzone masą jasnych włosów, choć w przypadku Cassandry przeplecionych tu i tam siwymi pasmami – świadectwo tego, że ostatnio żyła pod wielką presją, rządząc królestwem w zastępstwie swego ojca, od trzech lat złożonego ciężką chorobą.

– Ja ciebie przestraszyłam? – powtórzyła, podchodząc bliżej. Jej głos brzmiał o kilka tonów wyżej niż zwykle, zdradzał oburzenie i niedowierzenie.

– Myślałam, że śpisz – odparła Maddie, próbując przywołać na usta niewinny uśmiech. I rzeczywiście, wymykając się z królewskiego apartamentu kilka godzin wcześniej była pewna, że jej matka leży pogrążona we śnie. Dla pewności zajrzała nawet do sypialni rodziców.

– A ja myślałam, że ty śpisz – odparowała matka. – Przypominam sobie, że już koło dziewiątej ostentacyjnie dałaś do zrozumienia, jak strasznie jesteś zmęczona. – Tu zaprezentowała szerokie ziewnięcie. Maddie musiała z niechęcią przyznać, że jest to doskonale naśladownictwo jej zachowania z poprzedniego wieczoru.

– Och, jestem taka śpiąca! – przedrzeźniała ją Cassandra przesadnie dziecięcym głosem. – Obawiam się, że natychmiast muszę się położyć.

– A... no, tak – powiedziała Maddie. – Ale potem się obudziłam. Byłam strasznie głodna, więc zeszłam do kuchni po coś do jedzenia.

– Z butami w rękę – zauważyła Cassandra. Maddie spojrzała na buty takim wzrokiem, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu.

– Em. Nie chciałam nabłocić na dywan – powiedziała prędko. Zbyt prędko. A pośpiech często prowadzi do porażki.

– A więc to błoto z kuchni – rzuciła obojętnie Cassandra.

Maddie otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz żadna sensowna odpowiedź nie przyszła jej do głowy. Zamknęła więc usta z powrotem.

– Madelyn, czyś ty oszalała? – wybuchnęła Cassandra. Jej gniew wreszcie znalazł ujście, niczym woda przebijająca zapórę. – Jesteś księżniczką, masz odziedziczyć po mnie tron. Nie możesz włóczyć się po lesie w środku nocy. To bardzo niebezpieczne!

– Mamo, to tylko las. Nic mi tam nie grozi. Wiem, co robię. Widziałam dziś borsuka – dodała, jakby to mogło usprawiedliwić jej zachowanie.

– Ach, skoro widziałas borsuka, to wszystko w porządku! – Sarkazm w słowach Cassandry był jak cięcie bicia. – Czemu od razu

nie wspomniałaś o borsuku? Teraz mogę wrócić do łóżka i spać spokojnie, już wiem, że tej nocy nic ci nie groziło. No bo skoro widziałaś cholernego borsuka!?

– Matko... – zaczęła Maddie, tonem sugerującym, że uważa reakcję Cassandry za nieracjonalną. Zwracała się do niej per „matko” tylko wówczas, gdy jej zachowanie – będące zdaniem Maddie wyrazem nadopiekuńczości i obsesyjnej potrzeby kontroli – doprowadzało ją do skrajnej rozpacz.

Cassandra wiedziała o tym aż nazbyt dobrze i jej oczy zaślniły gniewnie.

– Nie mów do mnie „matko”, Madelyn! – warknęła.

Madelyn wyprostowała ramiona, jakby chciała przydać sobie wzrostu. Była o dwa centymetry niższa od matki. W takich sytuacjach jak teraz bardzo dotkliwie odczuwała tę różnicę.

– A ty nie mów na mnie „Madelyn”! – odparowała Maddie. Cassandra z kolei zwracała się do niej pełnym imieniem tylko wtedy, kiedy uznawała jej postępowanie za nieodpowiedzialne, niedojrzałe i bardzo irytujące.

– Będę mówić „Madelyn”, kiedy tylko mi się spodoba, młoda damo!

Maddie wywróciła oczami.

– Aha, teraz jeszcze „młoda damo”? – powiedziała ze znużeniem. Wykonała zachęcający gest. – No, dalej, ulżyj sobie. Wysłuchajmy listy moich przewinień. Jestem okropna. Jestem nieodpowiedzialna. Przynoszę hańbę królewskiemu domowi Araluen.

Stała naprzeciwko matki, w pozie, wyrażającej nadąsanie, z jedną ręką wspartą na biodrze, tak irytująca jak to tylko potrafi nastoletnia dziewczyna, kiedy wie, że nie ma racji, lecz za nic na świecie tego nie przyzna.

Cassandra poczuła, że ręka ją świerzbi, więc prędko wcisnęła obie dłonie w kieszenie płaszcz. Wzięła głęboki wdech i dodała, ścisząc głos:

– W tym lesie są niedźwiedzie, Madelyn. Co zrobisz, jeśli na jakiegoś wpadniesz?

– Dondy powiedział, że w takim przypadku należy ukucnąć, nie ruszać się i nie patrzeć niedźwiedziowi w oczy. – Dondy pełnił funkcję królewskiego leśniczego i wielkiego łowczego.

– Mówi też, że jest to ostatnia deska ratunku i sprawdza się tylko w połowie przypadków.

– To ucieknę. Albo wejdę na drzewo. Małe i wiotkie, żeby niedźwiedź nie mógł wejść za mną. – Ostatnie zdanie dodała prędko, zanim Cassandra zdążyła wytknąć jej, że niedźwiedzie też potrafią chodzić po drzewach.

Cassandra nie zamierzała jednak tak łatwo ustąpić. Zmieniła taktykę.

– Są też przestępcy. Rozbójnicy, bandyci i wyjęci spod prawa. Chowają się w lesie.

– Nie ma ich już tak znowu wielu. Tata o to zadbał – odparła Maddie. Rzeczywiście, niedawno Horace zorganizował całą serię zbrojnych patroli, które przegoniły banitów z ich leśnych kryjówek.

– Wystarczyłby jeden. Jesteś znaną osobą. Mógłby cię porwać i zażądać okupu.

– Najpierw musiałyby mnie złapać – odparła Maddie z uporem.

Cassandra odwróciła się, wyrzucając ręce w powietrze gestem rezygnacji.

– Ale nie jest wcale powiedziane, że chcielibyśmy zapłacić okup – mruknęła. Jej ton wskazywał, że mówi całkiem poważnie.

Otworzyły się drzwi sypialni, snop światła przeciął ciemności. Pokazał się Horace, potargany, w koszuli wetkniętej niedbale w spodnie, bosy. W prawej dłoni dzierżył obnażony miecz, połyskujący w blasku latarni, którą trzymał w lewej dłoni. Na ścianach zatańczyły świetlne refleksy.

– Co się dzieje? – zapytał. Widząc, że w pokoju są tylko jego żona i córka, odstawił miecz, opierając go o ścianę. Podniósł wyżej latarnię i przyjrzał się bacznie Maddie. – Znów polowałaś – stwierdził, z mieszaniną gniewu i rezygnacji.

– Tato, nie było mnie zaledwie przez godzinę... – zaczęła Maddie, z nadzieją, że ojciec prawdopodobnie wykaże się większym rozsądkiem niż jego żona. Wiedziała, że zwykle potrafi przekonać go do swoich racji.

– Dziwne, bo ja czekam już od ponad dwóch godzin – warknęła Cassandra. – Siedzę tu od chwili, gdy zobaczyłam, że twoje łóżko jest puste.

Horace potrząsnął głową. Kiedy znów się odezwał, nadzieja, którą pokładała w nim Maddie, legła w gruzach.

– Czy ty jesteś głupia, Maddie? Czy po prostu dla zasady postanowiłaś robić wbrew matce i mnie? Masz do wyboru tylko te dwie możliwości, więc odpowiedz. Którą wybierasz?

Maddie pomyślała, że to bardzo nie fair, kiedy dorośli przedstawiają ci dwie równie beznadziejne opcje i każą którąś wybrać. Skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła wzrok przed wściekłym spojrzeniem ojca.

– Czekam – oznajmił Horace.

Maddie zrobiła zaciętą minę. Patrzyła na zagniewanych rodziców, a oni na nią. W końcu Cassandra nie wytrzymała i przerwała ciszę.

– Maddie, jesteś następczynią tronu. Pewnego dnia będziesz rządzić Araluenem... – zaczęła. Maddie postanowiła wykorzystać ten argument.

– A jak niby mam tego dokonać, kiedy trzymasz mnie w bezpiecznym kokonie? Jeśli nie nauczę się stawiać czoła niebezpieczeństwu, podejmować decyzje i myśleć?

– Co takiego? – Cassandra zmarszczyła brwi.

Ale Maddie nie zamierzała się poddać.

– Gdybym była chłopakiem, tata uczyłby mnie sztuk walki, jazdy konnej, strategii wojennej...

– Przecież nauczyłem cię jeździć – wtrącił Horace, ale Maddie niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Jak mam rozkazywać ludziom, by walczyli za ten kraj, skoro sama nie mam bladego pojęcia o sztuce wojennej?

– Będziesz miała doradców – odparła Cassandra. – Osoby, które znają się na takich rzeczach.

– To nie to samo! Wszyscy będą oczekiwać, że to ja mam podejmować decyzje. – Wymierzyła palcem w Cassandrę i dodała: – Kto jak kto, ale ty powinnaś to rozumieć! Kiedy byłaś w moim wieku, walczyłaś z wargala-mi, zostałaś porwana przez Skandian i poprowadziłaś armię łuczników przeciw hordom Temudżeinów! Walczyłaś u boku taty!

– Tak się złożyło. Nie planowałam tego wszystkiego!

– Ale zaplanowałaś, że pojedziesz do Arydii i będziesz walczyć przeciwko tualeskim bandytom. I zaplanowałaś, że wyprawisz się do Nihon-ja, by przyjść tacie z pomocą. Zabiłaś śnieżnego tygrysa...

– Alyss go zabiła – przerwała córce Cassandra, lecz Maddie całkowicie ją zignorowała.

– I też wymyślałaś się do lasu i ćwiczyłaś strzelanie z procy...

Cassandra uniosła głowę, zaskoczona.

– Kto ci to powiedział?

– Dziadek. Mówił, że strasznie się o ciebie martwił.

– Twój dziadek jest stanowczo zbyt rozmowny – stwierdziła Cassandra i zacisnęła wargi. – Nawet jeśli tak robiłam, to jeszcze nie znaczy, że ty powinnaś brać ze mnie przykład.

– Ale ludzie cię szanują! Wiedzą, że nieraz stawiałaś czoło niebezpieczeństwom! Tylko o to mi chodzi: o odrobinę tego samego szacunku! Poza tym nudzi mi się! Potrzebuję rozrywki!

– Cóż, chyba nie w ten sposób powinnaś jej szukać! – odparła Cassandra.

– To w jaki? Powiesz mi? Nie chcę przez całe dni uczyć się robótek ręcznych, geografii, galijskiej gramatyki i czasowników nieregularnych! Chcę uczyć się ważnych i przydatnych rzeczy.

– Może coś wymyślimy... – zaczął Horace niepewnie. Dostrzegając sens w tym, co mówiła jego córka.

Maddie od razu przypuściła atak.

– Niby co? Co wymyślimy?

Bezradnie rozłożył ręce.

– Nie... wiem... coś. Zobaczymy...

Maddie straciła panowanie nad sobą.

– O, cudownie! Zobaczymy. Tak zawsze mówią rodzice, kiedy nie zamierzają nic zrobić! Po prostu wspaniale, tato! *Zobaczmy!*

– Nie mów do mnie w ten sposób – odparł Horace, choć zdawał sobie sprawę, że „zobaczmy” rzeczywiście jest wytartą taktyką, którą stosują rodzice, by odsunąć w czasie niewygodne decyzje.

– Dlaczego nie? A może *zobaczmy*, co się wtedy ze mną stanie? Ciekawe, co *zobaczmy*. – Pochyliła się nieco do przodu w prowokacyjnej pozie, wsparta pod biodra. Cała aż się trzęsła z oburzenia i zdenerwowania.

– Dobrze, dobrze, już wystarczy – warknął Horace. – Szlaban na tydzień. Na wszelki wypadek postawię strażnika pod twoimi drzwiami.

Policzki Maddie zapałały słusznym gniewem.

– Jakie to głupie i małostkowe! *Zobaczmy*, jakie będą tego skutki, co?

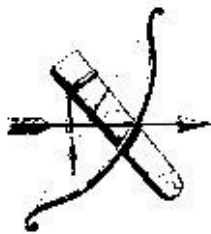
– No to dwa tygodnie – powiedział Horace, równie wściekły jak ona. Wzięła głęboki wdech, ale Horace przechylił głowę na bok i dodał: – Co, wolałabyś trzy?

Zawahała się. Spojrzała mu w oczy, odwróciła się na pięcie i gniewnie pomaszerowała do swojego pokoju.

– To niesprawiedliwe! – krzyknęła, zatraskując za sobą drzwi.

Horace i Cassandra wymienili przeciągłe spojrzenie. Horace potrząsnął głową, pokonany, i otoczył ramieniem plecy żony.

– Poszło całkiem nieźle – stwierdził.





4

ROZDZIAŁ

Wyjechawszy spomiędzy drzew u podnóża Zamku Araluen, Halt i Pauline wstrzymali konie.

Żadne z nich nie musiało dawać sygnału, nawet nie wymienili spojrzeń. To była naturalna reakcja na widok zamku, wznoszących się wysoko iglic, wieżyczek i chorągiewek, powiewających dziarsko na wietrze z kilkunastu punktów obserwacyjnych na murach.

– Imponujące, prawda? – powiedziała miękko Pauline.

Halt zerknął na nią z boku. Uśmiechnął się.

– Jak zawsze – zgodził się. – Ale i tak nie zamieniłbym Zamku Redmont na to чудо.

Zamek Redmont był po prostu solidny i praktyczny, pozbawiony wdzięku i urody Zamku Araluen. Ale był ich domem. To tam spędzili największą część życia, tam też wyznali sobie od dawna łączące ich uczucie.

Poza tym w Redmont nie było tak oficjalnie jak w Ara-luencie, co Haltowi bardzo odpowiadało. Nie lubił tracić czasu na te wszystkie procedury, które charakteryzowały życie w zamku królewskim, sterowane skostniałym protokołem i przywiązane do ustalonych hierarchii. Uważał, że to zwykła błazenada i krzywił się za każdym razem, kiedy musiał wziąć udział w jakiejś oficjalnej uroczystości. Na szczęście w liście, który przysłał mu Gilan, nie było mowy o żadnych tego typu wydarzeniach.

Ruszyli skróconym kłusem. Spod kopyt unosiły się w ciepłym powietrzu niewielkie obłoczki kurzu. Podróżowali we dwójkę, zabrali ze sobą tylko jucznego konia. Eskorty nie potrzebowali. Chociaż Halt oficjalnie zrezygnował ze swej funkcji, a jego włosy ze szpakowatych zrobiły się całkiem siwe, nadal był najślawniejszym zwiadowcą w królestwie i każdy potencjalny napastnik musiałby uznać go za niebezpiecznego przeciwnika. Wielki łuk, przerzucony przez siodło, wyraźnie mówił, że z tym człowiekiem lepiej nie zadzierać.

– Jak się czujesz, przybywając na wezwanie swego byłego ucznia? – spytała Pauline.

Halt zasznurował wargi.

– Nie określiłbym tego wezwaniem – poprawił ją. – Raczej prośbą.

Od śmierci Crowleya minęły trzy lata. Dowódca zwiadowców zmarł spokojnie, we śnie. Ironiczny koniec jak na takiego człowieka. Jego życie wypełniały bitwy, intrygi i rozliczne niebezpieczeństwa, a zakończył je tak banalnie, po prostu którejś nocy przestał oddychać. Kiedy go znaleziono, miał otwarte oczy i kpiący uśmiezek na twarzy. Halt pomyślał, że przynajmniej to się zgadzało. Crowley słynął z poczucia humoru. Najwyraźniej zmarł, myśląc o czymś zabawnym. Ta myśl stanowiła dla Halta wielką pociechę.

Po śmierci Crowleya większość ludzi uznała za oczywiste, że teraz Halt obejmie funkcję dowódcy Korpusu. On jednak zareagował na taką sugestię szczerym przerażeniem.

– Papierkowa robota, raporty, sprawy organizacyjne, wysiadywanie za biurkiem i słuchanie cudzych skarg i problemów. Potrafisz wyobrazić mnie sobie w takiej roli? – zapytał wówczas Pauline.

Żona uśmiechnęła się na widok jego śmiertelnie poważnej miny.

– Chyba nie – zgodziła się.

Tak więc stanowisko zaproponowano Gilanowi – ku jego wielkiemu zaskoczeniu. Sądził, że jest stanowczo za młody, lecz wszyscy jego kompani jednogłośnie poparli tę kandydaturę. Gilan, podobnie jak Will Treaty, był jednym z najbardziej szanowanych członków Korpusu – a przy tym przewyższał doświadczeniem większość zwiadowców, szczególnie w sprawach międzynarodowych. Bywał w świecie i brał udział w wielu akcjach. Poza tym nie były mu obce kuluary władzy. Jego ojciec pełnił funkcję głównodowodzącego wojsk królewskich. Gilana łączyła bliska więź z księżniczką Cassandrą i sir Horace'em, pierwszym rycerzem w królestwie. W oczach zwiadowców wielkie znaczenie miało również to, że we wczesnych latach młodości był uczniem samego Halta.

Will, choć młodszy od Gilana, również mógłby objąć stanowisko dowódcy. Jednakże, choć darzono go wielkim szacunkiem, to jednocześnie wszyscy wiedzieli, że podobnie jak Halt jest wielkim indywidualistą i w razie potrzeby lubi omijać niewygodne przepisy. Gilan, człowiek zdyscyplinowany i zorganizowany, znacznie bardziej nadawał się na dowódcę grupy zwiadowców – tej elitarnej i niejednorodnej jednostki, złożonej z pięćdziesięciu mężczyzn o niezależnych i różnorodnych osobowościach.

– Myślisz, że zamierza wysłać cię z jakąś misją? – spytała Pauline, przerywając milczenie. Od czasu do czasu Halt, choć formalnie w stanie spoczynku, podejmował się różnych zadań na prośbę Gilana.

Po chwili namysłu potrząsnął głową.

– Napisalby o tym w liście – stwierdził. – Nie prosiłby mnie, bym wybierał się w tak daleką podróż, gdyby istniało ryzyko, że odmówię. Poza tym, gdyby chodziło o kolejną misję, to po co zapraszałby mnie do Zamku Araluen? Czuję, że tu chodzi o bardziej osobistą sprawę.

– A może Jenny w końcu zgodziła się za niego wyjść? – powiedziała Pauline z uśmiechem. Wszystkich zaskoczyła wcześniejsza decyzja Jenny, która stwierdziła, że nie zamierza opuścić swej wspaniale prosperującej gospody w Redmont i przenieść się z Gilanem do Zamku Araluen. Kochała go, wszyscy o tym wiedzieli. Ale nie chciała rezygnować z własnego rozwoju i kariery.

– Któregoś dnia to zrobimy – powiedziała Gilanowi – ale obecnie jesteś albo zajęty sprawami Korpusu, albo wyjeżdżasz z kolejną misją. Nie zamierzam ograniczyć swego życia do roli żony dowódcy zwiadowców.

Gilana nieco dotknęły te szczerze słowa.

– A jeśli spotkam kogoś innego? – zapytał przekornie.

Jenny wzruszyła ramionami.

– Droga wolna. Ale nie spotkasz nikogo takiego jak ja.

I miała rację. Tak więc pozostawali w związku na odległość, a Gilan korzystał z każdej nadarzającej się okazji, by odwiedzić lenno Redmont i spędzić trochę czasu z ukochaną. I przy każdym spotkaniu ponawiał propozycję małżeństwa. A Jenny za każdym razem odmawiała.

– Nie sądzę – odparł Halt. – Znasz Jenny. Gdyby zdecydowała się na ślub, nie omieszkałaby się pochwalić.

– To prawda – zgodziła się Pauline, po czym cicho westchnęła. – Myślisz, że daliśmy im zły przykład, czekając tak długo?

– Nie uważam, że to zły przykład. Poza tym to tylko podsyciło twoje zainteresowanie moją osobą.

Odwrociła się w siodle i rzuciła mu przeciągłe groźne spojrzenie. Halt uświadomił sobie, że przyjdzie mu słono zapłacić za tę uwagę. Może nie dzisiaj i nie jutro. Pewnego dnia, kiedy najmniej będzie się tego spodziewał. Ale i tak było warto. Rzadko udawało mu się zdobyć punkt w słownych utarczkach z żoną. Cóż, w końcu Pauline dzięki wielu latom pracy w służbie dyplomatycznej zdobyła w tej dziedzinie wielkie doświadczenie.

Zbliżali się już do mostu zwodzonego. Był opuszczony, jak zwykle w ciągu dnia. Na końcu stało dwóch strażników. Zauważyli jeźdźców i pozdrowili ich. Halt i Pauline nie musieli się przedstawiać. Spodziewano się ich przybycia, poza tym byli znani w całym królestwie, a już szczególnie tutaj, w stolicy.

– Zwiadowca Halt, lady Pauline – powiedział starszy z mężczyzn. – Witamy w Zamku Araluen.

Ustąpił na bok i ruchem ręki pokazał im, że mają jechać dalej.

Halt skinął mężczyznom głową.

A lady Pauline obdarzyła starszego promiennym uśmiechem.

– Dziękujemy, kapralu. – Potem pochyliła się nieco i bacznie przyjrząwszy się strażnikowi, dodała: – Malcolm Landers?

Pamiętam, że pomogłeś mi podczas mojej poprzedniej wizyty w Araluenie.

Pospolita twarz mężczyzny rozpląnęła się w uśmiechu.

– To prawda. Jak sobie przypominam, koń lady zgubił podkowę.

Halt nieznacznie potrząsnął głową. Zawsze zadziwiała go łatwość, z jaką jego żona zapamiętywała imiona i twarze różnych osób, nawet zwykłych żołnierzy. Pomyślał, że to zapewne również zasługa treningu w służbie dyplomatycznej. Zaraz jednak poprawił się. Nie, Pauline naprawdę interesowała się ludźmi. Lubiła ich i nigdy nie zapominała tych, którzy wyświadczyli jej jakąś przysługę. I w ten sposób właśnie zdobyła kolejnego oddanego poplecznika. Od tej chwili Malcolm Landers z pewnością zrobiłby dla niej wszystko.

Oczywiście, dodał Halt w myślach, w takich przypadkach z pewnością nie przeszkadza też oszałamiająca uroda.

Cóż, tobie nikt nie mógłby tego zarzucić, zauważył Abelard.

– Przystań gadać do konia, kochanie – powiedziała Pauline, kiedy pokonali most i przejechali pod podniesioną kratą.

Zastanawiał się, skąd ona o tym wie.

– Ja wszystko wiem – dorzuciła.

Teraz zastanawiał się, skąd wiedziała, nad czym się zastanawiał.

Na dziedzińcu powitał ich młody zwiadowca. Gilan stworzył specjalny system: na dwa-trzy miesiące „wypożyczał” uczniów od zwiadowców-mistrzów, tak by młodzi mogli asystować mu przy pracy.

– Uważam, że warto pokazać im, na jakich zasadach zarządzamy Korpusem – wyjaśnił Haltowi. – Kto wie? Może pewnego dnia któryś z tych chłopców zostanie dowódcą.

Halt wywrócił oczami.

– Marny nasz los – powiedział cicho.

– Dzień dobry, zwiadowco Halcie. Dzień dobry, lady Pauline – pozdrowił ich potencjalny dowódca Korpusu. – Mam na imię Kane, pomagam dowódcy przy pracy. Kazał przeprosić, ale właśnie wygłasza przemowę do uczniów ostatniego roku Szkoły Sztuk Walki. – Rzucił przybyłym nerwowe spojrzenie. – Prosił, bym zaprowadził was do komnat. Dołączy do was, kiedy tylko będzie wolny. Nie wiedział, kiedy dokładnie przybędziecie – dodał chłopak przepaszająco.

Pauline zaszczyciła go uśmiechem.

– Rozumiemy. W końcu Gilan jest bardzo zajęty człowiekiem.

Kane wskazał na chłopca stajennego, który czekał w pobliżu, przestępując z nogi na nogę.

– Może Murray zajmie się waszymi końmi?

Halt zawahał się. Pauline wiedziała, że wolałby sam zaopiekować się Abelardem. Ale wiedziała również, że chłopak jeszcze przez długie lata będzie z dumą opowiadał, jak to zajmował się koniem zwiadowcy Halta.

– Pozwól, niech Murray to zrobi – powiedziała cicho.

Abelard zarzucił łbem.

Zgadzam się. Wykona lepszą robotę niż ty. A na pewno obdarzy mnie większym szacunkiem.

Chyba większą liczbą jabłek, chciałeś powiedzieć.

– Przystań gadać do konia. Ludzie patrzą – powiedziała cicho Pauline.

Halt zwrócił na nią zakłopotane spojrzenie.

– Skąd wiesz, kiedy rozmawiam z koniem?

Uśmiechnęła się.

– Nos ci drga – odparła.

Nieco skonsternowany, Halt pozwolił stajennemu zabrać Abelarda. Chłopak ujął uzdę jedną ręką, drugą zaś chwycił uzdę konia Pauline i skierował się w stronę stajni. Kane zaprowadził Halta i Pauline na ostatnie piętro głównej wieży, gdzie czekały na nich wygodne komnaty. Po drodze raz po raz zerkał na sławnego zwiadowcę i przyglądał się z niejaką fascynacją, jak ten, zezując, ogląda własny nos, ściskając jego czubek między kciukiem i palcem wskazującym.

Kiedy dotarli na miejsce, Pauline od razu oznajmiła, że zamierza zażyć kąpieli i poleciła służącym, by zajęły się przygotowaniami.

– A ja tymczasem pójdę oddać honory królowi Duncanowi – oznajmił Halt. Pauline, która właśnie rozpakowywała suknie i wieszła je w szafie, kiwnęła głową.

– Ja później się z nim zobaczę, dam mu trochę czasu.

Duncan od wielu miesięcy był przykuty do łóżka z powodu zainfekowanej rany na nodze, która nie chciała się wyleczyć. Niegdyś mocno zbudowany i pełen energii, teraz był cieniem samego siebie. Stracił na wadze, jego mięśnie zanikły. Pauline, znając jego poczucie dumy, wiedziała, że na pewno zechce przygotować się, by wyglądać jak najlepiej na przybycie gościa przeciwnej płci. Halt ponuro skinął głową.

– Dobry pomysł – przyznał. – Pozdrowię go od ciebie.

Choć był przygotowany na to, co go czeka, i tak doznał szoku, znalazłszy się za progiem królewskiej komnaty. Od jego ostatniej wizyty upłynęło kilka miesięcy. Z wielkim smutkiem musiał stwierdzić, że stan króla bardzo się pogorszył. Jego policzki zapadły się i przybrały odcień wosku, oczy błyszczały niezdrowo, gorączkowo. Zmarniał jeszcze bardziej, skóra dosłownie na nim wisiała. Chora noga leżała bezwładnie na posłaniu, przykryta stosem koców.

Przez kilka minut rozmawiali na różne błahe tematy. Halt widział, że Duncan – chociaż uradowany z powodu wizyty jednego z najwierniejszych przyjaciół i oddanego stronnika – czuje się bardzo osłabiony i rozmowa wyraźnie go męczy. Halt postanowił więc się pożegnać, lecz Duncan przywołał go bliżej. Zamknął szponiastą dłoń dokoła jego nadgarstka i pochylił się do przodu.

– Halt, miej oko na Cassandrę. Nie jest jej łatwo. Musi sama rządzić królestwem, podczas gdy ja wyleguję się w łóżku.

Halt zaśmiał się z przymusem.

– Oczywiście, mój panie, ale jestem pewien, że już niedługo wstaniesz i wrócisz do swych zwykłych obowiązków.

Jeszcze zanim skończył, Duncan potrząsnął głową.

– Nie oszukujmy się. Niewiele czasu mi zostało. A kiedy odejdę, Cassandra będzie bardzo potrzebowała oddanych przyjaciół. –

Urwał. Oddychał z trudem, na chwilę przymknął oczy. Potem znów je otworzył. – Na szczęście jest Horace. Lepszego męża nie mogła sobie wybrać.

Stary zwiadowca uśmiechnął się czule na wspomnienie szlachetnego rycerza, bezgranicznie oddanego księżniczce.

– A ty lepiej nie mogłeś tego ująć – odparł. Jakie to ironiczne, pomyślał. Horace był sierotą, pochodził z rodziny skromnych wieśniaków. A niedługo miał zostać najpotężniejszym i najbardziej wpływowym człowiekiem w całym królestwie, zasiąść po prawicy Cassandry, kiedy ta obejmie władzę.

– Będzie go potrzebowała – dodał król. – Niełatwo kobiecie sprawować władzę. Na pewno znajdzie się wielu takich, którzy będą próbowali wystawić ją na próbę. Będzie potrzebowała waszej pomocy. Horace’a. Twojej. I Willa.

Halt kiwnął głową.

– Ma ją zapewnioną – odparł. Potem uśmiechnął się mimo woli. – Ale może nie doceniasz swojej córki, panie. Ta kobieta wie, czego chce, i wie, jak to osiągnąć.

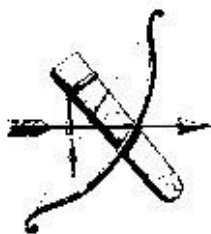
Znużony uśmiech przebiegł po twarzy Duncana.

– A z tego, co słyszałem z kolei na temat mojej wnuczki, niedaleko pada jabłko od jabłoni – powiedział. Potem rozluźnił dłoń zaciśniętą wokół nadgarstka Halta i jakby kosztowało go to zbyt wiele wysiłku, opadł na poduszki i machnął nią słabo.

Halt cicho podszedł do drzwi, zamyślony. Położył rękę na klamce, ale jeszcze odwrócił się i spojrzał na władcę, któremu służył przez tyle lat. Duncan już spał, jego pierś wznosiła się i opadała w nierównym rytmie.

Halt wyszedł, pogrążony w smutku.

– Nikt z nas nie będzie młodszy – powiedział głośno, nie wiadomo do kogo. Potem uśmiechnął się. Abelard na pewno udzieliłby mu ciętej riposty.





Ledwo Halt wrócił do pokoi gościnnych, gdy Kane zapukał do drzwi.

– Dowódca jest już wolny – powiedział. – Pyta, czy zechcecie zobaczyć się z nim w gabinecie.

Halt i Pauline ruszyli za młodym zwiadowcą, który powiódł ich kilka pięter niżej, do części, przeznaczonej na pomieszczenia administracyjne. Wyższe piętra zajmowała wyłącznie część mieszkalna.

Gabinet Gilana był jasny i przewiewny, przez otwarte okiennice wpadało świeże powietrze. Pauline wiedziała, że zwiadowcy nie znoszą ciasnych zamkniętych pomieszczeń. Chociaż czasami ich upodobania w tej dziedzinie bywały ekstremalne. Owszem, świeże powietrze to bardzo przyjemna rzecz. Ale świeże i zimne powietrze – to coś zupełnie innego. Na szczęście Pauline, świadoma tej cechy zwiadowców, przezornie zarzuciła na ramiona ciepły szal.

Gilan radośnie powitał gości, uściskał ich i nawet nie protestował, kiedy Pauline cmoknęła go w policzek. Przyjrzała mu się z czułością. Traktowała byłych uczniów Hal-ta trochę jak przybranych synów. Zauważyła, że na jego zwykle wesołej twarzy rysuje się kilka nowych linii, których nie było, kiedy widziała go poprzednim razem. Ciężar odpowiedzialności, pomyślała.

W przeciwieństwie do Halta i Willa, Gilan gładko golił twarz. Nadawało mu to młodzieńczy wygląd, nieco sprzeczny z zajmowaną pozycją.

– Gilanie – powiedziała Pauline – świetnie wyglądasz. – I rzeczywiście tak było, nie licząc nowych zmarszczek.

Uśmiechnął się.

– A ty piękniejesz z każdym dniem – odparł.

– A ja? A ja? – zapytał Halt z udawaną powagą. – Czy ja z każdym dniem wyglądam coraz przystojniej? Lub przynajmniej coraz bardziej imponująco?

Gilan zmierzył go krytycznym spojrzeniem, przechylając głowę na bok. Po chwili wydał werdykt.

– Coraz bardziej niechlujnie.

Halt uniósł brwi.

– Niechlujnie? – powtórzył.

Gilan przytaknął.

– Nie wiem, czy jesteś na bieżąco z ostatnimi osiągnięciami techniki – powiedział – ale istnieje pewien wspaniały wynalazek o nazwie „nożyczki”. Ludzie używają tego narzędzia do przycinania włosów i zarostu.

– Po co?

Gilan zwrócił się do Pauline:

– Nadal obcina brodę saksą?

Pauline kiwnęła głową. Wsunęła rękę pod ramię męża i dodała:

– Chyba że go akurat przyłapię.

Halt próbował spiorunować ich wzrokiem. Ale nie dali się spiorunować, więc szybko zrezygnował.

– Wykazujesz się wielkim brakiem szacunku wobec swego byłego mistrza – powiedział do Gilana.

Ten wzruszył ramionami.

– Chyba ma to związek z faktem, że jestem teraz twoim dowódcą.

– Na pewno nie moim – odparł Halt. – Ja jestem w stanie spoczynku.

– I pewnie nie mogę spodziewać się z twojej strony nawet odrobiny szacunku? – powiedział Gilan z szerokim uśmiechem.

– Nie. Możesz liczyć na mój szacunek... w dniu, kiedy nauczysz swojego konia latać do tyłu dookoła zamkowych wieżyczek.

Pauline wiedziała, że takie czułe docinki mogą trwać w nieskończoność, postanowiła więc położyć im kres.

– Z jakiego powodu chciałeś się z nami widzieć, Gila-nie? Czyżbyś zamierzał ukraść mi męża? – zapytała.

Gilan właśnie obmyślał kolejną dowcipną uwagę pod adresem swego byłego mistrza i pytanie wytrąciło go z równowagi.

– Co? A... Nie. Skądże. Chciałem z wami porozmawiać. Z wami obojgiem.

Pauline wskazała na niski stolik i cztery wygodne krzesła, stojące przy kominku.

– To może usiądziemy?

Ale Gilan odparł:

– Nie tutaj. W tej rozmowie mają wziąć udział również Cassandra i Horace. Oczekują nas w królewskim apartamencie.

Jako dowódca korpusu Gilan mógł wezwać do siebie Halta i Pauline, lecz nie regentkę i jej małżonka, bez względu na łączącą go z nimi przyjaźń. Podeszedł do drzwi, przepuścił gości, po czym poprowadził ich w stronę schodów.

– W górę... w dół... znowu w górę. Nie mógłbyś zlitować się nad moimi starymi kośćmi? – skarżył się Halt.

Gilan rześkim krokiem maszerował w stronę kręconych schodów, prowadzących na wyższe piętra.

– Nie mógłbym – rzucił radośnie przez ramię.

Horace i Cassandra czekali w komnacie, pełniące funkcje pokoju dziennego. Gilan zapukał do drzwi. Usłyszawszy głos Cassandry, otworzył je i wpuścił swych towarzyszy do środka.

Cassandra zerwała się z miejsca i podbiegła do gości, by ich wyściskać.

– Jak dobrze was widzieć! – wykrzyknęła. I było to całkowicie szczerze. Odpowiedzialność, związana z rządzeniem królestwem, stanowiła ogromny ciężar, a Halt i Pauline byli dla niej kimś więcej niż przyjaciółmi. Miała w nich prawdziwe oparcie. Szczególnie Halt przez lata służył jej jako doradca i obrońca w wielu trudnych sytuacjach i w wielu miejscach na ziemi, od Skandii po góry Nihon-Ja.

Horace odczekał, aż jego żona skończy witać się z gośćmi i sam uściskał ich serdecznie. Halt zmierzył go baczny spojrzeniem.

– Jak się żyje na Zamku Araluen? – zapytał. Szczera twarz Horace'a wyglądała cokolwiek smętnie.

– Dobrze. Ale tęsknię za dawnymi czasami.

– Masz na myśli czasy, kiedy włączyłeś się z tym tu awanturnikiem po najdalszych zakątkach świata, unikając odpowiedzialności i uczciwej pracy? – wtrąciła jego żona.

– Dokładnie tak – odparł Horace z takim przejęciem, że wszyscy zaczęli się śmiać.

Halt skierował spojrzenie na księżniczkę.

– Przypominam sobie, że ty też lubiłaś się powłóczyć.

Machnęła niedbale ręką.

– Zostawmy ten temat.

Rozległo się lekkie pukanie do drzwi, prowadzących do komnat Madelyn.

– Wejdz – zawołała Cassandra. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich młoda księżniczka.

– Halt. Lady Pauline. Jak wspaniale was widzieć.

Madelyn zawahała się, ale potem prędko przeszła przez pokój i uścisnęła gości. Kiedy witała się z Pauline, Halt zerknął na rodziców dziewczyny. Wyczuwał jakieś napięcie w powietrzu. Cassandra, która nigdy nie potrafiła ukrywać przed nim uczuć, lekko zmarszczyła czoło, a Horace miał nieswoją minę. Madelyn cofnęła się i skinęła głową Gilanowi.

Horace odchrząknął niepewnie i powiedział:

– Świetnie, Madelyn. Przywitałaś się. A teraz wracaj do siebie. – Wskazał na drzwi, prowadzące do jej pokoi. Maddie uśmiechnęła się do gości, po czym posłusznie skierowała się w stronę drzwi.

– Później porozmawiamy – zawołał za nią Halt. Dobrze dogadywał się z Maddie i często służył jej za powiernika. Rzuciła mu smutny uśmiech.

– Oczywiście – powiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Halt spojrział ze zdumieniem na przyjaciół.

– Kłopoty w raju? – spytał łagodnie.

Cassandra z irytacją wzruszyła ramionami.

– Doprowadza nas do szału! – odparła. – Jest uparta, nieodpowiedzialna, i taka denerwująca. A kiedy próbujesz z nią porozmawiać, tylko fuka, wzdycha, a na dodatek wywraca oczami, aż masz ochotę ją udusić!

Halt z namysłem pogładził brodę.

– Brzmi poważnie – stwierdził. – Fuka, wzdycha, a na dodatek wywraca oczami, powiadasz? Nigdy nie słyszałem, żeby jakaś nastoletnia dziewczyna zachowywała się w ten sposób.

– Możesz sobie żartować – wtrącił Horace. – Nie ty musisz to znosić. Cassandra zamartwia się na śmierć. Maddie wymyka się do lasu w środku nocy, sama. Na dwa tygodnie ma zakaz opuszczania swojego pokoju. Może kara ją czegoś nauczyć.

Wyraz twarzy Halta świadczył o tym, że raczej w to wątpi. W przypadku podobnie upartej osoby jak Maddie kara tego rodzaju może odnieść jedynie odwrotny skutek.

Horace zauważył sceptyczną minę przyjaciela i czuł, że powinien wyjaśnić mu powagę sytuacji.

– Naraża się na ryzyko, uważa, że potrafi sama o siebie zadbać. W lesie może być naprawdę niebezpiecznie!

– Ale w gruncie rzeczy jest rozsądną dziewczyną, prawda? – zapytał Halt. – Sądzę, że faktycznie potrafi o siebie zadbać. I dobrze radzi sobie z saksą. W końcu to ja ją uczyłem. Słyszałem też, że nieźle strzela z procy.

– A kto ci o tym powiedział? – spytała ostro Cassandra. Halt rozłożył ręce obronnym gestem.

– Może twój ojciec coś wspomniał. Rozmawiałem z nim godzinę temu.

– Ojciec stanowczo za dużo gada – stwierdziła Cassandra, robiąc ponurą minę.

Halt uśmiechnął się wyrozumiale. Nauczył się, że rodzice zwykle są najsurowszymi krytykami swoich dzieci. Dziadkowie i wujowie – a uważał samego siebie za honorowego wuja Maddie – częściej widzą pełniejszy obraz i traktują ulgowo różne dziecięce wybryki, mając świadomość, że w gruncie rzeczy ich wnukowi czy bratankowi nie brakuje zdrowego rozsądku.

Pauline również zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała jednak, że nic tak nie irytuje rodziców, jak ktoś obcy, który twierdzi, że ich krnąbrny potomek nie jest wcale taki zły, jak im się wydaje.

– Halt, może to nie nasza sprawa... – zaczęła.

– Nie, nie, w porządku – przerwała jej Cassandra.

– A co ona robi w tym lesie? – spytał Halt.

– Tropi zwierzyne. I poluje.

– Dobra jest?

Cassandra niepewnie wzruszyła ramionami. Horace, niewiele myśląc, odpowiedział:

– Wygląda na to, że tak. Nigdy nie wraca z pustymi rękami. Ale zawsze oddaje zdobycz strażnikom.

Cassandra spojrzała na męża.

– Skąd wiesz? – zapytała.

Horace zrobił niepewną minę, spuścił wzrok.

– Ja... eee... Chyba słyszałem, jak między sobą rozmawiali.

– I nie zamierzałeś podzielić się ze mną tą informacją?

– Uznałem, że nie ma to sensu. Wiedziałem, że tylko się rozzłościysz.

– I miałaś rację! Gdybyś mógł...

Pauline mocno klasnęła w ręce. Fakt, że śmiała przywołać regentkę do porządku w tak stanowczy sposób, było dowodem siły jej charakteru i wielkiej pewności siebie. A to, że Cassandra akceptowała tak obcesowe zachowanie, świadczyło z kolei o wielkim poważaniu, którym darzyła kurierkę.

– Horace! Cassandra! Dostyc tego! – Oboje spojrzeli na Pauline, która podjęła już łagodniejszym tonem: – Nie jesteście pierwszymi rodzicami na świecie, których doprowadza do szału nastoletnia córka. I nie ostatnimi. Wiem, że to trudne. Ale nie wyolbrzymiajcie sytuacji niepotrzebnie. Zachowajcie odpowiednią perspektywę. Musicie stworzyć zwarty front, a nie kłócić się między sobą.

Horace i Cassandra potulnie wbili wzrok w czubki swoich butów. Halt znów uśmiechnął się do siebie. Wyglądali jak dwójka psotnych dzieciaków, które właśnie dostały burę od surowego rodzica.

– Poza tym – powiedział – coś mi się wydaje że ona nie jest pierwszą na świecie księżniczką, która lubi wymykać się nocą do lasu w poszukiwaniu przygód.

Cassandra skrzywiła się i odparła:

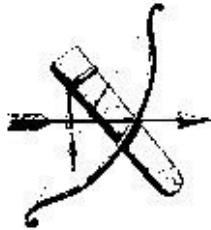
– Och, nie zaczynaj.

– Maddie to w gruncie rzeczy dobre dziecko – podjął Halt. – Jest bystra, odważna i zaradna. Bo tak ją wychowaliście.

– Cóż – powiedział Gilan, nieco niecierpliwie – skoro przedyskutowaliście już ten temat, to może porozmawiamy o sprawie, z której powodu zwołałem to zebranie.

Wszyscy spojrzeli na niego, zastanawiając się, co teraz powie. Długo nie musieli czekać.

– Chodzi o Willa. Martwię się o niego.





Od śmierci Alyss minęło półtora roku – powiedział Gilan. – Czy ktoś z was widział przez ten czas, jak Will się śmieje? Albo przynajmniej uśmiecha?

Pozostali ze smutkiem potrząsnęli głowami. Popatrzyli na siebie nieswojo. Pauline przyznała:

– To okropne. Był taki wesoły, szczęśliwy. Zawsze uśmiechnięty, zawsze sypiący żarcikami. A teraz jakby ktoś wyłączył światło, które kiedyś paliło się w jego wnętrzu.

– Oczywiście, nie możemy oczekiwać, że w ciągu kilku miesięcy upora się z taką stratą – wtrącił Halt. – Alyss była mu najbliższą osobą na świecie, jej śmierć to dla niego wielki cios.



Alyss poniosła śmierć w wyniku splotu tragicznych okoliczności. Wraz z niewielką eskortą wracała z dworu króla Celtii, gdzie asystowała przy odnowieniu traktatu o wzajemnej obronie pomiędzy Celtią i Araluenem. Była to rutynowa misja i rutynowa podróż. Ale w drodze powrotnej przejeżdżała przez Anselm, jedno z południowych lenn, gdzie ostatnio panował niepokój.

Od kilku miesięcy banda przestępców pod przewodnictwem byłego najemnika o nazwisku Jory Ruhl napadała na wioski w Anselm i sąsiednich lennach. Porywali dzieci i żądali za nie okupu. A ponieważ wieśniacy przeważnie nie należeli do majątnych osób, często na okup składała się cała wioska.

Lokalny szeryf dowiedział się, że Ruhl i jego banda mają spotkać się w Zajeździe Pod Skrzydlatym Smokiem. Tak się złożyło, że właśnie tam zatrzymała się na noc Alyss. Szeryf zebrał grupę chętnych i razem wyruszyli w kierunku zajazdu.

Niestety, akcja nie powiodła się. Ktoś ostrzegł Ruhla i kiedy grupa szeryfa przybyła na miejsce, przestępcy zaczęli uciekać. Wywiązała się bójka, jeden z ludzi szeryfa został zabity. Ruhl i jego kamraci dla odwrócenia uwagi podpalili zajazd. Sucha strzecha prędko zajęła się ogniem, dym wypełnił dziedziniec. Goście zaczęli uciekać. W zamieszaniu, w masie krzyczących ludzi i kłębiącego się dymu, szeryf nie potrafił już rozpoznać, kto jest kim. Ruhl i jego czterej kompani zdołali uciec do lasu.

Alyss i jej trzech zbrojni towarzysze również wydostali się z płonącego budynku. Ale znalazłszy się na dziedzińcu, kurierka spojrzała w górę i w jednym z okien na piętrze zobaczyła jakąś twarz.

Twarz należała do pięcioletniej dziewczynki, desperacko usiłującej otworzyć okno, które najwidoczniej się zacięło. Coraz gęstszy dym wypełniał pokój, dziewczynka, ogarnięta paniką, zaczęła kaszleć, z jej oczu popłynęły łzy. Oślepiąca dymem, zdezorientowana, cofnęła się i zniknęła w głębi pokoju.

Alyss bez wahania pobiegła z powrotem do płonącej gospody, ignorując krzyki swoich towarzyszy. Wspięła się po schodach, które już stały w płomieniach, i skierowała do frontowej części budynku, mocno zaciskając powieki i przedramieniem osłaniając twarz przed żarem. Posuwała się naprzód instynktownie, drugą ręką wodząc wzdłuż ściany.

Wymacała klamkę, otworzyła drzwi i wbiegła do pokoju. Opadła na czworaka, bo tuż przy podłodze zostało jeszcze nieco powietrza, i poczołgała się w stronę okna, rysującego się zamazanym prostokątem światła na tle czarnych kłębow dymu.

Zobaczyła skuloną postać, leżącą na podłodze pod oknem. Podczołgała się do niej prędko, odwróciła na plecy i z ulgą stwierdziła, że pierś dziewczynki nadal unosi się i opada. Oddychała, desperacko walcząc o łyk świeżego powietrza. Alyss wstała, wyciągnęła sztylet i wsunęła ostrze między framugi okna, po czym szarpnęła z całej siły. Okno z trzaskiem wyleciało z ram i uderzyło o zewnętrzną ścianę. Alyss pochyliła się, wzięła dziewczynkę na ręce i ułożyła ją na parapecie. Jej towarzysze stali na dole, przyglądając się temu wszystkiemu z przerażeniem. Ogień szybko się rozprzestrzenił, jedynie część budynku, w której znajdowała się Alyss, pozostała jak na razie nietknięta.

– Łapcie ją! – krzyknęła Alyss i popchnęła nieprzytomną dziewczynkę, która stoczyła się po stromym dachu. Mężczyźni rzucili się w jej stronę. Pod ciężarem bezwładnego ciała jeden z nich upadł na ziemię, dwa pozostali zachwiali się, ale zdołali ją chwycić i zamortyzować upadek. Potem spojrzeli w okno. Alyss właśnie próbowała zejść na dół.

I w tym właśnie momencie strzecha wokół niej stanęła w płomieniach, odcinając jej drogę ucieczki. Belki i krokwie pod spodem paliły się już od dłuższego czasu i teraz ogień buchnął z wielką mocą. Alyss nigdzie nie było widać. I nagle cały fragment dachu zapadł się z ogłuszającym hukiem, iskry i płomień poszły w górę. Ułamek sekundy i z dachu została wielka dymiąca dziura. Potem

ogień przeżarł kolejne belki i cała przednia ściana zajazdu zawałiła się.

Alyss nie miała szans.



Wiem – powiedział Gilan, przerywając ciszę, która zapadła po słowach Halt. – Nie tak łatwo otrząsnąć się po czymś takim.

Wszyscy wrócili myślami do tego straszego dnia, kiedy dowiedzieli się o śmierci Alyss, widząc wydarzenia wyraźnie w pamięci, tak jak opisali je potem zrozpaczeni towarzysze kurierki.

– To cała Alyss – powiedziała cicho Cassandra. – Poświęcić własne życie dla innej osoby. Żołnierze mówili, że nie wahała się nawet przez chwilę, bez namysłu wbiegła do płonącego budynku na ratunek dziewczynce.

– Może Willowi byłoby łatwiej, gdyby odbył się pogrzeb – zauważyła Pauline. Pożar był tak gwałtowny, że ciała Alyss nie odnaleziono. – Pogrzeby są strasznie smutne, ale przynajmniej pozwalają tym, którzy pozostali, zamknąć rozdział. Mam poczucie, że tutaj została jakaś dziura, pustka, która nie została wypełniona, więc Willowi musi być jeszcze trudniej.

Gilan odczekał kilka sekund i przemówił:

– Rozumiem jego smutek i poczucie straty. Ale w końcu jakoś będzie musiał się z tym uporać. I jestem pewien, że mu się to uda. Chodzi mi jednak o coś innego.

Pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem. Halt domyślał się, do czego zmierza Gilan.

– Jory Ruhl i jego banda – powiedział cicho.

Gilan przytaknął.

– Will czuje się bardzo rozgoryczony, że zdołali uciec. Uparł się, że musi ich schwytać. Szuka osobistej zemsty, najciemniejsze zakamarki jego umysłu karmią się tą obsesją. O niczym innym nie potrafi już myśleć.

Cassandra wydała krótki pełen smutku okrzyk i przycisnęła rękę do szyi. Na myśl o tym, że takie mroczne namiętności zawładnęły Willem, długoletnim przyjacielem, niemal bratem, lzy napłynęły jej do oczu. Pamiętała, jak dawno temu na wyspie Skorghijl otoczył ją opieką, jak wspierał ją i podtrzymywał na duchu w ten zły czas. Jak w Arydii w ostatniej chwili przybył im na ratunek – tak jak przewidział to Halt.

Myśląc o Willu, zawsze miała przed oczami jego potarganą brązową czuprynę i radosny uśmiech. Zawsze emanował energią. Był pełen entuzjazmu, ciekawski, zawsze otwarty na nowe interesujące doświadczenia. Właśnie z powodu tej cechy mieszkańcy Nihon-Ja nazywali go *chocho*, motyl. Zdawał się radośnie skakać od jednego pomysłu do następnego, od jednego wydarzenia do kolejnego.

Cassandra widziała go kilka razy od śmierci Alyss, choć wyraźnie starał się unikać przyjaciół. Miał ponurą twarz i siwiejącą brodę. Ani śladu dawnego Willa. Pauline miała rację. Jakby ktoś zgasił światło, które zawsze płonęło w jego wnętrzu.

– Potrzeba mu czegoś, co odwróci jego uwagę od myśli o zemście – powiedział Halt. – Nie mógłbyś wysłać go z misją, dać mu jakieś zajęcie?

– Próbowałem – odparł Gilan, marszcząc brwi. Po chwili dodał: – Dwa razy odmówił.

Te słowa wstrząsnęły Haltem.

– Odmówił? Nie ma prawa tego robić!

Gilan bezradnie rozłożył ręce.

– Wiem. I on też wie. Jeżeli to się powtórzy, będę musiał wyrzucić go z Korpusu.

– To by go zabiło – stwierdził Horace.

Gilan spojrział na niego i odparł:

– Will jest tego świadom, ale o to nie dba. Co znaczy, że nie mogę mu już niczego zaproponować. Odmówi, a ja będę musiał wyciągnąć konsekwencje. A jednocześnie nie stać mnie na to, żeby mój najlepszy zwiadowca siedział beczynn timer, obmyślając, jak tu dopaść Jory-'ego Ruhla i jego bandę. Ale pomijając wszystko inne,

Will jest moim przyjacielem i nie mogę patrzeć, jak się pograża.

– Myślałem, że złapał już niektórych z tych ludzi? – powiedział Horace.

– Trzech z pięciu. Jednego dwa tygodnie temu. Nazywał się Henry Wozak. Kiedy Will powiedział, o co chodzi, tamten próbował uciec.

– I co się stało? – zapytał Halt, choć obawiał się tego, co może usłyszeć. Nie jest łatwo uciec komuś tak sprawnemu i niebezpiecznemu jak jego były uczeń. Nie chciał dowiedzieć się, że Will ma krew na rękach.

Gilan chyba domyślił się jego obaw, bo potrząsnął stanowczo głową.

– Wozak nie żyje – powiedział – ale to nie była sprawka Willa. Ten człowiek próbował go zaatakować i upadł na własny nóż.

Halt odetchnął z ulgą.

– A dwaj pozostali? – zapytał.

– Złapał ich i doprowadził przed sąd. Jak wyznał, miał nadzieję, że będą próbowali uciec. Przypuszczam, że kilka razy nawet stworzył im ku temu okazję. Ale nie byli aż tacy głupi.

Zapadło milczenie. Wszyscy myśleli o starym przyjacielem.

– A co z Ruhlem? – spytał Horace.

– Już raz Will prawie go dopadł – odparł Gilan.

Halt prędko podniósł wzrok.

– Nie wiedziałem.

Gilan kiwnął głową.

– To było krótko po tym, jak zaczął swoją pogoń za bandą. Dzielili ich dosłownie pięć metrów. Ruhl przeprowadzał się promem przez rzekę. Will spóźnił się o kilka sekund, prom akurat zdążył odbić od brzegu. Przez chwilę patrzyli na siebie. Kiedy Will sięgnął

po łuk, Ruhl schował się za stosem bel wełny, które przewożono promem. Will próbował go dopaść, wspinając się po linie, na której umocowany był prom. Ale Ruhl, dotarłszy do przeciwnego brzegu, przeciął linę i Will spadł do rzeki. O mało nie utonął.

– Był tak blisko – mruknął Halt. – Wyobrażam sobie, że to czyni całą sytuację jeszcze bardziej nieznośną.

Gilan zgodnie kiwnął głową.

– A więc, Giliane – zapytała Pauline, zawsze szukająca konkretnych rozwiązań – co według ciebie mamy zrobić, prócz gadania i załamywania rąk?

Gilan zawahał się. Wiedział, że wkracza na niepewny grunt, ale instynkt podpowiadał mu, że tylko ludzie znajdujący się w tym pomieszczeniu mogą pomóc ocalić Willa – ci, którzy są mu najbliżsi.

– Posłuchacie – zaczął powoli – Will kocha nas najmocniej ze wszystkich na świecie. A my kochamy jego. Gdybyśmy tak wspólnie przemówili mu do rozumu. Gdybyśmy tak powiedzieli mu, że się o niego martwimy, że widzimy, jak niszczy go ta obsesja zemsty, może wtedy coś by do niego dotarło. Może... Sam nie wiem... Może wtedy jakoś by się opamiętał? – zakończył pytająco chaotyczne zdanie, jakby oczekiwał, że ktoś z pozostałych dostarczy mu odpowiedzi. Tak naprawdę wcale nie był przekonany, czy zdołają cokolwiek osiągnąć. Czuł jednak, że ci ludzie mają klucz do rozwiązania problemu. Może siła ich miłości do Willa potrafiłaby przedrzeć się przez ciemną mgłę, w której pogrążył się jego umysł, może potrafiłaby zerwać czarną kurtynę, dzielącą go od wszystkiego za wyjątkiem tej jednej rzeczy: myśli o zemście.

– Nie sądzę, by jakiegokolwiek słowa mogły tu pomóc... – zaczął Horace z namysłem.

Cassandra przerwała mu:

– Ale może, jeśli porozmawiamy z nim wszyscy razem, jakoś do niego dotrzemy?

Horace zacisnął wargi.

– Nie wiem. Znasz Willa. Jest uparty. Zawsze taki był. – Spojrzał na Halta, szukając potwierdzenia tej opinii. Stary zwiadowca przytaknął.

– Najprawdopodobniej – podjął Horace – pokiwa głową i będzie udawał, że się z nami zgadza. A potem, jak już skończymy gadać, dalej będzie robił swoje.

Urwał i z namysłem zmarszczył czoło. Czuł, że jest blisko jakiegoś rozwiązania, lecz na razie nie potrafił go uchwycić.

– Musimy przekierować jego uwagę. To musi być coś, co sprawi, że przestanie obsesyjnie myśleć o Jorym Ruh-lu i jego kompanie. Coś, co wypełni jego umysł tak ściśle, że już nie zostanie miejsca na marzenia o zemście.

Gilan bezradnie rozłożył ręce.

– Cóż, jak już wspominałem, dwa razy proponowałem mu wyprawę, a on...

– To musi być coś bardziej angażującego, bardziej osobistego – stwierdziła Pauline.

Dokładnie ujęła w słowa to, o czym myślał Horace. Podobnie jak on, czuła, że rozwiązanie znajduje się tuż obok. To Halt pierwszy je uchwycił.

– Potrzebuje ucznia – stwierdził.

Wszyscy zwrócili na niego spojrzenia. Teraz, kiedy powiedział to głośno, pomysł wydawał się taki oczywisty. Horace i Pauline kiwnęły głowami. Tak, właśnie do tego przez cały czas zmierzali.

Twarz Gilana zajaśniała nadzieją, ale już po chwili potrząsnął głową z rezygnacją.

– Jest jednak pewien problem – powiedział. – Nie mamy odpowiednich kandydatów. A nie możemy zaproponować kogoś, kto nie spełnia standardów. Po prostu nie zgodzi się, i słusznie. Nie moglibyśmy mieć mu tego za złe.

– Nie myślałem o jakimś tam uczniu – odparł Halt. – To musi być ktoś, z kim Will już jest związany. Ktoś dla niego ważny, tak, by nie mógł odmówić. Ktoś, kto zaangażuje go emocjonalnie, a także fizycznie i intelektualnie. – Spojrzał na żonę. – Pamiętasz, jak wiele lat temu posłałem Willa z Gilanem do Celtii i zacząłem zachowywać się trochę... nieobliczalnie?

– Tak, o ile pamiętam, wyrzuciłeś kilka wysoko urodzonych osób przez okno – odparła, z trudem kryjąc uśmiech. Halt machnął ręką na znak, że nie ma ochoty wchodzić w szczegóły.

– Nieważne. Czułaś, że potrzebuję czegoś, co odwróci moje myśli od trapiących mnie problemów.

– Przypominam sobie, że wysłano cię na wyprawę jako opiekuna Alyss – powiedziała.

– I podziałało. Jej młodość i radosne usposobienie wyrwały mnie z ponurego nastroju.

Lady Pauline uniosła brew.

– Ale nadal wrzucałeś ludzi do fosy.

– Możliwe. Akurat on zasłużył – odparł Halt i uśmiechnął się krzywo. Potem spoważniał i podjął: – Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że jeśli damy mu pod opiekę kogoś bliskiego, może przestanie obsesyjnie myśleć o zemście.

I może dzięki temu z czasem pogodzi się ze śmiercią Alyss.

– To niemożliwe całkiem pogodzić ze stratą ukochanej osoby – zauważyła Cassandra.

Halt kiwnął głową.

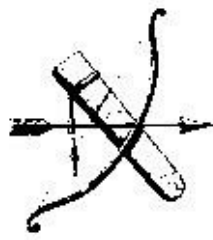
– Nie. Ale można nauczyć się z tym żyć, przyjąć to do wiadomości. Z czasem ból staje się znośniejszy. Nie mija, lecz robi się znośny.

Gilan bacznie przyglądał się swemu mistrzowi. Znał Halta, zapewne lepiej niż pozostałe osoby zgromadzone w tym pokoju.

– Przypuszczam, że masz na myśli kogoś konkretnego? – zapytał.

Halt spojrzał na Gilana.

– Myślałem o Madelyn.





Nagle wszyscy zaczęli mówić jednocześnie.

– Madelyn? Masz na myśli moją Madelyn!? – wykrzyknęła Cassandra, zrywając się z krzesła.

– Chyba żartujesz! – oznajmił Horace.

– To przecież dziewczyna – dodał Gilan.

Halt odczekał, aż ucichną, po czym odpowiedział spokojnie:

– Tak, Cassandro. Mam na myśli twoją Madelyn. I nie, Horace, nie żartuję. Tak, Gilanie, jestem świadom tego, że Madelyn to dziewczyna.

Zauważył, że jego żona jako jedyna spośród zgromadzonych nic nie powiedziała. Zerknął na nią. Wcałe się nie dziwił, kiedy z namysłem kiwnęła głową. Uśmiechnął się. Pozostali nadal znajdowali się w stanie szoku. Cassandra, uświadomiwszy sobie, że Halt mówi poważnie, opadła z powrotem na krzesło. Zwrócił się do niej:

– Evanlyn. – Podobnie jak Will, zwykle używał tego właśnie imienia w rozmowach prywatnych. To był znak łączącej ich przyjaźni. – Pomyśl o jednej rzeczy. Gdybyś miała syna, to czym zajmowałby się on w tym momencie?

– Ale ja nie mam syna... – zaczęła, lecz Halt uniósł ręce, by uciszyć jej protesty.

– Po prostu odpowiedz. Załóżmy, że masz syna. W jaki sposób przygotowałabyś go do pełnienia w przyszłości funkcji władcy Araluenu?

Cassandra zagryzła wargi. Domyślała się, do czego zmierza Halt i nie zamierzała ułatwiać mu zadania.

Horace odpowiedział zamiast niej:

– Byłby teraz w armii.

Cassandra odwróciła się gwałtownie i zgromiła go spojrzeniem.

– Horace! – wykrzyknęła oskarżycielskim tonem, ale Horace, szczerzy i praktyczny, tylko wzruszył ramionami. Nie dało się uniknąć tej odpowiedzi.

Halt lekko skinął głową, nie odrywając wzroku od Cassandry. Zarumieniła się. Widział, że żałowała nagłego wybuchu.

– Zgadza się – powiedział. – Prawdopodobnie służyłby w kawalerii. A ty, Horace, pewnie już od kilku lat ćwiczyłyś go w walce na miecze i kopie, prawda?

Horace przytaknął, nie bez żalu. Kiedy Cassandra była w ciąży, snuł wizje, jak to będzie trenował swego syna w różnych technikach walki, uczył jazdy konnej. Narodziny córki mocno go zaskoczyły i trochę wytrąciły z równowagi. Po prostu nigdy nie brał pod uwagę takiej możliwości. Należy dodać, że szok prędko ustąpił miejsca wielkiej radości, ale teraz Horace przypomniał sobie swoje dawne marzenia.

Halt podjął:

– Zapewne jako młodszy oficer stałby na czele oddziału i uczył się, jak prowadzić ludzi do walki, jak podejmować ważne decyzje. I przypuszczam, że nie trzymalibyście go pod kloszem, nie bronili udziału w walce. Wiedzielibyście, że musi sprawdzić się jako przywódca, który dzieli trudy i niebezpieczeństwa ze swymi ludźmi. Może zostałby wysłany na północ, by bronić granic przed najazdami Scottów. A może na południowo-zachodnie wybrzeże, gdzie walczyłby z przemytnikami i Księżycociemnymi.

Urwał i spojrzał na rodziców Madelyn. Horace miał zrezygnowaną minę, najwyraźniej nie zamierzał dyskutować z argumentami Halta. Wargi Cassandry tworzyły cienką upartą kreskę.

– Wasz syn na pewno nie siedziałby teraz w wygodnym zamku, otoczony setką uzbrojonych strażników, nie wiedząc, co to znaczy stawiać czoło niebezpieczeństwu, mierzyć się z wrogiem i zwyciężać.

Gilan otworzył usta i już chciał coś powiedzieć, ale Halt powstrzymał go, unosząc rękę. Wiedział, jakie Gilan ma obiekcje, ale na razie nie zamierzał dopuścić go do głosu.

– Tak więc dlaczego postępujecie inaczej w przypadku córki? – zapytał Halt. Cassandra spojrzała mu prosto w oczy.

– Ponieważ to moja córka! – warknęła. – Ma wstąpić do armii? Stać na czele oddziału kawalerii?

– Nie – odparł Halt rozsądnie. – Ale uważam, że szkolenie, które przechodzą zwiadowcy, to doskonała alternatywa. Maddie

nauczy się przewodzić, podejmować decyzje, oceniać trudne sytuacje i odnajdywać odpowiednie rozwiązania. A jeśli chodzi o czysto fizyczny aspekt udziału w walce, cóż, my, zwiadowcy raczej zawsze trzymamy się z boku i zostawiamy brudną robotę takim osiłkom jak Horace. Bez obrazy – dorzucił z lekkim uśmiechem.

Horace wzruszył ramionami.

– Przypominam sobie, że nieraz brałeś udział w bitwie.

Halt przytaknął.

– Owszem. Ale zwiadowcy nie muszą tego robić. U mnie było to tylko wyrazem próżności.

– Ale jeśli nawet, przyznajesz, że to może być niebezpieczne? – spytała Cassandra.

Halt spojrzął na nią.

– Ależ oczywiście. Żyjemy w świecie pełnym niebezpieczeństw. Kiedy Madelyn odziedziczy tron po twojej śmierci, z pewnością znajdą się ludzie, którzy będą chcieli pozbawić ją władzy. Będą mieli swoje interesy, plany i własnych kandydatów na króla. Jeśli będą wiedzieli, że mają do czynienia z bezbronną dziewczyną, na pewno nie omieszkają tego wykorzystać. A możliwe, że zawahaliby się, wiedząc, że przeszła ona szkolenie zwiadowcy i ma za sobą cały Korpus. Zwiadowcy dbają o siebie nawzajem, jak sama wiesz.

Przez chwilę Cassandra rozważała te słowa. Na razie w Araluenu panował pokój, lecz nadal istnieli ludzie, gotowi wykorzystać każdą oznakę słabości rządzącego i wzniecić bunt. A każda zmiana na tronie zawsze może skłonić ambitne osoby do walki o władzę. Osobowość Cassandry i sława Horace’a wystarczały, by nie dopuścić do wybuchu. Araluńczycy wiedzieli, że ich przyszła królowa nie jest pokornym, zastraszoną kobietką. Każda próba buntu zostałaaby szybko zdławiona.

Ale Maddie? Jak ją będą widzieć? Jaką zdobędzie sobie reputację? Cassandra widziała teraz wyraźnie, że Halt trafnie określił ją jako bezbronną dziewczynę. Oczywiście, będzie miała doradców i pomocników. Cassandra wiedziała jednak, że prawdziwa siła władcy czy władczyni musi pochodzić od niego czy od niej samej. Z pewności siebie i doświadczenia, z umiejętności radzenia sobie w trudnych i przerażających sytuacjach. Mimo to...

– Ale to przecież niebezpieczne. Chcesz, żebym narażała moją małą córeczkę na niebezpieczeństwa? A jeśli zostanie ranna? – mówiła Cassandra płaczliwie.

– A co będzie, jeśli spiesząc się na zajęcia z haftu nadejnie na skraj swej długiej sukni, spadnie ze schodów i złamie kark? – odparł Halt. – Nie możesz trzymać jej pod kloszem. – Urwał, przypomniawszy sobie swoją rozmowę z Duncanem. – Twój ojciec powiedział, że kiedy odziedziczysz tron, nie będzie ci łatwo. Maddie będzie jeszcze trudniej. Nie wiadomo, czy u jej boku stanie ktoś taki jak Horace.

Halt pochylił się, ujął dłonie Cassandry.

– Byłaby pod opieką największego, najzdolniejszego ze wszystkich zwiadowców, jakich znało królestwo Araluenu – powiedział cicho. Wyczuł zaskoczenie pozostałych. Popatrzył na nich i dodał z uśmiechem: – O tak, Will jest znacznie lepszy ode mnie. – Kiedyś próżność nie pozwoliłaby mu na takie wyznanie, ale teraz słowa przyszły bez trudu.

– No, może nie lepszy. Ale na pewno równie dobry – przyznał Gilan z wahaniem.

– No i jest młodszy – dodała Pauline i uśmiechnęła się.

– Dziękuję, że nam o tym przypomniałaś – rzucił Halt. Potem spojrzął na Horace’a i Cassandrę. – Pomyślcie tylko. Czy jest ktoś, kto mógłby zapewnić Maddie lepszą opiekę? Will ją kocha. Jest jej ojcem chrzestnym. Traktuje ją jak bratanicę, jeśli nie przybraną córkę. Możecie spokojnie powierzyć mu opiekę nad Maddie, wiecie doskonale, że szybciej poświęciłby własne życie, niż dopuścić do tego, by stała jej się krzywda.

– A Willa nie tak łatwo pozbawić życia – zauważył Horace. Zaczynał dostrzegać sens tego pomysłu. Wiedział, że pod opieką Willa Maddie będzie bezpieczna.

Halt wyczuł tę zmianę i postanowił to wykorzystać.

– W dodatku sam mówiłeś, że jest krnąbrna i trudna. Może dobrze zrobi jej dyscyplina, która wiąże się z treningiem zwiadowców. Nie twierdzą, że powinna odbyć całe, pięcioletnie szkolenie. Rok w zupełności wystarczy. Niech zdobędzie brązowy liść. Ale to doświadczenie na pewno wiele jej da.

Cassandra wzięła głęboki wdech i już miała odpowiedzieć, ale nagle zmieniła zdanie. Zamyśliła się i po chwili powiedziała miękko:

– To prawda. – Wyobraziła sobie, jak Maddie próbuje pyskować Willowi i jak on by na to zareagował. Na pewno nie tolerowałby takiego zachowania u swojej uczennicy, mimo całej miłości dla niej.

– Cassandro – odezwała się Pauline i księżniczka spojrzała na piękną blondynkę. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy na swą dawną przyjaciółkę Alyss. – Przypomniała mi się rozmowa, którą odbyłam z twoim ojcem, kiedy chciałaś pojechać do Arydii na ratunek Erakowi. Powiedziałam mu, a teraz mówię to samo tobie, że przyszła królowa powinna podejmować się takich zadań. Powinna ryzykować. Wychodzić do świata. Nie można dobrze kierować krajem, siedząc w wieży z kości słoniowej. Pomysł Halta jest bardzo dobry.

Cassandra niemal bezwiednie kiwnęła głową. Podjęła decyzję. Spojrzała na Horace’a i dostrzegła w jego spojrzeniu, że jest tego samego zdania. Jak zwykle odgadywał jej myśli.

– Tak – powiedziała krótko.

– Istnieje jeden mały problem, którego jakoś nikt nie dostrzega – wtrącił Gilan. – Maddie jest dziewczyną. Nigdy nie było dziewczyny w szeregach zwiadowców.

– Może czas to zmienić – odparł Halt. Pauline spojrzała na niego z uznaniem. Proszę, jakie postępy poczynił jej ponury konserwatywny małżonek.

– Ale... – zaczął Gilan, jednak nie zdążył wymyślić żadnego kontrargumentu. W końcu powiedział: – Jest bardzo drobna. Jak niby zdoła naciągnąć ciężki łuk? To przecież nasza najważniejsza broń.

– Ja też jestem niewysoki – zauważył Halt. – I Will również.

– Ale dziewczęta są inaczej umięśnione niż chłopcy. – Rzucił przeprasające spojrzenie Cassandrze i Pauli – ne. – Nie chodzi

o to, że jestem uprzedzony. Po prostu stwierdzam fakt. W większości przypadków mężczyźni są mocniej umięśnieni od kobiet. A Maddie jest szczupłej budowy. Nigdy nie zbuduje muskulatury, potrzebnej przy strzelaniu z łuku.

– Cóż, coś wymyślimy – odparł Halt. – Może trzeba nieco zmienić sposób myślenia. Dziewczęta poruszają się z większą lekkością niż chłopcy. Na pewno będzie świetna w podchodach i kamuflażu. Jest zręczna. Jest zwinna. To cechy bardzo potrzebne zwiadowcy.

Widział, że Gilan przetrawia ten pomysł. Uśmiechnął się do siebie. Tak naprawdę myślał o tym już od wielu miesięcy. Nie chodziło konkretnie o Maddie, ale o ogólną ideę. Widział, że jak zauważył Gilan, brakuje odpowiednich kandydatów na zwiadowców. I doszedł do wniosku, że oto Korpus ignoruje potencjalne źródło takich osób. Połowę piętnastolatków w królestwie stanowiły dziewczęta. Na pewno znalazłyby się wśród nich takie, które nadawały się na zwiadowców. W Korpusie nie było żadnej kobiety z tej prostej przyczyny, że nie przyjmowano dziewczyn. Ale to nie był dobry powód. Może już czas zmieść pajęczyny i wpuścić trochę świeżego powietrza?

A któż był lepszą osobą, by rozpocząć zmiany, jak nie Halt? W końcu to on wraz z Crowleym wiele lat temu zreformował Korpus. Może nadszedł czas na kolejny etap.

A jeśli chodzi o obiekcje Gilana co do muskulatury dziewcząt i strzelania z łuku – Maddie mogła zaproponować alternatywne rozwiązanie.

– Czy moglibyście wypuścić córkę z więzienia na godzinę czy dwie? – zapytał Cassandrę i Horace’a. – Chcę, by zademonstrowała coś Gilanowi.



Halt, Gilan i Maddie stali na placu ćwiczebnym Szkoły Sztuk Walki Królestwa Araluenu. Halt poprosił Horace'a i Cassandrę, by trzymali się z daleka. Obawiał się, że napięcie panujące między dziewczyną i jej rodzicami mogłoby osłabić jej zdolność koncentracji. Maddie popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Nie bardzo wiedziała, do czego to wszystko zmierza. Wcześniej nasadził dwa stare hełmy rycerskie na paliki, oddalone o jakieś siedemdziesiąt metrów od miejsca, w którym stali. Halt uśmiechnął się do niej.

– Gilan zastanawia się nad wprowadzeniem nowej broni – powiedział. – Pomyślałem, że jesteś odpowiednią osobą do zademonstrowania jej możliwości.

– Masz na myśli procę? – zapytała, spoglądając na podwójny rzemień w swoim ręku. Halt, doprowadziwszy do tymczasowego zwolnienia Maddie z aresztu domowego, poprosił, żeby przyniosła procę i zapas pocisków.

– Właśnie tak. Gilanie, czy zgodzisz się ze mną, że to jest optymalna odległość, z jakiej strzela się do uzbrojonego napastnika?

Gilan przytaknął. Oczywiście, z łuku można strzelać ze znacznie większej odległości niż siedemdziesiąt pięć metrów. Ale strzała wypuszczona z takiego dystansu nadal posiadałaby odpowiednią siłę, by przebić stalowy hełm wroga. Gdyby zaś pierwszy strzał okazał się chybiony, łucznik nadal miałby czas, by wypuścić kolejną strzałę.

Choć zwiadowcy raczej rzadko chybiali – jeżeli w ogóle.

– W takim razie zobaczymy, jak to robisz – powiedział Halt do Gilana.

Gilan unióś łuk i płynnym wytrenowanym ruchem, świadczącym o wielu latach praktyki, wyciągnął strzałę z kołczanu i umieścił ją w cięciwie. Właściwie nie mierząc, unióś łuk i wystrzelił.

Strzała z brzękiem uderzyła w hełm po lewej stronie, przebiła metal w części, zakrywającej czoło rycerza. Hełm podskoczył, spadł z palika, przecięty strzałą, i potoczył się po zakurzonej polu.

– Coś wolno – ocenił Halt.

Gilan rzucił mu zbolące spojrzenie.

– Może ty się wykażesz? – zaproponował.

Halt uśmiechnął się słabo.

– Niestety, zostawiłem swój łuk w komnacie – odparł. Gilan tylko prychnął. Halt spojrzał na Maddie. – Drugi cel jest dla ciebie, młoda damo.

Maddie zaczęła pętlę, umieszczoną na końcu procy o środkowy palec prawej ręki, po czym chwyciła pleciony koniec drugiego rzemienia między kciuk i palec wskazujący. Potem z sakiewki przy pasie wyjęła ołowiany pocisk i włożyła go do skórzanej miseczki, umieszczonej pośrodku. Halt zauważył z uznaniem, że zrobiła to, nie patrząc. Jej oczy, lekko zmrużone, wpatrywały się w hełm na końcu placu.

Maddie obróciła się bokiem, wysuwając lewą nogę nieco do przodu. Opuściła procę wzdłuż ciała, po czym kilka razy zakręciła nią powoli, pilnując, by pocisk nie wypadł. Wyciągnęła lewe ramię w stronę celu, a prawe uniosła wysoko i zamierzyła się, przesunęła je po łuku pod kątem jakichś dwudziestu stopni, jednocześnie przechylając odpowiednio całe ciało. Wychyliwszy się, wypuściła pleciony koniec rzemienia, który ścisnęła między kciukiem i palcem wskazującym. Pocisk wyleciał z procy.

KLANG!

Hełm po prawej stronie zakręcił się na słupku, po czym zatrzymał, śmiesznie przekrzywiony.

Gilan kiwnął głową, wyraźnie pod wrażeniem.

– Nieźle.

Ruszył w stronę słupka, by sprawdzić rozmiary zniszczenia. W hełmie widniało spore wgniecenie, obejmujące również część czołową. Kilka okruchów srebrnego metalu znaczyło jego powierzchnię.

– Nie przebił – stwierdził Gilan, z namysłem przygryzając wargi.

Halt dotknął potężnego wgłębienia.

– Nie. Ale chciałbyś mieć głowę w środku tego hełmu w momencie, kiedy pocisk uderzył?

– To z pewnością nie byłoby zbyt przyjemne – przyznał Gilan. Potem potarł palcem srebrne odpryski. – Jakiej amunicji używasz? – spytał. Maddie wyjęła nowy pocisk z sakiewki i podała mu. Gilan zdumiał się, poczuwszy w ręku jego ciężar.

– Ołów – wyjaśniła.

– Wygląda na to, że działa. – Wyciągnął rękę i Maddie podała mu procę. Przyjrzawszy się jej bacznie, stwierdził: – Takie proste urządzenie. A takie niebezpieczne. – Oddał jej procę i dorzucił: – Stosujesz inną technikę niż twoja mama. Przypominam sobie, że ona kręciła procą w poziomie. – Uniósł prawą rękę nad głowę i zakręcił nią kilka razy płaskie koła.

– To kiepska technika – odparła Maddie. – Nie wiem, jak w ogóle udawało się jej trafiać do celu. Trudno ocenić odległość i siłę rzutu, kiedy kręcisz w ten sposób.

– O, zapewniam cię, że trafiała w bardzo dużo rzeczy – powiedział Halt. – Ale trenowała godzinami.

– Ta technika jest skuteczniejsza – wyjaśniła Maddie. – Poza tym, kiedy ktoś tak stoi, kręcąc procą nad głową, sam staje się widocznym celem.

– Słuszna uwaga – zgodził się Halt. – Ile pocisków potrafisz wypuścić w ciągu minuty?

Maddie niepewnie wyduła dolną wargę.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Nigdy nie liczyłam.

– To może sprawdzimy, dobrze? – Halt podniósł hełm, który przestrzelił Gilan, wyciągnął strzałę i podał ją Gi-lanowi, potem umieścił hełm na słupku i ruchem ręki dał Maddie znać, że ma wrócić na miejsce.

– Dobrze. Strzelaj raz do jednego, raz do drugiego. Zobaczymy, jak szybka jesteś – polecił. – Ale pamiętaj, szybkość na nic się nie zda, jeżeli brak ci precyzji. W chwili, gdy naciera na ciebie wielki i bardzo niemiły iberyjski pirat z szablą w ręku, raczej nie ma sensu wypuszczać pięciu szybkich, lecz niecelnych strzałów. Lepiej jeden, powoli, ale skutecznie.

– Rozumiem. – Uśmiechnęła się.

Ustawiła się odpowiednio, sięgnęła do sakiewki i wsunęła pocisk w miseczkę. I znów kilka razy zakołysała powoli procą, w przód i w tył.

– Zaczynaj! – zawołał Halt. Gilan bezgłośnie poruszał ustami, odliczając sekundy.

Maddie wypuściła pocisk i jeszcze nim zdążył trafić do celu, załadowała kolejny. Tym razem nie traciła czasu na kręcenie procą, lecz niemal natychmiast zamachnęła się do rzutu. Kiedy wypuszczała drugi pocisk, usłyszeli głośne KLANG – pierwszy pocisk trafił do celu. Potem Maddie powtórzyła całą operację, znów mierząc do pierwszego celu.

KLANG! KLANG!... KLANG! KLANG!

– Wystarczy! – zawołał Halt, kiedy Gilan podniósł rękę. Policzył, że Maddie oddała sześć strzałów w ciągu minuty. Czwarty pocisk nie trafił do celu.

– Pięć na sześć – powiedział z namysłem. – Nieźle.

Maddie odwróciła się i spojrzała na zwiadowców, szeroko rozstawiając nogi, wsparta pod biodra.

– Powiecie wreszcie, o co chodzi? – zapytała, wodząc wzrokiem od jednego do drugiego. Kiedy Halt otworzył usta, zamachała ręką.

– Tylko nie opowiadaj mi bajeczek, jak to Gilan testuje nowy rodzaj broni. Gdyby chodziło o procę, to po co byście sprawdzali, jak szybko potrafisz strzelać?

Gilan i Halt spojrzeli na siebie. Z Maddie nie było żartów. Żaden jednak nic nie powiedział.

– Widzę przecież, że sprawdzacie mnie, a nie broń. Pytanie, w jakim celu?

– Może powinnaś porozmawiać na ten temat ze swoimi rodzicami – odpowiedział w końcu Halt.

Maddie ciężko westchnęła.

– Z mamą i tatą? Oni trzymają mnie pod kloszem. Wiecie, że kolejny tydzień też spędzam w areszcie?

Kąciki ust Halta lekko się uniosły.

– Coś tam słyszałem. Oczywiście domyślałem się, że ich decyzja była całkowicie bezpodstawna?

Maddie wywróciła oczami i westchnęła z rezygnacją.

– No dobrze. Może faktycznie wymknęłam się raz czy dwa na polowanie...

Halt uniósł znacząco jedną brew i Maddie skorygowała wcześniejszą wypowiedź:

– Niech będzie, pięć czy sześć razy. I może rzeczywiście trochę brzydko odpowiedziałam, kiedy zaczęli mnie wypytywać.

Brew, która zdążyła wrócić do normalnej pozycji, znowu podjechała w górę.

– No dobra, może napyskowałam – przyznała.

– Maddie, rodzice pragną jedynie twego dobra – powiedział łagodnie Halt. Maddie spuściła wzrok i zaczęła gmerać w piachu czubkiem buta.

– Wie-em – powiedziała nieszczęśliwym tonem. – Ale dlaczego traktują mnie ciągle jak jakąś bezcenną księżniczkę?

– Cóż, jesteś księżniczką. I jesteś dla nich bezcenna – odparł Halt. – Podobnie zresztą jak dla nas wszystkich.

Lubił Maddie. Przez lata wytworzyła się między nimi bliska więź. Gilan dobrze o tym wiedział. I dlatego wołał nie wtrącać się do rozmowy, zostawiając ją Haltowi.

Maddie uśmiechnęła się słabo mimo woli.

– Ty zawsze musisz zamieszać.

Halt potrząsnął głową.

– Mówię tylko, że rodzice dbają o ciebie. Nie chcą być nadopiekuńczy, ale nie potrafią też popuścić ci cugli. Sami zdają sobie z tego sprawę. Ale uwierz, starają się. A ja mam pewien pomysł.

– O którym pewnie mi nie powiesz?

– Nie. To zadanie nie należy do mnie. Powinnaś usłyszeć o tym od nich.

Maddie wzięła głęboki wdech i powiedziała:

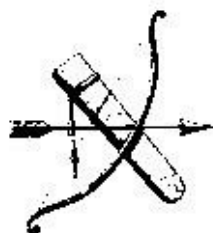
– No to wracajmy do wieży, niech mi powiedzą. Zakładając, że zdałam test?

Halt spojrział na Gilana.

– Chyba zdała, jak sądzisz?

Gilan uśmiechnął się do księżniczki.

– A owszem. Tak sądzę.





9

ROZDZIAŁ

Maddie stanęła przed Cassandrą i Horace'em, cała zdenerwowana. Była sama, Halt i Gilan nie weszli z nią do królewskich apartamentów.

– To sprawa między tobą i twoimi rodzicami – powiedział Halt. – Później porozmawiamy.

Teraz czekała w milczeniu, aż zaczną. Zwykle, jak zauważyła ponuro w myślach, tak się nie ociągali, zawsze gotowi skwapliwie wyliczyć całą listę jej przeróżnych zbrodni. Teraz jednak jakoś im się nie spieszyło. Wymienili niepewne spojrzenia, jakby jedno czekało, aż drugie coś powie. Maddie, nie mogąc znieść napięcia, postanowiła chwycić byka za rogi. Jeżeli mieli dla niej złe wieści – a tak właśnie przypuszczała – to wołała poznać je od razu.

– Halt wspominał, że macie mi coś do powiedzenia – zaczęła.

Znów popatrzyli prędko na siebie. Potem Horace odchrząknął i powiedział:

– A... a, em... no cóż, chcieliśmy z tobą porozmawiać.

O przyszłości.

Maddie poczuła, że traci odwagę. Skoro to miała być oficjalna rozmowa na temat jej przyszłości, to wiedziała, czego się spodziewać. Jeszcze więcej zakazów. Więcej przepisów. Mniej wolności. Długa mowa o tym, jakie obowiązki spoczywają na niej jako przyszłej dziedziczce tronu. Instrukcje, co jej wolno, a czego nie. Z wyraźną przewagą tego drugiego. Nie chciała rozmawiać o przyszłości. Ale najwyraźniej nie miała wyboru. Czekala. Teraz przemówiła Cassandra.

– Maddie, nie możesz biegać po lasach jak jakaś dzikuska, robić, co ci się podoba i narażać się na niebezpieczeństwa.

Maddie zacisnęła wargi. Zdawała sobie sprawę, że w końcu doprowadziła rodziców do ostateczności i że już nie da się tego cofnąć. Za późno, by mętnie się tłumaczyć i przepraszać – nieszczerze, zresztą – tak jak to robiła tyle razy w podobnych sytuacjach. Przesadziła, cierpliwość rodziców się wyczerpała.

– Potrzebujesz porządku i dyscypliny. Potrzebujesz celu w życiu. – Tym razem ojciec.

Ręce opadają. Porządek, dyscyplina i cel. Czy może być gorzej?

Myślała gorączkowo. Czy mogłaby jakoś zapobiec tej katastrofie? Czy istnieje jakiś wybieg? Musiała spróbować.

– Mamo, tato. Wiem, że zachowywałam się okropnie, widzę, że bardzo was zawiodłam. Ale...

Matka przerwała jej niecierpliwym gestem.

– Za późno, Maddie. Raz za razem dawaliśmy ci kolejną szansę, a ty ciągle postępowałaś po swojemu i całkowicie nas lekceważyłaś. Cóż, nasza cierpliwość się skończyła. Już podjęliśmy decyzję.

I to by było na tyle, pomyślała Maddie. Znała swoją matkę i wiedziała, że ma ona żelazną wolę i nie zawróci z raz obranej ścieżki. Maddie wzięła głęboki wdech. Przygotowała się na najgorsze.

– Postanowiliśmy – powiedział Horace – oddać cię Willowi na naukę.

Serce Maddie wykonało fikołka. Nie podniosła wzroku, by nie dostrzegli radosnego błysku w jej oczach. Odczekała kilka sekund. Odbyskawszy panowanie nad sobą, spojrzała na rodziców. Nagle ogarnął ją lęk, że źle zrozumiała słowa Horace'a.

– Willowi? – zapytała niepewnie. – Masz na myśli wuję Willa?

Will był jej ojcem chrzestnym. Brał udział w ceremonii nadania jej imienia i przysięgał, że w razie, gdyby zabrakło jej rodziców, otoczy ją opieką. Maddie kochała Willa. Jako dziecko często odwiedzała go w lennie Redmont, mieszkała w jego małej chatce i chadzała z nim do lasu na polowania. Will był taki zabawny. Mieli podobne poczucie humoru.

Tylko że od śmierci lady Alyss zrobił się bardzo poważny. Widziała go raz czy dwa przez ten czas, był ponury i zupełnie nieskory do żartów. Ale trudno spodziewać się czegoś innego. Pewnie wkrótce się otrząśnie.

Nagle Maddie zdała sobie sprawę, że jej matka coś mówi.

– Tak, Will, twój ojciec chrzestny. Zamierzamy poprosić go, by przyjął cię na uczennicę. Przejdziesz trening zwiadowcy.

– Ale, przecież jestem dziewczyną – zauważyła niepewnie Maddie.

Matka popatrzyła na nią sceptycznie.

– Czasami zastanawiam się, czy w ogóle jesteś świadoma tego faktu.

Maddie zignorowała sarkazm.

– To znaczy... chodzi mi o to, że nie ma dziewczyn-zwiadowców. Nigdy nie było... Prawda? – Zmarszczyła brwi, próbując

przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek słyszała o takim przypadku. Potem potrząsnęła głową. Nie, była pewna, że nigdy nie było żadnej dziewczyny wśród zwiadowców.

– Będiesz pierwsza – przyznał Horace.

– I będę mieszkać z wujem Willem? W Redmont? – spytała. Oboje rodzice przytaknęli. Nie mogła powstrzymać szerokiego uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz.

Na Zamku Redmont panowała znacznie swobodniejsza atmosfera niż w Araluenie. Baron Arald i jego żona, Sandra, byli wspaniałymi gospodarzami i zawsze przyjmowali Maddie z radością. A poza tym, jak dodała w myślach, w Redmont przewyższała wszystkich rangą – nawet barona. Nikt nie będzie mógł jej mówić, jak ma się zachowywać i co robić. Wspaniale!

– Na twoim miejscu uważałbym z tym „wujem Willem” – powiedział Horace ostrzegawczym tonem. – Będiesz jego uczennicą.

– Tak. Tak – odparła, podekscytowana. W głowie kłębiły się tysiące myśli. Już widziała te wszystkie polowania, tańce i pikniki. Ona sama w centrum wydarzeń, wydająca rozkazy i wolna od rozkazujących jej rodziców.

Oczywiście będzie musiała uważać, żeby nie przesadzić. Jeśli rodziców dojdą słuchy, że za dobrze się bawi, pewnie zaraz ją stamtąd zabiorą.

– Życie uczennicy zwiadowcy nie będzie proste – zauważyła matka, przyglądając się jej bacznie.

Maddie prędko przybrała odpowiednio pokorną minę.

– Wiem. Ale postaram się dać z siebie wszystko.

W środku szalała ze szczęścia. Will ją kochał. Miał bzika na jej punkcie. Potrafiła okręcić go sobie dokoła palca. Zawsze tak było. Czemu niby teraz miałyby się to zmienić?

– A więc... zgadzasz się? – spytała Cassandra. Maddie spuściła wzrok i ulegle pokiwała głową.

– Będę się starała – oznajmiła. – Chcę, żebyście byli ze mnie dumni.



Gilan i Halt skierowali wierzchowce w stronę niewielkiej chaty, stojącej pośród lasów u podnóża Zamku Redmont. Z komina unosił się dym. Wyrwiał zarzął na powitanie ze stajni na tyłach chaty. Blaze i Abelard odpowiedzieli.

– No, przynajmniej zastaliśmy go w domu – powiedział Gilan.

W tym momencie drzwi się otworzyły i Will wyszedł na niewielką werandę. Skinął głową na powitanie.

– Halt, Gilan – powiedział, głosem całkowicie pozbawionym emocji.

Haltowi serce ścisnęło się w piersi. Wcześniej ich przyjazdowi do chaty zawsze towarzyszyły radosne powitania, żarty i czułe wyzwiska. A teraz Will po prostu czekał, wsparty o balustradę, aż zsiądą z koni.

Halt wszedł po dwóch stopniach, prowadzących na werandę, zatrzymał się.

– Możemy? – zapytał uszczypliwie. Uważał, że maniery Willa zasługują na drobną krytykę.

– Oczywiście. – Will odsunął się na bok i ruchem ręki zaprosił ich do środka.

Halt zdjął pelerynę i rozejrzał się po tak dobrze znanym sobie wnętrzu. Zmarszczył brwi. Na blacie piętrzyły się brudne naczynia, dwa krzesła stały pod dziwnym kątem, odsunięte od prostego sosnowego stołu. Palenisko, pełne starego popiołu, prosiło się o porządne czyszczenie. Peleryna Willa wisiała niedbale przerzucona przez oparcie jednego z foteli, stojących przy kominku. Przez otwarte drzwi do sypialni było widać nieposłane łóżko.

Will zauważył wzrok Halta i zamknął drzwi.

– Nie zdążyłem dzisiaj posprzątać – mruknął.

Halt uniósł brwi.

– Ani wczoraj. – Musiał przyznać, że jego były uczeń przynajmniej zrobił zakłopotaną minę.

– Siadajcie – powiedział Will, kierując się w stronę wnęki kuchennej. – Zrobię kawę.

Halt i Gilan popatrzyli na siebie i usiedli w fotelach przy kominku. Gilan potrząsnął głową ze smutkiem. Najwyraźniej ich myśli krążyły po tym samym torze. Will wyregulował ciąg w piecu, otworzył drzwiczki i wrzucił do środka garść drobnych gałązek. Potrząsnął czajnikiem. Rozległ się cichy chlupot.

– Przyniosę więcej wody – powiedział, ruszając w stronę drzwi. Pompa znajdowała się na podwórzu. Znów popatrzyli na siebie. Zwykle wodę przynosi się zaraz z rana, po przebudzeniu.

– Wygląda na to, że zubożniał na wszystko – stwierdził Gilan, kiedy Will wyszedł.

Halt kiwnął głową i zmarszczył brwi, aż utworzyły jedną kreskę.

– No to musimy pomóc mu jakoś się z tego wygrzebać.

Drzwi otworzyły się i Will wszedł do środka z czajnikiem. Postawił go na rozgrzanej płycie, a potem wyciągnął kubki, kawę i dzbanek.

– Wiem, co was tu sprowadza.

Halt wzruszył ramionami.

– A może wcale nie – odparł.

– Chcecie mi powiedzieć, żebym się otrząsnął i wreszcie wziął w garść – powiedział Will. – Cóż, przykro mi, że to miejsce wygląda tak koszmarnie. I ja też. – Teraz, kiedy o tym wspomniał, Halt zauważył jego pogniecione i brudne ubranie, długie włosy i brodę. – Ale to wszystko nieważne. Jedyne, na czym mi zależy, to wreszcie zobaczyć Jory’ego Ruhla dyndającego na stryczku.

– Rozumiem – odparł Gilan – ale Korpus cię potrzebuje.

– Korpus na razie musi dać sobie radę beze mnie – powiedział Will. – W pierwszej kolejności muszę załatwić ważniejsze sprawy.



Zapadła cisza. Potem Halt podniósł się powoli. Jego oczy lśniły gniewnie. Wymierzył palcem w swego byłego ucznia. Jego głos brzmiał niewiele głośniejszy od szeptu. Nie odbierało mu to jednak mocy.

– Jak śmiesz tak mówić! Jak śmiesz odwracać się plecami do Korpusu z powodu problemów osobistych? Nie po to przez tyle lat cię trenowałem, dbałem o ciebie i obserwowałem, jak wyrastasz na mężczyznę, żeby teraz patrzeć, jak się pograżasz! Wstępując w szeregi Korpusu, złożyłeś przysięgę. Wiem, że wtedy coś to dla ciebie znaczyło. A czy znaczy teraz?

Will niezręcznie machnął ręką.

– Nie, ja... ja po prostu...

– Will, przykro mi z powodu śmierci Alyss. Naprawdę. Kochałem ją, sam dobrze wiesz. Wszyscy ją kochaliśmy.

– Nie tak jak ja – odparł Will z goryczą.

Halt kiwnął głową.

– Nie. To prawda, ty doznałeś większej straty. I musisz znosić większy ból. Ale potrafisz go udźwignąć. Musisz. Musisz ruszyć do przodu.

Will rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Chcesz, żebym o niej zapomniał?

– Nie! Chcę, byś zawsze o niej pamiętał. Byś zachował i czcił pamięć o niej. Ale to nie musi znaczyć, że masz poddać się obsesyjnej myśli o zemście, aż nic więcej ci nie zostanie. To cię niszczy, Willu.

– Pozwól mi odnaleźć Ruhla – odparł Will proszącym tonem. – Pozwól, że go odszukam i postawię go przed obliczem sprawiedliwości. Wtedy będę gotów wrócić w szeregi zwiadowców.

– To nie działa w ten sposób – powiedział gniewnie Gilan. – Jesteś zwiadowcą i masz pewne obowiązki. Tak jak my wszyscy. Nie możesz ich odsunąć na później, kiedy ci się podoba, a potem do nich wrócić, jak gdyby nigdy nic. Jesteś jednym z tych nielicznych ludzi, którzy mogą zmienić świat. Jesteś przywódcą. Bohaterem tysięcy zwykłych ludzi. Szanują cię i podziwiają. Dajesz im nadzieję, coś, w co mogą wierzyć. Jak możesz to odrzucać? Jak śmiesz odrzucać ich szacunek?

– Może wcale o nich nie dbam – odparł cicho Will.

– W takim razie nie jesteś tym samym człowiekiem, którego uczyłem, co to honor i poczucie obowiązku – rzucił Halt. Twarz Willa oblała się rumieńcem.

– Potrzebujemy cię, Willu – wtrącił miękko Gilan, już bez śladu gniewu w głosie. – Korpus cię potrzebuje i twoi przyjaciele cię potrzebują.

– Jacy przyjaciele? – spytał Will.

– Horace i Evanlyn – odparł Halt. – Twoi przyjaciele od niepamiętnych czasów. Człowiek, u którego boku walczyłeś niezliczoną ilość razy. I dziewczyna, która wraz tobą stawiała czoło niebezpieczeństwu, która nie zostawiła cię samego, kiedy Skandianie dopadli cię nad wąwozem, ani wtedy, kiedy Temudżeini zaatakowali twój obóz w Skandii. Teraz proszą cię o pomoc. Zamierzasz im odmówić i kulić się w kącie, użalając się nad sobą?

– Potrzebują mnie? – powtórzył Will niepewnie. – A co się dzieje?

– Chodzi o Maddie. Twoją córkę chrześną. Ciągłe pakuje się w tarapaty. Jest krnąbrna i doprowadza ich do szału. Martwią się o nią, nie potrafią jej okiełznać. Pomyśleli sobie, że może ty dasz radę.

Will zmarszczył brwi.

– Ja? Ale co ja mogę? Skoro oni sobie z nią nie radzą, to czemu niby ja miałbym tego dokonać?

– Chcą, żebyś wziął ją na uczennicę – wyjaśnił Gilan.

Will aż się cofnął.

– Maddie? Dziewczynę?

– Maddie. Dziewczynę – potwierdził Halt. Sięgnął za pazuchę, wyjął kopertę i podał ją Willowi. – Napisali do ciebie z prośbą

o pomoc.

Will z roztargnieniem wziął od niego kopertę. Jego umysł pracował na przyspieszonych obrotach. Dziewczyna-zwiadowca? Nigdy wcześniej coś podobnego nie miało miejsca. Potem jednak pomyślał: właściwie dlaczego nie? Zawsze był otwarty na nowe pomysły, nowy sposób myślenia. Czemu nie? Evanlyn z pewnością mogłaby stać się doskonałą zwiadowczynią. Była odważna, bystra i inteligentna. A jej córka odziedziczyła te cechy. Jeszcze raz spojrzął na kopertę, na czerwoną pieczęć Evanlyn.

– Jutro dam odpowiedź – rzekł.



Wieczorem otworzył kopertę, w której krył się list od Horace'a i Cassandry oraz osobna kartka – zaznaczono jednak, że ma po nią sięgnąć w drugiej kolejności. Zaczął czytać i sercem od razu znalazł się z przyjaciółmi. List był bardzo przejmujący.

Willu,

Horace i ja rozpaczliwie potrzebujemy Twojej pomocy. Madelyn stała się bardzo samowolna i krnąbrna. Wszelkie nasze wysiłki nie odnoszą najmniejszego skutku i już naprawdę nie wiemy, co robić. Jak wiesz, Madelyn pewnego dnia odziedziczy tron. Musi nauczyć się dyscypliny i poczucia obowiązku, związanych z tą rolą. Za nic jednak nie chce nas słuchać. Postępuj wedle własnego uznania, biega nocą po lesie, narażając się na przeróżne niebezpieczeństwa.

Przy tym naraża także królestwo. Gdyby została porwana, Horace i ja znaleźlibyśmy się w niezmiernie trudnej sytuacji. Jeśli wpadłaby w ręce naszych wrogów, zmuszeni byłibyśmy wybierać między dobrem naszej córki a dobrem całego kraju. Próbowaliśmy jej to tłumaczyć, lecz ona nie uznaje naszych racji, wyśmiewa nas i oskarża o nadopiekuńczość.

Próbowałam wszystkiego, by ją zdyscyplinować, lecz moje wysiłki spełzyły na niczym. Nadal nam się przeciwstawia. W dodatku w Zamku Araluen otaczają ją ludzie, których łatwo może sobie podporządkować. Niektórzy ulegają za szczerego szacunku dla jej pozycji, inni, obawiamy się, robią to z myślą o ewentualnych przyszłych korzyściach.

Niezależnie od przyczyn, obserwujemy z przerażeniem, jak nasza córka zmienia się w rozwydrzoną i samolubną zbutowaną pannicę. Musi się nauczyć, że jej uprzywilejowane życie niesie ze sobą obowiązki i odpowiedzialność.

Rozmawialiśmy na ten temat i doszliśmy do wniosku, że należy podjąć drastyczne metody. Maddie trzeba odciąć od życia na dworze, pokazać jej, jak wygląda prawdziwy świat. Oraz nauczyć ją różnorodnych umiejętności i samodyscypliny, tak bardzo potrzebnych przyszłej królowej.

Zgodziliśmy się z Horace'em, że ty najlepiej ze wszystkich potrafisz jej pomóc. Jej i nam. Kochasz Maddie, tak jak my. A co niemniej ważne, ona kocha i szanuje Ciebie. Łączysz was szczególnie więź. Być może dzięki temu zdołasz zmienić jej zachowanie. Ludzie powtarzają, że jest w takim wieku, w którym większość młodych osób przeżywa okres buntu przeciwko rodzicom. Być może samo jej to minie. Ale żyjemy w niepewnych czasach. Jak wiesz, mój ojciec choruje, a ja rządę królestwem za niego. Gdyby cokolwiek stało się mnie, Maddie musiałaby zająć moje miejsce. Szczerze martwię się, czy podolalaby takiemu zadaniu.

Przyjmij ją na uczennicę, Willu. Weź ją pod swoje skrzydła i naucz, jak być silną, odpowiedzialną i dzielną. Ma w sobie potencjał, ale potrzebuje przewodnika. Przez wzgląd na naszą przyjaźń proszę Cię o pomoc w tej sprawie.

Evanlyn (Cassandra)

Pod spodem Horace dodał od siebie:

Willu, proszę, zgódź się i spełnij naszą prośbę. Cassandra nigdy się do tego nie przyzna, lecz ciężar rządzenia królestwem jest dla niej zbyt wielki. Sprawa Maddie stanowi dodatkowe obciążenie. Martwię się o jej zdrowie i dobre samopoczucie. Martwię się też o naszą córkę.

Gdybym mógł, rozwiązałbym ten problem. Próbowalem – na próżno. Może, kiedy Maddie była młodsza, popełniliśmy błąd i pozwalaliśmy jej na zbyt wiele. Łatwo wpaść w taką pułapkę w przypadku jedynego dziecka. Teraz potrzebny jest ktoś z zewnątrz – ktoś, komu ona ufa i kogo szanuje. Nie potrafisz wyobrazić sobie bardziej odpowiedniej osoby od Ciebie.

Kiedy przeczytasz dokument, dołączony do listu, zrozumiesz, jak poważnie traktujemy tę sprawę. Użyj go, jeśli będziesz musiał. A obawiam się, że tak właśnie się stanie.

Przez te wszystkie lata niezliczoną ilość razy służyłeś mi pomocą. Teraz proszę, byś zechciał uczynić to ponownie.

Horace

Will złożył list i z namysłem postukał nim o dłoń. Potem otworzył drugi dokument. Był krótki i bardzo rzeczowy – tylko kilka akapitów. Kiedy go przeczytał, jego oczy zrobiły się wielkie ze zdumienia. Potem złożył go z powrotem i odchylił się na krześle, myśląc intensywnie.

Gilan próbował odwieść go od obsesji zemsty na Jo-rym Ruhlu i jego bandzie. Użył takich słów jak „honor”, „obowiązek”. Abstrakcyjne pojęcia, które bladły i nie znaczyły nic wobec straszliwej straty, jaką była śmierć Alyss.

Ale ten list trafił do niego w znacznie bardziej konkretny i bezpośredni sposób. Prośba o pomoc od dwojga ludzi, których kochał najbardziej na świecie – od tak dawna. Zawahał się, a potem zadał sobie kluczowe pytanie.

Co powiedziałyby Alyss?

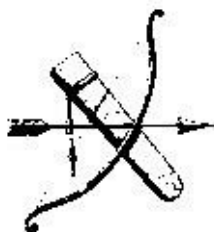
Wymówił te słowa na głos. Saba jak zwykle uniosła łeb i uderzyła ogonem o podłogę. Zignorował ją. Wiedział, jak zareagowałaby Alyss.

Na pewno wzięłyby pod uwagę fakt, że przyjmując Ma-delyn na uczennicę, Will przysłużyłby się królestwu i przyczynił się do zapewnienia mu bezpieczeństwa w przyszłości. Ale za najważniejszy aspekt tej sprawy uznałaby jednak coś innego. Niemal słyszał jej głos, jak wypowiada te słowa.

– To twoi przyjaciele.

Starzy przyjaciele. Najlepsi przyjaciele. Ta przyjaźń niejednokrotnie poddawana była próbie. Evanlyn i Horace stali u jego boku i ocalili mu życie tyle razy, że nawet nie potrafił zliczyć.

Nie podlegało dyskusji, jak ma odpowiedzieć na ich prośbę. Po prostu nie mógł odmówić.





Wyznaczonego dnia Maddie przybyła do chaty Willa u stóp Zamku Redmont, by rozpocząć trening.

Zjawiła się wyznaczonego dnia, lecz nie o wyznaczonej godzinie. Will oczekiwał jej o dziewiątej rano, ale dawno minęło południe, gdy wreszcie wjechała na polanę. Will przestał na nią czekać. Przez pierwsze dwie godziny siedział na werandzie, wpatrując się w wąską ścieżkę, na której lada chwila miała się pojawić.

W końcu, krzywiąc się z niesmakiem, wrócił do środka, by przeczytać najświeższe raporty, które dostał tego ranka od Gilana. Wszyscy zwiadowcy rutynowo czytali raporty z sąsiednich lenn. Will jednak miał w tym swój interes. Z wielkim zaangażowaniem studiował raporty, przysyłane przez zwiadowców ze wszystkich zakątków kraju – opisy przestępstw i wszelkich niecodziennych wydarzeń – szukając wskazówek, śladów obecności Jory’ego Ruhla.

Właśnie siedział zatopiony w raporcie z lenna Cor-dom o przewoźniku, który prowadził swój niecny proceder na rzece Gadmun: brał pasażerów na pokład, by ograbić ich, rozbierać i następnie wrzucić w rwący nurt. Will odłożył raport na bok i schował go do skórzanej teczki, w której leżał cienki plik raportów, być może zawierających informacje o Jorym Ruhlu.

– To może być on – powiedział do siebie. – Zupełnie w jego stylu.

Saba, leżąca obok z łbem na łapach, otworzyła oczy i popatrzyła na niego pytająco, zapalczywie machając ogonem. Will potrząsnął głową.

– Mówiłem do siebie – wyjaśnił. – Śpij dalej.

Natychmiast posłuchała.

Kilka minut później jednak znów otworzyła oczy i odwróciła łeb w stronę drzwi. A potem rozległo się krótkie rzenie Wyrwija. Na wysokich tonach, ostrzegawcze, inne od radosnego rzenia, którym witał konie Halta i Gilana. Wyrwij donosił, że ktoś się zbliża. Nie wiedział jednak, czy to wróg czy przyjaciel.

Saba uniosła się, warcząc, otrząsnęła się i ruszyła do drzwi ze spuszczonej łbem, węsząc. Will odłożył raport, odsunął krzesło i również wstał. Otworzył drzwi i pozwolił Sabie wymknąć się na zewnątrz. Potem sam wyszedł na werandę, wychynął z cienia i oparł się o słupek.

W tym momencie Maddie wynurzyła się spomiędzy drzew i wjechała na niewielką polanę, przy której stała chata. Uniósł ze zdumieniem prawą brew. Maddie nie była sama. Z tyłu jechała druga dziewczyna, mniej więcej w jej wieku. Wyglądała jak dokładne przeciwieństwo Maddie, smukłej i o pełnych wdzięku ruchach. Miała lekką nadwagę i niepewnie siedziała w siodle.

Były też inne różnice. Maddie dosiadała arydzkiego wałacha maści izabelowatej czyli o złocistokremowej sierści. Miał smukłą wytworną budowę ciała i dumny inteligentny pysk. Poruszał się z godnością, delikatnie stawiając krótkie kroki. Druga dziewczyna siedziała na pospolitej klaczy, nieco większej od konia Maddie, grubokościstej, całkowicie pozbawionej wdzięku i płynności ruchów arydzkiego rumaka.

Dziewczęta różniły się także ubiorem. Maddie miała na sobie spodnie z cienkiej wełny, buty do kolan i kurtkę z krótkimi rękawami z delikatnej, barwionej na fioletowo skóry, przewiązaną pasem ze srebrnych kółek. Z boku zwisał długi sztylet w znoszonej skórzanej pochwie.

Na wierzch narzuciła pelerynę do pasa, otwartą z jednej strony, tak by pozostawić swobodę ruchów prawemu ramieniu – nieco pretensjonalna moda, która ostatnimi laty rozprzestrzeniła się wśród młodych zamożnych oficerów kawalerii.

Towarzyszka Maddie nosiła prostą suknię z zielonego lnu, a na niej praktyczny, pozbawiony ozdób wełniany płaszcz. Rozglądała się dokoła ciekawie i trochę niepewnie, podczas gdy Maddie zachowywała się z dużą pewnością siebie.

„Na dech Gorloga”, pomyślał Will. „Przywiozła służącą”.

I nie tylko służącą. Z tyłu kroczył posłusznie gniady juczny koń o krótkich nogach i beczułkowatym ciele, obładowany skórzanymi torbami, przytroczone do siodła. Wyglądało na to, że niesie większy ciężar niż jego dwaj towarzysze.

Will wziął głęboki wdech. W pierwszym odruchu miał ochotę wygłosić tyradę, złożoną z serii pytań, zaczynając od: „Co ty wyprawiasz? Co ty sobie wyobrażasz?”, przez „Co się z tobą dzieje, do licha ciężkiego?” i kończąc na „Po co ci to wszystko? Wybierasz się w roczną podróż po kraju?”

Opanował się jednak i czekał w milczeniu, aż Madelyn dostrzeże go na werandzie. Uśmiechnęła się ujmująco.

– Hej, wujku Willu. Nie zauważyłam cię w pierwszej chwili. Wy, zwiadowcy, na pewno potraficie poruszać się bezgłośnie, jeśli tylko chcecie, prawda? Pewnie dowiem się więcej na ten temat przez tych kilka tygodni. Już nie mogę się doczekać.

Kilka tygodni. A więc Maddie nie ma pojęcia, ile potrwa nauka. Sądzi, że pobiega sobie trochę po lesie i zaraz wróci do domu.

Powstrzymał chęć wyplucia z siebie wściekłych słów, które już miał na końcu języka.

– Spóźniłaś się – powiedział spokojnie.

Zrobiła zaskoczoną minę, po czym wzruszyła ramionami.

– Naprawdę? Nie miałam pojęcia. Powiedziano mi, że mam przyjechać dzisiaj. Nie wiedziałam, że wyznaczyłeś konkretną godzinę.

– A owszem. Dziewiątą. Wszystkie wskazówki były wypisane na kartce od Gilana.

Maddie zmarszczyła brwi. Nadal nie wyglądała na skruszoną z powodu skandalicznego spóźnienia.

– Wskazówki? – powtórzyła, po czym spojrzała na służącą. – Rose-Jean, czy Gilan dawał mi jakąś kartkę?

Dziewczyna zrobiła zmieszaną i nieco zmartwioną minę. Maddie nie dostrzegła irytacji Willa, lecz jej towarzyszka z pewnością tak. W końcu jako służąca potrafiła bezbłędnie odczytywać najdrobniejsze oznaki niezadowolenia u swoich przełożonych.

– Nie. On...

– Miał dać ją tobie, Maddie – przerwał im Will. – List. W grubej płóciennej kopercie.

– A, to? – powiedziała Maddie i zaśmiała się. – No tak. Mam go. Myślałam, że to list pożegnalny czy coś w tym stylu. Jeszcze go nie przeczytałam.

– A może powinnaś – odparł Will niebezpiecznie niskim głosem. Maddie nie zwróciła na to uwagi, za to Rose-Jean najwyraźniej tak. Wyraz z troską na jej twarzy jeszcze się pogłębił.

– Och, później się tym zajmę! – rzuciła Maddie bez troski. – Na razie możesz po prostu wszystko mi powiedzieć.

– Cóż, pierwsza rzecz, to że miałaś być tutaj ponad trzy godziny temu. Gdzie się podziewałaś?

Maddie nadal nie rozumiała, o co mu chodzi. Służąca rozglądała się dokoła, szukając, gdzie by tu skryć się przed burzą, która, była pewna, za chwilę się rozpęta. Nie miała pojęcia, czemu ten ponury brodaczy jest taki wściekły. Jej pani powiedziała, że jadą na wakacje do jednego z lenn. Teraz jednak dziewczyna czuła, że kryje się za tym coś więcej.

– Zatrzymałyśmy się na zamku. Chciałam zobaczyć się z Araldem i Sandrą – odparła bez troski Maddie.

– *Baronem* Araldem i *lady* Sandrą – poprawił ją Will, kładąc akcent na tytuły.

Maddie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się szeroko.

– Może dla ciebie. Dla mnie to Arald i Sandra.

Will robił się coraz bardziej wściekły. Zaczynał rozumieć, przez co przechodzą Horace i Evanlyn. Ale panował nad sobą – całym wysiłkiem woli – mówił powoli i z namysłem. Nie zamierzał dopuścić do kłótni, szczególnie w obecności służącej. Wiedział, że dziewczyna czułaby się bardzo zakłopotana w takiej sytuacji.

– Nie. Dla ciebie to także baron Arald i lady Sandra. Radzę się przyzwyczać.

Maddie przekrzywiła głowę. Na jej twarzy pokazał się pełen zdziwienia uśmiech.

– Wujku Willu, zawsze zwracałam się do nich po imieniu. Chyba czegoś nie rozumiesz. Jestem księżniczką i przewyższam ich rangą.

Will znów wziął głęboki wdech. Zerknął na służącą, wyraźnie spiętą. Wypuścił powietrze i powiedział rozsądnie:

– Maddie, zechciej zsiąść z konia i podejść tutaj, dobrze?

Maddie kiwnęła głową, płynnym ruchem zeskoczyła na ziemię i podała wodze służącej.

– Potrzyj Sundancera, Rose-Jean – poprosiła, po czym przecięła polankę i weszła na werandę. Will złapał ją za łokieć i odprowadził na bok.

– Muszę powiedzieć, wujku Willu, że zachowujesz się trochę dziwnie. Nie poznaję cię – stwierdziła.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu biednej służącej, Will powiedział cichym głosem:

– Maddie, jest kilka faktów, z którymi musisz jak najszybciej się zapoznać. Nie przyjechałaś tutaj na wakacje...

– Och, przecież wiem! – wtrąciła i niedbale machnęła ręką. – Mama i tata wpadli na jakiś szalony pomysł, że niby mam się uczyć...

– Milcz! – warknął Will. Mimo że mówił bardzo cicho, w jego głosie była wielka moc. Madelyn zrobiła pół kroku w tył. Nikt nigdy nie zwracał się do niej w ten sposób. No, może rodzice, ale na pewno nikt niższy od niej rangą.

– Wuju Willu – zaczęła wyniośle, ale Will stanowczym ruchem prawej dłoni przerwał jej, nim zdążyła powiedzieć coś więcej.

– Zapomnij o „wuju Willu”. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale jesteś teraz członkinią Korpusu Zwiadowców, a ja jestem twoim mentorem. Zwiadowcy zwracają się do siebie po imieniu. Masz więc mówić do mnie Will, bez żadnych dodatków. Nie jestem twoim wujem. Nie jestem twoim ojcem chrzestnym. Jestem twoim nauczycielem. A ty jesteś moją uczennicą. Będę mówić do ciebie Maddie bądź Madelyn. Nie łączą nas żadne szczególne więzi prócz tej między nauczycielem i uczennicą. Rozumiesz?

Brwi Maddie zbiegły się pośrodku czoła. Niechętnie popatrzyła na brodatą postać.

– Wydaje mi się, że trochę przesadzasz, wu... Willu – poprawiła się prędko. – Nie zapominajmy, że jestem księżniczką Araluenu.

– Nie zapominajmy też, że jestem królewską zwiadowcą – odparł Will obojętnym tonem. Na widok jej zdumionego spojrzenia wyjaśnił: – Odpowiadam jedynie przed królem bądź jego reprezentantami. Nikim poza tym. Obecnie funkcję króla pełni twoja matka. Chociaż rzadko się o tym wspomina, przewyższam rangą wszystkich w królestwie, za wyjątkiem samego władcy. Dotyczy to również baronów, ich żon, rycerzy... a także księżniczki.

– To na pewno nieprawda! – zaprotestowała Maddie. – Nigdy o czymś takim nie słyszałam!

– Jak już wspominałem, rzadko to podkreślamy. Ale uwierz, mówię prawdę. Co więcej, twoi rodzice udzielili mi pełni władzy nad tobą na czas trwania nauki. Tak więc twoja pozycja nic dla mnie nie znaczy. Ani dla mnie, ani dla nikogo innego.

Maddie zaczęła tracić pewność siebie. Wiedziała, że zwiadowcy dysponują wielką – i nie do końca określoną – władzą i autorytetem. I nie była do końca pewna, czy to, co powiedział Will, jest prawdą czy też nie.

– Na czas nauki – podjął Will bardziej ugodowym tonem – zamieszkaś tutaj, nie na zamku. Ale twoja służąca nie może zostać.

Zwiadowcy nie mają służących. A tym bardziej uczniowie zwiadowców.

Zostawił Maddie, której szczęka gwałtownie opadła, i wrócił na werandę, by porozmawiać ze służącą.

– Rose-Jean... – powiedział – Madelyn będzie mieszkała ze mną, w tej chacie. Niestety, jak sama widzisz, jest tu raczej ciasno. Bądź tak miła, wróć do zamku i powiedz majordomusowi, że potrzebujesz noclegu do czasu, kiedy będą mogli odwiedzić cię z powrotem do Zamku Araluen.

Rose-Jean spojrzała na swą panią, niepewna, co powiedzieć. Wiedziała, że jeśli posłucha Willa, narazi się na gniew Madelyn. Wiedziała też jednak, że nikt przy zdrowych zmysłach nie przeciwstawia się poleceniom zwiadowców – a już szczególnie takiego zwiadowcy jak sławny Will Treaty. Will wyczuł to wahanie, zrobił krok w stronę dziewczyny i wyjął uzdę z jej dłoni.

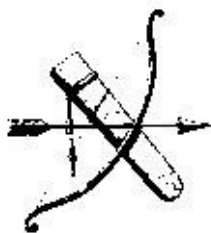
– W porządku, Rose-Jean – powiedział łagodnie. – Po prostu pojedź do zamku.

– Rose-Jean... – zaczęła Maddie.

– Milcz! – warknął Will, nie patrząc na nią. Potem ruchem ręki dał znak służącej. Rose-Jean zawróciła konia i ruszyła ścieżką, prowadzącą do zamku. Juczny koń patrzył za nią niepewnie. Po chwili pochylił łeb i zaczął skubać krótką trawę, porastającą skraj polany.

Will ujął wodze i powiedział do księżniczki – bardzo zaskoczonej i kompletnie zbitej z tropu.

– Zaprowadź Sundancera do stajni. A ja zajmę się jucznym koniem. – Kiedy Madelyn zrobiła krok do przodu i wyciągnęła rękę po wodze, dodał: – Ale to pierwszy i ostatni raz.





Kiedy już zaprowadzili konie do stajni, Will pokazał Madelyn niewielki pokój, w którym miała mieszkać. Pamiętając swoje własne początki, postawił w pokoju bukiet kolorowych polnych kwiatów, tak jak kiedyś Halt w dzień jego przyjazdu. Ale bukiet kwiatów to było za mało, by wyrwać Madelyn ze stanu szoku i poczucia krzywdy.

Weszła do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Za jego czasów była tam tylko zasłona, lecz uznał, że Madelyn może potrzebować więcej prywatności i poprosił stolarzy z Zamku Redmont, by wstawili drzwi przed jej przyjazdem.

Popatrzył na zamknięte drzwi, zastanawiając się, czy ją zawołać. Doszedł jednak do wniosku, że dosyć już wrażeń jak na jeden dzień i zostawił ją na kilka godzin, by miała czas przetrwać to wszystko w samotności.

Przygotował obiad – smakowitą potrawkę z kurczaka i kartofli – a kiedy zrobiło się ciemno, zapalił latarnie w głównym pomieszczeniu i rozniecił ogień.

Pokój rozjaśnił się radosnym blaskiem ciepłego żółtego światła latarni i migotliwych płomieni. Will, stwierdziwszy, że Maddie miała wystarczająco dużo czasu na przemyślenia, zapukał delikatnie do drzwi.

– Maddie – powiedział. – Obiad.

W pokoju przez kilka dobrych minut toczyła się walka głodu z dumą i zranionymi uczuciami. Zwyciężył głód, drzwi się otworzyły i Maddie wychynęła ze środka, podeszła z godnością do stołu i zajęła miejsce.

Zajadała z apetytem, zaskoczona wspaniałym smakiem potrawy. Nie przypuszczała, że Will potrafi tak dobrze gotować. Ale nadal panowało między nimi napięcie, a rozmowa ograniczała się do koniecznych uwag – jak zdawkowe prośby o sól czy chleb. Skończywszy, wstała od stołu i oznajmiła:

– Idę do siebie. – Przez chwilę rozważała, czy powinna poprosić o pozwolenie, ale w końcu odrzuciła ten pomysł.

Will popatrzył jej prosto w oczy. Nadal płonęły gniewnie. Pomyślał, że musi dać jej czas i kiwnął głową.

– Dobry pomysł. Jutro wielki dzień.



Maddie leżała na wąskim łóżku, wsłuchując się w nocne dźwięki lasu, walcząc ze łzami, cisnącymi się jej do oczu.

Wszystko okazało się zupełnie inne, niż to sobie wyobrażała. Will – jej ukochany wuj Will – stał się taki ponury i zdystansowany. Nawet nie krył się z niechęcią wobec niej.

Tylko dlaczego? Co ona takiego zrobiła?

Tak naprawdę, choć Maddie nie zdawała sobie z tego sprawy, jej arogancja i pyszałkowatość wynikały z poczucia niższości i braku wiary w siebie.

Jej rodziców powszechnie podziwiano. Horace był najprzedniejszym rycerzem w całym Araluenie, budzącym strach wśród wrogów i szacunek wśród przyjaciół. Legendarną postacią, prawdziwym bohaterem.

A matka wcale mu nie ustępowała. Nie chodziło tylko o to, że była księżniczką i obecnie rządziła krajem w zastępstwie swego ojca. Ona również zapracowała na uznanie i szacunek poddanych. W młodości przeżyła mnóstwo przygód i odniosła wiele sukcesów.

A czym Maddie mogła się pochwalić? Co chciała w życiu osiągnąć? Im dłużej porównywała się ze swymi sławnymi rodzicami, tym gorsze miała o sobie mniemanie.

Łzy znów zaszczyły po powiekami, ale potarła gniewnie oczy, by je powstrzymać.

„Nie będę płakać”, powiedziała do siebie i w końcu z tą myślą zapadła w niespokojny sen.

Obudziło ją pobrzękiwanie naczyń, dochodzące z kuchni. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest. Rozejrzała się po maleńkim pokoju. Dopiero teraz zauważyła barwny bukiet kwiatów na parapecie. W nogach łóżka leżał starannie złożony ręcznik, na kołku na drzwiach wisi płaszcz kąpielowy.

Wstała i otworzyła drzwi. Will, zajęty przygotowaniem śniadania, odwrócił się i zapytał:

– Dobrze spałaś?

Kiwnęła głową. Powiodła wzrokiem dokoła, po raz pierwszy przyglądając się uważnie wnętrzu chaty. Poprzedniego wieczoru była zbyt zropaczona i skołowana. Teraz dostrzegła, że jest tam jedno duże główne pomieszczenie z wnęką kuchenną oraz przylegająca do niego jeszcze jedna sypialnia. Will, zauważywszy jej skonsternowaną minę, powiedział:

– Łaźnia z tyłu na podwórzu. Śniadanie za dziesięć minut.

Jeszcze raz kiwnęła głową, niepewna, co powiedzieć. Już nie wydawał się tak odpychający jak poprzedniego wieczoru. Postanowiła, że najlepiej zachowywać się neutralnie. Wróciła do pokoju, zabrała ręcznik i płaszcz kąpielowy, po czym ruszyła do drzwi.

Suka Willa leżała na werandzie, grzejąc się w porannym słońcu. Zamachała ogonem na powitanie. Maddie zatrzymała się i podrapała ją za uchem.

– Cześć, koleżanko. Jak ci na imię?

Saba oczywiście nie odpowiedziała. Ale odchyliła łeb i przymknęła oczy z rozkoszą, podczas gdy Maddie drapała ją pod brodą. W końcu Maddie podniosła się i rozejrzała dokoła. Stwierdziła, że to naprawdę piękne miejsce. Słońce właśnie wychylało się zza drzew, poranne powietrze było rześkie i pachnące.

Umyła się, drżąc z zimna, bo woda była lodowata. Potem prędko wytarła się ręcznikiem, włożyła płaszcz kąpielowy i poszła z powrotem do pokoju. Nie bardzo wiedziała, co na siebie włożyć. Wieczorem rzuciła ubrania na podłogę, ale, oczywiście, zabrakło Rose-Jean, nikt ich nie pozbierał, nie złożył i nie przygotował nowych na następny dzień. A reszta ubrań znajdowała się w bagażach, które zostały w stajni.

W końcu zdecydowała, że włoży to samo ubranie, które nosiła poprzedniego dnia. Potem poszła do głównego pomieszczenia.

Will, który właśnie stawiał talerz na stole, uniósł głowę i kiwnął głową na powitanie.

– Nie wiedziałem, jakie lubisz jajka – powiedział. – Zrobiłem jajecznicę.

Zmarszczyła nos.

– W ogóle nie lubię jajek.

Will wziął głęboki wdech.

– Nie lubisz jajek – powtórzył. Potrząsnęła głową. – A boczek? – Spojrzał w stronę pieca. Jedzenie skwierczało wesoło na patelni, stojącej na rozgrzanych węglach.

Znów potrząsnęła głową. Pomyślał, że strasznie grymasi, ale zdołał zachować spokój.

– Zwykle jem taką specjalną suszoną szynkę, którą dostarcza nam królewski rzeźnik – odparła Maddie. – Jest taka lekka i delikatna. Dosłownie rozpływa się w ustach. Ale boczek? – Wzdrygnęła się dramatycznie. – Faj!

– Cóż, tu nie ma suszonej szynki. Może później wybierzemy się na zakupy do Wensley i kupimy trochę słowiczych języczków? – zaproponował Will. Maddie potrząsnęła głową, nie dostrzegając sarkazmu.

– Lubię owoce – powiedziała.

– Owoce są dobre. – Will odetchnął z ulgą. Wziął wielkie błyszczące jabłko z miski, stojącej na blacie i położył je na talerzu Maddie. Spojrzała niepewnie.

– Jabłka to nie owoce? – zapytał Will.

Maddie rozłożyła ręce.

– Cóż, zwykle służące obierają mi jabłka i kroją je na cząstki – wyjaśniła.

Zapadła cisza. Spojrzeli na siebie. Czuła, że znowu powiedziała coś głupiego. Will podszedł do stołu, zabrał jabłko z talerza i położył je na blacie.

Rozległ się syk – ostrze sztyletu otarło się o skórzane ścianki pochwy u jego boku. A potem nastąpiło głośne „trach” i jabłko rozpadło się na połówki, które zakołysały się łagodnie na blacie.

– Powiedzmy, że to są cząstki.



Jedli w pełnym napięciu milczeniu. Will niechętnie wyjął bochenek świeżego chleba, masło i dżem z malin. Był to jego ulubiony dżem, prezent od Jenny. Zastanawiał się, dlaczego właściwie dzieli się nim z Maddie.

Zajadała z rozkoszą. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaka była głodna. Will zjadł jajecznicę i boczek, które wcześniej usmażył. Kiedy Maddie pochłonęła swoje kanapki, sięgnął po dzbanek z kawą, stojący na rozgrzanej płycie. Pomyślał, że kawa potrafi wszystkie sprawy ustawić w odpowiedniej perspektywie. Najgorsza maruda musi odzyskać humor, kiedy postawi się przed nią kubek tego gorącego słodkiego napoju.

– Kawy? – Nie czekając na odpowiedź, zaczął napełniać kubek Maddie.

– Ja nie piję kawy – odparła.

Brwi Willa podjechały do góry.

– Dlaczego? – spytał. – Wszyscy piją kawę.

– Ja nie. Nie lubię tego smaku. Wolałabym mleko, jeśli masz... Proszę – dodała po chwili.

Wiedział, że to ostatnie słowo wiele ją kosztowało. Owszem, miał mleko, chłodziło się, przykryte wilgotną ściereczką. Nalał mleka do kubka, potrząsając głową i patrząc, jak kremowy płyn wypełnia naczynie.

– I jak ja mam zrobić z ciebie zwiadowcę? – mruknął.

Nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Rozsądnie uznała, że najlepiej milczeć. Ale naprawdę lubiła mleko.

Po śniadaniu Will wysączył drugą porcję kawy. Pomyślał, że właściwie niechęć Maddie do tego napoju powinna go cieszyć, bo dzięki temu zostało dwa razy więcej dla niego. Maddie dopiła mleko, po czym zebrała z talerza wszystkie okruchy.

– Wspaniały chleb – powiedziała. – Sam piekęś? – Nie była pewna, jak zaawansowane są jego umiejętności kulinarne. Will jednak potrząsnął głową.

– W Wensley jest piekarz, przynosi mi chleb co rano. Właściwie od teraz ty możesz się tym zajmować. Niech to będzie jeden z twoich codziennych obowiązków. W ramach „niema-tu-żadnej-służącej”.

Wyczuła, że ją sprawdza. Nie zamierzała dać się sprowokować. Kiwnęła głową. Will podjął:

– Prócz tego będziesz słała swoje łóżko i sprzątała pokój, co rano, jeszcze przed śniadaniem.

Rzucił znaczące spojrzenie w kierunku jej sypialni. Pościel leżała skłębiona na łóżku.

– Ścielić łóżko? Ja nie...

– Ależ owszem. A może sądziłaś, że służąca będzie to za ciebie robić?

Gniewnie zacisnęła szczękę.

– Nie widzę powodu, dla którego mamy żyć jak wieśniacy – stwierdziła. – Rose-Jean mogłaby przyjeżdżać tu codziennie i...

– Rose-Jean wyjechała – przerwał jej.

W pierwszej chwili nie zrozumiała.

– Wyjechała? Dokąd?

– Wróciła do Zamku Araluen. Dziś rano zabrała się z kurierem, przewożącym pocztę. Nie mogłem przecież puścić jej całkiem samej, prawda?

– Ale... to moja służąca. Nie masz prawa... – Na widok błysku w jego oczach gwałtownie urwała.

– Maddie, proszę, zrozum, jak najbardziej mam prawo. Była twoją służącą, kiedy ty byłaś księżniczką. Ale teraz jesteś moją uczennicą. Zwiadowcy nie mają służących. Zdaje się, że już o tym wspominałem.

Will poczuł lekkie rozbawienie, bo przypomniał sobie, że sam odbył kiedyś podobną rozmowę z Haltem, na samym początku nauki. „Zwiadowcy sami zajmują się pracami domowymi”, wyjaśnił wtedy Halt.

– Poza tym – dodał – masz zamiatać to pomieszczenie każdego dnia, zaraz po śniadaniu, a także czyścić palenisko i cały piec.

A w każdy piątek powinnaś wytrzeć dywanik na zewnątrz.

Popatrzyła na niego, mrużąc oczy. Przez chwilę udawał, że niczego nie zauważył, ale w końcu zapytał, unosząc brwi:

– Chcesz coś powiedzieć?

Spytała ostrożnie:

– A mogłabym wiedzieć, kto wykonywał te czynności przed moim przybyciem?

Will kiwnął głową, jakby pytanie bardzo przypadło mu do gustu.

– Ja – odparł. – Teraz rozumiem, czemu Halt tak lubił brać sobie uczniów. Powinienem być to zrobić już dawno temu.

Nic nie mówiąc, wstała i poszła do swojego pokoju. Pościeliła łóżko prędkimi gniewnymi ruchami. Kiedy skończyła, rozejrzała się dokoła i zauważyła, że w pokoju nie ma mebli, w których mogłaby przechowywać ubrania, nie licząc miejsca, wydzielonego dość wąską zasłonką. Nie zmieściłaby się tam nawet jedna dziesiąta tego, co ze sobą przywiozła.

– Gdzie mam trzymać ubrania? – spytała.

Will wsadził głowę do środka i wskazała na wspomnianą zasłonkę.

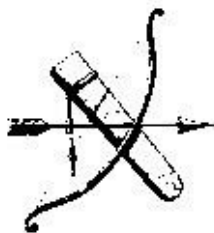
– To powinno wystarczyć – powiedział.

Potrząsnęła głową i zaśmiała się.

– Na pewno nie zmieszczą się tu wszystkie rzeczy, które ze sobą przywiozłam.

Will beztrząsco machnął ręką.

– O, nie martw się – powiedział. – Już jadą z powrotem do Zamku Araluen.





Jesteś pewien, że nie traktujesz jej zbyt surowo? – zapytała Jenny.

Will przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią. – Uważam, że powinienem być surowy. Jest zepsuta, kapryśna i arogancka. Muszę ją tego oduczyć, bo inaczej niczego nie osiągnę.

Siedzieli na zewnątrz, pod płóciennym daszkiem przed restauracją. Jenny popatrzyła na niego bacznie, po czym kiwnęła głową.

– Może i tak. Ale nie przesadzaj, dobrze? Jestem pewna, że w gruncie rzeczy to dobre dziecko.

– Cóż, staram się pamiętać, jak Halt mnie traktował – powiedział Will – i tym się kieruję.

– Mówiłeś wtedy, że traktuje cię okropnie – powiedziała z uśmiechem – a przecież ty nie byłeś księżniczką.

– Ona też nie jest. O tym również staram się nie zapominać. Jest moją uczennicą, nie należą się jej większe prawa i przywileje niż innym uczniom. Niech nie liczy na specjalne traktowanie.

– Ale uważaj, żebyś nie przesadził w drugą stronę – ostrzegła Jenny. – A tak przy okazji, gdzie ona teraz jest?

– U pani Buttersby, mierzy stroje – odparł Will, wskazując kciukiem w stronę ulicy. – To znaczy pani Buttersby pokazuje jej, jak dopasować ubrania. Maddie będzie musiała sama to zrobić. Pewnie trochę to potrwa – zakończył drwiącym tonem.

Jenny spojrzała na niego. To był pierwszy przejaw poczucia humoru, jaki zauważyła u niego od wielu miesięcy. Ale była na tyle rozsądna, że o tym nie wspomniała. Zanotowała jednak tę uwagę w pamięci i postanowiła podzielić się nią z Gilanem, kiedy następnym razem przyjedzie w odwiedziny do Redmont – co zresztą czynił znacznie częściej, niż to było konieczne. Jenny wiedziała, jak bardzo Will cierpi z powodu śmierci Alyss i pomyślała, że to był naprawdę genialny pomysł, by oddać mu Maddie na naukę. Spojrzała w głąb ulicy.

– Chyba nadchodzi.

Maddie wspinała się w górę lekko wznoszącej się uliczki, niosąc naręczne ubrań. Miała na sobie tak dobrze znaną pelerynę w szarozielone cętki, niezgrabnie udrapowaną na ramionach – tradycyjny strój wszystkich zwiadowców i ich uczniów.

– Wygląda na nieco przeciążoną – stwierdziła Jenny z uśmiechem, gdy Maddie niechcący upuściła parę butów i skórzany kaftan. Kiedy pochyliła się, by je pozbierać, na ziemię spadły kolejne sztuki odzieży. Dostała trzy komplety wełnianych tunik i spodni, skórzany kaftan i dwie pary butów i chyba nie bardzo sobie z tym wszystkim radziła.

– Bo to był ciężki dzień – odparł Will. Najwyraźniej nie zamierzał pospieszyć Maddie z pomocą. Kroczyła dalej, dzielnie dźwigając stos ubrań, chwiejając się niebezpiecznie. W końcu Jenny zlitowała się i podeszła do dziewczyny.

– Pozwól, że ci pomogę. – Maddie spojrzała na nią z wdzięcznością i oddała jej połowę ciężaru. Weszła za Jenny do środka i rzuciła resztę na najbliższy stół.

– Dała mi najmniejszy rozmiar, ale i tak wszystko jest o wiele za duże – powiedziała, lekko zdyszana.

Jenny uśmiechnęła się.

– Nic dziwnego. W końcu jesteś pierwszą dziewczyną, która przechodzi szkolenie zwiadowcy.

– Pokazała ci, jak je zwęzić? – zapytał Will.

Maddie przytaknęła.

– Nie wiem, ile czasu mi to zajmie.

– Na początek potrzebujesz tylko jednego kompletu. To nie powinno długo potrwać. Możesz zająć się tym wieczorem, po obiedzie – odparł Will. Nie był pewien, czy Maddie oczekuje współczucia, ale jeśli tak, to wybrała zły adres.

Jenny i Will popijali sok ze świeżo wyciśniętych owoców. Jenny poleciła pracownicy przynieść porcję dla Maddie, która chętnie przyjęła poczęstunek i łączywie upiła spory łyk.

– Aaaa. Pyszne. Dziękuję – powiedziała.

– Wszystko musi być dla ciebie nowe i dziwne – odezwała się Jenny. – Mam nadzieję, że Will nie traktuje cię zbyt okrutnie, Maddie. A przy okazji, jestem Jenny.

Z uśmiechem wyciągnęła rękę, a Maddie popatrzyła na nią niepewnie. W jakiś sposób zaakceptowała już warunki, na jakich

odnosił się do niej Will. W końcu był starszym oficerem i przewyższał ją rangą. Ale w przypadku Jenny to była zupełnie inna sprawa. Jenny była zwykłą osobą. Kucharką. Znaczyła tyle, co służąca. Maddie nie była przekonana, czy w tym przypadku mówienie sobie po imieniu jest właściwie.

Ale Jenny odnosiła się do niej tak przyjaźnie i sympatycznie, Maddie nie chciała jej robić przykrości. Chciała zachować się taktownie. Ale, jak to często bywa w przypadku piętnastoletnich dziewcząt, próbujących zachowywać się z taktem, całkowicie chybiła.

– Em... Nie jestem pewna, czy to odpowiednie z twojej strony, zwracać się do mnie po imieniu – powiedziała przeproszającym tonem. – Chyba powinnaś mówić do mnie „księżniczko” lub „wasza wysokość”.

Uśmiech na twarzy Jenny zrzędł. Cofnęła rękę. Twarz Willa pociemniała z wściekłości. Jenny podniosła się i powiedziała chłodno:

– Będę pamiętać. – Krótco kiwnęła głową Willowi. – Do zobaczenia. Muszę wracać do pracy.

Weszła do środka, sztywno wyprostowana. Maddie spojrzała bezradnie na Willa, rozkładając ręce.

– No co? Co znowu złego zrobiłam? Rozumiem, jak jest między tobą i mną. Ale czy mam pozwalać wszystkim traktować mnie tak, jakbym była nikim? W końcu to tylko kucharka.

– Jenny należy do grona najstarszych przyjaciół twojego ojca. I moich. Wszyscy razem dorastaliśmy. Twoją matkę także zna od wielu lat. Jeśli ona uważa, że Jenny może zwracać się do niej po imieniu, to nie rozumiem, czemu miałyby być inaczej w twoim wypadku.

– Ale kiedyś było inaczej. W końcu, kiedy moja matka was poznała, podróżowała incognito. To byłoby bez sensu, gdybyście używali jej tytułu. Ale ja...

– Ty jesteś bezczelną zepsutą smarkułą, której należy się nauczka. Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale cóż. Chodź ze mną.

Podniósł się gwałtownie i ruszył przed siebie. Maddie pobiegła za nim, z trudem utrzymując w ramionach skłębiony stos butów i ubrań.

– Tylko nie zgub niczego! – warknął.

Szybkim krokiem przemierzył ulicę, a potem wąską ścieżkę, prowadzącą do chaty. Gwałtownie otworzył drzwi, podszedł do biurka pod ścianą i zaczął grzebać w papierach. W końcu znalazł to, czego szukał.

Maddie również weszła do środka, gubiąc ubrania na werandzie i podłodze. Przystanęła niepewnie, kiedy odwrócił się w jej stronę. W ręku trzymał kopertę. Rozłożył kartkę i podał jej.

– Przeczytaj to – polecił.

Pierwsze słowa listu napełniły ją prawdziwym przerażeniem. Zerknęła prędko na dół strony i zobaczyła podpisy i pieczęcie matki i ojca. Bez wątplenia, dokument był autentyczny. Przesunęła wzrokiem z powrotem na górę strony i zaczęła czytać. Czuła, jak krew odpływa z jej twarzy.

Oznajmiamy, że my, niżej podpisani, zrzekamy się wszelkich więzi, łączących nas z córką, Madelyn, oraz odbieramy jej wszystkie tytuły i przywileje, którymi mogła cieszyć się jako księżniczka królestwa Araluenu.

Tym samym nie należy się jej szacunek, przynależny członkom rodziny królewskiej.

Od tej pory należy zwracać się do niej „panno Madelyn Altman” bądź, w związku z tym, że zwiadowca Will Treaty zgodził się przyjąć ją na naukę, „zwiadowniczy Madelyn”.

Postanowienie to wchodzi w życie z skutkiem natychmiastowym i ma obowiązywać do czasu, aż zdecydujemy się przywrócić Madelyn jej dawną pozycję.

Podpisano

Jej Królewska Wysokość Cassandra

Księżniczka Regentka Królestwa Araluenu

Sir Horace Altman

Pierwszy Rycerz Królestwa

Pod spodem widniały woskowe pieczęcie. Maddie spojrzała na datę. List napisano na dzień przed jej wyjazdem z Zamku Araluenu. Uświadomiła sobie, że już kiedy tu jechała, była nikim. Została wydziedziczona. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Jak oni mogli? – powiedziała łamiącym się głosem. – Czy naprawdę aż tak mnie nienawidzą?

Will potrząsnął głową.

– Nie nienawidzą cię. Po prostu znaleźli się u kresu wytrzymałości. Pomyśleli, że może dzięki temu dokumentowi zrozumiesz powagę całej sytuacji. Miałem nadzieję, że nie będę zmuszony ci tego pokazywać. Ale sprawiłaś, że zmieniłem zdanie. Mówiłem ci, Maddie. Już nie jesteś księżniczką. Nie możesz zachowywać się w ten sposób. Jesteś moją uczennicą. Nie przewyższasz rangą żadnego z mieszkańców Redmont, ani Jenny, ani chłopca stajennego, ani najmłodszego z uczniów Szkoły Sztuk Walki. Ale nie jesteś też od nich gorsza. Jesteś im równa.

Maddie zmarszczyła brwi.

– Ale mówiłeś, że zwiadowcy to najwyżej postawieni ludzie w królestwie – zaczęła niepewnie.

– Zwiadowcy tak. Ale ich uczniowie nie. A ty nawet nie jesteś uczniem. Możesz nosić ten tytuł grzecznościowo, dopiero po dwunastu miesiącach zostaniesz przyjęta do Korpusu.

– Po dwunastu miesiącach? – Maddie osłupiała. – Po dwunastu miesiącach? Sądziłam...

– Sądziłaś, że to potrwa tydzień czy dwa? A potem wrócisz do domu, przeprosisz i przekonasz rodziców, że zrozumiałaś swój błąd, a oni wszystko ci wybaczą. Tak?

– No... tak. Chyba tak.

Usłyszawszy to wszystko od niego, zrozumiała, jak okropnie to brzmi. Zrozumiała też, że właśnie tak się to odbywało za każdym razem. Rodzice wyznaczali jej karę, ona odsiadywała swoje, potem przeproszała i wszystko wracało do normy. A kilka tygodni później cała zabawa powtarzała się od nowa.

– Przesadziłaś, o jeden raz za dużo – powiedział Will z powagą. – Cassandra i Horace mają dosyć. Czy ci się to podoba czy nie, jestem twoją ostatnią deską ratunku.

Wargi zaczęły jej drżeć, do oczu napłynęły łzy. Will dostrzegł to, ale nie dał nic poznać po sobie. Wiedział, że Maddie przeżyła prawdziwy szok, może największy w swym dotychczasowym życiu. Nie zamierzał pozwolić jej na pogrążanie się w rozpacz.

Wskazał na ubrania, rozsypane na podłodze.

– Pozbieraj to – polecił. – Wybierz te, które pasują najlepiej. Tylko tunikę, spodnie i buty. Peleryny nie potrzebujesz. Zawiąż porządnie buty. Za pięć minut na zewnątrz.

– Na zewnątrz? – powtórzyła, nieco oszołomiona nagłą zmianą tematu. – Ale co...?

– Przebiegniemy się. Chcę sprawdzić, w jakiej jesteś formie. Pięć minut!

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Usłyszała jego kroki na werandzie, kiedy ruszył do stajni na tyłach chaty. Wyrwij krótkim rzeniem powitał swego pana.

Nagle zdała sobie sprawę, że traci czas, a jeszcze nie wybrała rzeczy do założenia. Zebrała je pospiesznie i pobiegła do pokoju.

Kilka minut później była gotowa. Nie miała pojęcia, czy przekroczyła limit czasu, ale Will nic nie powiedział. Czekał już na polanie. Siedział na grzbiecie Wyrwija.

– Ty nie będziesz biegał? – zapytała. Uniósł brew.

– Znam własne możliwości – odparł. – Ja jadę. Ty biegiesz. Do Lisiego Strumienia. To osiem kilometrów stąd. Przyjemny spacer, w tę i z powrotem. – Wskazał na ścieżkę między drzewami. – Ruszaj.

Biegła lekko, w równym szybkim rytmie, z uniesioną głową, kołysząc ramionami, mocno odbijając się od ziemi. Poruszała się swobodnie i harmonijnie. Will jechał tuż za nią. Wyrwij z zaciekawieniem zastrzygł uszami.

Jak to przyjęła?

– Co przyjęła? – spytał. Maddie odwróciła się. Machnęła ręką.

– Nie przerywaj.

Że została wydziedziczona.

– A skąd ty o tym wiesz? – Tym razem Will stłumił głos, tak by Maddie go nie usłyszała.

Już ci mówiłem. Wiem wszystko to, co ty wiesz.

Nie po raz pierwszy Will zastanawiał się, czy jego koń naprawdę mówi czy też to on sam mówi do siebie. W końcu zdecydował, że wcale nie chce poznać odpowiedzi.

– Cóż, zachwycona nie była – odparł. Potem dodał głośniejszym głosem: – Trzysta kroków marszem. A potem znów bieg.

Maddie kiwnęła głową, nie odwracając się. Zwolniła, a po trzystu krokach znów ruszyła biegiem. Will obserwował, jak unosi głowę i ściąga ramiona. Jej postać tchnęła siłą i determinacją. Kiwnął głową z uznaniem.

– Jest sprawna – stwierdził. – I ma w sobie ten sam upór, co jej matka.

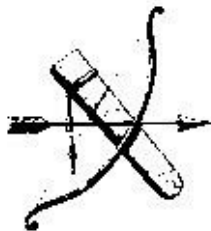
Wyrwij potrząsnął krótką grzywą.

Od razu wiedziałem.

– Doprawdy? A niby skąd?

Jestem koniem zwiadowcy. My potrafimy rozpoznać dobrą rasę.

Will nie mógł dyskutować z takim stwierdzeniem.





Rano Willa zbudziła woń smażonego boczku.

Zmarszczył lekko brwi, poniuchał w powietrzu i stwierdził, że się nie pomylił. To bez wątpienia był smażony boczek. Zaburczało mu w pustym żołądku. Usiadł na posłaniu, ubrał się pospiesznie i otworzył drzwi sypialni.

Maddie stała przy piecu, w jednej ręce dzierząc patelnię, a w drugiej potężny widelec. Uśmiechnęła się na powitanie. Will potarł zaspiane oczy i przyglądził potargane włosy.

– Zrobiłam śniadanie – oznajmiła. – Nie wiedziałam, jak się robi jajecznicę, więc usmażyłam jajka. – Machnęła ręką, wskazując mu miejsce przy stole.

– A to niespodzianka – mruknął, kiedy postawiła przed nim talerz pełen jedzenia. Jeszcze większa niespodzianka spotkała go, kiedy spojrział na plasterki boczku, z których zostały cienkie paseczki o aparycji podeszwy.

Jajka bynajmniej nie wyglądały lepiej – białka się przypaliły, a żółtka zrobiły się twarde i suche jak wiór. Popatrzył na nie sceptycznie, po czym z determinacją ujął nóż i widelec.

Cóż, starała się. Może nie wyszło, ale przynajmniej próbowała. Domyślał się, co kryło się za tym gestem. Była to forma przeprosin, bardziej wymowna od samych słów – choć może nie do końca zjadliwa.

Nadział na widelec jeden z bekonowych pasków, który natychmiast rozpadł się na kupkę wiórków. Maddie przyglądała się bacznie, więc zebrał kilka z nich i wsadził do ust, żując skrupulatnie, by jakoś je rozmiękczyć.

– Dobre? – zapytała. – Nigdy wcześniej nie smażyłam boczku.

– Nadzwyczajne – wymamrotał z ustami pełnymi ostrych odłamków. – Bardzo chwalebna pierwsza próba.

Przełknął boczek z niejakim wysiłkiem, po czym zaatakował jajka. Smak przypalonego białka wypełnił jego usta. Przeżuł i połknął.

– Nie byłam pewna, co z tym takim czarnym na spodzie – wyznała Maddie z niepokojem.

– Nadaje dodatkowego posmaku – odparł Will. Zauważył, że zdążyła już przynieść świeży chleb od piekarza. Prędko oderwał kawałek, maznął po nim masłem i wsadził do ust. Potem posmarował masłem jajka. Zawsze to bardziej międko.

Maddie usiadła naprzeciwko. Patrzył z zazdrością na stojący przed nią talerz owoców: jabłko i kilka wielkich soczystych truskawek. Obok gruba kromka chleba z dżemem. W ustach miał sucho, czuł zatykający smak spalenizny.

Poszukał wzrokiem dzbanka z wodą, ale kiedy chciał sięgnąć po niego, Maddie zatrzymała jego rękę.

– Zrobiłam kawę.

Kolejna niespodzianka. W powietrzu nie unosił się tak charakterystyczny bogaty aromat. Chociaż teraz, kiedy o tym wspomniała, wyczuł bardzo nikłą woń.

Czajnik stał na rozgrzanej płycie, z dzióbka leciała para. Maddie podniosła go przez ściereczkę, postawiła kubek przed Willem i nalała.

Z dzióbka wyciekła lekko zabarwiona woda. Oboje spojrzeli do wnętrza kubka. Cokolwiek to było, na pewno nie była to kawa. Maddie zmarszczyła brwi, bo też to sobie uświadomiła.

– Jakoś dziwnie wygląda – stwierdziła z wahaniem. – A jestem pewna, że wszystko zrobiłam, jak należy.

– A co dokładnie? – zapytał, podnosząc kubek i poddając inspekcji brązową ciecz. Powąchał. Tak, niewątpliwie miała aromat kawy. Ledwie wyczuwalny. Ale jednak.

– Napełniłam czajnik zimną wodą i postawiłam na piecu. Potem, kiedy zaczęła się gotować, wsypałam kawę, trzy duże łyżki. Sądziłam, że wystarczy.

– I powinno wystarczyć – odparł z roztargnieniem. Z trzech łyżek powinien powstać ciemny bogaty napój, a nie ten cienki uzurpator, panoszący się w jego kubku. Nagle coś go tknęło.

– Skąd wzięłaś kawę? – zapytał, pomyślawszy, że Maddie pewnie użyła fusów. Ona jednak wskazała na gliniane naczynie na najwyższej półce, w którym trzymał kawę.

– Z tego. Widziałam, że też stamtąd brałaś.

Nagle Will doznał olśnienia.

– I wrzuciłaś trzy łyżki do wody? Tak po prostu?

Przytaknęła.

– A nie pomyślałaś, że kawę najpierw trzeba zemleć? – spytał łagodnie.

Maddie zmarszczyła brwi. Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi.

– Zemleć?

– Zemleć. Zwykle mielę ziarna na proszek. Dzięki temu wydobywa się smak i aromat.

Wziął od Maddie czajnik, otworzył pokrywkę i zajrzał do środka. Kiedy chmura pary rozwiała się w powietrzu, zobaczył brązowe ziarna, unoszące się na powierzchni.

Zaczął się śmiać. Nie mógł się opanować, ale od razu wiedział, że popełnił błąd. Próbował przestać, lecz najgorsze już się stało. Maddie wpatrywała się w niego z taką miną, jakby raził ją piorun. Oto zdała sobie sprawę ze swojej porażki. Chciała przygotować Willowi pyszne śniadanie i w ten sposób powiedzieć „zaczniemy od początku”. A zamiast tego zmarnowała mnóstwo dobrej kawy. I zaczęła podejrzewać, że boczek i jajka również nie do końca wyszły tak jak trzeba.

Will zakrył usta, z trudem opanowując śmiech.

– Przepraszam – powiedział ze skruchą. Widział, jaka jest rozczarowana. Widział, jak zaciska usta, jakby próbowała powstrzymać się od płaczu.

– Wszystko było do niczego, prawda? Nie tylko kawa, wszystko.

– Cóż, ujmę to tak... Rzeczywiście, najsmaczniejsze to było. Boczek przypomina w smaku skorupy. Jajka też zasłużyły na lepszy los.

Maddie spuściła wzrok, zdruzgotana. Nie znosiła, kiedy coś szło jej nie tak.

– Ale nie powinienem był się śmiać – podjął łagodniejszym tonem. – Próboweś, to bardzo miły gest z twojej strony. Od wielu miesięcy nikt nie zrobił dla mnie śniadania.

– I założę się, nikt nigdy nie zrobił ci takiego śniadania – stwierdziła, nadal nie podnosząc wzroku.

– Nie przeczę. Ale nie mogę wymagać, żebyś od razu wszystko umiała. Smażyłaś wcześniej jajka i boczek?

Potrząsnęła głową. Nie śmiała się odezwać. W jej wyobraźni wszystko wyglądało zupełnie inaczej: Will podchodzi do stołu, zaskoczony i zachwycony, po czym z wilczym apetytem pochłania jedzenie i popija przepyszną kawę. Chciała w ten sposób przeprosić za swoje zachowanie w stosunku do Jenny. Na samo wspomnienie ogarniał ją wstyd.

I na dodatek to teraz... Totalna katastrofa. Poczowała dłoń Willa na ramieniu i podniosła wzrok. Jego oczy były ciepłe i łagodne. Ten sam wuj Will, którego znała jako małą dziewczynkę.

– Maddie, starałaś się, a to najważniejsze. Może nie podałaś mi najlepszego śniadania na świecie, ale zrobiłaś dla mnie coś innego. Znacznie ważniejszego.

Z zaciekawieniem przekrzywiła głowę.

– Ale co?

– Doprowadziłaś mnie do śmiechu. A nikomu nie udało się to od bardzo dawna.



Po śniadaniu – w przypadku Willa wydanie poprawione składało się z chleba, kilku plasterków szynki, którą przyniósł ze spiżarni oraz kubka prawidłowo zaparzonej kawy – wyszli na polankę przed chatą. Rozpoczynała się pierwsza sesja, nauka posługiwania się bronią, która miała służyć Maddie przez kolejny rok.

Przypatrywała się z zainteresowaniem, kiedy Will odwijął impregnowaną tkaninę. Wybrał podwójną pochwę, przyczepioną do grubego skórzanego pasa.

Oczywiście, już wcześniej widziała u zwiadowców te podwójne noże, nigdy jednak nie miała okazji przyjrzeć im się z bliska.

Najpierw Will pokazał jej saksę. Był to większy nóż, przypominający krótki miecz. Maddie również miała sak-sę, ale krótszą i lżejszą od tej tutaj. Nóż ten, ciężki i bardzo ostry, służył zwiadowcom do walki w bezpośrednim starciu. Maddie przesunęła lekko palcem po klindze.

– Jest ostra – powiedział Will. Patrzył z aprobatą, jak Maddie dotyka broni, ostrożnie i z szacunkiem. – I twoją jest rzeczą, by tak pozostało. Jeśli okaże się, że ostrze jest tępe czy zardzewiałe, będziesz za karę przez cały tydzień biegać do Lisiego Strumienia, tam i z powrotem.

Kiwnęła głową. Saksa wyglądała skromnie i zwyczajnie, była pozbawiona wszelkich ozdób, ostrze zrobiono ze stali, głowicę i jelec z mosiądzu. Maddie czuła jednak, że broń jest doskonale wyważona, lekko leży w ręku, choć grube ostrze sporo ważyło. Domyślała się, że wykonał ją prawdziwy mistrz. Po chwili Will potwierdził te przypuszczenia.

– Te saksy są robione specjalnie dla zwiadowców. Dzięki szczególnej obróbce stal jest bardzo twarda. Jeśli sparujesz taką saksą cios miecza, w klindze zostanie wyraźny ślad, a na ostrzu saksy ledwie draśnięcie. Oczywiście, pomijając miecz twojego ojca.

Spojrzała z zaciekawieniem na Willa, przez cały czas poruszając saksą w tył i w przód, ważąc ją w dłoni.

– Miecz mojego ojca? A co w nim takiego wyjątkowego?

– Został wykuty przez zbrojmistrzów w cesarstwie Nihon-Ja. Posługują się oni podobną techniką, jak nasi miecznicy. Miecz Horace'a to prawdziwe dzieło sztuki. To najmocniejszy i najostrzejszy miecz w całym Aralu-enie, może nawet na całym kontynencie.

– Nie wiedziałam. Ojciec nigdy o tym nie wspominał.

Will nie podejmował dalej tematu. Dał Maddie znak, by schowała saksę do pochwy. Wtedy wyciągnął drugi, mniejszy nóż.

Ostrze długości około dwudziestu centymetrów, wąskie w miejscu złączenia z rękojeścią, rozszerzało się raptownie, po czym znów zwężało w bardzo ostry szpiczasty czubek, co dodawało mu w tym miejscu ciężaru, który równoważyły solidna rękojeść, zrobiona ze skórzanych kółek, i mosiężny jelec. Na końcu rękojeści umieszczono mosiężną głowicę.

– Będziesz uczyć się rzucać tym nożem – wyjaśnił Will.

Zacisnęła wargi.

– Nigdy wcześniej nie rzucałam nożem – wyznała.

Will wzruszył ramionami.

– Zasada jest bardzo prosta. Musisz rzucić tak, by nóż obrócił się w powietrzu i ustawił czubkiem ostrza w stronę obranego celu.

Im większa odległość, tym więcej razy musisz obrócić nóż.

Pokazał jej, jak należy trzymać ostrze, dalej lub bliżej czubka, by w ten sposób zwiększać bądź zmniejszać liczbę obrotów.

– Bliżej czubka i będzie obracać się szybciej. Jeśli przesuniesz rękę w stronę rękojeści, wolniej – wyjaśnił. Maddie kiwnęła głową i na próbę kilka razy udała, że rzuca nożem. Przesuwała ręką wzdłuż ostrza. Rzeczywiście, czuła, że kiedy chwyci ostrze bliżej czubka, nada mu większą prędkość.

– To chyba trudne – powiedziała Maddie z powątpiewaniem.

Will kiwnął głową.

– Owszem. Powiedziałem, że zasada jest naprawdę prosta. W praktyce, rzecz jasna, to zupełnie co innego. Jak wszystkie umiejętności, którymi muszą wykazać się zwiadowcy, wymaga ćwiczeń, ćwiczeń i... – Tu urwał i uniósł brew, czekając, aż Maddie dokończy zdanie.

– Jeszcze raz ćwiczeń?

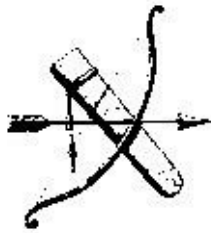
– Właśnie. To sekret naszych umiejętności. W gruncie rzeczy rzucanie nożem przypomina ugotowanie idealnego jajka. Im częściej to robisz, tym lepiej to robisz, choć technicznie, oczywiście, te dwie sprawy trochę się różnią.

Schowała nóż do podwójnej pochwy. Zważyła ją w dłoni, z podziwem przyglądając się obu nożom – ich prostym praktycznym formom. Pozornie prostym, bo już wiedziała, że wykonanie tych noży wymagało wielu godzin wytężonej pracy, popartej ogromną wiedzą.

Odłożyła noże i popatrzyła na zwój impregnowanej tkaniny. Coś jeszcze kryło się w jej fałdach, jakiś dłuższy smukły przedmiot. Chyba domyślała się, co to jest.

– Co teraz? – spytała. Próbowwała zachować obojętny ton głosu, lecz Will słyszał w nim nutę podekscytowania. Maddie dobrze się bawiła. Lubiała broń. Nic dziwnego, zważywszy jej upodobanie do polowań. To dobrze, te zainteresowania mogły jedynie pomóc jej podczas nadchodzących miesięcy, wypełnionych żmudnymi ćwiczeniami. Człowiek potrzebuje pasji, jeśli ma poświęcić jakiegokolwiek czasu i osiągnąć w niej dobre wyniki.

– A teraz najważniejsza broń zwiadowcy – odparł. – Łuk.





Will zaczął odwijać tkaninę. Tak, to był łuk, ale bardzo różnił się od tych, które Maddie do tej pory widziała.

Zmarszczyła brwi.

Po pierwsze był krótki, mierzył może dwie trzecie długości zwykłego łuku, po drugie jego kształt był dość dziwny. Część środkową – długości mniej więcej dwóch trzecich całego łączyska – zrobiono z grubego ciemnego kawałka drewna, nieznacznie wygiętego. Pośrodku znajdował się uchwyt z miękkiej skóry, wyścielany i dopasowany do kształtu ręki. Na obu końcach umieszczono dodatkowe kawałki drewna, wygięte do przodu pod kątem w stosunku do środkowej części łączyska.

Will podał Maddie łuk, a ona przyjrzała mu się uważnie. Dwa rogi idealnie dopasowano do części środkowej – która zresztą również została wykonana z niezwykłą starannością. Wyglądało na to, że te dwie dodatkowe części przyklejono, a potem obwiązano mocno sznurkiem, który następnie wzmocniono kolejną porcją kleju i kilkoma warstwami lakieru.

Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że w przypadku tego łuku, tworzącego kształt podobny do rozciągniętej spłaszczonej litery W, cięciwę należy napinać w podobny sposób jak przy zwykłym łuku, po prostu naciągając ją od jednego gryfu do drugiego, aż ramię wygnie się łagodnie. Przyjrawszy się jednak dokładniej, Maddie dostrzegła, że szczyrbinki, trzymające cięciwę, wycięto w ten sposób, że łuk należy wygiąć w przeciwnym kierunku do tych dwóch dodatkowych rogów na końcach łączyska.

– To łuk refleksyjny – wyjaśnił Will po chwili. – Używają takich Temudżeini. Ja też posługiwałem się takim łukiem podczas kilku pierwszych lat nauki. Daje on wyższą prędkość strzału przy mniejszej sile naciągu. Ten jest obliczony na jakieś dwadzieścia pięć kilogramów. Kiedy wzmocnisz mięśnie, powinnaś dać sobie radę. – Przesunął palcem po zewnętrznej części łączyska i dodał: – Wzmocniono go ścięgnami jelenia, dzięki czemu jest bardzo giętki i elastyczny.

– A kto go zrobił? – spytała Maddie. Nadal obracała łuk w dłoniach, podziwiając wspaniałe rzemiosło. Drewnianemu łączysku z wielką starannością nadano kształt i wygładzono je bardzo dokładnie. Teraz, kiedy Will zwrócił na to jej uwagę, dostrzegła jelenie ścięgna. Nie rzucały się w oczy, bo cały łuk pociągnięto ciemnym lakierem o matowym wykończeniu – zapewne po to, by nie odbijało się od niego światło. Skórzany uchwyt idealnie leżał w dłoni, choć teraz, kiedy cięciwa nie była naciągnięta, łuk – z powodu tych dwóch dodatkowych wygięć na końcach – sprawiał wrażenie źle wyważonego.

– Ja – odpowiedział Will. – Hałt pokazał mi, jak się robi takie łuki, kiedy byłem jego uczniem.

– A mógłbyś pokazać mnie? – poprosiła z zapałem, a on kiwnął głową. Znowu dała dowód autentycznego zainteresowania i podziwu dla pięknie wykonanej broni.

– Kiedy przyjdzie odpowiedni moment. Najpierw musisz nauczyć się z niego strzelać. Strzelałaś już z łuku?

Przytaknęła, lecz z pewnym wahaniem. Damy na Zamku Araluen traktowały łucznictwo jako formę doskonałej rozrywki towarzyskiej, a Maddie czasem do nich dołączała. Tylko że tamte łuki zupełnie nie przypominały tego. To były zwykłe klasyczne łuki, zrobione z lekkiego drewna, o sile naciągu dziesięciu kilogramów lub nawet mniej, obliczone na niezbyt muskularne kobiece sylwetki. Z tego, co powiedział Will, wynikało, że ten łuk wymaga ponad dwa razy większego wysiłku.

– Nie z takiego – powiedziała, po czym odwróciła łuk, próbując dojść, jak napina się cięciwę. Zwykle opierała jeden koniec łączyska o ziemię i posługując się całym ciężarem ciała, naciągała cięciwę, aż ta wskoczyła w szczyrbinkę. Ale jakoś nie wyobrażała sobie, że miałyby postąpić podobnie w przypadku łuku o takim kształcie.

– Jak to się naciąga? – spytała.

Wyciągnął rękę i wziął od niej łuk.

– Istnieją dwa sposoby. Pierwszy: za pomocą napinacza. – Z kieszeni kaftana wyjął gruby sznur i rozwinął go. Na jednym końcu znajdowała się niewielka skórzana kieszonka, na drugim zaś szeroka pętla, obszyta skórą. Naciągnął kieszonkę na końcówkę ramienia łuku, tę, gdzie cięciwa już tkwiła w szczyrbince, a pętlę na drugie ramię, w odległości jakichś trzydziestu centymetrów od punktu, w którym łączysko tworzyło wygięcie.

Trzymając w ręku łuk ze zwisającą luźno cięciwą, stanął lewą stopą na linie napinacza, po czym zaczął wyginać łuk, wyężając mięśnie pleców, ramion i nóg, napinając łuk coraz mocniej i mocniej. Dzięki skórzanej kieszonce napinacz nie ześlizgiwał się po łączysku. Łuk trzeszczał, wyginał się coraz bardziej, a Will powoli przeciągał pętelkę na końcu cięciwy w górę, aż trafiła w szczyrbinkę na końcu ramienia.

– Zanim puścisz, zawsze sprawdzaj, czy siedzi jak należy – poradził. – Gdyby się wysłiznęła, musiałabyś zaczynać całą zabawę od początku.

Przyjrzał się cięciwie, uznał z zadowoleniem, że wszystko jest w porządku, po czym zwolnił linkę napinacza. Potem zdjął pętlę i kieszonkę i podał Maddie łuk, prawidłowo naciągnięty i gotowy do użytku.

– To chyba bardzo trudne – powiedziała z powątpiewaniem. Widziała, ile wysiłku kosztowała go ta operacja.

Wzruszył ramionami.

– Łatwe nie jest. Ale nauczysz się.

Teraz łuk idealnie leżał w jej dłoni. Zdawał się znacznie lepiej wyważony niż przedtem, zanim Will napiął cięciwę. Na próbę pociągnęła za nią lekko. Cięciwa stawiała opór. Maddie ze zdumieniem uniosła brwi. Słyszała, jak łucznicy rozmawiali o sile naciągu, ale niewiele jej to mówiło. Teraz poczuła na własnej skórze, jak trudno jest napiąć łuk o sile naciągu wynoszącej dwadzieścia pięć kilogramów. Nagle ogarnęły ją wątpliwości. Czuła, że nigdy jej się to nie uda.

– To kwestia techniki – powiedział Will, jakby czytał w jej myślach. – Musisz używać mięśni pleców i ramion. Przypuszczam, że zawsze po prostu odciągałaś ramię do tyłu?

Przytaknęła. Will dał jej znak, by zajęła odpowiednią pozycję. Ustawiła się, trzymając łuk na długość ramienia. Will podszedł do niej.

– Trzymaj rękę blisko ciała, nie wyciągaj jej – poinstruował. – Potem odpychaj łuk tą ręką, w której trzymasz łączysko, czyli ręką łucznią, a drugą jednocześnie ciągnij cięciwę. W ten sposób używasz mięśni obu rąk, a nie tylko ręki cięciwnej.

Z namysłem kiwnęła głową i przyciągnęła rękę bliżej ciała. Potem jednocześnie zaczęła jedną ręką odpychać łuk, a drugą ciągnąć cięciwę do siebie. Napięła łuk w jakichś dwóch trzecich pełnego naciągu, ale więcej nie zdołała. Rozluźniła mięśnie rąk, jęcząc z wysiłku.

– Nie mogę – mruknęła.

– Owszem, możesz. – Odpowiedź była bardzo zwięzła i nie pozostawiała miejsca dla argumentów.

Maddie spojrzała na Willa. Jeśli oczekiwała choćby odrobiny współczucia, to na próżno. Nagle zrozumiała, że jeśli naprawdę spróbuje, jeśli uczyni ten wysiłek, Will okaże jej pomoc i zrozumienie. A jeśli po prostu się podda, sprawy będą wyglądać zupełnie inaczej. Wzięła głęboki wdech i znów zaczęła ciągnąć cięciwę.

Usłyszała głos Willa:

– Pamiętaj, żeby złączyć łopatki, dzięki temu zaangażujesz mięśnie pleców i barków.

Posłuchała i tym razem zdołała mocniej naciągnąć cięciwę, aż jej prawy kciuk znalazł się zaledwie kilka centymetrów od twarzy.

– Dobrze – pochwalił ją Will. – A teraz spróbuj jeszcze raz, może dotkniesz kciukiem nosa.

Wytężając wszystkie siły i mocno napinając mięśnie, pociągnęła jeszcze raz. I rzeczywiście, udało jej się dotknąć nosa. Potem zwolniła cięciwę.

Potrząsnęła prawą ręką. Cięciwa wbiła się boleśnie w palce. Will wyjął coś z kieszeni i podał jej.

– Boli, co? Spróbuj tego.

Był to kawałek miękkiej skóry, coś w rodzaju rękawiczki z jednym palcem. U zwężonego końca wycięto otwór mniej więcej na szerokość palca. Rękawiczka rozszerzała się i tworzyła dwie części, mniejszą i większą, rozdzielone wycięciem. Will pokazał Maddie, że należy wsunąć w otwór palec wskazujący, tak by skórzana patka przylegała do wnętrza dłoni. Mniejsza część zasłaniała kciuk, ta większa zaś palec wskazujący i serdeczny.

– Strzała przechodzi tędy – powiedział Will, wskazując na otwór, dzielący dwie części rękawiczki. – Pozostała część skórki chroni twoje palce przed uszkodzeniem.

Maddie ponownie zaczęła naciągać cięciwę. Will miał rację, skórka rzeczywiście chroniła palce, a strzała przechodziła przez otwór – dwa palce leżały poniżej osadki, czyli nacięcia, przez który przechodzi cięciwa, palec wskazujący powyżej.

– Ty też używasz takiej skórki?

Will potrząsnął głową.

– To nieco kłopotliwe w czasie walki. Ja używam rękawic ze wzmocnionymi czubkami palców. Zamówię takie dla ciebie, ale na razie skórka ci wystarczy. Spróbuj jeszcze raz. Pamiętaj, ściągnij łopatki.

Maddie uniosła łuk. Napięła mięśnie rąk i pleców. Bez trudu dotknęła kciukiem nosa, po czym zwolniła cięciwę.

– Cieszę się, że nie przyszło ci do głowy puścić po prostu cięciwę, kiedy nie ma na niej strzały – rzucił szorstko.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że strzelanie na sucho może poważnie uszkodzić łuk.

– Mistrz Parker zawsze groził, że wyciągnie konsekwencje w stosunku do każdej damy, która dopuści się takiego przewinienia.

Will kiwnął głową.

– I bardzo dobrze. Oczywiście, im mocniejszy łuk, tym większe ryzyko poważnych uszkodzeń. Dobrze, zobaczymy, jak sobie radzisz ze strzałami.

Wyjął strzałę ze zwojów impregnowanej tkaniny i podał ją Maddie. Z uznaniem kiwnął głową, kiedy prawidłowo umieściła strzałę w cięciwie. Pamiętał, że Halt musiał uczyć go podstawowych rzeczy na temat łucznictwa. Maddie wsunęła cięciwę w osadkę tuż poniżej zaznaczonej linii i spojrzała krytycznie na strzałę.

– Trochę krótka – stwierdziła.

Kiwnął głową.

– To odpowiednia długość, powinnaś dociągnąć cięciwę do nosa. Nie ma sensu ćwiczyć na dłuższych strzałach, to byłby zmarnowany wysiłek.

Po chwili namysłu Maddie stwierdziła, że Will ma rację. Zajęła odpowiednią pozycję. Zawahała się.

– A co jest celem?

Will wskazał na belę siana, stojącą w odległości około dwudziestu metrów od nich.

– To powinno wystarczyć – stwierdził. Maddie przyjrzała się celowi, kiwnęła głową i ustawiła się odpowiednio, trzymając łuk opuszczony w dół, ze strzałą nałożoną na cięciwę. Wycięcie skórki, chroniącej rękę, wypadało dokładnie w miejscu, gdzie

znajdowała się osadka, przez którą przechodziła cięciwa. Palec wskazujący Maddie leżał ponad osadką, a palce środkowy i serdeczny pod spodem. Pomyślała, że skórka rzeczywiście wiele daje. Zaczęła podnosić łuk, lecz nagle przerwała.

– Masz ochraniacz na ramię? – zapytała. Cień rozczarowania przemknął po twarzy Willa, lecz zaraz zniknął. Will odwrócił się i zaczął grzebać w zwojach impregnowanej tkaniny. Po chwili odnalazł skórzany ochraniacz i podał go Maddie. Włożyła go na lewe ramię.

– Jak taka cięciwa uderzy, to tak jakby dostać batem – powiedziała.

Mruknął coś pod nosem. Maddie, zaintrygowana, przyjrzała mu się bacznie.

– Tylko mi nie mów, że nie włożyłeś ochraniacza, kiedy zaczynałeś strzelać z takiego łuku?

Popatrzył na nią. Maddie poczuła złośliwą satysfakcję.

– Nie włożyłeś, prawda?

Wskazał na belę siana.

– Lepiej wracaj do pracy.

Potrząsnęła głową z udawanym niedowierzaniem.

– Musiałeś być strasznie głupi.

– Kiedy tylko będziesz gotowa, możesz zaczynać.

Przyjęła odpowiednią pozycję i uniosła łuk. Nie mogła sobie jednak darować jeszcze jednej uwagi.

– Założę się, że za drugim razem już miałeś ochraniacz.

– Do roboty! – warknął Will.

Napięła mięśnie barków i pleców, naciągnęła cięciwę tak mocno, jak tylko potrafiła, wycelowała i wypuściła strzałę. Ta wbiła się w ziemię o metr za blisko.

Maddie zmarszczyła brwi, nałożyła kolejną strzałę, wypuściła ją. To samo. Zerknęła na Willa.

– Co robię źle?

Pochylił się w jej stronę i zapytał sztucznie słodkim tonem:

– Sądzisz, że ktoś tak głupi jak ja potrafi ci to powiedzieć?

Westchnęła i wywróciła oczami. Na to pytanie nie było odpowiedzi. Uznała, że pozwoli mu mieć ostatnie słowo. Kiedy znów się odezwał, jego głos brzmiał konkretnie i rzeczowo.

– Nie jesteś przyzwyczajona do ciężaru łuku i za szybko wypuszczasz strzałę. Opuszczasz rękę łuczną w chwili puszczenia cięciwy i pocisk kieruje się w dół. Musisz wytrzymać w tej pozycji trochę dłużej. Nie za długo, bo ręka zacznie ci się trząść, ale kilka sekund. Wystrzel i policz do dwóch, nie zmieniając pozycji.

Spróbowała ponownie, korzystając ze wskazówek Willa. Tym razem strzała z drzeniem trafiła w belę siana, z samego brzegu po lewej stronie.

– No, nie najgorzej – uznał Will.

Zareagowała oburzeniem.

– Nie najgorzej? Nie najgorzej? To mój trzeci strzał i trafiłam do celu! To chyba trochę lepiej niż nie najgorzej.

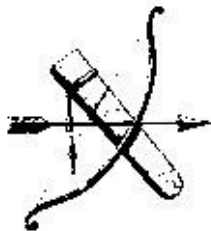
– Gdyby ta bela była człowiekiem – odparł Will – strzała ledwie musnęłaby go w lewe ramię. Gdyby to był rycerz, zapewne osłoniłby się tarczą, strzała zsunęłaby się po niej, a on nadal zmierzałby w twoją stronę. Nie najgorzej znaczy nie dość dobrze. Nie najgorzej może równać się śmierć.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, ona wściekła, on z rozbawieniem unosząc jedną brew. W końcu ruchem głowy wskazał cel.

– Jeszcze dwadzieścia strzałów – polecił. – Zobaczmy, czy przejdiesz do kolejnego etapu w miarę znośnie.

Jęknęła po cichu i założyła kolejną strzałę. Barki i plecy już ją bolały.

„Nie powinnam była z niego żartować”, pomyślała. Cóż, trochę za późno to sobie uświadomiła – jak to często w życiu bywa.





Z dwudziestu strzałów zrobiło się czterdzieści. W końcu Will dał Maddie wolne do końca dnia.

Tej nocy Maddie rzucała się na posłaniu, bezskutecznie próbując zasnąć, walcząc z bólem i skurczami mięśni barków, ramion i pleców. Pasma światła w szparze pod drzwiami świadczyło o tym, że Will również nie śpi. Po godzinie Maddie wstała, podeszła na palcach do drzwi i uchyliła je. Will siedział przy piecu, z plikiem kartek na kolanach – Maddie wiedziała, że są to raporty zwiadowców z innych lenn. W pewnej chwili Will wziął jedną z kartek i włożył ją do skórzanej teczki, leżącej na stole.

– To może być on – mruknął pod nosem, Po czym zabrał się za kolejny raport.

Maddie wróciła do łóżka, z namysłem marszcząc brwi.

„O co chodzi?” – zastanawiała się. Coś jej mówiło, że nie powinna wypytywać o to Willa.

Następnego dnia, kiedy już uporała się z pracami domowymi, rozpoczęła się dalsza część treningu. Wypuściła dwadzieścia strzał, potem Will pozwolił jej na dziesięciominutowy odpoczynek, i znowu dwadzieścia. Jej plecami i ramionami szarpał okropny ból, ale zacisnęła zęby i nie przerywała. Pod koniec tygodnia poczuła, że z większą łatwością naciąga cięciwę. Jej technika była coraz lepsza, mięśnie zaś robiły się coraz twardsze. Ból nie zniknął, ale stępsiał i malał z każdym dniem, nie przypominał już tych okropnych skurczów, które męczyły ją przez pierwsze dni.

Will przez cały czas pilnie czytał raporty, przesyłane mu przez innych zwiadowców. Często widziała, jak siedzi, oparty plecami o drzewo, zatopiony w lekturze. Wiedziała, że zwiadowcy starają się śledzić na bieżąco wydarzenia w królestwie. Czuła jednak, że w tym przypadku chodzi o coś więcej. Od czasu do czasu Will odkładał którąś kartkę do coraz grubszej skórzanej teki.

Po dwóch tygodniach Maddie potrafiła niemal swobodnie napinać łuk i przytrzymać naciągniętą cięciwę przez kilka sekund. Jednocześnie stwierdziła, że coraz lepiej celuje, już więcej niż połowa strzał trafiała w sam środek beli. I coraz rzadziej pudłowała.

Widząc, że rosną jej umiejętności techniczne i siła mięśni, Will postanowił popracować nad precyzją strzałów.

– Nie celuj, patrząc na drzewce – tłumaczył. – Musisz wyczuć, dokąd polecą strzała. Musisz widzieć pełen obraz: belę siana, łuk i grot strzały. Nauczyć się jej lotu.

Zmarszczyła brwi.

– Niby jak?

– Jest tylko jeden sposób. Musisz ćwiczyć. Ćwiczyć i ćwiczyć, aż będziesz to robić całkowicie odruchowo. Przyglądaj się, jak leci strzała, a po jakimś czasie będziesz instynktownie potrafiła odpowiednio ją ustawić. Nauczysz się też, że trzeba wziąć pod uwagę odległość i mierzyć odpowiednio wyżej ponad celem, by trafić w sam środek.

Oczywiście Maddie ćwiczyła się nie tylko w łucznictwie. Uczyla się również rzucać nożem i saksą. Za cel służyła jej drewniana deska, oparta o pień drzewa. Kiedy zaczęło jej iść już całkiem nieźle, zwiększyła odległość i uczyła się rzucać tak, by nóż wykonał podwójny obrót w powietrzu.

Przynajmniej te ćwiczenia nie kończyły się bólem i skurczami mięśni. I na całym świecie nie było przyjemniejszego dźwięku dla ucha niż odgłos ostrza, zagłębiającego się w sosnową deskę.

I bardziej frustrującego niż wibrujący grzechot noża, odbijającego się od deski po niecelnym rzucie i spadającego gdzieś w trawę.

Uczyła się też innych rzeczy. Will pokazywał jej, jak dzięki pelerynie w nieregularne cętki można wtopić się w otoczenie.

– Ten wzór sprawia, że rozmywają się kontury sylwetki. Wszystko staje się nieregularne, niewyraźne, a kolory cętek naśladują barwy drzew i poszycia. Najważniejsze jednak to stać absolutnie nieruchomo, w tym cały sekret. Większość ludzi, kiedy wydaje im się, że zostali zauważeni, niepotrzebnie wykonuje ruch i to właśnie ich zdradza. Jeśli jednak stoisz nieruchomo, przekonasz się, że ten, kto cię szuka, może podejść na naprawdę niewielką odległość i wcale cię nie zauważy. Pamiętaj o podstawowej zasadzie: zaufaj pelerynie.

Słowa rozbrzmiały echem w jego pamięci, kiedy je wypowiadał. Halt powtarzał je tyle razy. Will odkrył ze zdumieniem, że przekazywanie wiedzy młodej osobie jest bardzo satysfakcjonujące – szczególnie że Maddie uczyła się z takim zapałem. Umiejętności związane z funkcją zwiadowcy bardzo ją fascynowały. Była obdarzona niespokojnym i niepokornym duchem, podobnie jak matka. I tak samo jak jej rodzicielce, bardziej odpowiadała jej nauka tropienia i strzelania niż hafty i robótki ręczne.

Ale pewne strony jej zachowania wymagały korekty. Do tej pory była rozpieszczana, ludzie spełniali wszelkie jej kaprysy. Wskutek tego lubiła stawiać na swoim, a kiedy coś szło nie po jej myśli, szybko niecierpliwiła się i irytowała.

Choć zachowywała się znacznie sympatyczniej niż na początku, nadal lubiła dąsać się i kapryścić. „Zupełnie jak jej matka”, pomyślał Will, przypominając sobie, jak Evan-lyn dawała wszystkim popalić na okręcie Eraka i na Skorghij.

Maddie była jednak również uparta i zdeterminowana – która to cecha zapewne ściśle łączyła się ze skłonnością do dąsów – a to budziło jego szczere uznanie. Zauważył, że kiedy nie strzelała, potrafiła przez prawie pół godziny naciągać cięciwę i zwalniać ją powoli, w ten sposób przyzwyczajając mięśnie do określonych ruchów i budując ich siłę.

Pewnego dnia zobaczył, jak ćwiczy na tyłach chaty, z trudem próbując za pomocą napinacza umieścić cięciwę we właściwym położeniu.

– Jest na to inny sposób – powiedział. – I nie trzeba wówczas nosić ze sobą napinacza.

Wyciągnął rękę, a ona podała mu łuk. Odczepił napinacz.

– Sądzę, że wzmocniłaś mięśnie na tyle, że dasz sobie radę.

Przyglądała się, jak zaczepia jeden z wygiętych końców łuku o lewą kostkę, tak by go unieruchomić, po czym stawia prawą stopę między luźną cięciwą a łączyskiem. Potem, przytrzymując łuk lewą nogą i używając ciężaru całego ciała oraz siły pleców i prawego ramienia, prawym udem zaś posługując się jak dźwignią, wygiął łuk do przodu. Gładko przeciągnął cięciwę w górę łączyska i wsunął ją w osadkę. Potem wyprostował się i podał Maddie napięty łuk.

– Proszę. Zwalniasz w ten sam sposób. Spróbuj.

Przyjęła taką samą pozycję, po czym nacisnęła na łączysko, by uwolnić cięciwę. Początkowo szło jej bardzo opornie, ale po chwili stwierdziła, że posługując się siłą mięśni nóg, pleców i ramion potrafi wygiąć łuk.

Uśmiechnęła się triumfalnie. Will kiwnął głową – bez uśmiechu. To jednak nie potrafiło popsuć jej humoru. Wsparła łuk o lewą kostkę, po czym zaczęła naciągać cięciwę. Pod koniec szło jej nadal bardzo opornie, lecz wreszcie pętka wskoczyła na miejsce.

– Ty też napinasz cięciwę w ten sposób? – zapytała, uświadomiwszy sobie, że nigdy nie widziała go podczas tej czynności. Wzruszył ramionami.

– Czasem. To łatwiejsze w przypadku łuku refleksyjnego, można zaczepić go o kostkę i unieruchomić. W przypadku zwykłego łuku nie jest to takie proste, może wysliznąć się w najmniej odpowiednim momencie. Ale przeważnie używam tego. – Tu wskazała na tylną część prawego buta. Maddie dostrzegła, że za obcasem kryje się skórzana pętla.

– Wkładam jeden koniec łączyska do tej pętli, po czym, posługując się całym ciałem, wyginam łuk na własnych plecach, jednocześnie wsuwając cięciwę na miejsce – wyjaśnił.

Kiwnęła głową z namysłem. Potrafiła wyobrazić sobie, jak to działa.

– A więc chodzi o to, żeby użyć siły wszystkich mięśni? Pleców, nóg i ramion? – zapytała.

– Tak, to najlepsza metoda. Użyć całej siły, jaką dysponujesz. Nie skupiaj się na jednej partii. Większość zwiadowców nie może pochwalić się pokaźnym wzrostem. Musimy wykorzystać to, co mamy.

Popatrzyła na niego z zaciekawieniem. Nigdy nie myślała o nim jako o osobie niewielkiego wzrostu. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że rzeczywiście, jest znacznie niższy od jej ojca. A także większości rycerzy i wojowników, których miała okazję kiedykolwiek widzieć. Tak, był niższy, ale jeśli chodzi o obwód ramion i klatki piersiowej w niczym im nie ustępował. Domyślała się, że mięśnie te zawdzięcza długoletnim ćwiczeniom i strzelaniu z łuku o sile naciągu czterdziestu pięciu kilogramów.

Will, jak to często bywało, domyślił się, co jej chodzi po głowie.

– W kwestii rozmiarów należy wspomnieć o jednej ważnej rzeczy – powiedział. – Im ktoś większy, tym więcej ma do ukrycia.

Ruchem głowy wskazał broń, którą trzymała w ręku.

– Ćwicz dalej – rzucił, odchodząc do swoich papierów. Tego ranka nadeszła kolejna porcja raportów i spieszyło mu się, by je przejrzeć.

Maddie zaczęła napinać łuk, jednym ramieniem pchając do przodu, a drugim ciągnąc cięciwę do siebie. Potrafiła naciągnąć ją już tak mocno, że palcem wskazującym niemal dotykała kącika ust.

– Chyba będę musiał zrobić dla ciebie dłuższe strzały – usłyszała. Podniosła wzrok, zaskoczona. Myślała, że sobie poszedł, ale on stał za węglem i cały czas ją obserwował. – Ćwicz dalej – powtórzył, a potem naprawdę sobie poszedł.



Zwykle trenowała strzelanie z łuku i rzucanie nożem popołudniami, poranki zaś poświęcała na ogólne ćwiczenia, biegi i naukę kamuflażu. Pewnego dnia jednak Will zmienił plan dnia. Zjedli razem drugie śniadanie: świeży chleb, ser o ostrym wyrazistym smaku i jabłka. Maddie popijała zimne mleko, Will kawę. Któregoś razu pokazał jej, jak należy mleć ziarna – by nie wrzucać ich w całości na gotującą się wodę. Z rozkoszą dopił ostatnie krople.

– Dochodzisz do wprawy – pochwalił ją.

Potem posprząтали ze stołu i pozmywali naczynia. Maddie jak zwykle sięgnęła po łuk i kołczan, wiszące przy drzwiach, Will jednak potrząsnął głową.

– Nie dzisiaj – powiedział. – Dziś chcę popatrzeć, jak sobie radzisz z tą swoją procą.

– Jestem całkiem dobra – odparła z przekonaniem, choć po chwili namysłu musiała stwierdzić, że nie ćwiczyła strzelania z procy od wyjazdu z Zamku Araluen. Całe dni wypełniały jej łuk i noże.

Will uniósł brew.

– A jaka skromna – skomentował.

Wzruszyła ramionami. Miała nadzieję, że się nie zbłąźni. Poszła do swojego pokoju, wyjęła procę i sakiewkę z pociskami ze skrzyni, w której trzymała rzeczy.

Przez ten czas Will ustawił na polance pięć słupków, na każdym z nich wieszając stary hełm – zabrał je ze zbrojowni w Redmont, ze stosu przeznaczonego do wyrzucenia. „Wrogowie” stali w różnej odległości, pierwszy – zaledwie dwudziestu metrów, ostatni – ponad czterdziestu. Will rozmieścił słupki niesymetrycznie, najbliższy – z brzegu po prawej stronie, najdalszy pośrodku, inne

porozrzucił tu i tam. Maddie patrzyła uważnie. To był trudniejszy test niż ten, który przeszła w Zamku Aralu-en pod okiem Halta i Gilana. W tym przypadku będzie musiała przy każdym rzucie od nowa oceniać odległość. Przywiązała sakiewkę do pasa, wybrała jeden z ołowianych pocisków i wsunęła go do miseczki, po czym opuściła rękę wzdłuż ciała i zaczęła kołysać procą. Will przypatrywał się uważnie. Wyciągnął rękę.

– Mogę? – zapytał, wskazując na ciężką sakiewkę. Wyjęła kolejny pocisk i podała mu. Patrzyła, jak waży go w dłoni.

– Ołów – stwierdził. – Twoja matka używała kamieni, o ile pamiętam.

– Ja też kiedyś używałam kamieni. W razie potrzeby nadal mogłabym się nimi posłużyć. Ale różnią się ciężarem i mają nieregularne kształty, a to wpływa na precyzję rzutu. Ołowiane kule są identyczne. Chyba nie chciałbyś strzelać strzałami o różnej długości i ciężarze, prawda?

Przytaknął z uznaniem.

– A skąd je bierzesz?

– Sama je robię. Mam formę odlewniczą. Topię ołów i wlewam do formy. Potem spiłowuję nierówne brzegi, które tworzą się w miejscu złączenia.

– Hmm – mruknął Will. Widział ślady pilnika. Bardzo cenił ludzi, którzy sami robią broń i pociski. Szczególnie godne podziwu w przypadku księżniczki, która przecież mogłaby zlecić taką robotę zamkowym zbrojmistrzom.

– Pięć pocisków. Po jednym na każdy hełm. Zobaczmy, czy naprawdę jesteś taka dobra. – Lekko zaakcentował słowo „naprawdę” i czekał, jak zareaguje Maddie. Popatrzyła na niego, mocno zaciskając wargi. Wyzwanie zostało rzucone. Zamierzała je podjąć.

– Który najpierw? – zapytała. Skrzywił przesadnie wargi, udając, że się zastanawia.

– Powiedzmy, że tych pięć hełmów to pięciu Temu-dżeinów, którzy biegną w twoją stronę z zamiarem oddzielenia cię od twojej głowy. Którego byś wybrała?

Odpowiedź była oczywista.

– Tego najbliższej.

Will kiwnął głową, po czym wskazał na hełmy i dodał:

– Oczywiście, do tej pory on już by cię dopadł i ta twoja śmieszna proca nie na wiele by się zdała, nieprawdaż?

Zrozumiała aluzję.

Patrzył, jak Maddie ustawia się bokiem, wysuwając lewą stopę w stronę celu, a prawą rękę z procą opuszczając swobodnie wzdłuż ciała. Zakołysała nią raz, po czym wzięła zamach i wypuściła jeden koniec procy, jednocześnie robiąc krok do przodu prawą nogą.

KLANG!

Hełm, który obrała sobie za cel, podskoczył przy uderzeniu ciężkim pociskiem, spadł na ziemię i zakołysał się na boki. Maddie niemal natychmiast załadowała kolejny pocisk. Tym razem celowała w hełm wysunięty najbardziej w lewo.

KLANG!

Pocisk uderzył nieco z boku, hełm zakręcił się na słupku. Maddie już celowała w następny hełm. Znów wyrzuciła pocisk. Ale tym razem trochę za bardzo się pospieszyła i ołów przeleciał obok, chybając o trzydzieści centymetrów.

Zawahała się, niepewna, czy ma strzelić jeszcze raz do tego samego celu.

– Nadal idzie w twoją stronę – powiedział spokojnie Will. Maddie prędko załadowała kolejny pocisk, wyrzuciła, hełm spadł ze słupka i zawirował na ziemi.

Został tylko jeden pocisk. Maddie załadowała, zamierzyła się na bliższy hełm i rzuciła. Proca mignęła w powietrzu, pocisk wyleciał z niej ze świstem i wałnął dokładnie w środek hełmu, zostawiając po sobie spore wgłębienie.

Maddie spojrzała na Willa, cała czerwona.

– No i jak ci poszło, twoim zdaniem? – zapytał z kamienną twarzą, głosem całkowicie pozbawionym emocji.

Wzruszyła ramionami. Próbowwała nie robić zbyt zadowolonej z siebie miny.

– Cztery na pięć. To chyba nieźle, co?

Przez kilka sekund patrzył na nią w milczeniu.

– Atakowało cię pięciu temu-dżeińskich wojowników – powiedział w końcu. – Trafiłaś czterech z nich. Piąty najprawdopodobniej cię dopadł. W tej sytuacji cztery na pięć to niezbyt dobry wynik. Nie żyjesz.

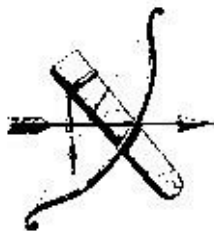
Poczuła, że jeszcze bardziej się czerwieni, ze złości i zażenowania. Wiedziała, że Will ma rację. Tak, w tym świecie cztery na pięć to nie jest wystarczająco dobrze.

– Ćwicz dalej – dorzucił.

– Aż zacznę to robić dobrze – powiedziała.

Poprawił ją:

– Aż przestaniesz to robić źle.





Maddie trenowała codziennie. Minął tydzień od pierwszej sesji z procą. Dzień zaczynała od godzinnego treningu strzelania z łuku, potem przez kolejną godzinę rzucała nożami. Po przerwie na drugie śniadanie ćwiczyła strzelanie z procy.

Nadal za cel służyło jej pięć starych hełmów, ale każdego dnia Will przesuwiał słupki, tak że za każdym razem stały w innej konfiguracji.

– Nie ma sensu przyzwyczajać się do jednego ułożenia kątów i odległości – wyjaśnił, kiedy o to zapytała. Strzelała coraz celniej. W trzech przypadkach na cztery udawało się jej trafić do wszystkich hełmów. Tak więc nadal nie był to idealny wynik.

Zauważyła jedną interesującą rzecz. Pod koniec każdej serii zwiększało się napięcie mięśni i w rezultacie ostatni strzał oddawała zbyt szybko, jakby chciała czym prędzej mieć go już za sobą. I zwykle chybiała.

Wspomniała o tym Willowi, a on kiwnął głową.

– To naturalna reakcja – wyjaśnił. W wyobraźni widzisz już idealny wynik i zaczynasz się denerwować. Spróbuj nad tym zapanować. Rozluźnij się. Nie spiesz się. Później popracujemy nad szybkością strzałów, na tym etapie lepiej poświęcić więcej czasu na każdy strzał niż spieszyć się i przez to nie trafić do celu.

Właśnie zaczynała drugą serię. Pierwsza wypadła doskonale. Pięć rzutów, pięć trafień. Cztery pierwsze z drugiej serii także były trafione, został jeszcze ostatni. Przerwała na chwilę, czekając, aż jej oddech się uspokoi. Czuła podekscytowanie, chciała szybko mieć to za sobą. Zapanowała jednak nad tym pragnieniem.

„Lepiej trafić wroga trochę później niż spudłować”, pomyślała. Zerknęła ukradkowo na Willa. Siedział opodal, oparty o pień drzewa, z wyciągniętymi nogami. Zauważyła, że tym razem nie ma przy sobie swej nieodłącznej teki z raportami. Po chwili zastanowienia stwierdziła, że nie widziała jej już od kilku dni. Obszerny kaptur zasłaniał mu twarz. Will wyglądał, jakby spał. Mogłaby jednak założyć się, że wcale tak nie jest.

Wzięła głęboki wdech, zajęła odpowiednią pozycję, skupiła wzrok na celu i zmusiła mięśnie, by się rozluźniły. Potem zakołysała procą, jednocześnie wysuwając prawą nogę do przodu.

ŁIZZ... KLANG!

Hełm podskoczył, lecz pozostał na słupku.

– Dziesięć na dziesięć – stwierdziła.

Will milczał. Znów spojrzała na niego. Nadal siedział całkowicie nieruchomo. Westchnęła i ruszyła w stronę słupków. Jej pociski strąciły dwa hełmy na ziemię, teraz podniosła je i powiesiła na miejscu. Zebrała też ołowiane pociski i obejrzała je uważnie. Powgniatały się pod wpływem uderzenia o żelazne hełmy, niektóre spłaszczyły się, na innych widniały głębokie rysy. W takim stanie nie nadawały się do użytku, ale Maddie zamierzała przetopić je i odlać ponownie. Włożyła już używane do kieszeni, a potem wróciła na stanowisko.

Wyrzuciła pięć kolejnych pocisków, płynnym, pełnym wdzięku ruchem, kontrolując siłę i prędkość każdego rzutu.

Pięć trafień.

Czuła narastające podekscytowanie. Trzy rundy, ani jednego pudła. Jeszcze nigdy nie szło jej tak świetnie.

„Jeśli teraz nie trafię, wszystko zepsuję”.

Ta myśl zakradła się do jej umysłu jak złodziej. Odsunęła ją od siebie ze złością, potem zrobiła kilka kroków w tył i w przód, oddychając głęboko, potrząsając rękami, by odpędzić sztywność mięśni.

Pokręciła szyją i ramionami. W wyobraźni widziała samą siebie, jak wypuszcza kolejny pocisk. Jej ruchy są idealnie skoordynowane, rzut mocny i celny. Zamazany kształt pocisku mknie ponad polaną i uderza w wybrany cel.

„Zobacz to w wyobraźni. A potem zrób”, mówił jej Will. Kiwnęła głową do samej siebie, po czym bardzo powoli włożyła ołów do miseczki. Wysunęła lewą stopę, opuściła prawą dłoń wzdłuż ciała, wychylając ją nieco do tyłu, zakołysała procą – lekko, jakby było to wahadło zegara.

Will za każdym razem kazał jej strzelać w odwrotnej kolejności. Podczas pierwszej serii miała zacząć od najbliższego słupka i posuwać się stopniowo do ostatniego, przy następnej serii – odwrotnie. „Założmy, że uciekają”, powiedział Will.

Podczas trzeciej serii miała wrócić do pierwotnego porządku, a potem znowu na odwrót.

To była czwarta seria, a więc miała zacząć od słupka stojącego najdalej.

„Najtrudniejsze na początek”, pomyślała, ale zmusiła się, by zapomnieć o negatywnym nastawieniu. Odsunęła od siebie wszystkie myśli i oczekiwania, skupiła się na celu, po czym zakręciła procą i wystrzeliła.

Od razu wiedziała, że to dobry rzut. Nie odrywała wzroku od rozpędzonego pocisku.

ŁIZZ... KLANG!

Hełm zawirował jak oszalały. Maddie uśmiechnęła się. Teraz miało być już z górki.

ŁIZZ... KLANG!

Drugi pocisk trafił dokładnie w środek hełmu, tak mocno, że słupek aż się przechylił. Maddie załadowała następną ołowianą kulę i zwróciła się w stronę kolejnego celu, wysuniętego najdalej w lewą stronę.

ŁIZZ... KLANG!

Następny doskonały rzut. I kolejny pocisk. Brakowało tylko dwóch trafień, by osiągnęła idealny wynik. Tylko dwóch. Serce galopowało w piersi jak szalone. Z wysiłkiem opanowała emocje. Rozluźniła mięśnie. Załadowała następny kawałek ołowiu, wycelowała i rzuciła.

ŁIZZ... KLANG!

Trochę z boku, ale nadal śmiercionośny. I o tak dużej prędkości, że dźwięk uderzenia rozległ się niemal w tym samym momencie, co dźwięk pocisku, wylatującego z procy.

Cztery na cztery. Dziewiętnaście na dwadzieścia. Jeszcze nigdy nie była tak bliska idealnego wyniku. Sięgnęła do sakiewki po kolejny pocisk i włożyła do miseczki, o mało go przy tym nie upuszczając, tak trzęsły jej się ręce. Jeszcze raz głęboko nabrała powietrza w płuca. Czekala, aż jej serce przestanie pędzić. Próbowala uspokoić się przed decydującą chwilą.

I nagle, niespodziewanie, odnalazła spokój. Jej oddech i puls zwolniły. Oczami wyobraźni zobaczyła ostatni rzut. Idealny, mocny i niezwykle precyzyjny. Niepiesznie zajęła pozycję, skupiła wzrok na celu. Doszedł do głosu instynkt, pamięć o setkach wcześniejszych rzutów. Wiedziała, że potrafi to zrobić. Przeniosła ciężar ciała na prawą stopę, następnie zakręciła kuszą i w odpowiednim momencie wypuściła z ręki jeden jej koniec.

ŁIZZ-KLANG!

Pocisk uderzył prosto we wgniecenie, widniejące na hełmie, wywalając w nim wielką dziurę, przebił go, zagrzechotał o tylną ściankę, a potem spadł na ziemię. Hełm przechylił się do tyłu, trzymał się na słupku samym skrajem.

Odetchnęła głęboko. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Podeszła do słupka, by obejrzeć rozmiary zniszczenia.

Cztery serie. Dwadzieścia trafień. Idealny wynik. Usłyszała w pamięci słowa Willa: „Aż przestaniesz to robić źle”.

I właśnie to osiągnęła. Spojrzała na nauczyciela. Nadal siedział oparty o drzewo, ale kaptur odrzucił do tyłu i przypatrywał się jej uważnie.

– Coś mi się wydaje, że osiągnęłaś idealny wynik – powiedział.

Przytaknęła z zapalem.

– Tak! Dwadzieścia na dwadzieścia! W końcu mi się udało!

– Hmm – mruknął, krzywiąc się. – No cóż, zobaczymy, czy jutro też ci się uda.

Podniósł się, a ona popatrzyła na niego, trochę skonsternowana. O co mu chodziło? „Zobaczymy, czy jutro też ci się uda”? I już? Trenowała od kilku tygodni i wreszcie się udało... i to wszystko?

Will wyczuł jej nastrój i nieco łagodniejszym tonem dodał:

– Dobra robota. Tylko nie wpadnij w samozachwył. Chcę, żebyś osiągnęła pełnię swoich możliwości. A czuję, że możesz być naprawdę, naprawdę dobra.

– O – powiedziała, wbijając wzrok w ziemię i grzebiąc w piachu czubkiem buta. Nie mogła się gniewać, kiedy mówił takie rzeczy. – Może i tak...

– A więc trenuj dalej, do końca tygodnia. Potem pojedziemy po konia dla ciebie.

Cofnęła się o krok, nieco zdezorientowana.

– Mam przecież konia – odparła. – Nazywa się Sundancer, pamiętasz?

Był to arydzki wałach, którym przyjechała z Zamku Araluen do Redmont. Stał razem z Wyrwajem w stajni na tyłach chaty.

– Potrzebny ci koń zwiadowcy – wyjaśnił Will.

Maddie wyzywająco uniosła głowę.

– Jeden z tych kudłatych kucyków, jak ten, na którym jeździsz? – zapytała lekceważąco. – Sundancer bez najmniejszego problemu zostawiłby w tyle taką baryłę.

– Doprawdy? – powiedział Will, mrużąc oczy. – Zobaczymy. I lepiej nie mów takich rzeczy przy Wyrwiju.

– Czemu? Czy poczułby się urażony? – spytała sarkastycznie.

Will pochylił głowę. Odpowiedział dopiero po chwili.

– Całkiem możliwe. Ale raczej by się wkurzył. A to niezbyt dobry pomysł, wkurzać Wyrwija.

Odwrócił się i ruszył na tył chaty.

– Dokąd idziemy? – zapytała Maddie.

– Osiodłać konie – odparł. – Przejedziemy się. Chcę zobaczyć, jak twój koń zostawia w tyle moją baryłę.

Maddie ogarnęło nieprzyjemne przeczucie, że popełniła błąd.

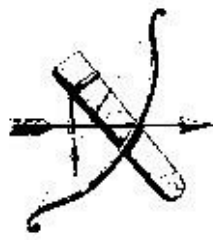
– Zabierzmy trochę prowiantu. Nie wrócimy na noc – rzucił Will przez ramię.

– A dokąd jedziemy?

– Do fortu Derrylon. To dzień jazdy stąd. Rozbijemy obóz, wrócimy jutro. Sundancerowi nie zabraknie okazji, żeby zostawić Wyrwija w tyle.

Maddie znów poczuła, że popełniła błąd.

I to wielki.





Kiedy osiedłali konie, Will zdjął ze ściany zrolowane płótno i przywiązał je za swoim siodłem. Potem wskazał na drugi, podobny zwój, wiszący obok.

– Zrób to, co ja – polecił.

Zdjęła zwój ze ściany i ze zdumieniem stwierdziła, że jest bardzo ciężki.

– Co to?

– Wszystko, co potrzebne, kiedy nocuje się poza domem. Impregnowane płótno, z którego można zrobić jednoosobowy namiot, koc i kilka innych drobiazgów.

Uśmiechnęła się zuchwale.

– Myślałam, że po prostu owiniemy się pelerynami i będziemy spać pod krzakiem – powiedziała.

Will sprawdził popręg Wyrwija. Jego konik miał uroczy zwyczaj: w momencie, gdy Will zaciągał pasek, nabierał powietrza, a potem wypuszczał je, tak że popręg zwisał luźno.

– Jeśli chcesz, to proszę bardzo – powiedział. – Ja wolę mieć sucho i ciepło. A chyba zanoszą się na deszcz.

Maddie zaczęła przywiązywać ekwipunek do siodła, a Will wyprowadził Wyrwija ze stajni, wrócił do chaty i spakował trochę jedzenia: chleb, ser, jabłka, suszoną wołowinę i nieco warzyw. Pomyślał, że jeśli przyjdzie im ochota na świeże mięso, Maddie może coś upolować za pomocą swojej procy. Na koniec dorzucił jeszcze paczuszkę przypraw, ziół i innych ingrediencji. Potem wyszedł przed chatę i wskazując dwa bukłaki, wiszące obok pompy, powiedział:

– Możesz je napełnić.

Maddie posłusznie zaczęła nalewać wodę. Tymczasem Will wsiadł na swego konia, który zastrzygł uszami i spojrzał na niego pytająco. Zwiadowca potrząsnął głową.

– Później – mruknął.

Maddie podniosła głowę, przy okazji mocząc sobie rękaw.

– Coś mówiłeś?

Znów potrząsnął głową.

– Nie, odchrząknąłem.

Podawała mu bukłak, drugi zaś przywiązała do swojego siodła i wskoczyła na konia. Sundancer zaczął niecierpliwie drobić w miejscu. Nie biegał już od dwóch dni, był pełen energii i cieszył się na przejażdżkę – podobnie jak jego pani. Wyrwij, przeciwnie, spokojnie stał w miejscu.

– No to w drogę – powiedział Will.

Ruszył skróconym galopem. Maddie zacięła Sundan-cera, ten zaś zaczął wyrwać do przodu. Wstrzymała go jednak, aby dostosował się do tempa Wyrwija, aż zatańczył w miejscu z wysoko uniesionym łbem.

– Cały czas będziemy jechać tak wolno?

Will odwrócił się w siodle i spojrzał na nią. Musiał zadrzeć głowę do góry, bo Sundancer miał znacznie dłuższe nogi od Wyrwija.

– Taki miałem zamiar.

Maddie prychnęła wzgardliwie.

– Nic dziwnego, że wycieczka ma potrwać cały dzień. – Ponieważ Will nie odpowiedział, dodała: – Wiesz, że Sundancer to koń czystej krwi arydzkiej?

Kiwnął głową.

– To piękne konie.

– I szybkie. Niektórzy twierdzą, że to najszybsze konie na świecie.

Wyrwij potrząsnął krótką grzywą i wydał z siebie mało uprzejme beknięcie. Maddie popatrzyła ze zdziwieniem na małego konika. Zupełnie jakby w ten sposób odpowiadał na jej słowa. Zaraz jednak pomyślała, że to przecież niemożliwe.

– Z pewnością potrafią szybko biegać – zgodził się spokojnie Will. Przez kilka minut jechali w milczeniu. Sundancer nadal napierał na wodze, a Maddie go powstrzymywała. Wyrwij biegł wytrwale przed siebie, w tym samym jednostajnym tempie.

Przeglądając się jego miękkim ruchom, Maddie pomyślała, że przypomina konika na biegunach. Zaczęła kręcić się niecierpliwie

w siodle. Czują energię Sundancera, miała wielką ochotę wreszcie popuścić mu cugli – i pokazać Willowi, jak zachowuje się prawdziwy koń.

– To gdzie ten fort? – spytała.

Will wskazał na południowy wschód.

– Najpierw około dwudziestu kilometrów gościńcem, na rozwidleniu skręcamy w stronę Pendletown. Przejeżdżamy przez wieś i jedziemy dalej, aż do rzeki Derryton. Droga prowadzi prosto do fortu. – Urwał, po czym dodał: – Jest dobrze oznaczona.

Kiwnęła głową. Szczególnie zwróciła uwagę na ostatnie słowa. Brzmiały tak, jakby udzielał jej milczącej zgody. Uśmiechnęła się szeroko.

– No to będę tam na ciebie czekać.

Spięła łydkami boki Sundancera, jednocześnie popuszczając wodze. Koń natychmiast skoczył do przodu, przez pierwsze kilka metrów stawał dęba i podskakiwał, po chwili jednak ruszył pełnym galopem i wkrótce nabrał prędkości. Jego kopyta wybijały prędki rytm na drodze, przy każdym stąpieniu wznosząc chmurkę pyłu.

Płaszcz i włosy Maddie powiewały na wietrze. Will usłyszał jej zachwycony śmiech.

– Jest bardzo szybki – stwierdził.

Wyrwij odwrócił łeb i popatrzył na niego lewym okiem.

Nie tak szybki jak Piaskowy Wicher.

– Nie. Może nie. Ale to niewiele zmienia.

Pokonałem go.

– Pamiętam. Ale dopiero na kilku ostatnich metrach.

Konik prychnął ze wzgardą.

Robiłem go w konia.

– Jasne.

Poczuł, jak Wyrwij napiera na wodze, ale mu nie popuścił.

Mam go dogonić?

Will przysłonił dłonią oczy i popatrzył za Maddie. Była już tylko drobną figurką gdzieś w oddali, otoczoną chmurą pyłu. W pewnym momencie skręciła i zasłoniły ją drzewa. Powoli osiadający kurz – to wszystko, co po sobie zostawiła.

– Jeszcze nie teraz – odparł Will. – Później.



Maddie rozkoszowała się wiatrem we włosach, wczuwała w miękkie mocne ruchy konia. To była prawdziwa jazda! Zachęciła Sundancera, by jeszcze przyspieszył. Kiedy dotarli do pierwszego zakrętu, odwróciła się w siodle.

Will i Wyrwij stanowili niewielki kształt, gdzieś daleko w tyle. Wyrwij nadal biegł niespiesznie przed siebie. „No tak, czegoż można się spodziewać po małej kudłatej baryle”, pomyślała. Słyszała nieraz, jak ludzie z podziwem opowiadają o koniach zwiadowców. Teraz, kiedy miała okazję obejrzeć jednego z nich z bliska, nie potrafiła zrozumieć, o co tyle zamieszania.

– A on pewnie i tak jest jednym z najlepszych – powiedziała głośno.

W końcu Will był jednym z najważniejszych zwiadowców, należało więc się spodziewać, że dostał dobrego konia – jeśli nie najlepszego.

Ogarnęło ją nad wyraz przyjemne uczucie. Will był taki wspaniały, taki mądry i doświadczony, przewyższał ją pod każdym względem. Potrafił wytropić zwierzynę na podstawie najdrobniejszych śladów. Potrafił strzelać z niezrównaną prędkością i nieprawdopodobną precyzją. A nożem rzucał niemal jak jakaś nadludzka istota – niewiarygodnie szybko i celnie.

Ale oto okazało się, że ona jest w czymś lepsza. Zaraz jednak w przypływie uczciwości poprawiła się w myślach. Nie, to jej koń był lepszy od Wyrwija. No tak, ale to ona wykazała się inteligencją i wybrała lepsze zwierzę, więc chyba część zasługi spada na nią, prawda? Sundancer na pewno zostawi tego myszatego kurdupla daleko w tyle. Zdecydowała, że musi zwyciężyć w sposób miążdzący. Tak po prostu dojechać do tego całego fortu przed Willem, to stanowczo za mało. Nie, zwycięstwo musi być absolutne. Skoro Will powiedział, że droga do fortu zajmie im cały dzień, ona postanowiła dotrzeć tam w czasie o połowę krótszym.

Pochyliła się nad końską szyją.

– Dalej, mały! Musimy im coś udowodnić.

Sundancer zastrzygł uszami i z rozkoszą potrzęsął łbem. Uwielbiał biegać. Tak, po to został stworzony. Takie cechy wykształcono w nim przez wiele poprzednich pokoleń. Wydłużył krok, przyspieszył.

Maddie krzyknęła z zachwytu. Jeszcze nigdy nie biegł tak szybko! To było oszałamiające. Poddała się czystej, podniecającej radości z jazdy.



Wyrwij niespiesznie, spokojnie biegł przed siebie.

Daga-dam, daga-dam, daga-dam, stukały kopyta na twardym gościńcu. Od czasu do czasu odwracał łeb i spoglądał na Willa. Jednakże człowiek nie odpowiadał na te aluzje. W końcu Wyrwij postanowił podzielać bardziej bezpośrednio.

Powiedz, kiedy mam zacząć.

– Uwierz mi. Dowiesz się pierwszy.

Daga-dam, daga-dam, daga-dam.



Należy zaznaczyć, że Maddie nie była osobą, która niepotrzebnie forsowała konia. Zawsze uważała, by zwierzę nie pracowało ponad siły.

Ale ekscytacja jazdą, euforia, wywołana szalonym tempem i pokusa, by udowodnić Willowi przewagę Sundan-cera nad jego koniem sprawiły, że popełniła błąd.

W pewnej chwili poczuła, że jej koń zaczyna tracić siły. Potrząsał łbem, szarpał się. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że zmusza go do nadmiernego wysiłku.

Jego boki, pokryte pianą, pracowały jak miechy, przy każdym ciężkim oddechu dyszał głośno. Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Ściągnęła wodze. Początkowo stawiał opór, chciał biec dalej – aż do całkowitego wyczerpania.

Jeszcze mocniej ściągnęła wodze, próbowała zapanować nad jego instynktami, przemawiała cicho, stopniowo zwiększając nacisk na wędzidło, aż w końcu zatrzymał się.

Zeskoczyła na ziemię, poklepała go po szyi i obeszła dokoła, by sprawdzić, czy nic mu nie jest. Dyszał ciężko, stojąc na szeroko rozstawionych nogach.

– Wszystko w porządku – powiedziała. Na szczęście w porę zdała sobie sprawę ze swojej pomyłki. Wylała trochę wody z bukłaka na rękę i podsunęła ją pod koński pysk. Wetknął w nią miękkie chrapy i zaczął pić. Nalała więcej.

– Tylko nie za dużo – poklepała konia. – Nie za szybko.

Parsknął z wdzięcznością. Poluźniła popręg, wyjęła z bagażu starą derkę i zaczęła wycierać go, przemawiając łagodnie. Wiedziała, że niewiele brakowało. Gdyby nie przerwała tej szalonej jazdy, zagoniłaby swego pięknego konia na śmierć.

Potem poprowadziła go na pobocze i pozwoliła poskubać trawę. W myślach wyrzucała sobie, że o mało nie doprowadziła do katastrofy. To nie była wina Sundancera. Wina leżała wyłącznie po jej stronie. To ona była jeźdźcem. To ona powinna panować nad sytuacją, kontrolować siłę i energię zwierzęcia.

Pozwoliła mu odpocząć przez chwilę, po czym chwyciła wodze i wróciła na drogę. Spacerowała przez chwilę, aż koń ochłonął i odzyskał siły. Puściła wodze, a koń ruszył za nią posłusznie. Przyglądała mu się przez jakiś czas, by upewnić się, że nie utyka, że nie naciągnął żadnego mięśnia czy więzadła podczas tego szaleńczego galopu.

Z ulgą stwierdziła, że chyba nic mu nie jest. Uśmiechnęła się z czułością i potrząsnęła głową, pełna podziwu dla jego szybkości i charakteru. Tak się cieszyła, że nic się nie stało. Zastanawiała się też, gdzie są teraz Will i Wyrwij.

– Pewnie zostali tak daleko w tyle, że możemy pojechać dalej spacerkiem, a i tak dotrzemy pierwsi na miejsce – powiedziała do Sundancera. Koń ze znużeniem potrząsnął łbem, stąpając z trudem przed siebie.

I nagle usłyszała za plecami jakiś dźwięk, równy i rytmiczny.

Daga-dam, daga-dam, daga-dam.

Odwróciła się na pięcie. Will i Wyrwij właśnie pokonali zakręt i powoli zmierzali w ich stronę, nadal w tym swoim śmiesznym jednostajnym tempie. Znów przyszło jej do głowy, że Wyrwij przypomina konika na biegunach.

Pomyślała też jednak, że jest to bez wątpienia bardzo wytrzymały konik na biegunach.

Will zrównał się z nią, ale nie wstrzymał konia. Sundancer podniósł łeb i zaczął napierać na wodze, ale Maddie nie pozwoliła mu przyspieszyć.

– Twój wierzchowiec chyba trochę się zmęczył – powiedział Will przyjaznym tonem.

– Nic mu nie jest – odparła.

Odwrócił się w siodle i popatrzył na nią, nie zatrzymując się.

– Bardzo mnie to cieszy! – Potem odwrócił się do kierunku jazdy i jeszcze rzucił przez ramię: – To my czekamy w forcie Pendletown.

Popatrzyła za nimi, a potem odwróciła się i zaciągnęła popręg. Wałach, spięty i nerwowy, drobił w miejscu, chcąc pobiec za Wyrwijem. Włożyła stopę w strzemień, ale zmieniła zdanie.

Sundancer nie był jeszcze gotowy. Gdyby pozwoliła mu teraz pobiec, mogłoby to źle się skończyć. Niechętnie wyjęła stopę ze strzemienia i poluzowała popręg. Ruszyła dalej na piechotę, prowadząc konia za sobą.

Will, który zdążył już dotrzeć do kolejnego zakrętu, obserwował ją przez ramię. Widział, jak wsiada, a potem zmienia zdanie.

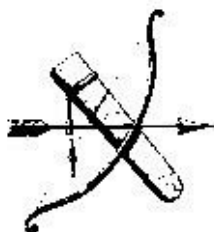
– Grzeczna dziewczynka – powiedział z uznaniem. *Ale co?* Wyrwij, rzecz jasna, patrzył przed siebie i nie widział, co dzieje się z tyłu.

– Maddie nie ma zamiaru forsować konia, nawet jeśli oznacza to przegraną. Zrobimy z niej zwiadowczynię.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Potem Will dorzucił:

– Gdyby tak jeszcze piła kawę.

Daga-dam, daga-dam, daga-dam.





Chodzi o to – powiedział Will – że nasze konie muszą posiadać szczególne cechy.

Od wycieczki do fortu minęły trzy dni. Sundancer nienajgorzej zniósł to doświadczenie. Wyrwij zaś, rzecz jasna, zupełnie nie odczuł trudów wyprawy, to była dla niego rutyna.

Teraz znów dokąś jechali – ale dokąd, tego Will nie zdradził.

Konie szły obok siebie i Maddie, patrząc na nie, odnosiła wrażenie – choć pewnie był to tylko wytwór wyobraźni – że Sundancer zaczął darzyć większym szacunkiem kudłatego konika.

– Jakie cechy? – zapytała.

– Szybkość, rzecz jasna – odparł Will. – Tego twojemu rumakowi nie brakuje. Na krótki dystans zapewne przegoniłby Wyrwija.

Wyrwij potrząsnął łbem i prychnął. Will uśmiechnął się, pochylił i poklepał go po szyi.

– Z pewnością jest szybszy – powiedziała Maddie. – W końcu zostawił was daleko w tyle. Sam widziałeś.

– Owszem, widziałem – odparł Will obojętnie. – Ale Wyrwij nie rozwinął wtedy w pełni swoich możliwości. Biegł powoli, rozkładając odpowiednio siły.

– To jak szybko potrafi biegać? – spytała, spoglądając na małego konika. Znów pomyślała, że bynajmniej nie imponuje wyglądem.

Ku jej zaskoczeniu Will wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Nigdy nie widziałeś, jak szybko biegnie? – zapytała, on zaś potrząsnął głową.

– Widziałem nie raz. I za każdym razem biegł tak szybko, jak musiał. Ale nie wiem, czy to było najszybsze tempo, jakie potrafi rozwinąć. Wątpię.

Maddie zmarszczyła brwi. Nie była pewna, czy dobrze zrozumiała.

Powiedz jej o Piaskowym Wicherze.

Po namyśle Will kiwnął głową.

– Wiele lat temu, na arydzkiej pustyni... – zaczął.

Maddie z zapałem pokiwała głową.

– Tak. To było wtedy, kiedy moja matka ratowała skan-dyjskiego oberjarla? – Coś słyszała na temat tych wydarzeń, ale rodzice nie wtajemniczyli jej w szczegóły. Teraz czuła, że może dowiedzieć się czegoś więcej. Odwróciła się bokiem, by widzieć Willa, który podjął:

– Zgadza się. Pewnego razu Wyrwij ścigał się z arydzkim ogierem imieniem Piaskowy Wicher. To był prawdziwy mistrz, najlepszy beduliński rumak.

– Beduliński? – powtórzyła niepewnie.

– Bedulini to arydzkie plemię nomadów. Wspaniali koniarze i hodowcy. Jednemu z nich spodobał się Wyrwij.

Oczywiście tak naprawdę w wyścigu brał udział jeden z poprzedników Wyrwija, lecz Will nie chciał wdawać się w szczegóły. Poza tym uważał, że charakter i dusza konia przechodzi z pokolenia na pokolenie – chyba nie potrafili by tego wytłumaczyć.

– Zostaliśmy rozdzieleni, podczas burzy piaskowej, jak na ironię. Ten młody Bedulin znalazł Wyrwija, krążącego po pustyni i przywłaszczył go sobie.

Maddie spojrzała na małego konika.

– Dlaczego? – spytała, niezbyt dyplomatycznie.

Will popatrzył na nią, po czym potrząsnął głową. Kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiwała nutka urazy.

– Ponieważ Bedulini mają oko do dobrych koni. Nie zwracają uwagi na pozory.

A mnie cechuje wybitne piękno wewnętrzne.

Will z roztargnieniem poklepał Wyrwija po szyi.

– Tak czy inaczej – podjął – Piaskowy Wicher był ich największą dumą, wierzchowcem samego władcy. Przekonałem ich, że jeśli Wyrwij wygra wyścig, będę mógł go zatrzymać.

– A czemu po prostu go sobie nie wzięli? Dlaczego musieli stawać do zawodów?

– Ten młody człowiek miał pewne problemy, kiedy próbował jeździć na Wyrwiju. Obiecałem, że mu pomogę, jeżeli to on wygra.

– A cóż to za znawca koni – prychnęła... – Dlaczego nie mógł sobie z nim poradzić?

Will już miał odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Trochę podstępny. Maddie była taka pewna siebie, tak wzgardliwie wyrażała się o Wyrwiju. Z przyjemnością przekułyby ten balonik.

– Kiedy indziej ci wyjaśnię. W każdym razie Piaskowy Wicher wystrzelił jak z procy. Wyrwij ruszył za nim, ale ogier cały czas prowadził.

– No jasne – rzuciła z przekonaniem.

– Ja jednak byłem pewien, że Wyrwij okaże się bardziej wytrzymały. Konie zwiadowców są bardzo wytrwałe, na tę cechę szczególnie kładzie się nacisk w procesie hodowli. Upewniłem się, że to będzie wyścig na długi dystans. W drugiej połowie zaczęliśmy nadrabiać. Powoli Wyrwij doganiał arydzkiego ogiera, po chwili biegł z nim łeb w łeb. Zostało jeszcze trzysta metrów.

Will zapatrzył się przed siebie. We wspomnieniach widział tamte chwile na pustyni, choć minęło tyle lat.

– Nigdy nie widziałem, żeby Wyrwij biegł tak szybko jak wtedy. Ale Piaskowy Wicher był wspaniałym rumakiem. Zaczął nas doganiać. I w końcu przegonił, o długość łba. – Will urwał, wspominając dawne wydarzenia. Oczy błyszczały mu z podekscytowania.

– I co się stało?

– Wyrwij nagle przyspieszył, wyprzedził ogiera. Tamten znowu go dogonił. I wtedy poczułem, że Wyrwij traci siły.

– Sforsowałaś go – stwierdziła, przypominając sobie sytuację sprzed trzech dni. Potem zmarszczyła brwi.

Wyrwij był przecież tutaj, obok. A więc Will nie przegrał tego wyścigu.

– Tak myślałem. Ta krótka chwila wystarczyła, by Piaskowy Wicher zebrał się w sobie i wystrzelił do przodu, rzeczywiście jak wicher. Tylko że nagle i on osiągnął punkt krytyczny. A Wyrwij tymczasem zebrał siły i wyrwał przed siebie. A co bardziej zdumiewające, on oszukał tamtego konia. Specjalnie zwolnił i udawał, że słabnie, by skłonić go do zbyt dużego wysiłku.

Will uśmiechnął się szeroko i podrapał konika między uszami.

– Chodzi o to, że zwiadowcy potrzebują koni, które są zarówno szybkie, jak i wytrzymałe. Jak później się przekonasz, nasze konie potrafią rozwinąć bardzo dużą prędkość. Ale potrafią też, jak miałaś okazję widzieć, przez wiele godzin utrzymać niezbyt szybkie równe tempo i biec praktycznie bez odpoczynku. Oto czego nam potrzeba. Podróżujemy samotnie. Musimy mieć pewność, że jeśli znajdziemy się w opałach, nasz koń wytrzyma więcej niż konie przeciwników, nawet jeżeli oni mogą je zmieniać. Każdy zwiadowca ma tylko jednego konia. I musi na nim polegać. Nasze wierzchowce muszą być mądre i sprytnie. I szybkie. I wytrzymałe, by mogły biec cały dzień bez odpoczynku. Te właśnie cechy wykształcają w nich hodowcy, już od wielu pokoleń.

– A dokąd teraz jedziemy? – spytała Maddie, chociaż chyba już знаła odpowiedź. Will potwierdził jej przypuszczenia.

– Jedziemy na spotkanie z Młodym Bobem. To nasz główny hodowca. Ma konia dla ciebie.



Młody Bob wyszedł z chaty, by ich powitać. Stanowił nie lada widok. Niski i drobny, miał krzywe nogi, skórę wysmaganą wiatrem i spaloną słońcem. Był niemal całkowicie łyśy, nie licząc kilku kępek rzadkich siwych włosów po bokach głowy. Kiedy się uśmiechnął, okazało się, że zębów też zostało mu niewiele. Twarz znaczyły mu tak liczne zmarszczki, że Maddie nie potrafiła określić jego wieku.

Tylko oczy miał młode. Niebieskie, bystre i przenikliwe. Kiedy podjechali bliżej, dotknął czoła i powiedział:

– Witaj, Willu zwiadowco.

– Witaj, Młody Bobie. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko dobrze.

Młody Bob kilka razy kiwnął głową, jakby musiał zastanowić się nad odpowiedzią.

– O, tak. Nie ma co narzekać. Nie ma co. Od czasu do czasu coś tam mnie pobolewa, w plecach kłuje... – Zaśmiał się dziwnym piskliwym śmiechem, idealnie pasującym do powierzchowności gнома.

– No i jednak narzekam. – Bob zgiął się wpół ze śmiechu. Nagle urwał i zwrócił swoje przenikliwe spojrzenie na Maddie. Czują, że ją ocenia.

– Nigdy wcześniej nie było dziewczyny wśród zwiadowców.

Kiwnęła głową.

– Wiem.

– I jak, podoba ci się?

Zawahała się. Od jakiegoś czasu w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Przez całe dni była zbyt zajęta uczeniem się nowych rzeczy, trenowaniem z łukiem i procą, by zadawać sobie takie pytania.

– Tak – odparła w końcu. Ku własnemu zdumieniu.

Młody Bob przekrzywił głowę i dalej przyglądał się jej bacznie. Nagle spoważniał. Chyba spodobało mu się to, co zobaczył.

– To świetnie – powiedział. – Dostałaś wielką szansę. Wykorzystaj ją najlepiej, jak potrafisz.

– To właśnie zamierzam zrobić.

Czują, że Will też ją obserwuje. I wie, że jej słowa były szczere. Naprawdę zamierzała wykorzystać tę szansę. Kiedy o tym pomyślała, po raz kolejny ogarnęło ją zdumienie.

Nagle uśmiech znów rozjaśnił zasuszoną twarz Młodego Boba.

– No tak, ale bez konia zwiadowcy nie ma szans zostać zwiadowcą, prawda, Willu zwiadowco?

– To właśnie próbowałem jej wytłumaczyć – zgodził się Will.

– W takim razie przyprowadzę jakiegoś. – Młody Bob odwrócił się i pokuśtykał w stronę dużego budynku z tyłu chaty, w którym mieściły się stajnie. Poruszał się, odwrócony lekko bokiem, podskakując.

Kiedy Maddie uznała, że znalazł się poza zasięgiem głosu, pochyliła się w siodle i zapytała cicho:

– Dlaczego nazywasz go Młodym Bobem? Jest raczej wiekowy.

Will uniósł rękę, by ją powstrzymać – za późno. Młody Bob odwrócił się i zachichotał.

– Ponieważ mój ojciec nazywa się Stary Bob. A on jest jeszcze bardziej wiekowy ode mnie.

Odwrócił się i znów ruszył do stajni tym swoim dziwnym podskakującym krokiem. Po pięciu metrach popatrzył przez ramię na Maddie.

– I to on jest głuchy. Ja nie.

Maddie spojrzała na Willa, unosząc ręce bezradnym gestem. Will wzruszył ramionami.

Gnom zniknął w środku. Kilka sekund później usłyszeli końskie rżenie. Wyrwij natychmiast odpowiedział. Sundancer postawił uszy i rozejrzał się dokoła. Czuł się trochę niepewnie w nieznanym miejscu. Wyrwij, przeciwnie, jak u siebie w domu.

Młody Bob wyszedł ze stajni, prowadząc za sobą konia. Pomimo uprzedzeń w stosunku do małych koników, na których jeździli zwiadowcy, Maddie z zaciekawieniem pochyliła się do przodu. W końcu to miał być jej wierzchowiec.

Podobnie jak Wyrwij był krępy, miał beczkowate ciało i dość krótkie nogi. Długą grzywę i ogon, kudłatą sierść, lśniąca od częstego i starannego czyszczenia. Maddie poczuła lekki ucisk w gardle – koń był srokaty, w nieregularne czarno-białe plamy, a ona szczególnie lubiła tę maść.

Młody Bob podprowadził konia bliżej. Wyrwij znowu zarżał i podszedł do kolegi. Sundancer drobił nerwowo w miejscu, cofnął się o kilka kroków.

– Oto Zderzak – oznajmił Młody Bob.

– Zderzak? – powtórzyła Maddie.

Bob znów zachichotał, z czułością poklepując konia.

– Nazwałem go tak, bo jako źrebak lubił zderzać się z różnymi rzeczami. Sprawdzał, czy się przewróca. Już tak nie robi.

Jak na komendę Zderzak ubódł go nosem, aż Bob zatoczył się w tył.

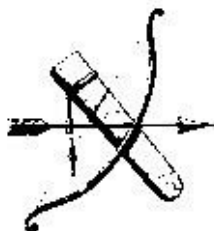
– No, prawie nigdy – przyznał.

Maddie przyglądała się konikowi. Pod starannie wyszczotkowaną sierścią rysowały się mocne mięśnie. Zderzak zerknął na nią i dostrzegła w jego oczach inteligencję i empatię. Nagle poczuła, że ten koń do niej należy. Chociaż nie, zaraz poprawiła się w myślach. To nie była duma właścicielki, raczej coś w rodzaju rodzącej się przyjaźni.

– I co o nim sądzisz? – zapytał Will, przyglądając się uważnie swojej młodej uczennicy.

I po raz trzeci w ciągu ostatnich dziesięciu minut Maddie zaskoczyła jej własna reakcja.

– Jest piękny – powiedziała miękko.





ROZDZIAŁ 20

No to zeskakuj. Osiodłam go dla ciebie – powiedział Młody Bob. – Pewnie chciałabyś jeździć w swoim siodle?

Przytaknęła. Siodło było osobistym przedmiotem. Przyzwyczała się do niego, wygodnie jej się w nim jeździło.

– Tak, proszę – odparła.

Młody Bob ruszył w stronę Sundancera, lecz Will powstrzymał go ruchem dłoni.

– Może Maddie powinna sama to zrobić – powiedział. – Niech lepiej się przyzwyczajają, nie mamy chłopców stajennych do pomocy.

Maddie nie miała nic przeciwko temu. Od dawna potrafiła zakładać siodło i ogłowie. Mały Bob podszedł do ogrodzenia, zdjął z niego kantar i wsunął na szyję Sundancera, podczas gdy Maddie zdejmowała ogłowie.

– Ładny koń – powiedział Bob, z podziwem przypatrując się smukłej sylwetce. – Te arydzkie rumaki potrafią rozwinąć niezłą prędkość. I mają miłe usposobienie. Szkoda, że to wałach.

Maddie założyła ogłowie Zderzakowi, który pochylił łeb, by ułatwić jej zadanie. Spojrzała ze zdumieniem na Młodego Boba.

– Czemu? – spytała.

– Mógłbym go wykorzystać do rozpłodu.

– Chyba ma nieco zbyt delikatną budowę jak na konia zwiadowcy? – wtrącił Will.

Podczas swej długoletniej kariery nieraz wysadzał przeciwników z siodła, pozwalając, by Wyrwij nacierał łbem na ich konie. Nóżki arydzkiego rumaka wydawały się stanowczo za cienkie na takie szarże.

Bob z namysłem potarł nos.

– Może i tak. Ale chodzi o szybkość. Gdyby skrzyżować takiego z jakąś cięższą kłaczą. Szybkość i solidna budowa w jednym.

Maddie zaczęła zakładać wędzidło. Zderzak uprzejmie otworzył i zamknął pysk, po czym poruszył szczękami, aż wędzidło ułożyło się wygodnie. Maddie prędko zdjęła siodło z Sundancera i podeszła do Zderzaka, który wyciągnął szyję. Maddie poczuła na rękach jego ciepły oddech, kiedy niuchał i prychał na siodło. Poruszał rytmicznie chrapami. Po kilku sekundach cofnął łeb i potrząsnął nim kilka razy, jakby chciał powiedzieć, że nie ma nic przeciwko.

Odłożyła siodło, po czym zdjęła derkę z grzbietu Sundancera. Ją też pozwoliła Zderzakowi obwąchać, a kiedy wyraził aprobatę, ułożyła derkę i wygładziła ją starannie. Podniosła siodło z ziemi, cicho stękając z wysiłku, i ułożyła je na grzbiecie Zderzaka. Koń odwrócił łeb i przyjrzał się jej z zaciekawieniem. Uśmiechnęła się.

– W porządku? – zapytała, a on kilka razy potrząsnął grzywą. Sięgnęła pod koński brzuch i chwyciła popręg, uniosła tybinkę i strzemień, odsłaniając klamrę, włożyła w nią popręg i zaciągnęła. Potem poprawiła o jedną dziurkę, by porządnie umocować siodło na końskim grzbiecie. Przerwała, czekając, czy Zderzak wypuści powietrze – widziała, że Wyrwij lubi robić taką perfidną sztuczkę. Zderzak jednak najwidoczniej nie był tak podstępny. Poklepała go po szyi, a on znów spojrzał na nią i kiwnął łbem. Przez moment, mogłaby przysiąc, zdawało się jej, że chce coś powiedzieć. Potrząsnęła głową.

Opuściła strzemień i tybinkę, po czym zerknęła na Willa i Boba, którzy obserwowali ją przez cały czas. Było w ich wzroku jakieś... dziwne oczekiwanie. Popatrzyła od jednego do drugiego. Czuła, że wiedzą coś, o czym ona nie wie.

– Zanim wsiądziesz... – zaczął Młody Bob, ale Will prędko wszedł mu w słowo.

– Może chciałabyś o coś zapytać? Coś cię nurtuje?

Wymienili spojrzenia. Maddie przekrzywiła głowę na bok i uśmiechnęła się. Nieco wyniośle.

– Jeździłam już konno, jak wiesz – powiedziała.

Will kiwnął głową.

– No tak.

– A on wydaje się łagodny i spokojny.

Will z namysłem zacisnął wargi.

– Tak, spokojny, zgadza się. Ale co do „łagodnego”, nie jestem pewien, czy to właściwie dobrane słowo.

Uśmiechnęła się pobłaźliwie. Zderzak stał w miejscu, całkowicie nieruchomo, nie wiercił się jak wiele koni, kiedy założy im się siodło.

– A mnie się wydaje, że tak – odparła z przekonaniem.

Will machnął prawą ręką.

– W takim razie, skoro jesteś pewna, zaczynaj.

Spojrzała na Młodego Boba, który wzruszył ramionami. Ujęła wodze w lewą rękę, odwróciła strzemień i już miała wsunąć w nie lewą stopę, kiedy Zderzak znów się odwrócił i popatrzył na nią. Pomyślała, że ma taką minę, jakby na coś czekał. Potem potrząsnęła głową. Przecież konie nie robią min.

Odbiła się prawą stopą od ziemi. Zderzak stał całkowicie spokojnie, a koń często próbuje odsunąć się w takim momencie. Skinęła głową.

– Dobry konik – powiedziała, po czym podciągnęła się i usiadła w siodle.

I wtedy rozpętało się piekło.

Zderzak odbił się wszystkimi nogami naraz, wyginając ciało w łuk, po czym wbił kopyta w ziemię, czemu towarzyszyło ogłuszające łupnięcie, i pochylił łeb, wypinając zad wysoko w powietrze.

Maddie była dobrym jeźdźcem, ale czegoś podobnego jeszcze nigdy nie doświadczyła. W dodatku nie zdążyła jeszcze porządnie usadowić się w siodle, a już poczuła, że traci równowagę i zjeżdża na prawą stronę.

Zderzak wykonał kolejny popisowy skok, tym razem w lewo. Maddie zdała sobie sprawę, że sprawa jest przegrana i prędko wysunęła lewą stopę ze strzemienia. Wiedziała, że zaraz spadnie. Zderzak stanął dęba. Maddie pochyliła się do przodu, ale nagle uświadomiła sobie, że koń blefuje. Za późno.

Opuścił łeb, jednocześnie wyrzucając tylne nogi wysoko w powietrze niczym gigantyczną katapultę.

Poczuła, że zsuwa się z siodła po końskiej szyi. Zrobiła salto w powietrzu, z nadzieją, że wyląduje na stopach. Prawie się udało. Ale nie całkiem. Walnęła o ziemię, aż zapało jej dech w piersiach.

Przez chwilę leżała nieruchomo, pojękując i próbując nabrać powietrza. Otworzyła oczy. Zderzak stał nad nią i gapił się z pytającą miną. Jakby sprawdzał, czy nic jej się nie stało. Delikatnie parsknął jej w twarz ciepłym powietrzem.

Przewróciła się na bok i uklękła na jednym kolanie, rozglądając się jednocześnie dokoła. Młody Bob i Will przypatrywali się jej ze znaczącymi minami. Sundancer wyglądał na lekko przestraszonego, a Wyrwij jakby uśmiechał się pod nosem.

Maddie wstała, drżąc lekko i popatrzyła na nich.

– Wiedzieliście, że tak będzie – rzuciła oskarżycielsko.

Will rozważał jej słowa przez sekundę czy dwie. Potem kiwnął głową.

– Rzeczywiście, w gruncie rzeczy tak – przyznał. Poczekał, aż Maddie otrzepie się z kurzu i podjął: – Wypowiadałaś się nieco... wzgardliwie na temat naszych koni, więc pomyślałem, że może powinnaś się przekonać, że nie zawsze są takie spokojne, nudne i flegmatyczne. Że mają w sobie trochę ognia.

Potała plecy, krzywiąc się z bólu.

– No to ci się udało – stwierdziła. Spojrzała na Zderzaka, który podszedł do niej i ubódł ją lekko czołem. W jego oczach nie było cienia złośliwości czy uporu. Były wielkie, ciemne, lśniące i przyjacielskie.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała go Maddie.

– Bo tak został nauczony – odparł za konia Mały Bob.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Nauczyłeś konia, żeby zrzucał mnie za każdym razem, kiedy na niego wsiadam? – Jakoś nie bardzo wyobrażała sobie wspólną przyszłość z takim wierzchowcem.

Ale Młody Bob potrząsnął głową.

– Nauczyłem go, że ma zrzucać każdego, kto nie zna hasła.

Maddie zmarszczyła brwi, a Will wyjaśnił:

– Każdy z naszych koni posiada własne „hasło dostępu”. Jeśli go użyjesz, koń bez problemu pozwoli ci wsiąść na swój grzbiet. Jeśli nie, zaczniesz wierzgać jak sam Gor-log, aż cię zrzuci. Co w twoim przypadku nie trwało zresztą zbyt długo.

– Gorlog? – zapytała Maddie. – A kto to?

– Bardzo przydatny skandyjski bożek – wyjaśnił Will.

– A więc konie zwiadowców posiadają sekretne hasło? Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Pewnie nie słyszałaś też, by kiedykolwiek ktoś ukradł konia zwiadowcy – zachichotał Młody Bob.

– Co kilka razy bardzo mi pomogło – dorzucił Will.

Maddie znów zmarszczyła brwi, nie do końca im wierzyła. To wszystko zdawało się jej strasznie naciągane.

– A więc muszę wypowiedzieć to... hasło... za każdym razem, kiedy chcę dosiąść Zderzaka?

Młody Bob potrząsnął głową.

– Tylko za pierwszym razem. Potem już będzie cię rozpoznawał.

– No to co się mówi? – Skierowała to pytanie do Willa, on jednak wskazał na Młodego Boba i wyjaśnił:

– Hasło jest inne dla każdego konia. To dla Wyrwija brzmi: „Czy pozwolisz?”. Może zdarzyć się tak, że będziesz musiała na nim jeździć, więc lepiej, żebyś wiedziała.

Maddie spojrzała na Młodego Boba. Nadal nie była pewna, czy ma w to wszystko wierzyć. Zastanawiała się, czy przy kolejnej próbie znów nie zleci na ziemię.

– No?

Mały Bob zmarszczył lekko czoło, po czym odpowiedział:

– W przypadku Zderzaka mówisz: „Nie zrzuc mnie”.

Zrobiła wielkie oczy.

– Nie zrzuc mnie?

Will i Młody Bob odpowiedzieli zgodnym chórem:

– Nie mów tego do nas, tylko do konia!

– Musisz wyszeptać mu to do ucha, zanim zaczniesz wsiadać – dodał Will.

Przypomniała sobie, że kiedy próbowała wsiąść na Zderzaka, ten odwrócił się i spojrzął na nią, jakby na coś czekał. Może jednak mówili prawdę?

Podeszła do konika, zebrała wodze i przytrzymała je na łąku. Odczekała parę sekund i rzeczywiście, Zderzak odwrócił łeb w jej stronę. Pochyliła się w jego stronę i szepnęła mu do ucha:

– Nie zrzuc mnie.

Zderzak kiwnął łbem. Bojąc się, że zmieni zdanie, prędko włożyła stopę w strzemień i odbiła się od ziemi.

Usadowiła się w siodle, cała spięta, obawiając się najgorszego. Minęło pięć sekund. Dziesięć. Zderzak stał spokojnie i całkowicie nieruchomo, jakby zrobiono go z drewna. Maddie stwierdziła w końcu, że Will i Młody Bob nie kłamali.

Obiecała sobie, że pewnego dnia odpłaci im się za to, co zrobili.

– Przejedź się – powiedział Młody Bob. – Poczuj go.

Dotknęła piętami boków Zderzaka, a on nagle ożył.

Ruszyła stępą, potem kłusem dokoła padoku. Z zachwytem stwierdziła, że Zderzak stąpa lekko i sprężysto. Sądziła, że konie zwiadowców są ciężkie i nieruchawe, teraz jednak musiała przyznać, że było to całkowicie fałszywe wrażenie.

Zderzak kroczył przed siebie energicznie i z wdziękiem. Reagował na najłżejsze komendy, poruszenie wodzami czy nacisk łydek.

– Przyciśnij lewą łydką – zawołał Will. Zrobiła tak – bardzo lekko, wiedząc już, jak szybko Zderzak reaguje na komendy.

I nagle koń zaczął iść bokiem. Przycisnęła prawą łydką – natychmiast ruszył w drugą stronę. Potem użyła obu łydek naraz, wracając do normalnej jazdy.

To, co widziała – czy to, co zdawało się jej, że widziała – i to, czego teraz doświadczała, to były dwie zupełnie różne rzeczy. Młody Bob przeszedł przez padok i otworzył bramę.

– Zabierz go na przejażdżkę – powiedział.

Przejechała powoli przez bramę, a potem znów dotknęła lekko boków konia, jednocześnie popuszczając wodze.

Odpowiedział natychmiast. Popędził przed siebie jak strzała, tak szybko, że Maddie o mało nie została z tyłu. Wyczuł jednak, że jego pani traci równowagę i zwolnił, czekając, aż zajmie odpowiednią pozycję. I znowu przyspieszył, wyciągając szyję i wysoko stawiając nogi.

Prędkość była nieprawdopodobna. Jeszcze nigdy nie jechała tak szybko.

Zaskoczona, co?

– Owszem – odparła. I nagle zdała sobie sprawę, że rozmawia z koniem. A co jeszcze dziwniejsze, koń rozmawia z nią.

Will i Młody Bob obserwowali konia i dosiadającą go dziewczynę, powoli niknących w oddali.

– Dobra robota, Bob – powiedział Will.

Młody Bob przysłonił oczy przed ostrym słońcem.

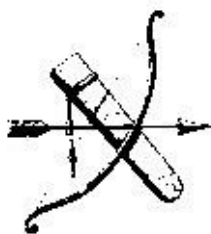
– Dobrze sobie radzi. Ma niezły dosiad i miękkie ręce. Widać to po pysku tego arydzkiego wałacha.

Przez kilka minut milczeli, przyglądając się Maddie i Zderzakowi, słuchając coraz słabszych uderzeń kopyt o ziemię. Nagle Will zapytał, udawanie niedbałym tonem, na który Młody Bob bynajmniej nie dał się nabrać:

– Ale Bellerophona pewnie tu nie ma?

Młody Bob zachichotał z zadowoleniem.

– Zastanawiałem się, kiedy w końcu zapytasz. Jest w stajni.





Przez kolejne dwie godziny Maddie zapoznawała się ze swym nowym wierzchowcem. Bob nauczył ją kilku podstawowych komend, na które reagują konie zwiadowców: zmienić chód na sygnał jeźdźca, wbijać mocniej kopyta w ziemię, tak by ten, kto śledzi zwiadowcę, nie zorientował się, że zsiadł on z konia. Oraz kilka podstawowych sztuczek przydatnych podczas starcia z wrogiem: chodzenie w bok i w tył, stawanie dęba, obracanie się w miejscu, atakowanie wroga za pomocą przednich kopyt i kopanie tylnymi.

Zwiadowcy dostawali konie doskonale wyćwiczone w tych prostych manewrach – a także wielu innych. Maddie nie mogła wyjść z zachwyty nad tym, jak szybko Zderzak odpowiada na sygnały, poruszenia rąk, łydek i stóp. Niemal tak, jakby wystarczyło, że pomyśli o jakiejś komendzie, a Zderzak natychmiast ją wykona.

Podziwiała też lekkość jego kroków. Nadal zdumiewało ją, jak szybko się porusza, jak w jednej chwili potrafi zmienić kierunek, przejść z pozycji stojącej do pełnego galopu niemal w sekundę.

Sundancer był wspaniałym rumakiem, bez wątpienia. Zderzak jednak zdawał się przedłużeniem jej samej. Wiedział, czego Maddie oczekuje i wykonywał wszystkie polecenia szybko i gładko.

Maddie i Zderzak jechali przez pola i lasy w towarzystwie Młodego Boba na jednym ze starych wysłużonych koni. W końcu Bob uznał, że wystarczy nauki na jeden dzień i zawrócił, tym charakterystycznym skróconym galopem. Kiedy przejechali pół kilometra, dał Maddie znak, a ona spięła konia i popędziła przed siebie. Peleryna i płaszcz powiewały na wietrze.

„Chyba trzeba obciąć te loki”, pomyślała. A potem poddała się czystej radości z szybkiej jazdy, siły i pewności swego wierzchowca.

Kiedy zbliżyli się do chaty, ściągnęła wodze. Z zaskoczeniem stwierdziła, że Wyrwij stoi przed stajnią, a Will jeździ na oklep na starym myszaty koniku. Poruszał się skróconym galopem po polu, graniczącym z padokiem. Zderzak zarżał na powitanie, a stary koń natychmiast mu odpowiedział. Pojechawszy bliżej, zobaczyła, że włosy dokoła końskich chrapów są siwe. Pomyślała, że jest w nim coś znajomego.

– Kto to? – zapytała, wstrzymując konia. Will uśmiechnął się, pochylił i przeczesał palcami kudłatą grzywę.

– Stary przyjaciel – odparł. – Nazywa się Bellerophon. Lubię się z nim spotkać, kiedy tu zaglądam. Od ostatniej wizyty minęło trochę czasu. Tak, nie widziałem go od.

Nagle urwał. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Maddie domyśliła się, że chciał powiedzieć „od śmierci Alyss”. Pospiesznie przerwała milczenie.

– Wygląda jakoś... znajomo.

Will przytaknął i wskazał na Wyrwija.

– Wygląda jak Wyrwij – powiedział, a Maddie kiwnęła głową. Rzeczywiście, teraz, kiedy o tym wspomniał, wyraźnie dostrzegła podobieństwo. Ten koń był starszy, miał siwe włosy na pysku, ale ogólnie bardzo przypominał Wyrwija. Przysłuchiwał się ich rozmowie, lekko przekrzywiając łeb, tak jak to Wyrwij również miał w zwyczaju.

– To pierwszy koń, którego dostałem jako zwiadowca – podjął Will. – A właściwie w ogóle mój pierwszy koń. Moi rodzice nie byli zamożni, nie mogli ofiarować mi pięknego arydzkiego rumaka. – Will specjalnie rzucił tę ironiczną uwagę, by sprawdzić, czy aluzja do rodziców Maddie, która, rzecz jasna, musiała przypomnieć jej o tym, że ją wydziedziczyli, wywoła w niej gniewną reakcję. Z zadowoleniem stwierdził, że Maddie tylko się uśmiechnęła.

„Interesujące”, pomyślał. Chyba rzeczywiście jej słowa w rozmowie z Młodym Bobem były szczere. Może naprawdę zaczynało jej się to wszystko podobać.

– Kiedy to było? – zapytała Maddie.

Will potrząsnął głową.

– Tak dawno, że już nie pamiętam. Pamiętam jednak, że byłem równie podekscytowany jak ty z powodu Zderzaka.

Zderzak prychnął i potrząsnął grzywą na dźwięk swego imienia. Maddie pochyliła się i poklepała go po szyi.

– On jest naprawdę wyjątkowy – powiedziała. – Nie masz pojęcia.

– Pewnie nie – zgodził się z powagą.

W tym momencie podjechał do nich Młody Bob. Popatrzył na Willa, siedzącego na grzbiecie Bellerophona i jego twarz przeciętą uśmiech, tak dobrze już znany Maddie.

– No i jak? – zapytał.

Will spojrzął na konia, przechylając się lekko w siodle, by dojrzeć paskudną bliznę, znaczącą prawą łopatkę.

– Jakbyśmy nigdy się nie rozstawali – odparł.

Młody Bob znowu zachichotał. Od wczesnej młodości pracował dla zwiadowców i ich koni. Zawsze z przyjemnością obserwował takie spotkania.

– Nadal potrafi rozwinąć niezłą prędkość, prawda?

Will potrząsnął głową.

– Nie chciałem go przemęczać – powiedział. – Bałem się, że może nadwerężyć czy naciągnąć mięsień.

– Aaa, nie ten egzemplarz – odparł Bob. – Aż rwie się, żeby sobie pobiegać. A jakby wystrzelił, to młodzież mogłaby co najwyżej pooglądać sobie jego tylne kopyta.

Na te słowa Zderzak i Wyrwij unieśli łby, parsknęli i tupnęli stanowczo, wyrażając swój protest. Bellerophon popatrzył od jednego do drugiego. Maddie mogłaby przysiąc, że zachichotał – gdyby tylko koń mógł chichotać.

Wyczyścili i napoili konie, a potem zjedli drugie śniadanie w towarzystwie Młodego Boba. Will zabrał ze sobą świeży chrupiący chleb, ser i trochę szynki, Bob poczęstował ich sałatą i rzodkiewkami z przydomowego ogródka. Bob i Will pili kawę, osłodzoną obficie miodem, Maddie, jak to miała w zwyczaju, mleko.

Młody Bob potrząsnął głową.

– Chyba nigdy nie słyszałem o zwiadowcy, który nie pije kawy.

Will wzruszył ramionami. Zdążył już pogodzić się z niechęcią Maddie do tradycyjnego napoju zwiadowców.

– Nowe czasy – powiedział. – Chyba musimy iść z ich duchem.

– Na pewno nie ja. Tradycja to tradycja. Jakby tego było mało, że dziewczyna uczy się na zwiadowcę, to jeszcze nie pije kawy. Za dużo zmian, za szybko.

– Przepraszam, że się wtrączę – powiedziała Maddie. – Ja tu siedzę i wszystko słyszę. Czy naprawdę musicie teraz rozmawiać o mnie i moich upodobaniach kulinarnych?

Obaj mężczyźni przyglądali się jej przez kilka sekund. Potem popatrzyli na siebie i odpowiedzieli chórem:

– Tak.

Maddie wywróciła oczami i sięgnęła po szklankę z mlekiem. Wzięła duży łyk chłodnego napoju.

– Nie wiesz, co tracisz – powiedziała do Willa.

– I nie chcę wiedzieć – odparł.

Kiedy skończyli, Will i Maddie posprząтали ze stołu i pozmywali naczynia. Tymczasem Młody Bob przeprosił i wyszedł na podwórze. Już od dłuższej chwili siedział dziwnie milczący. Maddie spojrzała na Willa.

– Poszedł pożegnać się ze Zderzakiem – wyjaśnił. – Bob bardzo przywiązuje się do swoich koni. Czasami odnoszę wrażenie, że on nam je tylko pożycza. I w pewnym stopniu chyba rzeczywiście tak jest.

Maddie podeszła do okna. Bob stał obok Zderzaka, niemal dotykając twarzą jego pyska. Widziała, że jego wargi się ruszają, nie potrafiła jednak odczytać z nich słów. Instynktownie ruszyła w stronę drzwi, ale Will ją powstrzymał.

– Zostaw ich – powiedział. – Poczuliby się zakłopotani, gdyby wiedzieli, że ich obserwujesz.

Maddie kiwnęła głową, przyznając mu rację, po czym wróciła na swoje miejsce przy stole. Will dokończył zmywać naczynia, Maddie zaś wzięła ściereczkę, wytarła je i ustawiła na stole. Kilka minut później Bob wszedł do środka, znowu uśmiechnięty.

– Musiałem przekazać młodemu trochę wskazówek – powiedział. – Żeby przypadkiem znowu cię nie zrzucił. No, chyba że zasłużysz.

Pożegnali się i wyszli na podwórze. Wsiedli na konie i odjechali. Sundancera Maddie prowadziła na postronku.

Wyglądała na całkiem zadowolonego i chyba wcale się nie zmartwił, że jego pani obdarzyła sympatią tego małego kudłatego konika. Ale też nigdy nie łączyła ich tak bliska więź, jaka już zaczynała tworzyć się między Maddie i Zderzakiem.

Maddie rozprawiła radośnie, wychwalając niezliczone zalety nowego wierzchowca. Will odpowiadał głównie monosylabami, ona jednak zdawała się nie zauważać jego braku entuzjazmu.

– Jak on lekko stąpa! – zachwycała się. – Kiedy galopuje, to masz wrażenie, że chyba w ogóle nie dotyka ziemi. A jaki jest szybki! Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby koń potrafił tak szybko biegać. Jest niesamowity!

Raz nie zauważyłam rowu z wodą, a on spał się do skoku, nie czekając na polecenie, i dosłownie nad nim przefrunął! Naprawdę frunął! Dopiero co galopowaliśmy, a w kolejnej sekundzie lecieliśmy w powietrzu!

Wyrwij odwrócił łeb i spojrzął na Willa. Will wzruszył ramionami. Wyrwij puścił bąka. Maddie w ogóle nie zwróciła na to uwagi. A jeśli nawet, to nie przyszło jej do głowy, że zrobił to specjalnie i że ten niegrzeczny dźwięk miał stanowić komentarz do jej słów.

– A potem Bob pokazał mi, co zrobić, żeby mocniej wbijał kopyta w ziemię, tak żeby ten, kto mnie śledzi, nie zorientował się, że zsiadłam z konia. Wiedziałeś, że one to potrafią?

– Chyba coś słyszałem na ten temat, wiele lat temu – odparł sucho Will. Przewidując, że Wyrwij zamierza wydać z siebie kolejny nieprzyjemny dźwięk, dźgnął go mocno ręką. Wyrwij potrząsnął grzywą.

– No więc potrafią. Bob pokazał mi jeszcze wiele innych sztuczek. Zderzak naprawdę jest niesamowity!

Najwspanialszy koń na świecie.

Will lekko ścisnął łydkami boki Wyrwija, dając mu znać, że słyszał. Uznał, że Maddie mogłaby dziwnie zareagować, gdyby zaczął gawędzić ze swoim koniem. Ale jej kolejne pytanie świadczyło o tym, że być może niepotrzebnie się tego obawiał.

– Willu – powiedziała. – Czy mogę cię o coś zapytać?

– Właśnie to zrobiłaś – odparł. Nagle ogarnęła go tęsknota za dawnymi czasami. Ileż to razy słyszał podobne słowa z ust Halta? Z przyjemnością stwierdził, że Maddie poczuła się tak samo zbита z pantałyku jak on swego czasu.

– Co? A... no tak. Chyba masz rację. W takim razie, czy mogę zadać ci kolejne... – Urwała, bo uświadomiła sobie, że powtarza

ten sam błąd. Starannie dobierając słowa, powiedziała: – Chciałabym zadać ci jedno pytanie, jeśli nie masz nic przeciwko.

Will kiwnął głową.

– Proszę bardzo.

– Chodzi o to, że... No... pewnie głupio to zabrzmia...

– Nie zdziwiłbym się.

Spojrzała na niego. Bardzo chciała o to spytać, ale bała się, że wyjdzie na idiotkę. Will ruchem ręki dał jej znak, by mówiła dalej. Wzięła głęboki wdech.

– Chciałam... Czy nie wydaje ci się czasem, że twój koń do ciebie mówi?

Will wyprostował się w siodle. Nigdy nie rozmawiał z nikim na ten temat. Od dawna podejrzewał jednak, że między Haltem i Abelardem istnieje podobna więź. I najwyraźniej między Maddie i Zderzakiem także.

„Może dobrze zrobiliśmy, wybierając Maddie”, pomyślał. A głośno powiedział:

– Koń, który mówi? Czyś ty oszalała?

Maddie spurpurowiała na twarzy i pospiesznie odwróciła wzrok.

– Nie, nie. Tak mi tylko przyszło do głowy. Bez sensu. Zapomnij.

Kiwnął głową. Ale nie zapomniał. Jeszcze długo w nocy rozmyślał o tym, co powiedziała.



Maddie nadal ćwiczyła codziennie, tyle że teraz w planie treningów pojawił się nowy element, mianowicie sesje ze Zderzakiem, podczas których jeździec i koń rozwijali więź, łączącą ich zresztą właściwie od samego początku, przekształcając ją w głębokie wzajemne zrozumienie.

Zderzak coraz bardziej stawał się jakby przedłużeniem jej samej, odpowiadał na najdelikatniejsze sygnały z jej strony, natychmiast wiedział, czego się od niego oczekuje. Maddie z kolei uczyła się rozpoznawać sygnały, które on wysyłał jej – ostrzeżenie przed zbliżającym się niebezpieczeństwem, nieznaną osobą czy potencjalnie niebezpiecznym zwierzęciem.

Maddie odbywała też treningi sprawności, w tym biegi po okolicy na długi dystans czy biegi z przeszkodami po torze, który stworzył dla niej Will. Prócz tego Will ćwiczył ją w technikach walki bez broni. Uczył, że ma uderzać raczej nasadą dłoni niż zaciśniętą pięścią – „Chyba że chcesz połamać sobie palce” – a także jak wykorzystywać ciężar i siłę napastnika przeciwko niemu, wykonując serię prostych, lecz bardzo skutecznych ruchów.

Udzielał jej także lekcji tropienia i kamuflażu. Maddie jeździła po okolicy, szukała tropów różnych zwierząt i identyfikowała je, śledziła bogu ducha winnych podróżników, tak by się nie zorientowali, stawała na poboczu, zawinięta w pelerynę, kiedy przejeżdżali obok, nieświadomi jej obecności.

– Zaufaj pelerynie – powtarzał Will. – I nie ruszaj się. Nawet jeśli myślisz, że cię zauważyli.

Tak więc spędzała pracowicie każdy dzień, a co wieczór z radością kładła się do łóżka, wyczerpana, i spała jak kamień aż do rana, by rozpocząć wszystko od nowa.

Każdego ranka udawała się do wsi po świeży chleb i mleko, tyle że teraz jeździła konno, zamiast chodzić na piechotę.

Wcześniej Will zabronił jej jeździć do Wensley na Sundancerze.

– Jest zbyt egzotyczny jak na tę okolicę – wyjaśnił zdawkowo. Teraz jednak, kiedy pojawił się Zderzak, Will zniósł zakaz. – Zwiadowca i jego koń powinni trzymać się razem – wyjaśnił.

Maddie nie bardzo wiedziała, co to za różnica, z przyjemnością jednak odbywała przejażdżki na Zderzaku, mówiła do niego, głąskała go i, ogólnie rzecz biorąc, cieszyła się jego towarzystwem podczas tych porannych wycieczek. Nawet tak zwyczajny obowiązek, jak wyprawa po mleko i chleb stawał się źródłem radości w towarzystwie Zderzaka. Może to właśnie miał na myśli Will.

Tak więc mieszkańcy wsi prędko przyzwyczaili się do widoku drobnej postaci w pelerynie, jadącej na kudłatym srokaczu, z łukiem przewieszonym przez siodło. Maddie stwierdziła, początkowo lekko rozbawiona, a potem mile połączona, że stała się kimś w rodzaju lokalnej sławy. Widziano w niej tajemniczą i intrygującą figurę, podobnie jak we wszystkich zwiadowcach – szczególnie że była pierwszą dziewczyną, która dostała się w ich szeregi.

We wsi mieszkało kilku chłopców i dziewczyn mniej więcej w jej wieku. Patrzyli na nią z podziwem i szacunkiem – i zazdrością. Ich los był do bólu zwyczajny i przewidywalny. Życie w małej wsi nie dostarczało zbyt wielu podnięt. A ta nowa dziewczyna miała zostać zwiadowczynią. Zawsze wozila z sobą łuk i jak przekonali się przy kilku okazjach, kiedy to zakradli się przez las, by popatrzeć, jak ćwiczy – umiała się nim posługiwać.

Kiedy przejeżdżała przez wieś, zagadywali do niej i pozdrawiali ją. Od czasu do czasu zatrzymywała się na pogawędkę. Bardzo jej się podobało, że budzi ogólny podziw i uchodzi za lokalną bohaterkę – szczególnie w oczach dziewczyn. Cóż, chyba każdy byłby zadowolony. Rola miejscowej gwiazdy dostarczała jej sporo przyjemności. Nauczyła się jednak, by nie popadać z tego powodu w samouwielbienie.

Oczywiście, na Zamku Araluen również istniało grono osób, które ją podziwiałały i chciały się z nią przyjaźnić. Czuła jednak, że większości z nich imponuje jej tytuł i pozycja, a nie ona sama. Tam była księżniczką, ludzie zabiegali o jej uwagę i akceptację właśnie z tego powodu – nie ze szczerej i bezinteresownej chęci nawiązania z nią przyjaźni.

Tutaj jednak było inaczej. Tylko kilka osób: Jenny, baron Arald, lady Sandra, Halt i lady Pauline znało jej prawdziwą tożsamość. Will uznał, że najlepiej zachować ją w tajemnicy.

Maddie cieszyła się więc podziwem i przyjaźnią młodych mieszkańców Wensley. Od czasu do czasu, jeśli pozwalał jej na to pracowity plan dnia, jeździła do wsi i spędzała z nimi miłe chwile, ucząc chłopców łucznictwa, łowiąc ryby w spokojnych wodach

rzeki, bawiąc się w chowanego – w której to grze była nie do pobicia, aż w końcu pozostali zabronili jej używania peleryny.

Will bacznie przyglądał się temu wszystkiemu.

– Nie spoufalaj się z nimi za bardzo – ostrzegł ją. – Zwiadowca powinien zachować pewien dystans w stosunku do zwykłych ludzi. Budzić w nich podziw i respekt. Powinniśmy robić wrażenie trochę tajemniczych.

Jednocześnie uważał, że Maddie i tak bywa we wsi za rzadko i że spotkania ze zwykłymi ludźmi – tak różniącymi się od tych zadufanych młokosów, zamieszkujących Zamek Araluen – mogą jej tylko dobrze zrobić. Z przyjemnością musiał stwierdzić, że pozbyła się dawnej zmanierowanej pozy. Nie widział nic złego w tym, że Maddie cieszy się z podziwu, który budzą jej osobiste cechy i umiejętności.

– Lepiej, kiedy szanują cię za to, co potrafisz, a nie za to, kim są twoi rodzice – powiedział raz do Jenny.

Przyjaciółka spojrzała na niego z zaciekawieniem. Nie odrywał oczu od Maddie, która stała opodal z grupką młodych mieszkańców wsi, śmiejąc się i żartując.

Głębokie linie, które wryły na jego twarzy cierpienie z powodu utraty Alyss, nie zniknęły. Ale zmiękły, zatarły się, ponura mina nie była aż tak ponura. Czasami wyglądał tak, jakby za chwilę miał się uśmiechnąć. Kiedy patrzył na swoją chrześnicę, jego wzrok emanował czułością – co prędko ukrywał, kiedy tylko Maddie spojrzała w jego stronę.

„Obecność tej dziewczyny dobrze mu robi”, pomyślała Jenny, uśmiechając się do siebie. Już dawno temu wybaczyła Maddie. Tydzień po tamtym spotkaniu Maddie pojawiła się przed jej drzwiami z bukietem w ręku i skruszoną miną i przeprosiła wylewnie za swoje okropne zachowanie. Jenny, osoba ciepła i niepamiętliwa, natychmiast przyjęła przeprosiny i od tej chwili stały się przyjaciółkami. Jenny zawsze cierpliwie wysłuchiwała żalów Maddie, utyskującej na brak talentu w łucznictwie – co, jak Jenny wiedziała, było całkowicie niezgodne z prawdą.

– Jeśli chcesz poćwiczyć – powiedziała – to dostawy świeżej dziczyzny do mojej gospody są zawsze mile widziane.

I przez kolejne tygodnie Maddie przynosiła jej króliki, zające i ptaki, które zabijała z łuku bądź z procy. Maddie, której przez całe życie nadskakiwano i spełniano wszystkie jej kaprysy, najwyraźniej cieszyła się, że wreszcie może zrobić coś dla innych.

A Jenny z kolei cieszyła się, że może być tą inną i nie miała nic przeciwko temu, że wciąż znajduje na progu sztuki ubitej zwierzyny.

Był piątek rano. Maddie właśnie wracała z niewielkiej mlecznej farmy na końcu wsi. Przy siodle wisiała torba, pełna ciepłych bochenków chleba. Woń pieczywa wierciła w nosie i przypominała Maddie, że jeszcze nic dzisiaj nie jadła.

Dwoje młodych ludzi pomachało do niej, więc wstrzymała konia i zawołała:

– Dzień dobry, Gordonie. Dzień dobry, Lucy.

Tych dwoje lubiła najbardziej ze wszystkich. Lucy była córką pani Buttersby, szwaczki. Patykowata i piegowata, miała w sobie coś z chłopczycy. Z Gordona, obdarzonego ciemnymi włosami i figlarnymi niebieskimi oczami, był kawał łobuziaka, Maddie czuła jednak, że to w gruncie rzeczy dobry chłopak.

Rozejrzał się i, upewniwszy się, że nikt ich nie słyszy, powiedział cicho:

– Co jutro robisz?

Zmarszczyła z namysłem brwi.

– Nic – odparła. Po raz pierwszy od wielu tygodni miała wolną sobotę. Will wybierał się do zamku, na obiad w towarzystwie Halta, Pauline, barona Aralda i lady Sandry. – A co?

Lucy zachichotała.

– Robimy imprezę – wyjaśniła.

Maddie z zaciekawieniem przekrzywiła głowę. To chyba żaden powód, żeby ściszać głos i rozglądać się dokoła, czy nikt nie słyszy. Domyśliła się, że chodzi o coś więcej.

– Taką zwykłą imprezę? – zapytała.

Lucy znów zachichotała, a Gordon wyszczerzył się szeroko. Maddie pomyślała, że bardzo ładnie się szczerzy. Tak trochę demonicznie.

– No... taką raczej specjalną – wyjaśnił. – Za stajnią przy gospodzie. Lucy przyniesie paszteciki z dziczyzną i szaszłyki jagnięce. Będziemy też piec ziemniaki w ognisku.

Lucy pracowała jako kelnerka w gospodzie Jenny. Od czasu do czasu Jenny pozwalała jej wybrać sobie coś z menu. A czasami Lucy częstowała się sama, kiedy nikt nie widział. Maddie domyślała się, że tak właśnie jest tym razem, co tłumaczyłoby znaczące uśmiechy na twarzach przyjaciół.

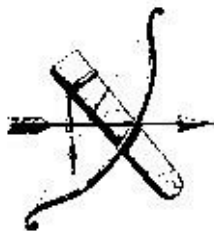
– A Martin przyniesie beczkę! – wypaliła Lucy, nie mogąc się powstrzymać, po czym znów zachichotała.

– Beczkę? – spytała Maddie. Chyba zaczynała rozumieć, o co chodzi.

– Beczkę wina! – oznajmił triumfalnie Gordon. – I to dobrego. Przyjdziesz?

Maddie zawahała się. Wiedziała, że nie powinna. Ale od wielu tygodni tak ciężko pracowała, prawie bez przerw, praktycznie nie miała czasu dla siebie. Nie wiedziała, czy lubi wino czy nie. Wiedziała tylko, że lubi przygody. I nadal było w niej coś z buntowniczką. Pomyślała, że zasługuje na odrobinę rozrywki. Poza tym przecież nikt się nie dowie.

– Czemu nie? – odparła.





Wróć dość wcześniej – powiedział Will, zatrzymując się w drzwiach. – Halt i Pauline ostatnio nie są nocnymi markami.

Maddie podniosła wzrok znad talerza. Will czuł się nieco winny. Wybierał się na wspaniałą ucztę do zamku, a umiejętności kulinarne Maddie, choć powoli je doskonaliła, nadal były raczej podstawowe. Dlatego też poprosił Jenny, by przysłała jej coś z restauracji.

Maddie włożyła do ust kolejną łyżkę apetycznie przyprawionej potrawy z wołowiny i kiwnęła głową.

– Pewnie będę spała. Chętnie wcześniej się położę.

Miała za sobą długi i pracowity dzień. Odbiła daleką przejażdżkę, trenowała tropienie i podchody i jak zwy – kle ćwiczyła strzelanie z łuku i procy oraz rzucanie nożami. Ziewnęła ostentacyjnie. Will zdjął pelerynę z kołka w drzwiach i narzucił ją na ramiona.

– Saba zostaje, w razie czego – powiedział. – Zarygluj drzwi od środka.

Maddie kiwnęła głową. Drzwi zaopatrzone w ukryty mechanizm, którym można było otwierać je od zewnątrz, ale przypadkowy gość czy intruz przecież nie mogli o tym wiedzieć. Widząc, że Will waha się i ma opory, by zostawić ją samą, machnęła niedbale ręką w stronę wyjścia.

– Idź – powiedziała. – Nic mi nie będzie.

– No dobrze – powiedział w końcu i wyszedł.

Maddie usłyszała jego miękkie kroki, kiedy skierował się na tyły chaty, gdzie mieszkały konie. Wyrwij powitał go cichym rzeniem. Kilka minut później rozległo się postukiwanie kopyt. Will skierował się na ścieżkę, prowadzącą do Zamku Redmont. Kiedy stukot ucichł i Maddie była pewna, że Will jest już daleko, przestała udawać zmęczenie i zaczęła krzątać się w pośpiechu. Postawiła miskę z niedojedzoną potrawką na blacie, po czym wyrzuciła resztki do wiadra na odpadki. Cieszyła się na paszteciki z dziczyzną i szaszłyki jagnięce, obiecane przez Lucy, chciała zachować na nie trochę miejsca w żołądku, chociaż potrawka smakowała wysmienicie.

Zerknęła do środka i stwierdziła, że potrawka trochę za bardzo rzuca się w oczy – koronny dowód, że Maddie jej nie zjadła. Wyjęła łyżkę z miski i zamieszała zawartość wiadra, aż potrawka zmieszała się z resztą i zniknęła z widoku.

Maddie zrobiła krok w tył, oceniła wyniki pracy i z zadowoleniem kiwnęła głową. Potem poszła do pokoju, wzięła przypinaną do siodła sakwę, w której wozila sprzęt, potrzebny podczas nocowania poza domem, zwinęła na kształt walca i umieściła w łóżku. Przykryła kocem i przyjrzała się swemu dziełu, przechylając głowę na bok. Stwierdziła, że kształt jest trochę zbyt kanciasty i regularny, więc odsunęła koc, zgięła pakunek pośrodku, następnie zwinęła zapasową kurtkę i umieściła pod kątem. Teraz wyglądało to tak, jakby ktoś leżał z podciągniętymi nogami. Znacznie bardziej realistycznie. Naciągnęła koc, wysoko aż na poduszkę, tak by ukryć fakt, że brakuje głowy. Pomyślała jednak, że jeśli nawet Will po powrocie zajrzy do pokoju, to zapewne tylko pobieżnie rzuci okiem. Konstrukcja powinna zdać egzamin.

Zgasła lampę i pospieszyła do wyjścia. Jak zwykle chwyciła pelerynę, narzuciła ją na ramiona i wyszła. Rygiel wskoczył na miejsce. Wracając, zamierzała otworzyć drzwi za pomocą noża. Niewiele myśląc, skierowała się do stajni, ale nagle zmieniła zdanie. Will zabrał Wyrwija, co znaczyło, że po przyjeździe do domu pójdzie do stajni. Jeśli zobaczy, że brakuje Zderzaka, od razu wszystkiego się domyśli. Zawróciła. Zderzak, usłyszawszy jej kroki, zarżał, jakby z lekkim wyrzutem.

– Przykro mi, mały – powiedziała. – Dziś wieczorem nie możesz mi towarzyszyć.

Saba leżała na werandzie z łbem wspartym na łapach. Podniosła się, pełna oczekiwania, lecz Maddie dała jej znak ręką.

– Zostań – powiedziała.

Saba położyła się posłusznie, ślizgając łapami po drewnianej podłodze i lekko pomrukując.

Maddie rozejrzała się po raz ostatni. Latarnia przy drzwiach paliła się niewielkim płomieniem. Will przed odjazdem przykręcił ją, jak każdego wieczoru, tak by światło padało akurat na schody i drzwi – w razie, gdyby złożył im wizytę jakiś niespodziewany gość. Maddie odwróciła się i pobiegła ciemną ścieżką między drzewami w kierunku wsi.

Dotarłszy na miejsce, przez chwilę stała w cieniu na poboczu drogi, prowadzącej przez środek Wensley. Gospoda Jenny

znajdowała się tuż obok. Była jasno oświetlona, ze środka dochodził gwar ludzkich głosów. W sobotnie wieczory miejsce to przyciągało zarówno mieszkańców wsi, jak i okolicy. Maddie ruszyła przed siebie, trzymając się przeciwnej strony ulicy, ściśle owinięta peleryną.

„Zaufaj pelerynie”, powtarzał stale Will. Maddie nie była jednak pewna, czy na pewno by się ucieszył, gdyby wiedział, że peleryna pomaga jej w tak podejrzanym wyprawie jak ta.

Na razie nikt jej nie zauważył, co zresztą jakoś jej nie zaskoczyło. Goście byli zajęci jedzeniem i rozmową. W dodatku przebywali w jasno oświetlonym pomieszczeniu. Mało prawdopodobne, by któryś zwrócił uwagę na ciemną postać, przemyskającą pośród cieni po drugiej stronie ulicy.

W miarę, jak zbliżała się do budynku zajazdu, gwar głosów, dochodzących z restauracji powoli ustępował innym dźwiękom. W zajezdzie gościł przejezdny minstrel, który zabawiał gości. W pewnym momencie muzyka ucichła i rozległy się brawa. Pomyślała, że jej przyjaciele wybrali odpowiednią noc na ucztowanie. We wsi tyle się działo, że z pewnością nikt nie usłyszy, jak hałasują.

Spojrzała w stronę stajni opodal zajazdu. Na ścianach kładł się słaby blask ognia. Wkroczyła na podwórze. Lucy, Gordon i jeszcze jeden chłopak, imieniem Martin, siedzieli przy niewielkim ognisku w głębi podwórza, w miejscu skrytym przed oczami przechodniów. Gdyby nie wiedziała o ognisku, zapewne nie zwróciłyby uwagi na słaby blask, pełgający po murach.

Od razu jednak poczuła apetyczną woń pieczonej jagnięciny. Podeszła bliżej. Przyjaciele powitali ją radośnie.

– Spóźniłaś się – stwierdził Martin.

Wzruszyła ramionami.

– Musiałam poczekać, aż Will pojedzie. Strasznie długo się zbierał.

– No to musisz prędko nadrobić zaległości – uznał Gordon. Wziął dwa szaszłyki, piekące się nad ogniskiem, położył je na drewnianym talerzu i podał Lucy, która dołożyła do nich pasztecik i podała talerz Maddie. Maddie usiadła po turecku. Kiedy poczuła wyborny zapach jagnięciny, ślinka od razu napłynęła jej do ust. Ugryzła ostrożnie, wiedząc, że mięso może być bardzo gorące.

– Mmmmm! Pyszne, Lucy! – powiedziała z uznaniem. Lucy rozpromieniła się.

– Szaszłyki leżały w marynacie przez prawie osiem godzin... – odparła. – Dzięki temu są smaczne i delikatne.

– Proszę – Martin podał Maddie drewniane naczynie. – Coś do popicia.

Maddie przyjęła naczynie. Kiedy powąchała zawartość, serce zaczęło szybciej bić w jej piersi. Mogła jeszcze odmówić i nic by się nie stało. Wymykanie się po nocy na spotkanie z przyjaciółmi to nie taka znowu wielka zbrodnia. Ale picie wina – zupełnie inna sprawa. To oznaczało przekroczenie pewnej granicy, wiedziała, że jeśli zostanie nakryta, znajdzie się w nie lada tarapatkach.

Gordon dostrzegł jej wahanie i domyślił się jego przyczyn.

– On się nie dowie – powiedział i uśmiechnął się szeroko.

Maddie w końcu się zdecydowała i upiła spory łyk wina. Miało ciężki i nieco kwaskowaty smak.

– Mmm, dobre wino! – powiedziała, chcąc uchodzić za osobę wyrafinowaną i obytą. Tak naprawdę nie miała pojęcia, czy jest dobre. Owszem, pijała wcześniej wino przy różnych uroczystych okazjach na Zamku Araluen, kiedy wznoszono toasty. Ale zawsze było mocno rozcieńczone wodą i smakowało zupełnie inaczej.

– Ja zawsze dostarczam dobry towar – powiedział Martin radośnie. On również zupełnie nie znał się na winach. W istocie zawartość beczułki była dość podłej jakości. Jednakże, podobnie jak Maddie, chciał sprawiać wrażenie człowieka, który pija wino na okrągło i wie, o czym mowa. – Masz dolewkę – dodał.

Przelał nieco trunku z beczułki do dzbanka, po czym wyciągnął rękę i napełnił naczynie Maddie, konspiracyjnie puszczając do niej oczko.

– No to w górę – powiedział. Przez chwilę Maddie zastanawiała się, nieco zdezorientowana, czego od niej oczekuje. Zaraz jednak domyśliła się, że chodzi o naczynie z winem. Wzięła głęboki łyk. Ten wydawał się już mniej kwaśny, chociaż, tak szczerze mówiąc, nie mogłaby nazwać go jakoś wyjątkowo smacznym.

Lucy i Gordon również się napili. Maddie znów ugryzła kęs szaszłyka, potem zaś spróbowała pasztecika z dziczyzną. Ciasto było kruche i przepyszne, a smakowicie przyprawione nadzienie zdawało się eksplodować smakiem w ustach. Maddie pomyślała, że być może to właśnie wino sprawia, że jedzenie lepiej smakuje. Może właśnie dlatego ludzie jakoś znoszą ten kwaśny posmak.

W miarę jak mijał wieczór, zauważyła, że wino posiada również inne właściwości. Sprawia mianowicie, że człowiek staje się bardziej rozmowny i zaczyna mówić strasznie dowcipne rzeczy. Usłyszała, jak śmieje się z jakiejś bardzo wesołej uwagi Gordona i odpowiada mu w podobny sposób.

„Jeszcze nigdy nie byłam taka zabawna”, pomyślała. Właśnie rzuciła jakiś tekst o właścicielu zajazdu i jego upodobaniu do smaženiny. Była to wprost przekomiczna uwaga i trzej przyjaciele zareagowali gromkim śmiechem, a Maddie dołączyła do nich i o mało przy tym się nie usmarkała.

Zerknęła na Gordona, siedzącego naprzeciwko, po drugiej stronie ogniska. Jego twarz zdawała się rozpływać, tracić wyraźne kontury. Maddie pomyślała, że to pewnie przez rozgrzane od ognia powietrze.

– Jest jeszcze wino? – zapytała Martina. Sięgnął po dzbanek, przechylił go, o mało przy tym nie wpadając do ogniska. Wszyscy zawyli ze śmiechu. Maddie ostrzegawczym gestem przyłożyła palec do ust.

– Pszszst! – powiedziała. – Ktoż naz uzłyszysy. – Urwała, nieco zdumiona, po czym dodała: – Powieziałam „ktoż”?

– Tak powieziałaś.

– I powieziałaś „powieziałam” – dodała Lucy i wszyscy ponownie wybuchnęli śmiechem. Maddie zakołysała się w przód i w tył, a potem również straciła równowagę. Przewróciła się na bok i leżała tak bez ruchu. Uznała, że powrót do pozycji siedzącej kosztowałby ją zbyt wiele wysiłku, więc owinięła się peleryną i zamknęła oczy.

– Nikt mje nje sobaczy – oznajmiła – Zaufaj perelynie.

Te słowa sprawiły, że reszta znów zaczęła rechotać.

– Co ty wyprawiasz, do licha ciężkiego?

Głos Willa, zimny i gniewny, przebił się przez salwy śmiechu. Maddie otworzyła oczy i spojrzała w górę. Stał nad nią, ciemna postać w pelerynie i kapturze na tle nocnego nieba. Lucy pisnęła ze strachu. Mieszkańcy wsi wiedzieli, że ze zwiadowcami lepiej nie

zadzierać. Martin i Gordon przestali się śmiać i teraz patrzyli lękliwie na tajemniczego przybysza. Twarz Willa kryła się w cieniu kaptura, co dodatkowo przydawało mu groźnej aury. Oczywiście, widywali go wcześniej, jak przejeżdżał przez wieś czy siedział w restauracji Jenny. Ale tu, w tej chwili, pośród ciemności, zasłonięty tą swoją peleryną, wyraźnie wściekły, działał na nich bardzo onieśmielająco.

– Usiądź, Maddie – rozkazał zimnym tonem.

Maddie zaczęła się podnosić, szukając oparcia, zaplątała się w pelerynę i w końcu zdołała, podpierając się na rękach, usiąść prosto – choć bardzo chwiejnie.

Wszyscy czworo zerknęli lękliwie na Willa. Ten podniósł rękę i pstryknął palcami, zwracając się do Gordona:

– Podaj mi tę beczkę – powiedział. Gordon pospiesznie wykonał polecenie, o mało nie rozlewając przy tym wina. Will zrobił krok do przodu, wziął od niego beczkę i potrząsnął nią. Wino zachlupotało w środku. Została jakaś jedna czwarta zawartości.

Will bez ostrzeżenia uniósł beczkę i z całej siły cisnął nią o ziemię. Rozpadła się na kawałki, drewniane klepki poleciały na boki, eksplodowała winna fontanna. Było to tak niespodziewane, tak brutalne, że Lucy znów krzyknęła ze strachu, a chłopcy aż podskoczyli. Will wymierzył palcem w każdego po kolei.

– Wasi rodzice dowiedzą się o wszystkim – powiedział.

Lucy podniosła się do klęczek, łzy zaczęły płynąć po jej twarzy.

– Proszę, Willu zwiadowco, nie mów mojej mamie – błagała. – Strasznie mnie zbije, jeśli się dowie.

Jeżeli ta prośba miała wzbudzić litość w Willu, to na próżno. Popatrzył na dziewczynę, po czym kiwnął głową i powiedział krótko:

– Świetnie. – Potem jeszcze raz spojrzął na Maddie, kołysząc się lekko z boku na bok.

– Wstawaj, Maddie. Idziemy do domu.

Podniosła się niezgrabnie. Już utrzymanie pozycji siedzącej sprawiało jej sporo trudności, a stojącej okazało się znacznie bardziej skomplikowane. Zachwiała się, próbując desperacko odzyskać równowagę. Coś jednak jej przeszkadzało. Coś sprawiało, że cały świat wirował dokoła. Zdała sobie sprawę, że przyciska kolanem pelerynę, więc wyciągnęła ją i stanęła prosto. Will wskazał kciukiem wejście na dziedziniec przed stajnią.

– Ruszaj – rzucił. Potem spojrzął na pozostałych. – Wy też wracajcie do domu. I to już!

Posłusznie zaczęli się zbierać. Lucy nadal żałośnie pociągała nosem. Kiedy zniknęli w cieniu, Will poszedł po Wyrwija, wskoczył na jego grzbiet, po czym wskazał ciągnącą się przed nimi ulicę.

– W drogę – powiedział krótko.

Maddie poczuła łzy w oczach, ale odpędziła je gniewnie. Kiedy potrząsnęła głową, świat zawirował. Znów się zachwiała. Potem zaczęła iść przed siebie. Kilka osób właśnie wychodziło z restauracji Jenny. Zapatrzyli się ze zdziwieniem na dziewczynę w charakterystycznej pelerynie, kroczącą z trudem w górę ulicy oraz na zwiadowcę, jadącego za nią z ponurą miną i popędzającego ją od czasu do czasu. Maddie zaczerwieniła się z zażenowania. Już zaczynała cieszyć się pewną pozycją we wsi. Teraz jednak miała wrażenie, że wszyscy gapią się na nią, osądzają ją i dochodzą do wniosku, że bynajmniej nie jest doskonała. Że jest tylko dumną smarkulą.

Przeszli przez wieś i wkroczyli na wąską ścieżkę między drzewami, prowadzącą do chaty Willa. Maddie potknęła się na nierównej ziemi, potem jeszcze raz. A potem upadła, raniąc kolano o ostry kamień, który rozdarł jej spodnie. Krzyknęła z bólu. Poczowała strzykę ciepłej krwi na skórze. Próbowała się podnieść, ale bezskutecznie. W jej głowie wirowało.

A potem żołądek się zbuntował i dostała okropnych mdłości. Podparła się na rękach i kolanach, wymiotując, aż żołądek zrobił się całkiem pusty.

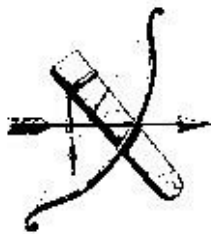
Will przypatrywał się obojętnie z grzbietu Wyrwija, jak zwija się w konwulsjach i płacze.

– Nic lepszego nie mogło ci się zdarzyć – powiedział w końcu. – A teraz wstawaj.

Nienawidziła go, a jeszcze bardziej samej siebie. Wreszcie udało się jej podnieść i jakoś dotrzeć do chaty. Saba wybiegła jej na spotkanie, z zapalem machając ogonem. Maddie z trudem pokonała dwa schodki, wiodące na werandę, trzymając się mocno słupka.

Will pstryknął palcami i wydał polecenie. Saba cofnęła się i wróciła na swoje miejsce. Płacz ścisnął gardło Maddie. Nawet Saba, zawsze bezkrytyczna i wyrozumiała Saba, teraz jej się wstydziła.

– Do łóżka – polecił Will, kierując Wyrwija w stronę stajni. – Rano porozmawiamy.





Maddie obudziła się potwornie spragniona. W ustach miała sucho i czuła w nich obrzydliwy smak, połączenie zwymiotowanego jedzenia z kwaśnym posmakiem wina. Jęknęła, usiadła na łóżku i natychmiast tego pożałowała.

Ten jeden ruch wystarczył, by poczuła pulsujący ból głowy, który przypominał walenie młota w wewnętrzną część czaszki. Najmocniej pulsowanie czuła za lewym okiem, ale ból obejmował całą głowę, jak ciemna plama, rozlewająca się na dywanie.

Schyliła się, przycisnęła dłonie do skroni i znów jęknęła. Oczy miała suche i podrażnione, jakby ktoś nasypał w nie piachu. Żołądek pusty. Mdliło ją i przez chwilę myślała, że znów zwymiotuje. Zwalczyła tę chęć i ostrożnie spojrzała na stolik przy łóżku, gdzie zwykle stało naczynie z wodą. Niestety, naczynie, puste, leżało na podłodze. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że obudziła się w środku nocy i wypila wodę, a potem padła nieprzytomna na poduszkę.

Potrzebowała wody, zimnej wody. Rozpaczliwie. Przypomniała sobie o beczce z deszczówką, stojącej na zewnątrz, pod jedną z rynien. O tej porze dnia woda powinna być zimna, świeża i pyszna. Maddie pomyślała, że mogłaby nawet zanurzyć w niej głowę – może kąpiel w lodowatej deszczówce ukołoby ten okropny pulsujący ból.

Najpierw jednak musiała tam dotrzeć.

Podniosła się ostrożnie. Pod wpływem ruchu jej głowę przeszył gwałtowny ból, który po chwili przekształcił się w stały i tętniący ból. Poczowała, że zbiera się jej na mdłości, ale jakoś nad sobą zapanowała. Chwiejąc się niepewnie, zrobiła kilka kroków w stronę drzwi. Oparła się o framugę, po kilku sekundach, odzyskawszy równowagę, otworzyła drzwi i weszła do pokoju, stąpając ostrożnie, jak najłżej, bo każdy krok odzywał się echem w jej głowie.

Will stał przy blacie kuchennym, plecami do Maddie. Kiedy usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi, odwrócił się, spojrzął na nią i zmarszczył brwi. Nagle dotarło do niej, że wciąż ma na sobie to samo ubranie, co poprzedniego wieczoru – oprócz peleryny. Spodnie były rozdarte na kolanie i zakrwawione. A na lewym rękawie widniała plama zaschniętych wymiocin. Maddie nie wiedziała, że prócz tego włosy ma w dzikim nieładzie, sterzące na wszystkie strony jak nieudane gniazdo.

– Śniadanie prawie gotowe – powiedział Will. Nie zabrzmiało to ani jak potępienie, ani jak zaproszenie. Po prostu całkowicie neutralnie. Maddie potrząsnęła głową, ale zaraz przestała, bo znów przeszła ją fala bólu.

– Chyba nie będę jadła – odparła schrypniętym głosem.

Will uniósł brew.

– Chyba jednak powinnaś. Musisz wypełnić pusty żołądek.

Na samą myśl zebrało się jej na mdłości. Zachwiała się niepewnie.

– Chcę pić – powiedziała. – Wody.

Kiwnął głową.

– Nie wątpię. – Ruchem głowy wskazał na drzwi. Maddie odwróciła się i z trudem ruszyła w ich stronę. Z jakiegoś powodu tego dnia strasznie ciężko się otwierały. Zaszurały o podłogę. Maddie skrzywiła się, ale w końcu jakoś zdołała je otworzyć i ruszyła wzdłuż werandy, przytrzymując się jedną ręką, by nie stracić równowagi.

Beczka była niemal pełna. Poprzedniego wieczoru padało. A to znaczyło, że woda będzie świeża i czysta.

I zimna. Ziemię pokrywała cienka warstewka lodu. Wczesnym rankiem temperatura musiała spaść niemal do zera. Maddie zeszła ostrożnie z werandy. Odległość wynosiła zaledwie jakieś pięćdziesiąt centymetrów i normalnie Maddie nie miała najmniejszych problemów, by ją pokonać. Dzisiaj jednak przypominało to skok z wysokiej skały. Kiedy stopy dotknęły mokrej trawy, głowa znowu zapulsowała bólem.

Maddie jęknęła. Chwyliła czerpak, wiszący obok beczki, nabrała wody i uniosła naczynie do ust, pozwalając wodzie spłynąć do ust, pełnych ohydneho smaku, po języku i w głąb spieczonego gardła. Wypiła wszystko jednym haustem. Oddychała ciężko, jej serce szybko waliło w piersi.

Straszliwe pragnienie zostało ugaszone – na chwilę. A potem – tak jakby w ogóle nie piła, ta okropna suchość i wstrętny smak powróciły. Znów zaczerpnęła wody, wypila, potem jeszcze raz.

Woda smakowała wspaniale, lecz kołło pragnienie może na jakieś pół minuty. Maddie popatrzyła w głąb beczki, wsparła się rękami o brzegi i zanurzyła twarz.

Zetknięcie z lodowatą ciecżą było naprawdę szokującym przeżyciem, ale po kilku sekundach Maddie poczuła, że rozjaśnia się jej

w głowie. Wynurzyła się, rozbryzgując wodę na wszystkie strony. Część spłynęła za kołnierz. Krztusiła się i parskała, ale czuła się nieco lepiej.

Przez kilka sekund.

A potem bezlitosny ból głowy, suchość w ustach i mdłości znów dały znać o sobie. Maddie popatrzyła na drzewa, rosnące kilka metrów od chaty, przez chwilę rozważała, czy nie skryć się w ich cieniu i nie pochorować sobie spokojnie. Może położyć się i zasnąć. Czuła się okropnie zmęczona.

Ale potem pomyślała, że nie ma w żołądku nic prócz wody. Bezproduktywne torsje to nie była zbyt przyjemna perspektywa. Głowa chyba pękała jej z bólu.

– Chodź coś zjeść.

Will stał w otwartych drzwiach. Popatrzyła na niego zamglonym wzrokiem. W jego głosie nadal nie było słyhać ani odrobiny współczucia. Choć z drugiej strony potępienia też nie. Powoli potrząsnęła głową.

– Nie mogę – wychrypiła. On jednak przywołał ją ruchem ręki.

– Musisz – powiedział. – Uwierz mi.

Popatrzyła na werandę. Normalnie wbiegłaby na nią lekkim krokiem, ale dzisiaj nogi miała jak z ołowiu i na samą myśl o jakichś gwałtowniejszych ruchach aż ją wzdrygało. Z opuszczoną głową powlokła się w stronę schodków i z trudem wczołgała po nich na werandę.

Will przygotował dla niej proste śniadanie. Podpiekł dwie kromki chleba i posmarował je masłem i dżemem. Na stole stała też szklanka mleka.

Maddie usiadła, przez minutę czy dwie ścisnęła głowę w dłoniach. Czuła, że Will stoi z tyłu. Pochylił się i przysunął bliżej chleb.

– No dalej – powiedział. – Cukier w dżemie powinien pomóc. A mleko ukoi żołądek.

Upiła łyk. Mleko stało przez noc na parapecie, było zimne i orzeźwiające. Popatrzyła na chleb z dżemem. Szarpały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony była godna jak wilk. Z drugiej pomyślała, że ma cokolwiek przełknąć, narażając się na bunt ze strony żołądka, wydawał się stanowczo zbyt ryzykowny. Ale po chwili, kiedy mleko spłynęło do żołądka, poczuła, że mdłości mijają.

Ostrożnie nadgryzła kromkę z dżemem. Słodycz owoców leśnych wypełniła jej usta, walcząc z paskudnym kwaśnym smakiem, którego wciąż nie mogła się pozbyć. Wzięła kolejny kęs i znów upiła mleka. Will miał rację. Jedzenie i picie łagodziły podrażniony żołądek i pomagały pozbyć się obrzydliwego posmaku.

Ale na ból głowy, rzecz jasna, nie podziałały. Nadal łupało w niej i pulsowało. Teraz ból przesunął się do skroni. Maddie uświadomiła sobie, że zaczyna się mocno pocić. Popatrzyła na Willa zamglonym wzrokiem. Przyglądał się jej, ale zachował swą neutralną postawę.

– Po co ludzie to robią? – zapytała. Głos miała nadal schrypnięty, nawet mleko nie pomogło.

– Z głupoty – odparł krótko. Potem odwrócił się, z zadowoleniem skonstatowawszy, że Maddie będzie żyła. – Pospiesz się – rzucił przez ramię. – Kiedy zjesz, umyj się i przebierz. Twoje ubranie cuchnie.

Przysunęła rękaw do nosa i powąchała ostrożnie. Miał rację. Ubranie śmierdziało starym dymem z ogniska, pieczonym mięsem, kwaśnymi wymiocinami i winem.

– Błę – mruknęła. Dokończyła śniadanie, a potem, już w znacznie lepszej formie, wyjęła czyste ubranie i ręcznik i ruszyła do łaźni na tyłach chaty. Spojrzała z nadzieją na piecyk, służący do grzania wody, ale okazało się, że nikt w nim nie napalił. Pomyślała z żalem, że tego ranka czeka ją zimny prysznic.

Lodowata woda i śniadanie znacznie poprawiły jej stan, choć nadal czuła się fatalnie. Głowę wciąż rozsadał pulsujący ból, obficie się pociła. Nogi i ramiona też bolały, z jakiegoś niewyjaśnionego powodu. Podobnie jak szczeka.

„Musiałam spać bardzo spięta”, pomyślała, wracając do chaty. Will już czekał na werandzie, wyraźnie zniecierpliwiony.

– Lekcja strzelania z łuku – powiedział krótko, wskazując na ścieżkę, wiodącą na pole, na którym zwykle trenowała. Maddie jęknęła. Perspektywa naciągania łuku i koncentrowania się na celu nie należała do najprzyjemniejszych. Potem jednak zachnęła się w myślach.

Nie oczekiwała przecież, że Will jej odpuści, tylko dlatego, że źle się czuła.

Strzelała tragicznie. Ręce jej się trzęsły, kiedy wkładała strzały w cięciwę, nie mogła skupić wzroku na jednym punkcie ani utrzymać go tak przez dłuższą chwilę. Wypuszczała strzały za szybko, bezmyślnie, szarpiąc cięciwą, zupełnie zapominając o technice, którą do tej pory opanowała.

Strzały odbijały się od powierzchni tablic, trafiały w drzewa. Wypuściła pięćdziesiąt strzał i żadna z nich nie trafiła w środek celu, co najwyżej muskały jego brzeg, tylko trzy trafiły w zewnętrzne koło. Will prychnął z niesmakiem.

– Chyba powinienem wyznaczyć ci mniej wymagające zadanie. Chodź za mną.

Skierował się w stronę polanki przed chatą. Z boku leżał stos belek i siekiera.

– Są za duże, by wrzucić je tak do pieca – powiedział. – Porąb je na kawałki.

Maddie schowała łuk i kołczan. Brakowało w nim kilku strzał, których nie zdołała odnaleźć. Wiedziała, że zrobienie nowych zajmie jej kilka kolejnych wieczorów. Potem wróciła na podwórze. Will siedział na werandzie, na płóciennym krzeselku, czytając raporty, przysłane przez Gilana. Maddie zatrzymała się. Zauważyła, że nigdzie nie widać skórzanej teki.

– Skąd wczoraj wiedziałeś, że mnie nie ma? – zapytała.

Podniósł głowę znad papierów.

– Na drugi raz, jak będziesz próbowała wymknąć się niepostrzeżenie – powiedział zimno – pamiętaj, żeby zostawić pelerynę.

Jej wargi ułożyły się w bezgłośnie O. Rzeczywiście, wychodząc z chaty, zabrała pelerynę, tak jak zwykle. To był odruch.

– To, że wymknęłaś się po kryjomu, to przejaw nieposłuszeństwa i lekkomyślności. Ale to, że zabrałaś pelerynę, jest dowodem skrajnej głupoty. Naprawdę nie wiem, co gorsze.

Zwiesiła głowę z zawstydzeniem. Nienawidziła, kiedy taki był – zimny i obojętny. Od kiedy tu zamieszkała i próbowała przyswoić sobie wszystkie umiejętności, potrzebne zwiadowcom, czuła, że Will zaczyna traktować ją nieco cieplej, bardziej wyrozumiale. A teraz miała wrażenie, że wróciła do punktu wyjścia. Wszystko przez jeden głupi wybryk.

Ale pewnie jeden wybryk wystarczy, by zniszczyć zaufanie.

– Te belki same się nie porąbią – zauważył Will, wracając do swoich raportów.

Z trudem podeszła do stosu i trochę ociężale wzięła się za robotę. Miała wrażenie, że przy każdym uderzeniu również jej głowa rozpada się na kawałki. Ale rąbała dalej, walcząc z nawracającymi mdłościami i pojękując cicho za każdym razem, kiedy uderzenie siekiery rezonowało w jej ciele.

Will przyglądał się, marszcząc brwi. Raz, kiedy zauważył, jak dzielnie zмага się z mdłościami i bólem, kiwnął krótko głową. Zdjęła pelerynę i kaftan. Lniana koszula pociemniała od potu.

Po czterdziestu minutach zarządził przerwę. Opuściła siekiere i z wdzięcznością osunęła się na pień, na którym rąbała drwa.

– Dobrze – powiedział. – Jedna przebieżka przez tor z przeszkodami i możesz odpocząć. Jak już zrobisz pranie.

Spojrzała na niego z przerażeniem. Will sam zbudował tor z przeszkodami. Między innymi składała się nań ściana z wysokich belek, na którą trzeba było się wspiąć i zeskoczyć po drugiej stronie, wąskie belki, przerzucone przez rowy pełne błocka i, jeszcze gorzej, liny, wiszące ponad strumieniem oraz siatka, umieszczona na wysokości trzydziestu centymetrów nad ziemią, pod którą należało się przeczołgać. I wszystkie te przeszkody trzeba było pokonać w określonym czasie, więc określenie „jedna przebieżka” stanowczo nie oddawało stanu rzeczy. Maddie wiedziała, że jeśli nie wyrobi się w czasie, będzie musiała zaczynać od początku.

Na samą myśl poczuła się znacznie gorzej. A rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza niż wyobrażenia. Spadła z belki do rowu, prosto w śmierzdzącą, lepka maź, która oblepiła ubranie ciężką warstwą. Wskutek tego Maddie nie za dobrze radziła sobie na linowej huśtawce i spadła do wody. Kiedy skończyła, piasek już od dawna spoczywał na dnie klepsydry i Will bez słowa wskazał linię startu. Posłuszenie powlokła się, by zacząć od początku. Nie zauważyła, że tym razem odwrócił klepsydrę na bok, by piasek nie przesypanywał się z górnej części do dolnej w tak szybkim tempie.

Jakoś pokonała tor przeszkód, potykając się i babrając w błocie, dziesięć metrów przed metą zaliczyła upadek i ostatni odcinek pokonała na czworakach. Z ulgą stwierdziła, że w górnej części klepsydry zostało jeszcze kilka ziarenek, po czym padła na ziemię jak długa.

– Wstawaj – rzucił krótko Will. Zaczęła się podnosić, pojękując żałośnie.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytała.

Popatrzył na nią przez chwilę, po czym odparł:

– Nie ja, Maddie. Nie ja, tylko wino. Zapamiętaj to sobie.

Przystanąła, wyczerpana, z nisko opuszczoną głową.

– Nigdy więcej nie będę pić wina – oświadczyła.

Popatrzył na nią jeszcze raz.

– Miejmy nadzieję.

Odwrócił się w stronę chaty i dał jej znak, by szła za nim. Ruszyła powoli. Głowa wciąż ją bolała, żołądek znów się skręcał, a ohydny smak w ustach powrócił.

Kiedy weszli do chaty, poczuła dobrze znany zapach. Owszem, dobrze znany – ale tym razem wydał się jej również bardzo kuszący. Bogaty aromat świeżej kawy. Kiedy ona zmagiała się z przeszkodami, Will wstawił czajnik na piec. Teraz kazał jej usiąść, napełnił kubek i postawił przed nią.

– Ja nie piję kawy – zaprotestowała odruchowo. Ale intensywny aromat wypełnił jej nozdrza.

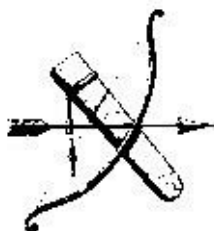
Pomyślała, że może jednak myli się w tej kwestii. Will dodał do kawy trochę mleka i kilka łyżeczek ciemnego miodu, zamieszał i podał jej.

– Wypij to – polecił. Zastanawiała się, czy to może dalsza część kary. A potem upiła łyk gorącego słodkiego napoju i poczuła, jak rozlewa się po jej zmęczonym ciele, przegania ból głowy, dodaje sił i ożywia swym wspaniałym zapachem i bogatym smakiem. Upiła jeszcze jeden łyk, tym razem większy, po czym odchyliła się na krześle i westchnęła z uznaniem.

– Może nawet przywyknę – stwierdziła.

Will uniósł brew.

– Chyba jest jeszcze dla ciebie jakaś nadzieja – powiedział.





Maddie jakoś dotrwała do końca tego okropnego dnia.

Wieczorem jeszcze raz wzięła prysznic. Tym razem rozpałała wcześniej w piecu. Woda buchnęła na nią gorącym strumieniem. Maddie krztusiła się i parskała, długo trzymała wiadro przechylone, tak by woda przez cały czas na nią płynęła. Gorący strumień na karku przepędził potworny ból głowy.

Kiedy wytarła się i włożyła czyste ubranie, po tępych pulsowaniu zostały tylko marne resztki.

Will patrzył na nią, kiedy wracała do chaty. Czuł, że chyba czegoś się nauczyła. Kac zwykle uświadamia ludziom, że picie alkoholu to nie najlepszy pomysł. Uznał, że wystarczająco wymęczył ją przed południem rąbaniem drewna, biegiem z przeszkodami i strzelaniem z łuku i postanowił dać jej trochę luzu. Kazał jej zrobić pranie – tego dnia zużyła dwa komplety ubrań, a na tych z poprzedniego wieczoru widniały plamy potu – i nie tylko. Musiała też zaszyć rozerwaną nogawkę i zmyć plamy z krwi. Potem udzielił jej lekcji na temat tajnego kodu zwiadowców, opartego na specjalnym układzie liter i kazał zrobić kilka ćwiczeń.

Znaki rozpląwały się na kartce, ból głowy znowu powrócił, kiedy próbowała się skupić. Ale to i tak było lepsze od przedpołudniowych tortur.

Wreszcie skończyła i podała Willowi ćwiczenia. Przejrzał je prędko, poprawił w kilku miejscach i odchrząknął. Poczula się trochę rozczerowana. Zwykle, jeśli dobrze wykonała jakieś zadanie, nagradzał ją, mrużąc pod nosem kilka słów pochwały.

Ale nie dzisiaj.

„Straciłam jego zaufanie”, pomyślała z żalem. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze powrócą ciepłe uczucia, które niedawno zaczęły między nimi kiełkować. I zaraz pomyślała pośpiesznie, że pewnie nie.

A wieczorem trochę się posprzeczała. Słońce właśnie zniknęło za drzewami i Maddie zapaliła trzy olejowe lampki. Kiedy przycinała knot w jednej z nich, Will powiedział:

– Jest jedna sprawa. Chcę poznać imiona twoich towarzyszy z wczorajszego wieczoru.

Rzuciła mu zaniepokojone spojrzenie. Minę miał ponurą i zdeterminowaną. Nie mogła jednak spełnić tej prośby.

– Ja... ja nie mogę – odparła. – Nieważne, możesz mnie ukarać, ale nie zdradzę przyjaciół.

Przyglądał się jej przez chwilę, w końcu powoli pokiwał głową.

– Cóż, doceniam twoją lojalność, chociaż za nadmiar mądrości pochwalić cię nie mogę. Zakładam jednak, że to nie ty załatwiłaś beczułkę z winem?

Potrząsnęła głową. Tyle mogła zdradzić. Nie zamierzała jednak powiedzieć, kto to zrobił.

– Ktokolwiek to był, powinien ponieść karę – stwierdził Will, a Maddie ponownie potrząsnęła głową.

– Nie zamierzam nikogo wydawać – powiedziała.

– Hmmm – mruknął ponuro. Tak naprawdę wcale nie oczekiwał, że dowie się od niej imion współników. Mógł bez trudu odnaleźć ich w przeciągu pół godziny. Zapamiętał twarze i potrafili by je rozpoznać. Zamierzał donieść o wszystkim rodzicom winowajców. Powinni ponieść jakieś konsekwencje, tak jak Maddie.

Ucieszył się jednak, że nie próbowała zyskać u niego dodatkowych punktów, zdradzając imiona przyjaciół. Możliwe, że w tym przypadku niepotrzebnie wykazała się lojalnością, lecz jej postawa dowodziła siły charakteru.

– Musisz uświadomić sobie, Maddie, że jako zwiadowcy powinniśmy zachować pewien... dystans.

Przechyliła głowę.

– Dystans? – powtórzyła.

– Zwiadowcy stanowią wielką tajemnicę dla zwykłych ludzi – wyjaśnił. – Powinniśmy tę tajemniczość pielęgnować. Ludzie muszą darzyć cię szacunkiem. Miło mieć przyjaciół, ale założmy, że nadejdzie taki dzień, kiedy będziesz musiała zdyscyplinować któregoś z tych dzieciaków. Albo wydać im jakiś rozkaz. Muszą widzieć w tobie przede wszystkim zwiadowczynię i natychmiast wykonywać twoje polecenia, nie zastanawiając się nad nimi. Nie możesz być dla nich zwykłą Maddie, tą głupiotką gąską, która upiła się z nimi którejś nocy.

Po namyśle Maddie rzekła:

– Chcesz powiedzieć, że nie mogę mieć przyjaciół?

Już chciał powiedzieć „nie”, ale zmienił zdanie.

– W pewnym sensie. Możesz spędzać z nimi czas, ale nie możesz dopuścić ich zbyt blisko. To jedna z ofiar, które ponosimy jako zwiadowcy. Przeważnie przyjaźnimy się z innymi zwiadowcami.

– Ale przecież ty przyjaźnisz się z moimi rodzicami – zauważyła, Will zaś przytaknął.

– Razem przechodziliśmy przez wiele niebezpiecznych sytuacji. W ten sposób ukształtowała się nasza przyjaźń. Musieliśmy wzajemnie na sobie polegać i darzyć się zaufaniem. Moje życie nieraz było w rękach twojego ojca. I matki. To lepsza podstawa dla przyjaźni niż upijanie się razem po nocy kradzionym winem.

– Pewnie tak – przyznała. Rozumiała, co miał na myśli. Jako uczennica zwiadowcy cieszyła się szacunkiem okolicznych mieszkańców i bardzo jej to odpowiadało. Widziała, że budzi podziw. Widziała też, że tak idiotyczny incydent jak ten wczorajszy może to szybko zepsuć.

– Czas dorosnąć, Maddie – dodał Will.

– Chyba tak – zgodziła się.

Tego wieczoru wcześniej poszła do łóżka, zaraz po zjedzeniu kolacji: kawałków pieczonej wołowiny i gotowanych ziemniaków z masłem. Will przygotował też sałatkę z jakichś gorzkawych zielonych liści, polaną lekkim cierpkim sosem. Było to proste i pożywne jedzenie, które miało przegnać resztki potwornego kaca. Kiedy Maddie włożyła talerz do miski z brudnymi naczyniami, Will zapytał, wskazując na dzbanek z kawą.

– Masz ochotę?

Zawahała się, ale potem przypomniała sobie, jak wielką ulgę poczuła wcześniej tego dnia po wypiciu słodkiej kawy z mlekiem.

– Czemu nie? – odparła.

Will odwrócił się, by ukryć uśmiešek, nalał kawy do kubka, dodając mleka i miodu.

Zaczęła saczyć napój, nie mogąc wyjść ze zdumienia, że niemal natychmiast przegonił resztki bólu głowy. Potem ziewnęła i oznajmiła:

– Chyba pójdę spać.

Kiwnął głową.

– Dobranoc – powiedział, nie odrywając wzroku od płomieni.

Maddie ruszyła do pokoju, ziewając raz po raz. Jeszcze nigdy z taką przyjemnością nie kładła się do łóżka.



Obudziła się dobrze po północy. Księżyc przewędrował już spory kawał po niebie, teraz jego promienie wpadały do środka pod innym kątem niż w chwili, kiedy Maddie zasypiała.

Zastanawiała się, co ją zbudziło. Bo była pewna, że coś przerwało jej sen. Przez chwilę leżała nieruchomo, wstrzymując oddech. A potem to usłyszała. Cichy pomruk. Ludzkie głosy.

Usiadła na posłaniu i ostrożnie odgarnęła koc na bok. Jedną częścią umysłu zarejestrowała, że ból głowy wreszcie minął. Spojrzała na szparę pod drzwiami. Ciemna. A więc Will zgasił lampy. Widziała tylko stłumiony blask, rzucany przez dogasające węgle w piecu.

Odwróciła się i nasłuchiwała uważnie. Znowu te głosy. Lub raczej jeden głos, cichy, ledwo słyszalny. Gdyby nie to, że panowała całkowita cisza, jak to tuż przed świtem, pewnie umknęłyby jej uwadze.

Maddie wstała, podeszła do drzwi i uchyliła je ostrożnie. Nawiasy, porządnie naoliwione, nie wydały najmniejszego dźwięku. Maddie uśmiechnęła się do siebie. Teraz potrafiła poruszać się naprawdę bardzo cicho. Po kilku miesiącach treningów nauczyła się stąpać lekko, omijając przeszkody i deski, które mogłyby zdradzić ją skrzypnięciem.

Przemknęła do pokoju dziennego. Zmarszczyła brwi. Drzwi chaty stały otworem.

Dziwne. Will zawsze sprawdzał, czy drzwi są zamknięte, zanim się położył. Maddie wróciła do swojego pokoju, chwyciła pochwę, wiszącą na kołku na ścianie i bezgłośnie wysunęła z niej sakse. Potem podeszła do wyjścia, uważając, by nie stąpnąć na trzy luźne deski, które miały skrzypieć ostrzegawczo, gdyby do chaty zakradł się intruz.

Teraz wyraźniej słyszała stłumiony głos. Dochodził chyba z końca werandy – z miejsca, w którym zwykle urzędowała Saba. Maddie ostrożnie wychyliła głowę zza drzwi, pilnując, by ich nie dotknąć, gotowa od razu cofnąć się, gdyby ktoś spojrzął w jej stronę. Dolny brzeg drzwi ocierał się o deski podłogi. Początkowo myślała, że ktoś spartaczył robotę, ale Will wyjaśnił jej, że to kolejny element systemu alarmowego, w razie gdyby ktoś obcy próbował dostać się do środka.

Drzwi wewnętrzne – przeciwnie: specjalnie zaprojektowano je tak, by wydawały dźwięk przy otwieraniu. Aby otworzyć je bezgłośnie, należało podnieść je na zawiasach.

Co zapewne uczynił Will, wychodząc. Bo to on siedział na werandzie, zwrócony plecami w jej stronę. Obok siedziała Saba, opierając się o niego ciepłym ciałem, z wolna zamiatając ogonem deski podłogi i słuchając uważnie wynurzeń Willa.

– ...Tak bardzo mi jej brakuje. Budzę się rano i wydaje mi się, że zaraz ją zobaczę. Wchodzę do pokoju i dziwię się, że jej tam nie ma. I przypominam sobie, że odeszła i serce pęka mi po raz kolejny.

Maddie domyśliła się, że Will mówi o Alyss. Nagle poczuła się jak intruz, głupio się jej zrobiło, że podsłuchuje, jak Will zwierza się z najbardziej osobistych przeżyć. Chciała wrócić do łóżka, lecz jakoś nie mogła się na to zdobyć, zwyciężyła ciekawość.

– Była dla mnie wszystkim. Wszystkim.

Ogon Saby współczująco uderzał o deski werandy. Will objął ją, przyciągnął do siebie i wtulił twarz w gęste futro na grzbiecie.

– Tak bardzo za nią tęsknię. Jakby w moim życiu pojawiła się wielka ziejąca dziura. Ale nie potrafię płakać. Nigdy jej nie opłakiwałem. To bardzo boli. Dlaczego nie mogę płakać, Sabo?

Saba znów zamachała wymownie swym ciężkim ogonem. Will podjął po paru minutach milczenia:

– Pauline mówi, że ból stopniowo zelżeje. Stanie się łatwiejszy do zniesienia. Tylko kiedy? Nadal wydaje się taki świeży i głęboki. Każdego dnia.

Maddie, nieco zakłopotana, odwróciła się, ale zatrzymała ją kolejne słowa Willa.

– Dzięki niebiosom za Maddie. Przynajmniej ona sprawia, że potrafię na chwilę oderwać się od bólu i smutku. To jedyny jasny punkt w moim życiu.

„Ja? Ja jestem jasnym punktem w jego życiu?”, zapytała się w myślach.

– Jeśli popracuje trochę nad sobą, będzie z niej doskonała zwiadowczyni. Jest bystra. Potrafi szybko myśleć i już świetnie strzela, szczególnie z tej swojej procy. Mogłaby zapoczątkować nowy rozdział w dziejach Korpusu, otworzyć drogę kolejnym dziewczętom. Szkoda, że zostanie ze mną tylko przez jeden rok.

Maddie potrząsnęła głową ze zdumieniem. Nie przypuszczała, że Will ma o niej tak dobre zdanie. Cóż, nigdy z tym się nie zdradził.

– No, późno już. Idę do łóżka. Dzięki za rozmowę.

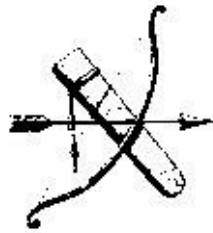
Znów rozległ się głuchy dźwięk, kiedy Saba uderzyła ogonem o deski. A potem skrzypnięcie – Will podniósł się z krzesła. Maddie bezgłośnie pomknęła do pokoju. Właśnie miała zamknąć drzwi, kiedy usłyszała, że Will wchodzi do chaty. A potem ciche „klak”, gdy rygiel wskoczył na miejsce. Wreszcie charakterystyczne szuranie psich łap na werandzie, kiedy Saba ułożyła się do snu.

Maddie odczekała, aż Will poszedł do swojego pokoju. Zamknęła drzwi dokładnie w tym samym momencie, by dźwięki nałożyły się na siebie.

Położyła się do łóżka i podciągnęła koc wysoko pod brodę. Noc była chłodna, Maddie marzła i drżała. Po chwili jednak zrobiło się ciepłej. Długo leżała z otwartymi oczami, rozmyślając o tym, co usłyszała.

W końcu zasnęła. Wcześniej jednak podjęła postanowienie. Obiecała sobie, że zadośćuczyni Willowi za tamten incydent z winem. I nigdy więcej go nie zawiedzie.

Aż odzyska jego zaufanie.





W późniejszych latach Maddie nieraz myślała sobie, jak jedno drobne wydarzenie potrafi wpłynąć na całe nasze życie.

Od tamtego poranka, kiedy obudziła się na strasznym kacu, minęły cztery dni. Jej młode zdrowe ciało poradziło sobie z trucizną. Teraz wróciła do normalnego życia, gotowa na podjęcie każdego wyzwania.

Ale, chociaż fizycznie czuła się znacznie lepiej, wspomnienie przebytych cierpień pozostało i przysięgła sobie, że nigdy więcej nie weźmie do ust alkoholu.

Gorąco przepraszała Willa za swoje zachowanie. On tylko kiwnął głową, w milczeniu przyjmując jej tłumaczenia. Maddie jednak podobnie jak on wiedziała, że słowa to tylko słowa. Tak naprawdę liczą się czyny, a z nimi bywa trudniej. Postanowiła, że udowodni mu, jak szczerze i prawdziwe były jej przeprosiny. Przystąpiła do treningów i lekcji z nowym zapalem.

Zauważył to, ale nie komentował. Postanowił zaczekać i zobaczyć, na jak długo starczy jej energii. To był dopiero początek.

Pewnego dnia, kiedy właśnie kończyli drugie śniadanie, ktoś zapukał do drzwi. Chwilę wcześniej Wyrwij i Zderzak zarzeli ostrzegawczo, wyczuwając, że ktoś zbliża się do chaty. Ale konie oczywiście nie wiedziały, czy to wróg czy przyjaciel, więc ostrzeżenie było całkowicie neutralne. Saba, jak zwykle warująca na werandzie, nie wydała żadnego dźwięku, co świadczyłoby o tym, że przybysz nie jest niebezpieczny.

Will podniósł się i podszedł do drzwi. W ostatniej chwili odgarnął na bok pelerynę, by mieć swobodny dostęp do saksy. Potem lewą ręką chwycił klamkę i otworzył drzwi szeroko, gwałtownym ruchem, tak by od razu ogarnąć wzrokiem całą werandę, w razie gdyby ktoś schował się z boku. Zwierzęta nie wyczuły zagrożenia, lecz były tylko zwierzętami, mogły się pomylić.

Tym razem jednak miały rację. Przybysza, stojącego na progu, raczej trudno byłoby określić mianem groźnego. Odskoczył do tyłu, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie, zaskoczony nagłym ruchem.

Był niski, niższy nawet od Willa, i niesamowicie chudy. Ramiona, choć żyłaste i umięśnione, przypominały patyczki. Najwyraźniej nie unikał w życiu ciężkiej fizycznej pracy. Garbił się lekko, a jego włosy zaczynały przerzedzać się na skroniach. Na twarzy widniały zmarszczki. Maddie oceniła, że może mieć około sześćdziesięciu lat, ale z pewnością przez całe życie pracował na zewnątrz, deszcz, słońce i mróz wygarbowały jego skórę.

– Słucham? – zagał Will.

Mężczyzna nerwowo skinął głową. Jeszcze nigdy nie miał do czynienia ze zwiadowcą i czuł się trochę niepewnie.

– Aaa... hmmm... Przepraszam, że nachodzę. Nie chcę przeszkadzać ani nic... – tłumaczył się.

Will jakoś powstrzymał się od wypowiedzenia słów, cisnących się na usta: „Skoro nie chcesz przeszkadzać, to po co pukalesz do moich drzwi?”. Czuł, że mężczyzna tylko jeszcze bardziej by się zmieszał i zdenerwował.

– Potrzebujesz pomocy? – zapytał Will.

Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, obracając w rękach kapelusz.

– Nazywam się Arnold. Arnold Clum z gospodarstwa Pod Rozdartym Dębem. – Machnął ręką za siebie, jednocześnie wykonując ruch głową. – Jakies dziesięć kilometrów na południe.

Imponująca nazwa dla miejsca, które zapewne wcale imponujące nie było, sądząc po stanie ubrań Arnolda i jego niezbyt dobrze odżywionej postaci. Will domyślał się, że Arnold, podobnie jak większość mieszkańców wsi, nie zamierza tak po prostu odpowiadać na pytania.

– Prawie całe życie przepracowałem na roli – ciągnął Arnold Clum, tym samym potwierdzając obawy Willa. – To niewielkie gospodarstwo. Właściwie bardzo małe. Uprawiamy warzywa. Niewiele. Ziemia jest kamienista. I mamy trochę owiec. Ale największej zysku przynoszą kury. Moja żona je hoduje.

Maddie wstała od stołu i podeszła do Willa. Arnold skinął jej głową, jednocześnie dotykając na niby rąbka kapelusza – bo kapelusz trzymał przecież w ręku.

– Dzień dobry, panienko – powiedział uprzejmie, przyglądając się jej, wyraźnie zdezorientowany. Miała na sobie strój zwiadowcy, ale była przecież dziewczyną. Te dwa fakty wydawały mu się trudne do pogodzenia.

– Maddie jest moją uczennicą – wyjaśnił Will. – Możesz zwracać się do niej „Maddie zwiadowczyni”.

– Aha, no tak... Dzień dobry, Maddie zwiadowczyni – powiedział Arnold.

Maddie uśmiechnęła się. Stwierdziła, że bardzo jej ten tytuł odpowiada, nadawał jej pewnego prestiżu – choć nie do końca

wiedziała, na czym tak naprawdę polega prestiż. Słyszała jednak kiedyś to słowo i domyślała się, że to coś związanego z autorytetem.

– Mamy jakieś dwadzieścia-trzydzieści kur i jednego koguta – podjął Arnold, znów zwracając się do Willa. – Dają nam jajka, rzecz jasna, a od czasu do czasu zabijamy jakąś na rosół. Dobrze podjeść czasem mięsa. – Nieświadomie oblizał wargi, z tak rzewną miną, że Will mógłby się założyć, że to „od czasu do czasu” zdarza się nie częściej niż raz w miesiącu.

– Tak, kurczaki są bardzo przydatne – wtrącił Will, z nadzieją, że nieco przyspieszy tok rozmowy.

Arnold Clum pokiwał głową.

– Właśnie. Pożyteczne bestie. I praktycznie wszędzie da się je hodować.

– Nigdy nie próbowałem – odparł Will.

Arnold wzruszył ramionami i spojrzał na niego, przekrzywiając głowę.

– A powinieneś. Łatwizna. Wystarczy im kawałek trawnika, żeby sobie tam skubały. Lubią skubać. I można dawać im do żarcia różne resztki, okruchy...

– Masz jakiś problem z kurami? – przerwał mu Will.

Arnold popatrzył na niego, z lekko rozdziawionymi ustami.

– Skąd żeś wiedział?

Will westchnął. Mężczyzna powiedział wcześniej, że potrzebuje pomocy i wszystko wskazywało na to, że kury to stworzenia, zajmujące niezwykle ważne miejsce w jego życiu. Prosty logiczny wniosek. Logika podpowiadała również, że przyczyną kłopotów zapewne jest jakiś drapieżnik. W końcu, gdyby kurczaki zachorowały, mężczyzna nie szukałby pomocy u zwiadowcy, tylko u aptekarza.

– Coś kradnie twoje kurczaki? – zapytał Will.

Arnold jeszcze szerzej rozdziawił usta.

– Wy, zwiadowcy, jesteście niesamowici. Wszystko prawda, co o was mówią. Przyszedłem prosić o pomoc i patrzcie, od razu wiedziałeś, że jakiś zwierzak wykrada mi kurczaki i zżera jaja.

„Nie tak od razu”, pomyślał Will. Zdawał sobie sprawę, że utrata kurczaków i jajek to poważna sprawa dla kogoś takiego jak Arnold. Sądząc po jego bardzo szczupłej sylwetce, raczej i tak się nie przejadał.

– Widziałem to parę razy – podjął Arnold. – Zwykle o zmierzchu. Wielkości niedużego psa. A szybkie jak wąż. Nie umiem dać mu rady. Mam oszczep, ale nie za bardzo potrafię nim rzucać. A ten łobuz przychodzi, kiedy chce i nic a nic się nie boi. Moja żonka, Aggie, w końcu mówi tak: „Arnold, idź do zwiadowcy. On już będzie wiedział, co zrobić.

– To pewnie łasica albo gronostaj – powiedział Will z namysłem. Wyobraził sobie, jak Arnold próbuje zabić zwinne zwierzątko za pomocą starego oszczepu, tymi trzęsącymi się rękami.

– Może być – zgodził się Arnold. – Ale to duża sztuka. I nie dziwota, spał się na moich jajkach, drań jeden! – powiedział, wyraźnie poruszony.

Will pokiwał głową ze współczuciem.

– No, zobaczymy, co da się zrobić. Wyruszymy jeszcze dzisiaj, żebyś nie tracił więcej jajek. Wyłumacz, jak dotrzeć do twojego gospodarstwa.

Arnold opisał drogę, a potem odjechał – na oklep, na roboczym koniu, równie wymęczonym jak jego właściciel.

– Pomyślałem, że puszczę go przodem – powiedział Will do Maddie. – Chłopi uwielbiają rozmawiać z nowo poznanymi osobami. Uznałem, że możemy sobie tego oszczędzić.

– Czy to aby naprawdę warte tyle wysiłku? – spytała Maddie. – Jechać taki kawał z powodu kilku jajek?

– Dla nas to tylko kilka jajek, ale dla niego kwestia tego, czy będzie chodził głodny czy nie. Wystarczy na niego popatrzeć, widać, że głodował nie raz.

Maddie z namysłem zacisnęła wargi.

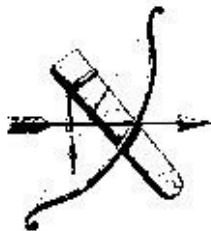
– Ach, rozumiem.

– To jest część naszej pracy, Maddie – dodał Will. – Pomagamy ludziom w tarapatkach. Czy chodzi o śledzenie rozbójników, aresztowanie mordercy czy ratowanie jajek. Nieważne. Zwiadowcy są po to, by służyć innym.

– Nie myślałam o tym w taki sposób – przyznała. – To co, ruszamy?

Will potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Nie chciałbym go dogonić. Pomogę mu, ale nie mam ochoty wysłuchiwać jego głędzenia.





Dotarli na miejsce tuż przed zmierzchem. Wjechali na podwórze. Domek, niewielki i chylący się ku ziemi, zbudowano z desek okorkowych i szachulca. Brzegi przykrytego strzechą dachu znajdowały się niewiele wyżej niż głowa Maddie. Z komina unosiła się smuga dymu.

Maddie już miała zeskoczyć na ziemię, ale Will powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Zaczekaj, aż nas zaproszą – powiedział cicho.

Zanotowała to sobie w pamięci. Kiedy była księżniczką, nigdy nie musiała, rzecz jasna, czekać na zaproszenie. Zawsze zakładała, że wszędzie jest mile widziana. Teraz jednak odczekała, aż na podwórze wyszli Arnold i jakaś kobieta, zapewne jego żona.

– Witamy. Serdecznie witamy. Oto moja żona, Aggie. Aggie, oto Will zwiadowca i zwiadowczyni Maddie.

Aggie dygnęła, krótko, bo ciężka praca i bolące plecy robiły swoje. Była równie szczupła jak jej mąż, włosy miała siwe, a twarz poznaczoną zmarszczkami, wyrytymi przez lata harówki i niedostatku.

– Witajcie. Proszę, zsiądźcie z koni. Może napijecie się herbaty? Albo i co przegryziecie?

– Dziękujemy, ale nie – odparł Will. Wiedział, że ci ludzie naprawdę niewiele mają, nie chciał pozbawiać ich skromnych zapasów. – Lepiej rzućmy okiem na ten wasz kurnik.

Zsiedli z koni. Wodze zostawili luzem. Koni zwiadowców nie trzeba było wiązać. Stały i czekały spokojnie na swych jeźdźców.

Arnold i Aggie ruszyli w stronę ogrodzenia, wznoszącego się jakieś trzydzieści metrów od domu. Było wysokie na dwa i pół metra, zbudowane z cienkich wierzbowych gałązek, wbitych pionowo w ziemię i przeplecionych sznurkiem, co dwa-trzy metry wzmocnione solidniejszymi palikami. W środku stał rozwalający się kurnik, sklecony z kawałków desek i kory. Prowadziła doń ukośna rampa.

Miał za zadanie dawać kurom schronienie i zapewniać bezpieczeństwo w nocy. Maddie pomyślała, że jak widać, nie zdał egzaminu.

Weszli za ogrodzenie. Maddie pochyliła się i zajrzała do środka. Stały tam rzędy pojemników lęgowych. Kury zaczęły gdać cicho, zaalarmowane obecnością ludzi.

Arnold wskazał na część ogrodzenia, najbardziej oddaloną od domu.

– Przełazi tamtędy. Szybki jest. Nic nie mogę poradzić.

Will podszedł do miejsca, wskazanego przez Arnolda.

Stało tam koryto z wodą, nie całkiem szczelne, bo wąska strużka powoli spływała na ziemię, tworząc błotnistą kałużę. Will przyjrzał się śladom, wyciśniętym w błocie i przywołał Maddie.

– Popatrz. Co o tym myślisz?

Zmarszczyła czoło. W ciągu ostatnich kilku miesięcy pokazał jej mnóstwo tropów. Nie była pewna odpowiedzi.

– Może łasica? – zaproponowała, właściwie zgadując, bo z pewnością był to jakiś drapieжник, a lis raczej nie zdołałby pokonać tego ogrodzenia. Will wyciągnął sak-sę i przytknął jej czubek do śladów.

– Widzisz tutaj? Odcisk pazurów.

Maddie spojrzała na niego, zastanawiając się, do czego zmierza. Zdał sobie sprawę, że wcześniej jej tego nie tłumaczył, więc podjął cierpliwie:

– To kuna leśna. Podobna do łasicy czy norki. Z jedną różnicą. Nigdy do końca nie chowa pazurów. Dlatego widać ich ślady. Chyba duża sztuka.

– Oj, duża, duża – potwierdziła Aggie z nienawiścią w głosie. – I bardzo szybka.

– No to zobaczymy, może tym razem trochę zwolni – powiedział Will.



Zajęli miejsce za domem, z którego widać było górny brzeg ogrodzenia, i czekali. Robiło się ciemno. Arnold powiedział, że

ostatnimi czasy kuna zrobiła się naprawdę bezczelna i wraca prawie każdego wieczoru. Od ostatniej wizyty minęły dwa dni, więc istniała spora szansa, że dzisiaj znów się zjawi.

Will miał przy sobie łuk. Kiedy Maddie chciała wyjąć swój, potrząsnął głową.

– O tej porze roku powinna mieć piękne gęste futro – wyjaśnił. – Grot strzały może łatwo je zniszczyć. Użyj procy. Ja będę czekał z łukiem w pogotowiu, na wypadek gdybyś chybiła.

Maddie spojrzała na niego, uniosła wysoko głowę i oznajmiła:

– Nie zamierzam chybić.

Will wzruszył ramionami.

– Nikt nigdy nie zamierza.

Po zachodzie słońca zrobiło się chłodno i Maddie miała wielką ochotę owinąć się ciepłą peleryną, ale Will ponownie potrząsnął głową.

– Możliwe, że kuna nie boi się ludzi, ale Aggie i Arnold mówili, że jest niezwykle szybka. Będiesz miała dosłownie kilka sekund, nie możesz tracić czasu, próbując wyplątać się z fałdów peleryny.

Maddie odrzuciła więc pelerynę do tyłu, uwalniając ramiona, i przygotowała pocisk do rzutu.

Will czekał z napiętym łukiem. Ciemny kształt domu krył ich przed wzrokiem zwierzęcia.

Słońce schowało się już za drzewami, ale chmury nadal lśniły słabym blaskiem. Nagle Will trącił Maddie w ramię. Z krzaków wystrzelił ciemny cień i pomknął przez podwórze. Trzymał się blisko ziemi, poruszał bardzo szybko. Maddie dotknęła ręki Willa na znak, że dostrzegła intruza. Przyglądała się, jak kuna pokonuje ogrodzenie. Z kurnika doszło zatroskane gdakanie – kury wyczuły zbliżające się niebezpieczeństwo.

Maddie cofnęła prawą rękę, opuściła procę wzdłuż ciała.

Na szczycie ogrodzenia kuna zawahała się, poczekała, aż odzyska równowagę na chwiejnej konstrukcji z wierzbowych palików, a potem zaczęła szykować się do zejścia. Will cicho klasnął językiem. Kuna uniosła łebek, szukając źródła dźwięku, i w tym momencie Maddie wy-rzuciła pocisk.

Było dość ciemno, a zwierzątko stanowiło niewielki cel. Ale przez kilka ostatnich miesięcy Maddie wyrzuciła setki, jeśli nie tysiące pocisków, w przeróżnych warunkach: ostrym słońcu, półmroku, ulewnym deszczu. Pocisk uderzył małego szkodnika, strącając go z ogrodzenia. Zwierzątko z głuchym pogłosem spadło na ziemię po drugiej stronie. Tylne nogi drgnęły raz czy dwa, była to jednak tylko reakcja mięśni. Kuna nie żyła.

– Dobry strzał – powiedział cicho Will. Był pod wrażeniem. Strzał nie należał do łatwych, Maddie doskonale dała sobie radę. Wiedział, że jest duża różnica między ćwiczeniem na nieruchomym celu a strzelaniem do żywego ruchliwego stworzenia. Zawołał do Aggie i Arnolda:

– Trafiła ją.

Drzwi się otworzyły, smuga światła przecięła podwórze, kiedy gospodarze wyszli na zewnątrz. Maddie ruszyła w stronę nieruchomego ciała.

– Ostrożnie – ostrzegł Will. – Sprawdź, czy na pewno nie żyje. Ma ostre zęby, mogłaby przegryźć rękawicę.

Machnęła ręką i ostrożnie podeszła do zwierzęcia. Wyciągnęła sakse i dźgnęła je na próbę. Zero reakcji.

To była spora sztuka, wielkości niedużego psa. Najwyraźniej dieta, złożona z jajek i kurczaków bardzo jej służyła. Futro miało gęste i lśniące. Maddie uklękła obok kuny, włożyła sakse z powrotem do pochwy i z sakiewki u pasa wyjęła niewielki nóż, służący do zdejmowania skór. Prędko oddzieliła futro od reszty ciała. Will przyglądał się jej z uznaniem. Dobrze opanowała tę sztukę jeszcze przed przyjazdem do niego.

Maddie wstała i podeszła do nich z futrem w rękę. Podała je żonie Arnolda.

– Proszę. Możesz zrobić sobie z niego piękny kołnierz czy czapkę na zimę.

– Ale to przecież twoje – zaprotestował Arnold. – To ty zabiłaś szkodnika. Futro należy do ciebie. – Wiedział, że takie jest prawo myśliwego. Ten, kto zabije zwierzę, ma prawo zatrzymać jego futro.

– I mogę zrobić z nim, co mi się podoba – odparła Maddie z uśmiechem, wyciągając rękę z futrem w stronę Aggie, która wzięła je z wahaniem. – Musisz rozwiesić je i zasolić – podjęła Maddie. – Chyba wiesz, jak to się robi?

– Och, tak. Pewnie, że wiem – powiedziała Aggie, patrząc z zachwytem na piękne futro w swojej dłoni. Takie futra były dla bogatych, szlachetnie urodzonych, a nie dla biednych chłopek jak ona. – Dziękuję, Maddie zwiadowczyni. Dziękuję. To futro dla eleganckiej damy.

Przesunęła spracowaną dłonią po miękkiej sierści. Mogłaby zrobić z niego ciepłą czapkę. Albo wymienić na targu za dwa porządne płaszcze wełniane, dla siebie i męża. Dzięki podarunkowi od Maddie ta zima z pewnością nie będzie taka ciężka.

– Czyli dla ciebie – odparła Maddie. Potem spojrzała na Willa i spytała: – Wracamy?

W milczeniu jechali do domu. Will popatrzył bacznie na swą młodą towarzyszkę.

Kiedy do niego przyjechała, była zarozumiałą, egoistyczną i samolubną księżniczką, skupioną wyłącznie na sobie i własnych przyjemnościach. Potem obserwował, jak stopniowo następuje w niej przemiana. Oczywiście, epizod z winem był krokiem w tył, ale każdy czasem popełnia błędy. Z uśmiechem przypominał sobie swoje początki. Ale bezinteresowny gest, który uczyniła tego wieczoru, oddanie cennego futra ubogiej kobiecie, świadczyło o dojrzałości i wywołało w nim ciepłe uczucia. Wreszcie powiedział:

– Ładnie postąpiłaś.

Spojrzała na niego.

– Widziałeś jej ubranie? Połatane, poprzecierane. Teraz będzie miała przynajmniej jedną ciepłą rzecz na zimę.

Skinął głową.

– Owszem.

Dawna Maddie, księżniczka Maddie, nie zwróciłaby najmniejszej uwagi na stan ubrania jakiejś tam Aggie, a już na pewno nie skojarzyłyby tego widoku z faktem, że zbliża się zima.

„Chyba naprawdę coś z niej będzie”, pomyślał.

Wyrwij potrząsnął grzywą i prychnął.
Zawsze wiedziałem.



Chaty jeszcze nie było widać pomiędzy drzewami, kiedy Wyrwij zarżał radośnie. Zderzak z zaciekawieniem uniósł łeb. Niemal natychmiast od strony chaty dobiegła odpowiedź.

– Mamy gości – stwierdził Will.

Maddie zerknęła na niego pytająco, ale nic więcej nie powiedział. Miał wrażenie, że rozpoznał głos obcego konia, lecz nie był całkowicie pewien. Nie chciał nic mówić, póki nie okaże się, jak jest naprawdę.

Ale miał rację. Kiedy wjechali na polanę, ujrzeli gniadego konia skubiącego trawę. Zwrócił łeb w ich stronę i znowu zarżał. Zderzak i Wyrwij odpowiedzieli jednocześnie.

Maddie spojrzała ze zdziwieniem na swego wierzchowca.

– Skąd Zderzak ją zna?

Will popatrzył na nią.

– Konie zwiadowców zawsze się rozpoznają, nawet jeśli nigdy wcześniej się nie spotkały.

– Brzmi niezbyt logicznie – powiedział ktoś wesołym głosem. – Jak można rozpoznać kogoś, kogo nigdy wcześniej się nie spotkało?

Will wzruszył ramionami.

– Czemu mnie o to pytasz? Nie jestem koniem.

No. Masz o połowę za mało nóg, parsknęła sucho Wyrwij.

Gilan siedział na końcu werandy, drapiąc Sabę za uszami. Suka poddawała się pieszczotom, przekrzywiając łeb na bok, oczy miała przymknięte, minę rozanieloną. Uwielbiała, kiedy ktoś głaskał ją pod szyją i za uszami.

Will zsiadł z konia i popatrzył na Sabę z udawanym rozczarowaniem.

– Co z ciebie za pies obronny? Powinnaś rozerwać go na strzępy.

Saba zgodnie zastukała ogonem o deski werandy. Gilan pogłaskał ją jeszcze raz, a potem wstał.

– Hej, Maddie. Jak idzie trening?

Uśmiechnęła się słabo i również zsiadła z konia.

– Cóż, bywają dni, kiedy wydaje mi się, że zaczynam łąpać. I takie, kiedy wiem, że tak nie jest.

Gilan uniósł brew i spojrzał na Willa. Nigdy wcześniej nie słyszał, żeby Maddie tak krytycznie wyrażała się na własny temat. Może pomyśl Halta jednak zdał egzamin. Will odgadł z jego miny, o czym myśli. Krótco kiwnął głową.

– Mam zaprowadzić konie do stajni? – zapytała Maddie. Gilan zdumiał się jeszcze bardziej. Maddie sama zgłaszająca się do takiej pracy? A to dopiero.

– Jeśli będziesz tak miła – odparł Will. – Blaze’a też zabierz. – Spojrzał na Gilana. – Bo przypuszczam, że zostaniesz? Czy zamierzasz spać na zamku?

– Nie, chętnie zostanę – odparł pośpiesznie Gilan. – Wolałbym uniknąć tych wszystkich formalności i całego zamieszania.

– Poza tym stąd masz bliżej do Kopiastego Talerza – dorzucił Will.

Gilan uśmiechnął się. Taką nazwę nosiła gospoda Jenny w Wensley.

– No tak – odparł. – Pomyślałem sobie, że może wpadnę na śniadanie.

– Na pewno się ucieszy – powiedział Will. Po jego twarzy przemknął cień smutku. Zazdrościł im. Jenny i Gilan byli razem, cóż z tego, że bez ślubu, to nie miało znaczenia.

Will wszedł do środka, podszedł do blatu i napełnił czajnik świeżą wodą. Nie spytał Gilana, czy ma ochotę na kawę. W końcu Gilan był zwiadowcą. Zwiadowcy zawsze mają ochotę na kawę.

Will zaczął mleć ziarna i bogaty aromat wypełnił nozdrza Gilana. Ślinka napłynęła mu do ust na myśl o świeżo parzonej kawie. Usiadł przy stole i odsunął stos papierów. Zerknął na nie od niechcienia i rozpoznał raporty, które co tydzień przysyłano zwiadowcom z terenu całego kraju. Prócz nich było tam kilka listów, a pod spodem skórzana teka, w niej zaś kolejne papiery. Postukał w nią palcem.

– Co to? – zapytał. Will obejrzał się i zrobił nieco zakłopotaną minę.

– O. taka jedna sprawa, nad którą pracuję. Nic istotnego.

Zabrał tekę i położył ją na półce z książkami. Gilan pomyślał, że z tego gestu przebijała wielka determinacja. Wzruszył ramionami. Przecież tak tylko pytał.

– A więc jak tam Maddie? – zagaikł, zmieniając temat. Will odwrócił się i spojrzał na niego.

– Zaskakująco dobrze – odparł. – Jest szybka i bystra, chętnie się uczy. Uwielbia przebywać na powietrzu, odpowiada jej swoboda, związana z takim stylem życia. Sądzę, że buntowała się przeciwko sztywnym regułom, panującym w Zamku Araluen. Teraz, kiedy już nie jest księżniczką, bardziej dostrzega ludzi wokół siebie.

– Pokazałeś jej list? – zapytał Gilan. Wiedział o piśmie, które Horace i Cassandra wysłali do Willa.

Will przytaknął i odwrócił się, by dokończyć parzenia kawy.

– Musiałem. Potrzebowała lekkiego kopniaka. Musiała uświadomić sobie, że nie jest nikim wyjątkowym. Podziałało.

– Jak?

Will zamyślił się. Postawił czajnik na piecu. Otworzył drzwiczki i wrzucił do środka kilka kawałków drewna, po czym otworzył szyber.

– Na przykład dzisiaj. Miejscowy chłop miał problem z kuną, która kradła mu jajka i zabijała kurczaki.

– Zająłeś się tym?

– Maddie ją załatwiła. Z procy. Tak przy okazji, strzela niesamowicie. A potem w parę minut zdjęła skórę.

Gilan wyraźnie był pod wrażeniem.

– O tej porze roku mają piękne futro.

Will kiwnął głową i wrzucił garść kawy do wrzącej wody.

– Owszem. Było bardzo piękne. I to jest właśnie najważniejsza część tej historii. Ten chłop i jego żona są biedni jak myszy kościelne. Ubrania mieli przetarte i połatane. Maddie dała futro tej kobiecie. Potem powiedziała, że teraz przynajmniej będzie miała jedną ciepłą rzecz na zimę.

Gilan kiwnął głową.

– Rzeczywiście zaczęła dostrzegać innych ludzi i ich potrzeby. To ważna cecha u zwiadowcy.

– W gruncie rzeczy zawsze była dobrym dzieckiem – powiedział Will. Postanowił nie wspominać o przygodzie z winem. – Po prostu musiała sobie o tym przypomnieć.

Gilan z namysłem pogładził brodę. Wieści na temat Maddie były bardzo interesujące – i jak najbardziej pomyślne. Decyzja o wysłaniu dziewczyny na naukę wiązała się z pewnym ryzykiem. Ale najwyraźniej pomysł się sprawdził.

A jeszcze bardziej interesujące było zachowanie Willa. Kiedy mówił o swej uczennicy i jej zaletach, w jego głosie pobrzmiwała nutka entuzjazmu. Napięcie, ponura znękana mina, chorobliwa obsesja zemsty, które towarzyszyły mu przez ostatnie miesiące, teraz chyba zniknęły bez śladu. Jeszcze nie był dawnym radosnym Willem, ale z pewnością robił postępy.

Gilan pomyślał, że Halt chyba wiedział, o czym mówi. Potem zapytał się w duchu, dlaczego właściwie go to dziwi. Halt zwykle wiedział, o czym mówi.

Poczekał, aż Will postawi przed nim kubek parującej kawy i powiedział:

– A więc, sądzisz, że jest gotowa towarzyszyć ci w wyprawie?

Rzucił to niby od niechcienia, lecz tak naprawdę to była zasadnicza sprawa. Will, rozdarty bólem, opętany myślą o schwytaniu Jory’ego Ruhla, już dwa razy odmówił Gilanowi. Teraz po chwili namysłu kiwnął głową. Gilan poczuł wielką ulgę.

– Tak. Z przyjemnością zabrałbym ją na wyprawę. Wskazane na tym etapie nauki.

W tym momencie drzwi się otworzyły i Maddie weszła do środka. Obaj odwrócili się i zamilkli jednocześnie, jak to zwykle bywa w towarzystwie, gdy niespodziewanie pojawia się osoba, o której przed chwilą rozmawiano. Maddie zauważyła nagłą przerwę w konwersacji i z niepokojem powiodła wzrokiem od Willa do Gilana. Czyżby Will powiedział dowódcy o jej niechlubnych wyczynach?

– Dałam Blaze’owi jabłko – powiedziała. – Popatrzył na mnie z wyrzutem, więc dałam mu jeszcze jedno.

– Będzie twoim niewolnikiem po wsze czasy – odparł Gilan.

Maddie odprężyła się trochę. Jego głos brzmiał przyjaźnie. Potem zerknęła niespokojnie na Willa, on zaś, domyślając się przyczyny jej zdenerwowania, lekko pokręcił głową. Potem wskazał na kubek, stojący na stole.

– Kawa gotowa.

Maddie usiadła i wzięła kubek w dłonie.

– Piję teraz kawę – wyjaśniła Gilanowi.

Z powagą kiwnął głową.

– I bardzo dobrze. To jeden z warunków, które należy spełnić, by zostać zwiadowcą. – Widział, jak odetchnęła z ulgą, widział też prędkie spojrzenie, które wymieniła z Willem. Will zachował kamienną twarz. Tak kamienną, że Gilan zaczął się zastanawiać, czy aby czegoś przed nim nie ukrywa. Potem zachnął się w myślach. Jeżeli Will postanowił coś przed nim zataić, to widocznie miał swoje powody.

– Will twierdzi, że jesteś gotowa, by wziąć udział w wyprawie – powiedział. – Co o tym sądzisz?

Spojrzała na swego nauczyciela, potem znów na Gilana.

– Jestem gotowa. A co to za wyprawa?

Gilan ucieszył się z jej odpowiedzi. Żadnego wahania, żadnej niepewności.

– Do lenna Trelleth – odparł. – Zamordowano jednego ze zwiadowców.

Will prędko podniósł głowę.

– Zamordowano? Kto to zrobił?

Gilan niepewnie potrząsnął głową.

– Nie ma podejrzanych. Spadł z konia, miał złamany kark.

– A może to był wypadek? – powiedziała Maddie.

Gilan rzucił jej sceptyczne spojrzenie.

– Może. Zresztą tak to właśnie wygląda. Tylko że ja nie wierzę w wypadki. Nie kiedy sprawa dotyczy zwiadowcy. Will zmarszczył czoło z namysłem.

– Kto jest zwiadowcą w Trelleth? – Zaraz poprawił samego siebie: – A raczej, kto był.

W tak niewielkiej grupie jak Korpus Zwiadowców wszyscy znali wszystkich, przynajmniej z widzenia i z imienia.

Nie mówiąc o tym, że wielu zwiadowców łączyły bliskie przyjaźnie.

– Liam. Pamiętasz go?

Will przytaknął ze smutkiem. Był obecny na uroczystości, na której Liam otrzymał srebrny liść. Było to tego roku, kiedy wraz z Haltem i Horace’em pojechali do Hibernii, by odszukać Tennysona, przywódcę sekty.

– Tak. Świetny człowiek.

– To prawda. Jeden z najlepszych wśród młodych zwiadowców. Będzie nam go bardzo brakować.

– I co mamy zrobić? – zapytał Will.

– Pojechać do Trelleth, popytać tu i tam. Może dowiedzie się czegoś ciekawego. Jak wspomniałem, zawsze jestem sceptyczny, kiedy ginie zwiadowca.

Will spojrzął na mapę Araluenu, wiszącą na ścianie. Trelleth było to średniej wielkości lenno na wschodnim wybrzeżu. Gilan pobiegł za jego wzrokiem.

– Baron nazywa się Scully. Przysłał gołębia z wieścią o śmierci Liama. Ciało znalazł pewien chłop, nazwiskiem Wendell Gatt. Jego gospodarstwo, całkiem spore, leży pięć kilometrów na południowy zachód od Zamku Trelleth.

Will nie odrywał oczu od mapy. Podobnie jak Gilan nie wierzył za bardzo w wypadki. A szczególnie w takim miejscu jak lenno Trelleth. Lenna na wybrzeżu były narażone na wizyty obcych: przemytników, piratów i tym podobnych. Nadmorskie położenie stwarzało wiele doskonałych okazji dla niechcianych gości.

– Nic nas tu nie trzyma – oznajmił Will. – Jutro wyruszamy.

Gilan kiwnął głową z aprobatą.

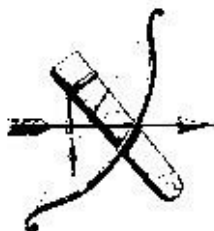
– Im szybciej, tym lepiej – odparł. Will pomyślał, że te słowa mogłyby służyć za oficjalne motto zwiadowców. – Sprawdźcie, czy to rzeczywiście był tylko wypadek.

Will oderwał wzrok od mapy i spojrzął na przyjaciela.

– A jeśli nie?

Gilan lekko poruszył dłonią.

– Dowiedźcie się, z jakiego powodu ktoś mógł pragnąć śmierci zwiadowcy. I kim ten ktoś jest.





Wyjechali następnego ranka, po wczesnym śniadaniu. Gilan wypił z nimi kawę, ale postanowił zjeść później, w gospodzie Jenny. Obiecał, że przekaże jej wiadomość o ich wyjeździe i prośbę, by przychodziła codziennie nakarmić Sabę.

Kierowali się na północny wschód, w tym typowym dla zwiadowców rytmie – dwadzieścia minut jechali skróconym galopem, następnie zsiadali i przez kolejnych dziesięć maszerowali, prowadząc konie. Dzięki temu przez wiele godzin mogły utrzymać równe tempo.

Wieczorem rozbili obóz. Granice lenna Trelleth przekroczyli po południu następnego dnia. Świadczyła o tym tablica oraz wyraźny słony zapach w powietrzu.

– Czuję morze – powiedziała Maddie.

Will kiwnął głową. Pamiętał, jak po raz pierwszy poczuł ten świeży cierpki aromat. Jechał wtedy na swój pierwszy zjazd zwiadowców. Westchnął cicho. Wydawało się, że to było tak dawno temu. Potem potrząsnął głową. Tak, to było dawno temu.

– Co teraz robimy? – zapytała Maddie. Była bardzo ciekawa, jak przebiega tego typu dochodzenie.

– Najpierw obejrzymy miejsce zbrodni – odparł Will. – Znajdziemy tego chłopca... – zaważał się, szukając nazwiska w pamięci.

– Wendella Gatta – podpowiedziała Maddie.

Spojrzał na nią z lekkim oburzeniem.

– No przecież wiem.

Rzuciła mu niewinne spojrzenie.

– Po prostu chciałam pomóc. Myślałam, że może zapomniałeś.

– Ja o niczym nie zapominam.

Ha! Wyrwij wydał z siebie jedno ze swych donośnych prychnięć o wyraźnie drwiącym zabarwieniu. Will postanowił go zignorować. Trudno mieć ostatnie słowo w dyskusji ze stworzeniem, które potrafi prychać, walić kopytem o ziemię i potrząsać grzywą.

– Znajdźmy jakąś chatę czy gospodarstwo, spytamy o drogę do tego Gatta.

Kilka minut później dotarli do niewielkiego skupiska budynków. Była tam kuźnia, podupadły zajazd i kilka domów mieszkalnych, zapewne przeznaczonych dla pracowników. Kiedy podjechali bliżej, z kuźni wyszedł mężczyzna w skózanym fartuchu, nagie ramiona miał poplamione sadzą.

Dowiedzieli się, że gospodarstwo Gatta leży kilka kilometrów dalej przy tej samej drodze, którą jechali przed chwilą. Will podziękował kowalowi i zaczął zawracać konia, kiedy mężczyzna zawołał za nim:

– Jesteście zwiadowcami?

Ponieważ ich peleryny, łuki i kudłate koniki wyraźnie świadczyły o tym, że tak, Will nie miał ochoty odpowiadać. Nadal przeżywał, że nie potrafił przypomnieć sobie nazwiska tamtego człowieka, i że Maddie tak szybko mu je podpowiedziała. Mogła dać mu przynajmniej minutę czy dwie na zastanowienie! W rezultacie nie był w nastroju do pogawędek. Pytanie kowala wskazywało na to, że zaintrygowała go postać Maddie i zapewne oczekiwał wyjaśnień.

– Skądże. Jesteśmy podróżnymi szwaczkami – odparł cierpko i pospieszył Wyrwija, a Maddie ruszyła za nim.

Kowal skrzywił się paskudnie i otarł czoło brzegiem skózanego fartucha.

– Tylko pytałem – zawołał z irytacją w stronę oddalających się jeźdźców.

Po chwili Will zwolnił do kłusa. Maddie zrównała się z nim i zapytała:

– A nie powinniśmy najpierw odwiedzić barona? – I zaraz poprawiła się: – Barona Scully’ego?

Wiedziała co nieco na temat protokołu. Towarzyszyła rodzicom podczas wizyt po kraju i pamiętała, że zwykle, zgodnie z procedurą, należy najpierw powiadomić o swojej obecności w lennie miejscowego władcę. Zaczynała też jednak uczyć się, że protokoły i formy odgrywają niewielką rolę w przypadku zwiadowców.

Will prychnął.

– Później. Lokalni możnowładcy zwykle tylko przeszkadzają, kiedy coś nietypowego dzieje się na terenie ich lenna. Widzą, że składamy raporty bezpośrednio królowi i robią wszystko, by wypaść w jak najkorzystniejszym świetle.

Maddie nieco zaskoczyły te słowa. Nigdy nie przypuszczała, że istnieje jakiś konflikt interesów między zwiadowcami a lokalną

władzą.

– Ale chyba nie wszyscy? – zapytała.

Will zawahał się.

– No nie. W większości to porządni ludzie. Arald z Redmont na przykład, to świetny człowiek, doskonale z nim się współpracuje. Ale dla co niektórych najważniejsza jest ich własna pozycja, lubią podkreślać, jacy są ważni. Nie znam tego całego Scully'ego i nie zamierzam ryzykować. Przynajmniej nie teraz, najpierw chciałbym się trochę rozejrzeć.

Kilka minut później dotarli do gospodarstwa Gatta. Bardziej nie mogło się różnić od domu starego Arnolda Cluma, którego odwiedzili niedawno. Budynki mieszkalne i gospodarcze były okazałe, doskonale utrzymane i pokryte świeżą farbą.

Dokoła biegło porządne ogrodzenie. Obejście wyglądało modelowo, ziemia była dokładnie zamieciona, narzędzia ułożone starannie. Przed stodołą stał wóz, również świeżo odmalowany, podwozie naoliwione, aż błyszczało. Konie, pasące się na wybiegu, zbliżyły się z zaciekawieniem do ogrodzenia. Opodal stała uwiązana krowa.

Kiedy podjechali bliżej, otworzyły się drzwi, zapewne kuchenne, i pokazała się nich wysoka kobieta, około czterdziestki. Z pewnością nie cierpiała z powodu braku jedzenia. Miała na sobie ubranie z materiału dobrej jakości, być może uszyte w domu, ale czyste i porządne. W niczym nie przypominało wytartego, połatanego stroju Aggie Clum.

Widocznie oderwała się od pieczenia, bo kiedy odgarnęła z twarzy kosmyk, na jej twarzy została smuga mąki.

Will i Maddie wstrzymali konie. Maddie spokojnie siedziała w siodle, pamiętała, że nie należy zsiadać bez zaproszenia.

– Dzień dobry – powiedział Will. – Czy mam przyjemność z panią Gatt?

– A i owszem – odparła, zerkając z zaciekawieniem na Maddie, a potem znów na Willa. – Witamy. Zechcecie zsiąść z koni?

– Chętnie – odparł Will i zeskokczyli na ziemię.

– Nazywam się Will Treaty – przedstawił się. Nie musiał wspominać, że jest zwiadowcą, wystarczająco świadczyły o tym jego strój i broń. – A to moja uczennica, Maddie.

Maddie przyglądała się bacznie kobiecie. Widziała, jak jej oczy rozszerzyły się lekko, kiedy usłyszała nazwisko Willa. Był sławną figurą w królestwie Araluen, legendarnym wychowankiem legendarnego zwiadowcy Hal-ta, który dorównał swemu mistrzowi, a może nawet go przerósł. Pani Gatt dygnęła prędko.

– Może jesteście głodni? – zapytała, jeszcze raz spoglądając z ciekawością na Maddie, która już zaczynała przyzwyczajając się do takich reakcji. – Zrobiłam potrawkę z baraniny, starczy dla wszystkich.

– Nie, dziękujemy. Nie chcemy sprawiać kłopotu – rzekł Will. – Ale może moglibyśmy dostać trochę wody? – Ruchem głowy wskazał lśniąca pompę przy drzwiach kuchennych. Kobieta pobiegła za jego wzrokiem.

– Ależ oczywiście. Częstujcie się. Co sprowadza was do naszego domu? Czy to z powodu tamtego zwiadowcy? Tego, który... – zawahała się, pewnie nie wiedziała, czy powiedzieć „zginął” czy „został zamordowany”.

Will przytaknął. Podstawił czerpak pod kranik i zaczął pompować wodę. Upił głęboki łyk, po czym otarł brodę wierzchem dłoni i podał czerpak Maddie.

– Tak. Podobno twój mąż znalazł ciało – powiedział.

Kobieta kilka razy skinęła głową.

– Tak, Wendell go znalazł. Ale nie mógł mu pomóc. Mężczyzna nie żył już od kilku godzin. – Zwróciła wzrok na pola, otaczające gospodarstwo. – Kończy zwozić siano. Powinien wrócić za jakąś godzinę. Zechcecie na niego zaczekać?

Will potrząsnął głową.

– Nie. Znajdziemy go. Chcę mu zadać kilka pytań.

Pani Gatt niepewnie przestąpiła z nogi na nogę. Will dodał pospiesznie:

– Jestem pewien, że pani mąż nie ponosi winy. Chciałbym tylko, by pokazał nam, gdzie znalazł Liama. Tego zwiadowcę.

Czoło kobiety wygładziło się. Wskazała ręką przed siebie.

– Trzecia łąka w tym kierunku, za takim niewielkim zagajnikiem.

– A więc tam z nim porozmawiamy – powiedział Will. Dał Maddie znak i dosiedli koni. Przytknął palec do czoła. – Dziękuję za pomoc. Proszę wracać do kuchni, zanim wypieki się spalą.

Wcześniej zauważył apetyczny zapach, unoszący się powietrzu, zapewne chleba czy ciasta, na chwilę, nim należy wyciągnąć je z pieca. Wargi kobiety ułożyły się w zaskoczone O. Zupełnie zapomniała o pracy. Odwróciła się na pięcie i popędziła do kuchni.

– Ona z pewnością była pomocna – zauważyła Maddie, kiedy ruszyli przez łąkę.

– Miejmy nadzieję, że mąż jest do niej podobny – odparł Will.

Ale okazało się, że Wendell Gatt jest znacznie mniej skory do pomocy niż jego żona. Był to postawny, rumiany chłop, ubrany w spodnie i roboczą koszulę z błękitnego płótna. Jego ubranie również było czyste i porządne. Wraz z trzema pracownikami właśnie kończył grabić siano.

Kiedy Will zapytał, czy mógłby pokazać im miejsce, gdzie znalazł ciało Liama, potrząsnął głową i odparł:

– Jestem zajęty. Trzeba skończyć robotę. Musimy zwieźć siano przed deszczem.

– Zajmiemy ci jakieś pół godziny. Twój pracownicy na pewno dadzą sobie radę bez ciebie – powiedział Will roztropnie.

– Nie. Nie. Nie – zaprotestował po trzykroć Gatt. – Nie wierzę, że wykonają pracę jak należy, trzeba ich nieustannie pilnować. – Powiedział to wystarczająco głośno, by pracownicy go usłyszeli. Dwaj spojrzeli na niego z oburzeniem, trzeci go zignorował.

Will spał Wyrwija lekko łydkami i podjechał niespiesznie do nich.

– Który z was jest najstarszy? – zapytał. Jeden z mężczyzn, około czterdziestki, krępej budowy ciała, podniósł rękę. Will pomyślał, że nie wygląda na durnia. Zresztą zwożenie siana z łąki nie wymaga chyba zbyt wielkiej filozofii.

– To ja, panie – powiedział mężczyzna. – Lionel Fox-tree.

– No więc, Lionelu Foxtree, czy sądzisz, że podołasz tej pracy, nie mając nad sobą nadzoru? Twój gospodarz wyjeżdża na kilka dni.

Gatt wrzasnął z oburzeniem:

– Kilka dni? Powiedziałaś, że to zajmie pół godziny!

Will odwrócił się i spojrzał na niego. Zimno.

– Cóż, wtedy chciałem tylko, żebyś pokazał nam miejsce, w którym znalazłeś zwiadowcę Liama – odparł. – Ale skoro odmówiłeś pomocy w śledztwie, muszę cię aresztować i przedstawić ci zarzuty. To zajmie dzień lub dwa. A może nawet cały tydzień.

Gatt bełkotał wściekle, szukając odpowiednich słów. Pracownicy odwrócili się, ale Will zdążył dostrzec uśmiechy na ich twarzach. Wyglądało na to, że Gatt jest typem, który zawsze lubi postawić na swoim.

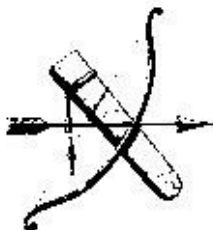
– Aresztować? Mnie? – wykrztusił w końcu. – Nie możesz mnie aresztować! Jestem wolnym człowiekiem!

– Ależ owszem, mogę cię aresztować. Bo ja jestem królewskim zwiadowcą. Odmówiłeś mi pomocy, co równa się utrudnianiu śledztwa. Nie chcę tego robić. Wolałbym, żebyś po prostu pokazał nam, gdzie znalazłeś Liama. Ale jeżeli będę zmuszony, zaaresztuję cię.

Ich spojrzenia zwały się, Gatta wściekle i rozgorzałe, Willa zimne i nieporuszone. W końcu gospodarz dał za wygraną.

– No dobra! Niech ci będzie! Zaprowadzę cię tam.

– To rozumiem – odparł Will. Potem wskazał na konia, stojącego obok wozu z sianem. – A oto twój wierzchowiec.





Starając się panować nad wzburzeniem najlepiej, jak potrafił, Gatt zaprowadził ich do miejsca, w którym znalazł ciało Liama. Droga była wąska, lecz dobrze widoczna, z obu stron obrosnięta niskimi rzadkimi krzakami, ziemia miękka, lecz nie aż tak, by koń mógł potknąć się czy pośliznąć. Will zeskoczył i przypatrywał się przez chwilę podłożu.

– Padło ostatnio? – zapytał.

– Od dnia, kiedy znalazłem ciało, to nie – potrząsnął głową Gatt. – Ale ziemia zwykle jest wilgotna w tym miejscu, oprócz pełni lata, kiedy całkiem wysycha.

– Teraz nie mamy lata – mruknął Will do siebie, posuwając się wzdłuż drogi, biegnącej w prostej linii. Nie zauważył niczego, co mogłoby doprowadzić do upadku Liama.

– Gdzie dokładnie go znalazłeś? – zapytał.

Gatt przejechał kilka metrów i odparł:

– Tutaj. Leżał na poboczu za tymi drzewami.

Droga biegła między dwoma drzewami, górującymi pośród niskich krzaków. Rosły w odległości jakichś pięciu metrów od siebie. Will patrzył na nie przez chwilę. Żadnych zwisających gałęzi, które mogłyby wysadzić nieostrożnego jeźdźca z siodła.

– Pewnie spadł z konia i złamał kark – powiedział Gatt.

– Mało prawdopodobne... – mruknął Will.

Zwiadowcy byli wyśmienitymi jeźdźcami.

Gatt wzruszył ramionami.

– Może koń się potknął... – zaczął.

Wyrwij gwałtownie potrząsnął grzywą.

My się nie potykamy.

– A może zwiadowca coś wcześniej wypił – zasugerował znowu Gatt.

Will spojrział na niego chłodno.

– Liam nie pił.

Gatt znowu wzruszył ramionami.

– Skoro tak twierdzisz. Tak tylko się zastanawiam.

Will nie odpowiedział. Chodził powoli wzdłuż drogi, w miejscu, gdzie leżał Liam, i przyglądał się uważnie śladom końskich kopyt. Ponieważ ostatnio nie padało, a ziemia była wilgotna, nadal było je wyraźnie widać. Maddie również zsiadła z konia i uklękła pod drzewem, przyglądając się pniu tuż przy ziemi.

Will odwrócił się nagle i spojrział na Gatta.

– Dziękujemy za poświęcony nam czas. Więcej nie będziemy zawracać ci głowy. Możesz wracać do pracy.

Gatt zrobił zdziwioną minę. Humor od razu mu się poprawił. Sądził, że zwiadowcy przytrzymają go tu przez kilka godzin i będą zadawać różne bezsensowne pytania. A teraz okazało się, że jest wolny. Tylko że jednocześnie, kiedy tak patrzył na Willa, uważnie przyglądającego się śladom na drodze, jego ciekawość została rozbudzona.

– I co, znalazłeś coś? – zapytał. – Masz jakiś pomysł, co się mogło wydarzyć?

Will potrząsnął głową.

– Prawdopodobnie tak jak powiedziałaś. Koń się potknął i Liam spadł. Po prostu wypadek.

– O... no to... – Gatt nadal zwlekał. Nie chciał niczego stracić.

– Nie będziemy ci więcej przeszkadzać... – rzucił Will.

– Jasne. To znikam – powiedział Gatt.

Zawrócił konia i ruszył ciężkim powolnym kłusem. Po chwili odwrócił się w siodle i popatrzył w ich stronę. Will pomachał do niego. W końcu chłop minął zakręt i stracili go z oczu. Wtedy Maddie powiedziała:

– I jak, znalazłeś coś?

Will przytaknął i przywołał ją ruchem ręki. Przeszli dziesięć metrów, a wtedy wskazał na ziemię i powiedział:

– Wygląda mi na ślad Acorna.

– Acorna?

– Acorn to koń Liama. Widzisz, tutaj, do miejsca, gdzie rosną drzewa, ślad jest równy i prosty. Z odległości między kopytami i głębokości śladów wnioskuję, że koń biegł cwałem. Ale dalej, na linii równej z drzewami, ślady widać wszędzie dokoła. Koń stracił równowagę i potknął się.

Wyrwij prychnął. Will spojrział na niego i powiedział:

– To się zdarza.

Maddie właśnie klęczała na ziemi, bacznie przyglądając się śladom, i nie zauważyła, że powiedział to do konia. Wstała i podeszła do drzewa, rosnącego bliżej drogi.

– Coś zauważyłam. Może to nieistotne, ale chyba powinieneś rzucić okiem.

– Czy nieistotne, to się okaże.

Will ruszył za nią i popatrzył na wskazane miejsce. Na korze, na wysokości około pół metra od ziemi widniał niewyraźny ślad.

– Kora została nacięta w tym miejscu – powiedziała Maddie.

Will uniósł brwi.

– Nieźle.

Spojrziała na niego.

– Zastanowiło mnie to dopiero, kiedy wspomniałeś, że, sądząc po śladach, Acorn musiał się potknąć. – Odwróciła się prędko i podeszła do drugiego drzewa. – Sprawdźmy, czy na tym widać podobne nacięcie.

Tak, było, choć bardzo niewyraźne. Gdyby nie wiedzieli, że powinni szukać takiego śladu, pewnie nie zwróciliby nań uwagi. Will dotknął go. Do kory przyczepił się kawałeczek białego sznurka. Wziął go w palce i powiedział:

– To może być nitka z jakiejś liny. – Popatrzył na drogę, potem na drugie drzewo. – A więc założmy, że Liam cwałuje po tej drodze...

– .być może kogoś goni – wtrąciła Maddie, a Will kiwnął głową.

– Całkiem prawdopodobne. I założmy, że ktoś rozciągnął sznurek między tymi dwoma drzewami. Acorn potyka się, traci równowagę, ale nie upada.

– To wystarczy jednak, by Liam wypadł z siodła, uderzył w ziemię, tutaj – Maddie podeszła prędko do miejsca, w którym Gatt znalazł ciało zwiadowcy – łamie kark i umiera na miejscu.

– To by wyjaśniało ślady na pniach – powiedział Will z namysłem. – Powstały w chwili, kiedy Acorn uderzył w sznurek. Pod jego ciężarem sznurek wrył się w korę.

Popatrzyli na siebie w milczeniu. W końcu Will powiedział cicho:

– Ktoś pragnął śmierci Liama.

Maddie wydeła sceptycznie wargi.

– Ale przecież nie mogli być pewni, że zginie na miejscu – zauważyła.

– To prawda. Ale tak czy inaczej zostałyby unieszkodliwiony, wypadłby z siodła, stracił dech w piersiach. A oni dokończyliby robotę.

– Oczywiście pewności nie ma – powiedziała Maddie.

– To tylko kilka skromnych śladów kopyt i niewyraźne ślady na pniu drzewa. Jeszcze o niczym nie świadczą.

– Musimy obejrzeć Acorna. Jeśli rzeczywiście uderzył w sznur przy takiej prędkości, na pewno ma sińce czy rany na nogach.

– A gdzie go znajdziemy? – spytała Maddie.

– Najprawdopodobniej w stajniach Zamku Trelleth – odparł Will. – Po śmierci Liama koniuszy zapewne zabrał go i zaopiekował się nim. – Wyprostował się, rozciągając mięśnie pleców, obolałe od klęczenia i schylania się w niewygodnej pozycji.

– Czas złożyć wizytę baronowi Scully.

Will postanowił, że pojedzie tam sam, a Maddie zaczeka na niego w chacie zwiadowców, stojącej w lesie u podnóża zamku.

– Nie znam tego osobnika – wyjaśnił – ale istnieje ryzyko, że gościł w Zamku Araluen i może cię rozpoznać. W takim przypadku na pewno chciałby należycie cię przyjąć i zaraz cała okolica by o tobie wiedziała.

Maddie kiwnęła głową.

– Co znacznie utrudniłoby śledztwo.

– Znacznie. Lepiej nie robić wokół siebie zamieszania. Poza tym nie chcę, żeby ludzie wiedzieli, kim naprawdę jesteś. To kwestia twojego bezpieczeństwa.

– Nie mam nic przeciwko – powiedziała Maddie. Już i tak męczyło ją, że wywołuje sensację jako dziewczyna-zwiadowczyni. Gdyby na dodatek dowiedzieli się, że jest księżniczką, zaczęłyby budzić jeszcze większe zainteresowanie. – Chętnie poczekam w chacie.

– Przy okazji przejrzyj papiery Liama – powiedział Will. – Może znajdziesz coś ciekawego.

Chaty zwiadowców budowano według dwóch prostych schematów. Chata Liama bardzo przypominała chatę Willa i Maddie od razu poczuła się jak u siebie. Zgodnie z prośbą Willa przejrzała papiery, leżące na biurku, szukając ewentualnych wskazówek, które mogłyby pomóc im w dochodzeniu. Nic jednak nie znalazła. Robiło się już ciemno, gdy doszło ją rzenie Zderzaka ze stajni na tyłach chaty. Kilka minut później odpowiedział mu Wyrwij i spomiędzy drzew wychynęła sylwetka Willa.

– No to mamy odpowiedź – oznajmił. – Kiedy znaleźli Acorna, kulał i miał ranę na prawej przedniej nodze.

Koniuszy uznał, że koń sam się zranił, zrzucając Liama. Ale to mogło się stać, kiedy Acorn potknął się o rozciągniętą linę.

– A więc śmierć Liama na pewno nie była przypadkowa – powiedziała Maddie.

– Na to wygląda. Teraz musimy dowiedzieć się, dlaczego ktoś pragnął jego śmierci. Pewnie Liam wpadł na jakiś trop. Coś jest na rzeczy.

– Powiadomimy Gilana?

Will kiwnął głową.

– Jutro wyślę z zamku gołębia pocztowego. Ale wiem, co powie Gilan: że mamy się rozejrzeć i dowiedzieć, o co chodzi. Nie ma

sensu przysyłać tutaj kolejnych ludzi. Lepiej przeprowadzić dochodzenie po cichu, dyskretnie. – Urwał i spojrzawszy na stos papierów na biurku, zapytał: – Znalazłaś coś?

Maddie potrząsnęła głową.

– Nic.

– To mnie nie dziwi. Jeśli Liam badał jakąś sprawę, na pewno nie zostawiłby istotnych dokumentów na widoku. Z pewnością gdzieś je schował.

Maddie rozejrzała się po niewielkim pomieszczeniu. Nie zauważyła miejsca, które nadałoby się na schowek.

– Tylko gdzie? – zapytała.

Will podniósł się i powoli przeszedł środkiem pokoju, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, uważnie przyglądając się deskom. Przystanął i wskazał na punkt po swojej lewej stronie. Podeszedł bliżej, ukląkł i wyciągnął sakwę.

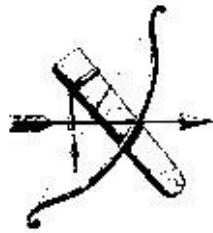
Zaczął ostukiwać podłogę ręką. Nagle rozległ się głuchy pogłos. Will odchrząknął z zadowoleniem. Potem wsunął czubek noża w wąską szczelinę między deskami i podważył.

Zaskrzypiało drewno i podniosła się niewielka klapka, odsłaniając skrytkę pod podłogą. Will spojrzął na Maddie.

– W każdej chacie jest taki schowek – wyjaśnił. – Trzeba tylko go znaleźć.

Sięgnął do środka i wyjął teczkę, przewiązaną zieloną tasiemką.

– I co my tu mamy? – powiedział.





Usiedli obok siebie przy stole, a Will rozłożył na nim zawartość teczki.

Pierwsza była mapa okolic Zamku Trelleth. Naszkicowana naprędce, zapewne przez Liama, niewiele mówiła o ukształtowaniu terenu, ale za to zaznaczono na niej wsie, leżące w sporej odległości od zamku. Obok każdej z nich widniały starannie wypisane imiona i nazwiska.

Maddie pochyliła się do przodu, wspierając łokcie na stole, i spojrzała na pierwsze z brzegu.

– Boyletown, Peter Williscroft – przeczytała. – Kim jest Peter Williscroft i co on ma wspólnego z Boyle-town?

Will potrząsnął głową.

– I kim jest Carrie Clover? I co ona robi w Danvers Crossing? I co łączy Maurice’a Spokera z Esseldon?

Przez chwilę wpatrywali się w mapę.

– Może to są naczelnicy tych wsi? – zastanawiała się głośno Maddie.

Will postukał w nazwę drugiej z wymienionych miejscowości.

– Carrie Clover to na pewno kobieta.

Maddie mruknęła z niezadowoleniem. Rzeczywiście, nigdy nie słyszała, żeby naczelnikiem wsi wybrano kobietę – choć teoretycznie było to możliwe.

– Może to żona naczelnika?

– Może – odparł Will bez przekonania.

Znów zamilkli, zastanawiając się nad rozwiązaniem zagadki. W końcu Maddie powiedziała:

– Co jeszcze jest w tej teczce?

Znajdowały się w niej dwie inne kartki. Will rozłożył pierwszą i wygładził. Była to lista, nazwy trzech wsi, zaznaczonych na mapie, z krótkim opisem.

– Wszystkie podobnej wielkości – stwierdził. – Duże wsie. Ale nie aż tak, by nazwać je miastami. I na pewno nie mają własnych przedstawicieli prawa.

Kiedy wsie rozrastały się i rozwijały, rozwijała się również miejscowa administracja. Pojawiał się szeryf, który miał pilnować porządku, a także strażnik miejski, który miał wykonywać jego rozkazy. W mniejszych wsiach takie rozbudowane funkcje nie istniały.

– To może mieć jakieś znaczenie – stwierdziła Maddie. – A ta trzecia kartka?

Will rozłożył ją. W miarę jak czytał, co jest na niej napisane, brwi podjeżdżały mu coraz wyżej na czoło. Odsunął pierwszą kartkę, jeszcze raz przyjrzał się mapie, po czym odchylił się na krześle. Myślał intensywnie.

Maddie pochyliła się i popatrzyła na trzecią kartkę.

– To są nazwiska, wypisane na mapie – zauważyła.

– I nie są to naczelnicy czy członkowie rady. Spójrz tylko: Peter Williscroft, dwanaście i data, trzy tygodnie temu. Potem Carrie Clover, czternaście, kolejna data. Pięć dni później.

– I Maurice Spoker, cztery dni po Carrie. Jedenaście – dokończyła Maddie.

– Co mogą oznaczać te daty? – zastanawiał się Will.

– Może to ich urodziny?

– Może. – Will skrzywił się z powątpiewaniem. – Jeśli tak, to wszyscy obchodzą je mniej więcej w tym samym czasie. Tyle że urodzili się w różnych latach.

– A może tym dzieciom coś się stało – powiedziała Maddie.

Will spojrzał na nią.

– Na przykład co?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Może zmarły. Albo zaginęły.

– To prawdopodobne. W końcu świat to niebezpieczne miejsce. W tej części kraju nie brakuje wilków. A czasami można też spotkać niedźwiedzia.

– Załóżmy, że mam rację i te dzieci zginęły bądź zmarły. Jak to możliwe, że nikt nie zauważył powiązania między tymi trzema przypadkami w trzech wsiach, znajdujących się w granicach tego samego lenna? To zdarzyło się w przeciągu zaledwie dwóch tygodni.

– Zapewne ludzie po prostu nie wiedzą. Popatrz, te wsie są rozrzucone, leżą w sporej odległości od siebie.

Mieszkańcy Danvers Crossing na pewno wiedzą o zniknięciu czy śmierci Carrie Clover, ale raczej nie mają pojęcia, że to samo zdarzyło się w tych dwóch innych wsiach. Ludzie z odległych miejscowości nie kontaktują się za bardzo ze sobą.

– A skąd Liam wiedział?

Will wzruszył ramionami.

– Każdy zwiadowca musi wiedzieć, co się dzieje w danym lennie. To część naszej pracy. Jeździmy po wsiach, zbieramy informacje, wyszukujemy niecodzienne wydarzenia. Liam zapewne sam dostrzegł powtarzający się schemat w trzech różnych wsiach.

– I zginął, nie zdążywszy nic z tym zrobić.

Will uniósł rękę ostrzegawczym gestem.

– O ile założymy, że te dzieci zaginęły czy zmarły, czy spotkało je coś złego. Ale te daty mogą przecież oznaczać różne rzeczy.

– Na przykład jakie?

– Na przykład nie wiem.

– Ale pomyśl tylko, Willu. To musi być coś w tym rodzaju. Liam zadał sobie trud, by ukryć te notatki, więc muszą oznaczać coś istotnego. A potem ktoś go zabił. Z pewnością próbował dowiedzieć się czegoś na temat tych dzieci i ten ktoś postanowił się go pozbyć. I zaaranżował wypadek.

– To bardzo prawdopodobna hipoteza – przyznał – ale tylko hipoteza.

Maddie miała żywą wyobraźnię, czuł, że powinien ją przystopować. W sytuacjach takich jak ta zawsze istnieje pokusa, by dopasować dowody do teorii i zignorować wszystko, co jej nie potwierdza.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – podjął. – Czas rozpocząć śledztwo. Przede wszystkim musimy zaopatrzyć się w odpowiednie wyposażenie.



– Wózek ręczny? – zdziwiła się Maddie, patrząc na rozklekotany wózek, który Will przyprowadził z zamku. – Po co nam wózek ręczny?

– Do wożenia naszego majątku – odparł Will. – Będziemy udawać wędrownego pracownika najemnego i jego córkę. Ja szukam pracy, ty mi towarzyszysz. – Urwał, po czym sięgnął do wózka i rzucił jej starą połataną suknię. – Oto twój kostium.

Maddie popatrzyła z odrazą na zniszczony strój.

– Naprawdę muszę włożyć tę szmatę? – zapytała.

Will kiwnął głową.

– Peleryna zwiadowcy i łuk trochę zdradzają twoją tożsamość – odparł. – A nie chcemy przecież, żeby ludzie wiedzieli, kim jesteśmy. Mieszkańcy wsi często zamykają się w sobie, kiedy widzą zwiadowców. A my musimy pójść do tych wsi i trochę powęszyć. Prawdopodobnie więcej dowiesz się od lokalnych dzieciaków niż ja od ich rodziców. Dzieci zwykle rozmawiają z innymi dziećmi, w stosunku do dorosłych są ostrożniejsze.

– A co z końmi? Co z nimi zrobimy? – zapytała Maddie.

– Kiedy dotrzemy do wsi, ukryjemy je w lesie. Pracownicy najemni raczej nie miewają koni. Wyrwij na pewno nie będzie zachwycony. Będzie musiał ciągnąć wózek, a to znacznie poniżej jego godności.

Rzeczywiście, na widok wózka zwiadowczy koń porządnie się zdenerwował.

Ja mam to ciągnąć? Nie jestem zwierzęciem pociągowym.

– A ja nie jestem pracownikiem najemnym – odparł Will. Rozejrzał się pośpiesznie, sprawdzając, czy Maddie przypadkiem go nie słyszy, i dodał: – Jesteśmy tajnymi agentami. To doskonałe przebranie.

Za nic na świecie nie pokażę się ludziom w takim stanie.

– I nie musisz. Wypręgniemy cię, zanim wejdziemy do wsi. Poczekasz na nas w lesie.

A kto będzie dalej ciągnął wózek?

– Ja... W końcu to wózek ręczny. I mnóstwo ludzi zobaczy mnie w takim stanie.

Poważnie? Mnóstwo ludzi?

– Dziesiątki, jak sądzę. I będę mieć na głowie ogromny słomkowy kapelusz z wystrzępionym rondem.

Brzmi sprawiedliwie.

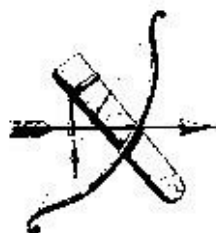
Jak się okazało, Wyrwij bez trudu radził sobie z wózekiem, dość lekkim, i nawet kiedy Will siedział w siodle, nie było to dla niego zbyt wielkim obciążeniem. Jego duma natomiast cierpiała, prychnął gniewnie za każdym razem, kiedy mijali kogoś na drodze.

Z trzech wsi najbliższej mieli do Danvers Crossing i tam właśnie najpierw skierowali swe kroki. Przystanęli jakieś dwa kilometry przed granicą wsi. Znaleźli niewielką polankę w pewnej odległości od drogi, ocienioną drzewami i porośniętą soczystą trawą. Will wyprzągnął Wyrwija, a potem wziął z wózka duży bukłak i napełnił go wodą.

– Zajrzę do was w nocy – powiedział Will do koni. – A teraz cisza.

Tej komendy uczono wszystkie konie, służące zwiadowcom. Will był pewien, że Zderzak i Wyrwij nie ruszą się z kryjówki i nie zdradzą najmniejszym dźwiękiem. Konie pokiwały łbami na znak, że rozumiały. Potem Will ujął dyszle i ruszył drogą, prowadzącą do wsi, a Maddie za nim.

Mógłby przysiąc, że w chwili, kiedy wkładał na głowę stary słomkowy kapelusz, doszedł go stłumiony chichot jego konia.





Danvers Crossing leżało nad rzeczką, wąską, lecz głęboką i wartką. Przeprawiano się przez nią promem, płaskodenną łodzią, zawieszoną na grubych linach.

Wieś robiła bardzo miłe wrażenie. Brzegi rzeczki gęsto porastały wierzby, zwieszające swe gałęzie nad wodą, zapraszające, by usiąść w ich cieniu. Rzeka szemrała cicho, jednostajnie. Maddie stwierdziła, że jest to bardzo kojący dźwięk.

Nie licząc charakterystycznego promu, wieś wyglądała bardzo typowo, były tam kuźnia, zajazd, niewielka garbarnia, skład drzewa i niewielki sklepik z nasionami, a także – co nie mogło dziwić, zważywszy na położenie miejscowości – młyn, o wielkich kołach, napędzanych wartkimi wodami rzeki. Zapewne gospodarze z całej okolicy przywozili tu ziarno, by zemleć je na mąkę.

Domki wieśniaków były niewielkie, wszystkie parterowe, zbudowane z tak popularnego szachulca i pokryte spadzistymi strzechami. Ciągnęły się po obu stronach głównej ulicy. Boczne uliczki wiodły do stodół i innych budynków gospodarczych. W sumie we wsi było około trzydziestu takich gospodarstw.

Na końcu ulicy wznosiła się garbarnia. Maddie zmarszczyła nos, kiedy przejeżdżali obok.

– Fuj. Co to za potworny smród? – zapytała.

Will, zgarbiony nad dyszłem, uniósł głowę i odparł:

– Nie chcesz wiedzieć.

Garbarnia stała w sporej odległości od pozostałych zabudowań. Dalej wznosiła się kuźnia – dochodziły stamtąd głucho uderzenia młota o metal i rytmiczne dyszenie miechów, które pomocnik kowala wprawiał w nieustanny ruch, podsycając żar na palenisku. Podobny układ budynków, zresztą bardzo logiczny, powtarzał się w większości wsi. Takie budynki jak garbarnia, ziejąca nieprzyjemną wonią, czy kuźnia, stale zagrażająca pożarem, stawiano w pewnej odległości od zabudowań mieszkalnych.

Nieliczni mieszkańcy, których Will i Maddie spotykali na drodze, przyglądali się obcym z zainteresowaniem. Paru kiwnęło głową na powitanie, a Will w odpowiedzi dotknął postrzępionego randa kapelusza.

Po pewnym czasie podniósł wzrok i spojrzał na piętrowy budynek, dumnie królujący na brzegu rzeki.

– To na pewno gospoda – powiedział cicho. – W takim małym miejscu zapewne pełni też funkcję zajazdu. Zajrzyjmy tam na początek.

Tak jak podejrzewał, to było jedyne miejsce w Danvers Crossing, oferujące nocleg podróżnym. Służyło jednocześnie jako gospoda i zajazd. Posiłki podawano w dużej sali na parterze, sypialnie znajdowały się na piętrze. W pogodne dni wystawiano stoły na trawiasty brzeg, tak by goście, pijąc piwo i spożywając posiłek, mogli cieszyć się pięknym widokiem na rzekę.

Will zatrzymał się przed wejściem i z ulgą rozprostował plecy, rozciągając zeszywniałe stawy i masując pięścią krzyż. Niski wózek pchało się niezbyt wygodnie, Will cały czas musiał iść pochylony. Zdjął kapelusz, otarł czoło i powiódł wzrokiem dokoła.

– Co teraz? – spojrzała zniecierpliwiona Maddie.

Will spojrzał na nią i lekko potrząsnął głową.

– Spokojnie – odparł. – Wieśniacy nigdy się nie spieszą. Odpręż się, uciesz nos zapachem róż.

Maddie rozejrzała się dokoła.

– Róż? Nie widzę tu żadnych róż. A jedyne zapach, jaki czuję, to koński nawóz.

Obok gospody wznosiła się stajnia, zapewne przeznaczona dla koni przyjezdnych. I z pewnością ostatnimi czasy zawitało tu sporo gości. Wraz z końmi.

– To tylko taki elegancki zwrot – wyjaśnił Will. – Trudno, żebym powiedział: „Odpręż się, uciesz nos zapachem końskiego nawozu”, prawda?

Maddie uśmiechnęła się półgębkiem.

– Te dwie czynności nie za bardzo do siebie pasują.

Will z roztargnieniem kiwnął głową.

– No dobra, już się odprężyliśmy. A teraz wchodzimy do środka. – Kiedy ruszyli do drzwi, dodał: – Gadanie zostaw mnie.

– Już mi to mówiłeś. Wiele razy – odparła Maddie.

Spojrzał na nią.

– Chciałem się upewnić, że dotarło – powiedział i wkroczył pierwszy do wnętrza gospody.

Panowała tam ciemność, trochę światła dziennego wpadało jedynie przez niewielkie okienko w ścianie szczytowej. Z powały zwiślały cztery latarnie, ogień płonął w palenisku, które służyło zarówno jako kuchnia, jak i źródło ciepła.

Sufit był tak niski, że nawet Will, który nie odznaczał się przecież okazałym wzrostem, musiał się pochylić. Podeszedł do kontuaru. Właściciel gospody, zajęty wycieraniem kufli, popatrzył na nich z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Coś do picia? – zapytał. – A może chcecie przekąsić?

Will zmarszczył brwi.

– Chętnie się napiję. Dla mnie słabe piwo.

Było to piwo wymieszane pół na pół z wodą. O ile właściciel tawerny należał do uczciwych osób, ponieważ bardzo często zdarzało się, że woda znacznie przeważała nad piwem. Taki napój kosztował, rzecz jasna, mniej niż zwykłe piwo i dlatego właśnie Will je zamówił.

– A co z jedzeniem? – zapytał ponownie mężczyzna, stawiając kufel przed Willem. – Podajemy dzisiaj pyszną potrawkę z kurczaka, z kluskami i lokalnymi warzywami. Do tego wspaniały świeży chleb. Porcja trzy fenigi.

Will zamyslił się, wydymając usta.

– Weźmiemy jedną porcję na spółkę – odparł. Cena była bardziej niż umiarkowana, on jednak grał przecież rolę wędrownego pracownika, a tacy ludzie raczej nie bywają rozrzutni.

– Dodatkowa opłata za drugi talerz i łyżkę – odparł właściciel.

Will spojrzał na niego spode łba.

– Hmmm! – prychnął. – Chyba nie mam wyboru. Niech będzie.

Mężczyzna wskazał na Maddie i spytał:

– A ona nie chce nic do picia? Mam świeży cydr.

– Woda wystarczy – odparł Will jak na bardzo oszczędnego człowieka przystało.

Właściciel nalał Maddie wody i podał zamówienie niewidocznemu pracownikowi w kuchni. Wsparł się łokciami o kontuar, kiedy Maddie i Will usiedli po drugiej stronie.

– Jesteście przejazdem? – zapytał.

Zachowywał się bardzo przyjaźnie i sympatycznie. Will pomyślał, że pewnie chciałby wynająć im pokój.

– Zgadza się, przejazdem – odparł. – Jak nie znajdę pracy, to ruszamy dalej.

– Może coś by się znalazło – odparł mężczyzna. – A jakiej pracy szukasz?

Will wzruszył ramionami.

– Jakiegokolwiek. Potrafię robić różne rzeczy. Praca przy gospodarstwie, stawianie ogrodzeń, naprawy, ciesielstwo. Wszystko.

– W tym momencie nie potrzebuję nikogo do pracy przy gospodarstwie – odparł właściciel. – Ale przydałoby się naprawić kilka rzeczy tutaj, w zajeździe. Ciesiołka i malowanie.

Will podniósł wzrok.

– Jestem do usług. – Wyciągnął rękę. – Nazywam się William. William Accord. A to moja córka, Maddie.

Uścisnęli sobie dłonie.

– Dzień dobry, Maddie – powiedział właściciel, po czym znów zwrócił się do Willa: – A ja jestem Rob. Rob Danvers.

Will uniósł brwi z zainteresowaniem.

– Danvers? Wieś została nazwana na twoją cześć?

Rob Danvers potrząsnął głową.

– Mojego pradziadka. To on jako pierwszy zorganizował przeprawę przez rzekę. W tamtych czasach po drogach grasowali bandyci i rozbójnicy. Nie to co teraz.

– Tak, ostatnio bardzo się uspokoiło – przyznał Will. – To na ile dni miałbyś dla mnie pracę?

Danvers wzruszył ramionami.

– Może dwa czy trzy. Ale we wsi pewnie znalazłbyś coś więcej. W razie czego mogę cię polecić. Mógłbyś wynająć pokój dla siebie i córki.

Will zmarszczył nos, nadal udając oszczędnego ubogiego pracownika.

– Wolałbym przespać się w stajni, jeśli nie masz nic przeciwko.

Danvers znowu wzruszył ramionami.

– Proszę bardzo. Na pewno będzie taniej. Ale i bardziej przewiewnie.

– Owiniemy się porządnie – odparł Will. – A przy okazji, dobrze by było, gdyby ktoś miał oko na Maddie, kiedy będę pracował. Nie chcę, żeby biegała dokoła jak dzikuska. Czy jakaś kobieta mogłaby się tego podjąć?

W tym momencie młoda dziewczyna podała im jedzenie. Will wziął do ust pierwszy kęs, przeżuł i połknął.

Maddie z apetytem rzuciła się na swoją porcję. Po długiej podróży potrawka smakowała wyśmienicie. Kiedy Will znów się odezwał, podniosła wzrok.

– Ktoś w sąsiedniej wsi mówił, że jakaś dziewczyna niedawno wyprowadziła się z domu. Może jej rodzice mogliby zaopiekować się Maddie? – Will urwał, udając, że szuka nazwiska w pamięci. – Nazywają się Clover. Powiedziano mi, że dziewczyna jest mniej więcej w wieku Maddie.

Zagryzł wargi i poderwał się z miejsca jednym zwinnym ruchem.

– Carrie donikąd się nie przeprowadzała – odparł.

Will zrobił zdziwioną minę.

– A więc nadal tu mieszka?

Danvers potrząsnął głową.

– Carrie zniknęła. Kilka tygodni temu. Po prostu zniknęła któreś nocy.

– Może uciekła? – zapytał Will.

Po chwili Rob odpowiedział:

– Wcale bym się nie zdziwił. Rodzice nie traktowali jej zbyt dobrze. Często widywało się ją z sińcami na twarzy. Albo oczami zaczerwienionymi od płaczu. Szkoda. Taka miła dziewczynka.

– Może spotkała jakiegoś chłopca i z nim uciekła? Takie rzeczy się zdarzają.

Danvers jeszcze raz potrząsnął głową.

– Miała tutaj swojego chłopca. On nadal tu mieszka. Moim zdaniem, miała dosyć bicia i uciekła. – Danvers pochylił się do przodu i dodał konspiracyjnie: – Chyba że ktoś ją porwał.

– Porwał? Ale po co?

– Nie wiem. Może dla okupu?

– A rodzice są zamożni? – zapytał Will, ale Danvers odpowiedział:

– Skądże. Jej ojciec jest ubogim wieśniakiem. Ledwo wiąże koniec z końcem. Nie miałby jak zapłacić z okupu.

– W takim razie po co ktoś miałby ją porywać?

Danvers przez chwilę zastanawiał się nad tym pytaniem, poruszając głową w tył i w przód. Nie przemyślał wcześniej swojej teorii. Po prostu powtarzał ponurym tonem, że „ktoś ją porwał”.

– Nie wiem. Ale wiem, że zniknęła i już. – Urwał i zaraz dodał: – Na twoim miejscu nie wypytywałbym o nic jej rodziny. Clover to humorzasty typ. Wściekłyby się, gdyby uznał, że coś mu zarzucasz.

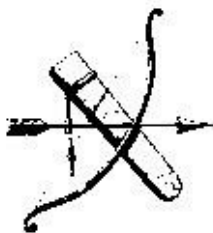
Will rozważał przez chwilę jego słowa.

– Dzięki za ostrzeżenie – powiedział. – Jeśli gdzieś się na niego natknę, na pewno o tym nie zapomnę.

Urwał, zrobił taką minę, jakby musiał jeszcze przemyśleć to wszystko, potem dokończył jedzenie i spojrzał na Maddie.

– No, zbieramy się. Dokończ jedzenie, zaniesiemy nasze rzeczy do stajni. Chyba na razie nie zanosi się na deszcz.

Dopił piwo, skinął głową Danversowi i ruszył do wyjścia, a Maddie za nim.





Od ich przybycia do Danvers Crossing minęły dwa dni, lecz niewiele zdolali dowiedzieć się przez ten czas.

Podczas gdy Will pracował w gospodzie, Maddie wędrowała po wsi i próbowała nawiązywać znajomości z miejscową młodzieżą. Nie odnosili się do niej ani wrogo, ani szczególnie przyjaźnie. Ale w jakimś stopniu budziła ich zainteresowanie – jako nowa osoba we wsi.

Maddie łatwiej było poruszyć temat zaginionej dziewczyny. Will, ponieważ już rozmawiał o tym z właścicielem gospody, nie mógł dalej o nią wypytywać. Ludzie mogliby zacząć coś podejrzewać. Mógł jedynie spędzać wieczory w gospodzie i podsłuchiwać rozmowy, toczą – ce się dokoła, z nadzieją, że ktoś wspomni coś na ten temat. Niestety, tak się nie stało.

Dzieci są zwykle znacznie bardziej bezpośrednie niż dorośli. Maddie mogła po prostu zapytać je o Carrie, tłumacząc, że słyszała, jak jej ojciec rozmawiał o tym z właścicielem gospody. I kiedy już trochę zapoznała się z wiejskimi dzieciakami, tak właśnie zrobiła.

– Tata mówił mi, że we wsi zaginęła jakaś dziewczyna – zagała. – Powiedział, żebym była ostrożna, bo to samo może i mnie spotkać.

Był późny wieczór. Siedziała nad rzeką wraz z grupką kilkorga dzieciaków w wieku między osiem a piętnaście lat. Popatrzyły na siebie niepewnie. Zapadła cisza. Udając, że nie zwróciła uwagi na ich reakcję, drążyła dalej:

– A co się z nią stało? Gdzie się podziewa?

Dzieciaki znów popatrzyły na siebie. W końcu przemówił jeden ze starszych chłopaków:

– Pewnie chodzi o Carrie Clover.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Nie mówił, jak się nazywa. Ona uciekła, tak?

Wszyscy zgodnie pokręcili głowami. Odpowiedział jej chłopiec w wieku około dziesięciu lat, o jasnej potarganej czuprynie:

– Nie uciekła. Raczej została porwana.

Maddie pochyliła się do przodu, udając zdziwienie:

– Porwana? Kto mógł to zrobić?

– Lepiej zamknij dziób, Clem – wtrącił prędko tamten starszy chłopak. Potem spojrział na Maddie. – Nie rozmawiamy na ten temat.

– Czemu nie? Kto ją porwał? – Nie zamierzała tak szybko dać za wygraną.

Chłopak popatrzył na pozostałych. Wszyscy mieli nieufny wyraz twarzy – za wyjątkiem Clema, który dąsał się, że zwrócono mu uwagę przy obcej osobie.

W końcu starszy chłopak powiedział:

– Wodnik ją zabrał.

Maddie popatrzyła na pozostałe dzieciaki. Zauważyła, że niektóre zrobiły zaskoczone miny, ale ukryły to pospiesznie.

– Tak, Simon mówi prawdę. Carrie zabrał wodnik – potwierdziła jedna z dziewczynek, kilka lat młodsza od Maddie, energicznie kiwając głową.

– A kto to jest wodnik? – spytała Maddie. Nigdy wcześniej o kimś takim nie słyszała i naprawdę ją to zaintrygowało.

Starszy chłopak, imieniem Simon, zawahał się. Maddie odniosła wrażenie, że wymyśla odpowiedź na poczekaniu.

– To taki rzeczny duch. Bardzo zły. Żyje w głębinie i czyha na ludzi, a kiedy ktoś podejdzie za blisko wody, nagle wynurza się i łapie takiego nieszczęśnika.

– My też siedzimy nad samą wodą – zauważyła Maddie.

Simon spojrział na rzekę. Musiał przyznać jej rację.

– No, zgadza się. Powinniśmy usiąść trochę dalej, zanim kogoś z nas złapie. – Zaczął się podnosić i dał znak pozostałym, by poszli za jego przykładem. Wstali z ociąganiem.

„Kłamie”, pomyślała Maddie. „Wymyśla to wszystko na poczekaniu. Tylko po co?”

Clem, tamten młodszy chłopiec, który pierwszy odpowiedział na pytanie Maddie, potrząsnął głową.

– Wodnik! Przecież nie ma takich... – zaczął, ale dziewczyna, która potwierdziła słowa Simona, chwyciła go za ramię i odciągnęła na bok.

– Zamknij jadaczkę, Clem! Pamiętaj, co powiedział Bajarz... – Starła się mówić szeptem, ale była zdenerwowana i powiedziała to nieco głośniej, niż by sobie życzyła. Maddie usłyszała jej słowa. Myślała gorączkowo. Bajarz? Kim lub czym on może być? To nazwisko czy raczej takie określenie? Udawała, że niczego nie słyszała.

Simon spojrzął na dziewczynę, wściekły.

– Zamknij się! Oboje macie się zamknąć! – Zorientowawszy się, że Maddie mu się przygląda, dodał: – Lepiej wracajmy do domu. Gadanie o wodnikach przynosi pecha.

Pozostali zamruczeli zgodnie i zaczęli się rozchodzić. Kilkoro obejrzało się na Maddie, która została na swoim miejscu. Zeszła nad wodę i utkwiała wzrok w gładkiej wartkiej wodzie, ciekawa, czy zobaczy wodnika. Nagle jednak zdała sobie sprawę, że nie ma pojęcia, jak taki stwór wygląda. Chmura zakryła słońce i rzeka, migotliwa i radosna, w jednej chwili zmieniła kolor na ciemnoołowiany. Maddie poczuła ciarki na plecach, odwróciła się i pobiegła w stronę gospody i stajni, w której mieszkała z Willem.



– Co to jest wodnik? – wypaliła, kiedy godzinę później Will wszedł do środka, uporawszy się z pracą, którą wyznaczył mu Rob Denvers na ten dzień. Ścisłe mówiąc, uporał się już ze wszystkimi zadaniami, nie zostało mu nic więcej do zrobienia.

Spojrzał ze zdumieniem na Maddie. Siedziała, oparta plecami o koło u wozu, blada i wyraźnie poruszona.

– Wodniak? – zapytał. Maddie niecierpliwie potrząsnęła głową.

– Nie wodniak, tylko wodnik. To taki wodny stwór. Coś w rodzaju ducha.

Potrząsnął głową, wydymając wargi.

– Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Wiem, że w kurhanach mieszkają duchy. W pobliżu starych grobów. Tak przynajmniej twierdzą niektórzy ludzie. Ale ja nigdy żadnego nie spotkałem.

Urwał. Powróciło nieprzyjemne wspomnienie. To było wiele lat temu, kiedy jechał do Malcolma, poprosić go, by uleczył śmiertelnie rannego Halta. Kiedy mijał kurhany, jak nazywano starożytne kopce nagrobne, poczuł coś niepokojącego. Jakąś złą energię. Uznał jednak, że to wytwór wyobraźni, skutek napięcia nerwów i zmęczenia.

– Ale tu chodzi o ducha rzecznego. Wodnika – upierała się Maddie, wyraźnie przejęta.

– Kto ci o nim powiedział?

– Miejscowe dzieciaki. Powiedziały, że wodnik porwał Carrie Clover.

To wzbudziło jego zaciekawienie.

– Że wciągnął ją pod wodę – dodała Maddie.

– Widziały to? – zapytał Will. Pomyślał, że to rzeczywiście mogło być jakieś dziwne stworzenie, na przykład wielka ryba. Albo niedźwiedź. Wiedział, że niektóre niedźwiedzie potrafią pływać. Sam nigdy czegoś takiego nie widział, ale słyszał o tym od innych osób.

– Nie. I wydaje mi się, że to zmyślił.

– A czemu tak sądzisz? – spytał Will.

Maddie nie bardzo potrafiła to wyjaśnić.

– Takie odniosłam wrażenie. A jeden z młodszych chłopców powiedział, że w to nie wierzy. Próbował protestować, ale jedna dziewczyna go uciszyła. To Simon, najstarszy z nich, opowiedział mi o wodniku. Ale czułam, że to wymyślił.

– I ten młodszy chłopiec mu nie uwierzył? – zapytał Will, a kiedy Maddie przytaknęła, dodał: – Dziwne. Zwykle to raczej młodsze dzieci wierzą w opowieści o potworach, mieszkających na dnie rzeki.

– Doris, ta dziewczyna, która kazała mu milczeć, wspomniała coś o jakimś bajarzu.

– Bajarz – powtórzył Will powoli. – To może być jakiś lokalny gawędziarz.

– Tego nie wyjaśnili. Doris powiedziała tylko: „Pamiętaj, co powiedział Bajarz”. Wtedy Simon nakrzyczał na nią i z kolei jej kazał się zamknąć.

Will usiadł i zamyślił się. Potem podniósł wzrok. Maddie patrzyła na niego z niepokojem.

– Ale przecież nie istnieje żaden taki stwór jak wodnik, prawda? – zapytała.

– Nie. Nigdy o czymś podobnym nie słyszałem, a byłem w życiu nad niejedną rzeką. To tylko taka historia – powiedział krzepiącym tonem. Postanowił, że musi zapytać w gospodzie, czy jest tu jakiś lokalny bajarz czy gawędziarz, jak zwykle nazywano takich ludzi. Często spotykało się ich po wsiach. W swych opowieściach przekazywali historię danej miejscowości i jej mieszkańców.

– Teraz twoja kolej zajrzeć do koni – powiedział.

Na zmianę wymykali się po zmroku do lasu i sprawdzali, czy koniom nie dzieje się nic złego. Maddie wyjrzała przez okno. Słońce zachodziło, cienie wydłużały się coraz bardziej. A droga do miejsca, gdzie zostawili konie, prowadziła częściowo nad rzeką.

Ścisnęła nerwowo dłonie na myśl o czekającej ją wyprawie – i dziwnych stworzeniach, kryjących się pod powierzchnią. Simon kłamał, była o tym przekonana. Ale jeśli nawet, nie wykluczało to możliwości, że taki wodnik naprawdę istnieje, nawet jeśli to nie on porwał Carrie Clover. W końcu Will powiedział tylko, że nigdy nie słyszał o podobnym stworze. Nie powiedział, że czegoś takiego z pewnością nie ma.

– Pójdiesz ze mną? – zapytała cicho.

Will popatrzył na nią ze zdumieniem. Przyzwyczał się do Maddie odważnej i pewnej siebie. Ale najwyraźniej ta historia o rzecznych potworach zrobiła na niej duże wrażenie. Już miał wyśmiać jej lęki, kiedy przypomniał sobie, że przecież jest bardzo młoda i że zapada noc, a wtedy wyobraźnia zaczyna pracować, niezależnie od tego, co podpowiada rozsądek. Westchnął. Miał za sobą ciężki dzień, myślał, że zdąży zdrzemnąć się przed kolacją.

Podniósł się z trudem i otrzepał ubranie z siana.

– Ależ oczywiście – powiedział.

Konie jak zwykle ucieszyły się na widok właścicieli. A jeszcze bardziej ucieszyły się na widok jabłek, które wyjęli z kieszeni.

Trawy miały pod dostatkiem, ale Will przyniósł im również woreczek owsa, uznawszy, że na dłuższą metę dieta z trawy może się znudzić. Konie chyba były tego samego zdania, bo pałaszowały z apetytem. Will pogłaskał Wyrwija po muskularnej szyi, kiedy ten zanurzył łeb w worku z owsem.

– Najedz się, bo jutro ruszamy w drogę – powiedział.

– Wyjeżdżamy? – zapytała Maddie, przerywając czyszczenie Zderzaka szczotką o sztywnym włosiu. Wiedziała, że jej konik to uwielbia.

– Praca się skończyła, nie mamy powodu, by zostawać dłużej. Dziś wieczorem spróbuję dowiedzieć się czegoś o tym całym bazarze. Ale jeśli nie dowiem się niczego istotnego, ruszamy do następnej wsi.

Maddie przytaknęła. Słuchając szemrania wody, pomyślała, że tuż po przyjeździe brzmiało ono tak radośnie i przyjaźnie. Teraz sama już nie wiedziała.

– Nie będę płakać – stwierdziła.

Później tego samego wieczoru Will zamówił w gospodzie słabe piwo i zapytał Danversa, niby od niechcienia:

– Jest tu u was we wsi jakiś gawędziarz?

Danvers potrząsnął głową.

– To za mała wieś, nie stać nas na utrzymywanie kogoś takiego – odparł. – Od czasu do czasu odwiedza nas jakiś wędrowny bazarz. Jak... – W tym momencie grupka bardzo rozbawionych wieśniaków zaczęła głośno domagać się więcej piwa. Danvers przepaszając wzruszył ramionami i wrócił do pracy. Po chwili Will zrezygnował z dalszego czekania, dopił piwo i wyszedł po cichu.

Po drodze zastanawiał się, co chciał powiedzieć właściciel gospody, kiedy im przerwano, uznał jednak, że pewnie nic ważnego. Na najważniejsze pytanie uzyskał odpowiedź. We wsi nie było żadnego bazarza.



Esseldon nie dorównywało wielkością Danvers Crossing. I nie leżało nad rzeką, więc nie było tam młyna ani żadnych zwykle towarzyszących mu budynków, jak magazyny zboża czy zakłady szyjące worki. Co oczywiste, nie było też promu.

Ale wieś robiła bardzo przyjemne wrażenie. Zbudowano ją według typowego planu, domy i budynki stały po obu stronach głównej ulicy, a na krańcu wsi, na niewielkim wzniesieniu, królowała gospoda. W każdej miejscowości, nawet najmniejszej, musiało znaleźć się miejsce, w którym mieszkańcy mogli posiedzieć, odpocząć, zjeść i wypić – i gdzie podróżni mogli zatrzymać się na nocleg.

Podobnie jak poprzednim razem Will zapytał, czy mogą spać w stajni. I tym razem mu nie odmówiono. Rob Danvers uczciwie go wynagrodził, za te pieniądze mogliby spokojnie pozwolić sobie na nocleg w zajeździe. Will nadal jednak musiał udawać wędrownego pracownika. Ktoś taki z pewnością nie marnowałby cennej gotówki na podobne kaprysy. Dach nad głową i trochę czystego siana na posłanie wystarczały takim ludziom w zupełności.

Ale jeśli chodzi o pracę, wieści okazały się mniej pomyślne. Jerome, właściciel gospody, z powątpiewaniem potrząsnął głową, kiedy Will poruszył temat.

– Przy gospodarstwie nic nie znajdziesz. Żniwa się skończyły, nikt nie będzie szukał pracowników przez kolejnych kilka miesięcy. A jeśli chodzi o naprawy i tym podobne, to większość ludzi sama sobie radzi. Ja też. Oczywiście możesz popytać, ale nie oczekuj zbyt wiele.

Will ponuro kiwnął głową.

– Tak myślałem – powiedział. – Cóż, zostaniemy tu parę dni, zobaczą, może coś się znajdzie. Chodź, Maddie, idziemy do stajni.

Chwycił za dyszle i napierając całym ciężarem ciała, wytoczył wózek na podwórze, a potem wszedł do stajni. Powiódł wzrokiem dokoła, po czym, wskazując na skrzynię pełną świeżego siana powiedział:

– Rozłóżmy trochę na ziemi.

Maddie znalazła drewniane widły i zaczęła rozrzucać siano na podłodze z takim zapałem, że chmura pyłu uniosła się w powietrze i zamigotała w promieniach słońca, wpadających przez szpary w ścianach. W stajni stał tylko jeden koń. Kiedy Maddie zrobiła posłania, kichając przy tym raz po raz, Will wziął od niej widły. Było wczesne popołudnie. O tej porze – jeśli Esseldon nie różniło się od innych wsi – dzieci powinny mieć kilkugodzinną przerwę w obowiązkach.

Oczywiście w tak małej wsi nie było szkoły. Jeżeli dzieci w ogóle otrzymywały jakąś edukację, to wyłącznie w domu, co z reguły oznaczało, że właściwie niczego się nie uczyły. Niewiele osób potrafiło czytać i pisać.

– Może pobiegiesz zapoznać się z miejscowymi? – zaproponował.

Maddie otrzepała się z kurzu i powstrzymała kolejne kichnięcie, przytykając palec wskazujący do dziurek w nosie.

– Mam spytać o Maurice’a Spokera?

Tak brzmiało nazwisko chłopca, widniejące w notatkach Liama obok nazwy wsi. Po namyśle Will potrząsnął głową.

– Nie tak od razu. Lepiej zaczekaj do jutra. Posłuż się tą samą historyjką: że słyszałem w gospodzie o jakimś zaginionym chłopcu i kazałem ci uważać. Na razie dowiedz się, czy był tu ostatnio jakiś bazarz.

Will zmarszczył brwi. W Danvers Crossing z pewnością ktoś taki gościł niedawno. Dzieci o nim wspominały. I, jak twierdziła Maddie, robiły przy tym wrażenie bardzo zdenerwowanych. Dziwne, że Danvers o nim nie słyszał. Nagle Willowi coś przyszło do głowy. Pytał przecież, czy w Danvers Crossing mieszka ktoś taki. A może ten człowiek był przejazdem. Może to właśnie chciał powiedzieć Rob Danvers, kiedy przerwano im rozmowę.

– Tymczasem ja przejdę się po wsi, popytam o pracę. – Urwał i spojrzał na bandaż na lewej dłoni, którą niechcący skaleczył dłutem poprzedniego dnia. – Może przy odrobinie szczęścia niczego nie znajdę.

Maddie kiwnęła głową i ruszyła do wyjścia. Przypuszczała, że we wsi musi być jakieś miejsce, w którym zwykle zbierają się dzieciaki – jakaś łąka, błonia. I rzeczywiście. Porośnięte trawą miejsce pośrodku wsi, gdzie każdy z mieszkańców mógł wypasać krowy i owce i wypuszczać kury czy kaczki. Pośrodku lśniło oczko wodne, służące zwierzętom za wodopój.

Siedziało tam kilku przedstawicieli lokalnej młodzieży. Jeden z chłopaków wstał, wziął zamach i rzucił kamieniem do wody.

Maddie przyglądała się uważnie. Na powierzchni oczka unosiła się niewielka drewniana tratwa – zapewne w nią właśnie mierzył chłopak. Chybił o jakiś metr. Reszta uczyła jego porażkę drwinami i wesołymi okrzykami. Uśmiechnął się i usiadł. Jego miejsce

zajął kolejny chłopak. Długo mierzył, ważąc kamień w rękę, w końcu zamachnął się i rzucił.

On też nie trafił. I znowu rozległ się radosny chórek. Chłopak obejrzał się i na widok Maddie powiedział coś do reszty. Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na nią. Pomachała nieśmiało i usiadła w odległości jakichś pięciu metrów od nich, podciągając kolana pod brodę.

Tamci uznali, że nie ma sensu się na nią gapić i wrócili do swych ekscytujących zajęć.

Maddie wywnioskowała, że chłopcy – było ich czterech – urządzili sobie zawody w rzucaniu do celu. Teraz przyszła kolej na trzeciego. Kamień wpadł do wody kilka centymetrów od celu, wzbijając fontannę. Tratwa zakołysała się gwałtownie. Dziewczyny – było ich dwie – zaczęły wiwatować. Pozostali chłopcy popatrzyli na rywala. Teraz podniósł się czwarty zawodnik. Za bardzo się spieszył. Jego kamień wylądował blisko brzegu, podskoczył na powierzchni, a potem utonął. Chłopak, który rzucał wcześniej, zaśmiał się głośno.

Przez chwilę Maddie od niechcienia bawiła się procą, którą zawsze nosiła przy pasie. Rozejrzała się i podniosła z ziemi dwa gładkie kamyki. Potem wstała, podeszła bliżej. Znowu rzucał pierwszy chłopak. Tym razem trafił bliżej celu, tratwa znów zaczęła się kołysać. Zauważywszy Maddie, zerknął na nią z zaciekawieniem.

– Nieźle – powiedziała, wskazując na tratwę, podskakującą na powierzchni wody, pośród coraz szerszych kręgów zmarszczonych fal. – Mogę spróbować?

– Dziewczyny nie potrafią rzucać – odparł. Nie powiedział tego z pogardą czy lekceważeniem. Było to proste stwierdzenie faktu.

Maddie uśmiechnęła się.

– Ja jestem dziewczyną. I potrafię rzucać.

Te słowa wzbudziły zainteresowanie całej grupy. Jeden z chłopaków potrząsnął głową z pobłażliwym uśmiechem. Dziewczyny patrzyły wyczekująco. Raczej jej nie wierzyły, ale chciały przynajmniej zobaczyć, jak rzuca, z nadzieją, że być może jednak nie chwaliła się bez powodu.

– Daj jej spróbować, David – powiedziała jedna z nich.

Chłopak spojrzał na nią, potem na Maddie, po czym odsunął się na bok, wzruszając ramionami.

– Czemu nie? Ale udział w zawodach kosztuje dwa fenigi. Zwycięzca bierze wszystko.

Nie przestając się uśmiechać, sięgnęła do sakiewki u pasa, wyjęła dwie małe miedziane monety i podała mu.

– Przykro będzie je stracić – rzucił chłopak z uśmiechem.

Maddie potrząsnęła procą i wsunęła kamień do miseczki. Podeszła bliżej, szybko, zanim ktoś zdążył zauważyć, co robi. Wysunęła lewą stopę do przodu, opuściła prawą rękę wzdłuż ciała, po czym zakołysała procą i wyrzuciła kamień. Świsnął w powietrzu z ogromną prędkością.

Woda dokoła tratwy zakotłowała się, trysnęła wysoko do góry, poleciały odłamki drewna. Wszyscy zerwali się na równe nogi, zdumieni siłą i celnością rzutu. Najmłodszy z chłopców, ten, który trafił najbliżej celu, zrobił wielkie oczy. A potem, dostrzegłszy procę, zwisającą u dłoni Maddie, zapytał:

– Co to?

Maddie podniosła procę wysoko do góry, tak by wszyscy mogli ją zobaczyć.

– To jest proca. – Uśmiechnęła się. – Nie martwicie się, nie zabiorę waszych pieniędzy. Miałam przewagę.

David podszedł do niej, marszcząc czoło, i wyciągnął rękę. Maddie podała mu procę.

– To tylko kawałek sznurka i skóry – stwierdził.

– Tak. Ale nadaje rzutom dodatkową siłę. Chcesz spróbować?

Przytaknął. Maddie pokazała mu, jak włożyć kamień do miseczki i jaką pozycję przybrać do rzutu.

– Zakołysz nią kilka razy w przód i w tył – poleciła. – A potem zakręć, wyceluj i wypuść jeden koniec sznurka.

Pierwsze rzuty okazały się nieudane, David wypuszczał pociski za wcześnie lub za późno. Kamienie leciały wysoko w powietrze bądź wpadały do wody kilka metrów od brzegu. Ale stopniowo zaczynał łapać, o co chodzi.

– Kiedy wyrzucasz kamień, wyobraź sobie, że palcem wskazującym mierzysz w cel – powiedziała Maddie. Posłuchał jej rady i kamień ze świstem przeciął powietrze, po czym spadł do wody. David odwrócił się i spojrzał na Maddie z uśmiechem.

– Niesamowite!

– Trochę ćwicz i zaczniesz trafiać bezbłędnie – powiedziała. Nagle najmłodszy z chłopców, ten, który był najbliżej wygranej, wyciągnął rękę po procę.

– Ja też chcę spróbować!

Maddie pokazała mu, jak to się robi. Jego rzut okazał się lepszy niż pierwsze próby Davida. Wyrzucił trzy kolejne kamienie. Dwa wpadły do wody niedaleko tratwy. Przy trzecim poniosły go emocje, za mocno zakręcił procą i za późno wypuścił kamień, który uderzył głucho w ziemię.

Maddie spojrzała na dziewczyny.

– A wy chcecie spróbować?

Popatrzyły na siebie z wahaniem.

– Dziewczyny też mogą? – zapytała jedna z nich.

David wskazał kciukiem na Maddie.

– No przecież ona jest dziewczyną, a może! – Uśmiechnął się szeroko. Tak więc dziewczęta, Eve i Joscelyn, również spróbowały rzucania z procy. Eve prędko załapała technikę i po chwili wyrzucała kamienie całkiem mocno i celnie. Joscelyn okazała się mniej pojętna, ale i jej udało się oddać kilka całkiem niezłych rzutów. Nie mogli wyjść ze zdumienia, że za pomocą tak prostego narzędzia można osiągnąć takie rezultaty.

– Można by wykorzystać to na polowaniu – zauważył David, patrząc z podziwem na procę. Oddał ją Maddie, a ona kiwnęła głową.

– Owszem. Z procy można zabijać ptaki i króliki. – Rozejrzała się dokoła. – Wiecie co, spotkajmy się jutro, to pokażę wam, jak zrobić procę. Przynieście jakieś rzemyki i kawałki skóry.

Rozległ się chór zachwyconych głosów. Maddie odłożyła procę i wszyscy usiedli na trawie. „No i już”, pomyślała. „Zaakceptowali mnie”. Wyciągnęła ręce nad głowę i powiodła spojrzeniem dokoła, chłonąc widok malowniczej wioski.

– A co robicie, kiedy chcecie się trochę rozerwać?

David potrząsnął głową, a pozostali zamruczeli. Najwyraźniej życie w Esseldon nie obfitowało w atrakcje.

– Nic specjalnego – odparł. – Tu nic się nie dzieje.

– O, to szkoda. Nie ma na przykład żadnego bazarza czy kogoś takiego? – rzuciła od niechcienia. Starła się zachowywać nonszalancko, ale uważnie obserwowała swych nowych towarzyszy i dostrzegła, że jej słowa wywołały spore poruszenie. Popatrzyli na siebie, potem na nią. Z ich oczu wycierał strach.

– Co masz na myśli? – zapytała Joscelyn.

David spiorunował ją wzrokiem – za późno.

Maddie wzruszyła ramionami.

– No wiecie, taki gawędziarz, ktoś kto opowiada różne historie. Na przykład o duchach, nocą przy ognisku.

Zapadła długa cisza. Powietrze aż zgęstniało. Maddie podjęła z niewinną miną:

– Dopiero co byliśmy w Danvers Crossing. Tamtejsze dzieciaki mówiły, że kilka tygodni temu zawitał do nich wędrowny bazarz. Podobno opowiadał naprawdę świetne przerażające historie. – Maddie pochyliła się i udawała wielkie zainteresowanie wiązaniem przy bucie.

Znów zapadła niezręczna cisza. W końcu Eve odparła, nieco sztywno:

– Tutaj nie ma nikogo takiego.

Maddie wzruszyła ramionami, jakby temat tak naprawdę niezbyt ją obchodził.

– O? To szkoda. Ale nieważne. – Uniosła głowę i sprawdziwszy pozycję słońca nad drzewami po zachodniej stronie, dodała: – Muszę już iść. Do zobaczenia jutro. Nie zapomnijcie o rzemieniach i kawałkach skóry na proce.

Teraz, kiedy zmieniła temat i nie wypytywała więcej o bazarza, atmosfera trochę się rozluźniła. Wszyscy z entuzjazmem potwierdzili, że spotykają się następnego dnia.

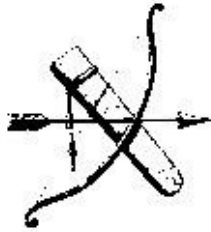
Maddie wstała, otrzepała ubranie z trawy, zawiesiła procę u pasa, po czym pomachała na do widzenia.

– To do jutra. O tej samej porze?

Odpowiedział jej zgodny chór głosów. Odwróciła się i ruszyła w stronę gospody – a właściwie stajni, w której mieli nocować. Po drodze mruknęła cicho do siebie:

– Ten bazarz na pewno tu był. Mogłabym dać za to głowę.

Jeszcze nie wiedziała, że te słowa mogą okazać się prorocze.





Nie. Nie ma tu we wsi żadnego gawędziarza – odparł właściciel gospody na pytanie Willa.

– Szkoda – rzucił Will i upił łyk kawy. – Mojej córce dobrze by zrobiło trochę rozrywki. Ciężko jej, ciągle w drodze, żadnych zajęć. I żadnych przyjaciół na stałe.

Mężczyzna – miał na imię Jerome – kiwnął głową.

– Rozumiem. Szkoda, że nie zjawiliście się wcześniej. Kilka dni temu był tu u nas taki człowiek. Dzieciaki go uwielbiały.

Will podniósł wzrok, ale udawał, że kieruje nim tylko uprzejme zainteresowanie.

– W Danvers Crossing też słyszałem o takim wędrownym gawędziarzu – powiedział, po czym potarł podbródek, jakby się nad czymś zastanawiał. – Jak on się nazywał?

– Bajarz, tak chyba się przedstawił. – Jerome wzruszył ramionami.

– To on – powiedział Will. – Bajarz. Oczywiście. – A więc to był przydomek tego człowieka.

– Barwny typ, muszę powiedzieć. Miał jaskrawoniebieski płaszcz i szkarłatne buty. – Jerome zmarszczył czoło. – Wydawał się trochę dziwny. Ale to już pewnie taki zawód.

– Dziwny? – Will był coraz bardziej zaintrygowany, ale starał się niczego nie dać poznać po sobie. – To znaczy?

Jerome niedbale machnął ręką.

– Nie, nie mam na myśli niczego złego... Taki... trochę ekscentryczny. Wokół kostek i nadgarstków miał dzwoneczki, tak że było słyhać, kiedy nadchodził. Mówiono mi, że opowiadał swoje historie z wielkim zaangażowaniem.

– A ty sam tego nie widziałeś?

Jerome potrząsnął głową.

– Występował przed dziećmi. Pamiętam, że dawałem bratankowi pieniądze. Siadywał na błoniach, nad stawem i opowiadał im różne historie. – Skrzywił się. – Chyba o duchach. Pamiętam, że maluchy często wracały trochę blade po tych występach.

– Dzieci uwielbiają przerażające historie – powiedział Will. – Pamiętasz, kiedy to było?

Jerome odrzucił głowę do tyłu, wbił wzrok w sufit i zamyślił się. W końcu odparł:

– To musiało być dwa-trzy tygodnie temu. Kilka dni przed zaginięciem chłopaka Spokerów.

Will zmarszczył brwi i z lekko zaniepokojoną miną zapytał:

– Jakiś chłopak zaginął? Często zdarzają się tu takie rzeczy?

Jerome potrząsnął głową. Rozumiał strach ojca o córkę.

– Nie, ależ skąd! O ile sobie przypominam, nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to Maurice po prostu zwiął z domu. Tata za często dawał mu w skórę.

Will dopił kawę i postawił kubek na kontuarze. Skinął głową i powiedział:

– No, na mnie już czas. Przede mną ciężki dzień. Muszę rozejrzeć się po okolicy, popytać, czy nie znajdzie się dla mnie robota. Może w dalej położonych gospodarstwach.

– A we wsi nic nie znalazłeś? – zapytał Jerome, a Will potrząsnął głową, robiąc zmartwioną minę. Jerome uśmiechnął się ze współczuciem. – Nic dziwnego. Ciężkie czasy, nikt nie szasta pieniędzmi.

– No, ja z pewnością nie – odparł Will. Zawahał się, a potem dodał niepewnie: – Tak się zastanawiam, czy nie mógłbym poprosić cię o pewną przysługę.

Jerome zmrużył oczy. Wiedział z doświadczenia, że takie przysługi z reguły wiążą się z pieniędzmi, ale Will prędko rozwiął jego obawy.

– Może w związku z pracą będę musiał zostać gdzieś na dzień czy dwa. Gdyby tak Maddie mogła przenieść się do pokoju na czas mojej nieobecności? Czuję się bardziej spokojny. Nie chciałbym, żeby spała w stajni, kiedy dzieją się takie rzeczy, dzieci giną i tak dalej.

– Tylko jeden chłopak – zaprotestował Jerome. Ale zmiękł na widok zatroskanej miny Willa. Pomyślał, że pewnie nie jest mu łatwo. Samotny ojciec, w dodatku bez domu i stałej pracy. A kilka pokoi w zajeździe akurat stało pustych. – No dobrze – powiedział. – Może spać w pokoju na poddaszu. Policzę tyle samo, ile za miejsce w stajni.

Will odetchnął z ulgą.

– Wielkie dzięki. Przynajmniej nie będę się o nią martwił.

W myślach postanowił, że przyniesie Jeromowi trochę dziczyzny. To był porządny gość, wykazał się szczodrością, ofiarowując Maddie pokój w zajeździe. Will pożegnał się i wyszedł.



– Jak długo cię nie będzie? – spytała Maddie, kiedy przedstawił jej swoje plany.

– Jeden-dwa dni. Pomyślałem, że pojedę do Boyle-town, sprawdzę, czy tam też był ten cały Bajarz.

Wyjaśnił Maddie, że jest to nazwisko czy przydomek tego człowieka.

– Wiemy, że był w Danvers Crossing, a potem przybył tutaj. – Will urwał, zmarszczył brwi. – Szkoda, że nie dowiedzieliśmy się, kiedy tam gościł. Jerome powiedział, że tutaj przybył na krótko przed zniknięciem chłopaka.

– I pewnie powiedział ci też, że rodzice Maurice'a Spo-kera bardzo źle go traktowali – powiedziała Maddie z namysłem. – Podobnie jak to było w przypadku Carrie Clover.

Will zmrużył oczy.

– Zgadza się. Coraz więcej podobieństw, prawda?

Maddie przytaknęła.

– To co mam robić pod twoją nieobecność?

– Rozmawiaj z dziećmi. Spróbuj dowiedzieć się czegoś więcej o tym całym Bajarzu w niebieskim płaszczu i czerwonych butach. Jerome twierdził, że go uwielbiały.

– Ja nie odniosłam takiego wrażenia.

– W każdym razie spróbuj się czegoś dowiedzieć. Ale zachowaj ostrożność. Jeśli nie będą chcieli mówić, nie naciskaj. – Nagle coś mu przyszło do głowy i dodał: – A, przy okazji, kiedy przeniesiesz się do zajazdu, staraj się być pomocna. Ściel sama łóżko, zaoferuj pomoc w kuchni.

– Nie umiem gotować – przypomniała mu Maddie.

– Myślałem, że mogłabyś wykazać się raczej w dziedzinie zmywania naczyń.

Maddie cofnęła się w udawanym przerażeniu.

– Obawiam się, że nie przeszłam odpowiedniego treningu.

Uniósł jedną brew. Bardzo zazdrościła mu tej umiejętności. Postanowiła, że musi poćwiczyć.

– Na pewno szybko się nauczysz – odparł. – To nie alchemia.



Maddie nie musiała zadawać więcej pytań na temat tajemniczego Bajarza w niebieskim płaszczu. Zgodnie z umową następnego dnia spotkała się ze swymi nowymi przyjaciółmi. Usiedli na trawie i pokazała im, jak zrobić procę. Przyniosła ze sobą niewielki nóż, którym każdy z nich po kolei przyciął rzemienie na odpowiednią długość oraz kawałki skóry na miseczki. Na błoniach prócz nich przebywał tylko jeden człowiek, zapewne pracownik z któregoś z gospodarstw, sądząc po niekształtnym starym kapeluszu i połatanym ubraniu roboczym. Stał oparty o ogrodzenie, przyglądając im się od niechcenia. Na ziemi u jego stóp leżało niewielkie zawiniątko.

Kiedy wszyscy siedzieli w półkolu, w skupieniu przycinając i wiążąc kawałki skóry, David podniósł głowę i spojrzał na Maddie. Wstał i ruchem głowy dał jej znak, by poszła za nim. Podniosła się i odeszła na bok. Popatrzyła na niego, pełna oczekiwania.

– Chciałeś mi coś powiedzieć? – spytała.

Rozejrzał się ukradkiem dokoła. Widziała, że jest zdenerwowany. Nie, zaraz poprawiła się w myślach. Nie zdenerwowany, tylko przerażony.

– Bajarz – powiedział w końcu. – Nie pytaj więcej o niego. I za nic nie wspominaj o nim swojemu tacie. – Urwał, potem dodał głosem pełnym niepokoju: – Chyba nic mu nie powiedziałaś?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Ale o co chodzi?

– Opowiadał nam różne rzeczy. I powiedział, że mamy nie powtarzać niczego dorosłym, bo przydarzy nam się coś złego.

Maddie zrobiła wielkie oczy.

– Ale jakie rzeczy? – zapytała drżącym głosem. Zaczęło się jej udzielać zdenerwowanie Davida.

Zaszurał nogami.

– Na początku to były całkiem zwyczajne historie. Niektóre zabawne, niektóre przerażające. Wszystkie bardzo dobre i bardzo nam się podobały. Większość słyszeliśmy już wcześniej, na przykład o potworze z Przełęczy Alden czy o Wielkim Zielonym Trollu z Tralee.

Maddie kiwnęła głową. Tak, to były popularne baśnie ludowe. Oczywiście, różniły się szczegółami w zależności od tego, kto opowiadał, ale główna treść pozostawała ta sama. Miały na celu wywołać u dzieci przyjemny dreszczyk strachu – w granicach rozsądku i bezpieczeństwa.

– Ale potem opowiedział nam o Tym, Który Zakrada się Nocą – powiedział David bardzo cicho.

– O Tym, Który Zakrada się Nocą? – powtórzyła Maddie. Sama ta nazwa wystarczyła, że przeszły ją ciarki. Brzmiała tak niepokojąco, złowieszczo.

David przytaknął, nerwowo oblizując wargi.

– To taka tajemnicza istota. Jest cały ubrany na czarno, w czarnej masce i pelerynie. Pojawia się nagle we wsi i zabiera dzieci.

– Dokąd je zabiera? – spytała Maddie. Jej serce biło coraz szybciej. Pochyliła się w stronę Davida i dodała, zniżając głos: – Co on z nimi robi?

David wzruszył ramionami.

– Nikt nie wie. Zabiera je dokądś i znikają na zawsze. – Znów rozejrzał się dokoła. Maddie zrobiła to samo. Pozostali nadal nie zwracali na nich uwagi, skupieni na pracy.

– Ale chodzi o to, że Bajarz powiedział, że jeśli zobaczymy Tego, Który Zakrada się Nocą, to mamy nic nie mówić. Udawać, że niczego nie widzieliśmy. I nigdy, przenigdy nie opowiadać o nim nikomu z dorosłych.

– A co się stanie, jeśli ktoś to zrobi? – spytała Maddie, zniżając głos niemal do szeptu.

– On dowie się o tym. I przyjdzie po tego, kto złamał zakaz. Przyjdzie w nocy i zabierze go, i to dziecko już nigdy więcej nie zobaczy swoich bliskich.

Zapadło milczenie. Wpatrywali się w siebie rozszerzonymi oczami. Maddie udzielił się strach Davida. Marzyła tylko o tym, by znaleźć się teraz z powrotem w Redmont, w przytulnej chatce pośród drzew. Nagle usłyszała jakiś dźwięk. Rozejrzała się nerwowo dokoła. Mężczyzna, na którego wcześniej zwróciła uwagę, porzucił swoje miejsce przy ogrodzeniu i podszedł bliżej. Teraz siedział na trawie, krojąc ser. Pochwyił jej spojrzenie, kiwnął głową i uśmiechnął się. Maddie zastanawiała się, czy mógł usłyszeć ich rozmowę. Stwierdziła, że raczej siedzi za daleko, ale i tak ściszyła głos.

– Myślisz, że to właśnie spotkało Maurice’a Spokera?

David zrobił krok w tył. Nieświadomy obecności obcego człowieka, wykrzyknął z zaskoczeniem:

– Skąd o nim wiesz?!

Maddie zdała sobie sprawę, że popełniła błąd. Dała znak Davidowi, spoglądając wymownie w stronę nieznanego.

– Mój tata mi powiedział, usłyszał o nim w gospodzie. Mówił, że zaginął chłopiec o nazwisku Maurice Spoker i że mam uważać i nie chodzić nigdzie po ciemku. Myślisz, że Maurice’a zabrał Ten, Który Zakrada się Nocą?

David zawahał się. Ale chyba przyjął jej wyjaśnienie. Po chwili z wolna pokiwał głową.

– A ktośby inny? – powiedział.



Ten, Który Zakrada się Nocą odłamał nogę kurczaka VLJ^{vi} zębami oderwał kawał mięsa. Skrzywił się. Kurczak nie dopiekł się, mięso wokół kości było czerwone i krwiste.

Spojrzał na tego, który przyrządził kurczaka – nawiasem mówiąc, skradzionego poprzedniej nocy z jednego z leżących na odludziu gospodarstw.

– Harold! Ten ptak jest surowy! – warknął. – Gdzieś ty się uczył gotować?

Harold, potężny czarnowłosy mężczyzna, zrobił obrażoną minę.

– Nigdy nie twierdziłem, że jestem kucharzem – odpowiedział.

Prawda wyglądała tak, że nadział kurczaka na rożen zrobiony ze świeżej gałązki i powiesił go nad ogniem. Tylko że nie poczekał, aż ogień przygaśnie, tak by mięso piekło się spokojnie w ciepłe żarzących się węgli. Kiedy skórka szerniała, Harold stwierdził, że mięso na pewno już się upiekło. Zdjął kurczaka z ognia i podał przywódcy bandy.

Ten, Który Zakrada się Nocą wyrzucił ptasią kośćcinę w krzaki, po czym, coraz bardziej wściekły, chwycił pozostałą część niedopieczonych zwłok i posłał w tę samą stronę.

– Dawaj chleb i ser – rozkazał. – Tego nawet ty nie potrafisz zepsuć. I piwo.

Harold mruknął coś gniewnie pod nosem, ale zachował komentarze dla siebie. Z gorzkiego doświadczenia wiedział, że jego szef ma bardzo gwałtowny temperament.

Przywódca bandy był ubrany cały na czarno – zawsze miał na sobie taki strój, kiedy zakradał się do domów i porywał dzieci. Był nieco powyżej średniego wzrostu, dobrze zbudowany – choć zaczynał tyć i w pasie ostatnio mu przybyło. Włosy, niegdyś blond, niemal białe, teraz zwisały w smętnych siwych brudnych strąkach. Ten, Który Zakrada się Nocą nie lubił myć ich nazbyt często.

Miał regularne rysy twarzy, mocny podbródek – choć i tu zaczynały uwidaczniać się tendencje do tycia. Można by nazwać go nawet przystojnym, gdyby nie oczy i wargi. Oczy, bardzo jasne, o żółtawym zabarwieniu, przypominały wilcze ślepie. Tak kiedyś określili je pewien mężczyzna. I kilka minut później gorzko tego pożałował.

Do tych zimnych okrutnych oczu pasowały cienkie wargi o opuszczonych kącikach. Nikt nigdy nie widział, aby się uśmiechały.

Harold postawił przed czarno ubranym mężczyzną drewniany talerz, na którym leżał kawałek sera i chleb. Ten, Który Zakrada się Nocą mruknął, wyciągnął nóż i odkroił ser.

– Gdzie piwo? – spytał. Harold odwrócił się prędko i z niewielkiej beczułki nalał piwa do kubka. Postawił naczynie przed szefem, a ten znowu mruknął. Słowo „dziękuję” najwidoczniej nie istniało w jego języku.

Znajdowali się w obozie, swej tymczasowej kwaterze. Było ich dziewięciu, w tym Ten, Który Zakrada się Nocą i Bajarz w niebieskim płaszczu. Poza tym pięcioro dzieci w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Siedziały pod drzewem, skute razem łańcuchem. Przywódca bandy spojrzał na nie. Kuliły się do siebie pod daszkiem z kawałka płótna, który rozpięto na gałęziach, by zapewnić im schronienie przed deszczem. Porywacze mieszkali w małych dwuosobowych namiotach. Za wyjątkiem szefa, który z racji pełnionej funkcji zażywał osobnego spania. Jego namiot był większy i stało w nim niewielkie łóżko polowe, podczas gdy pozostali musieli zadowolić się rozłożonymi na ziemi kocami.

Od kilku miesięcy prowadzili swój niecny proceder na terenie lenna Trelleth. Za cel obierali niewielkie wioski, oddalone od innych miejscowości, praktycznie odcięte od świata. Zanim mieszkańcy wsi, w której zaginęło dziecko, dowiedzieli się, że podobne rzeczy dzieją się też w innych miejscach, Ten, Który Zakrada się Nocą i jego ludzie byli już daleko.

Na razie strategia ta działała bez zarzutu. Bajarz przybywał do wsi, zdobywał zaufanie lokalnych dzieci i wybierał kolejną ofiarę, dziewczynkę lub chłopca, których rodzice bardzo źle traktowali. Kiedy dziecko znikało, wszyscy zwykle uznawali, że po prostu uciekło z domu. Czasami rodzice próbowali odnaleźć dziecko, ale nigdy nie organizowano żadnej akcji poszukiwawczej.

Kiedy Bajarz już podbił serca miejscowych dzieci i wybrał ofiarę, zmieniał taktykę. Opowieści, początkowo zabawne i interesujące, przybierały mroczniejsze, groźne zabarwienie. Opowiadał o przerażającej postaci, znanej jako Ten, Który Zakrada się Nocą, istocie rodem z ciemności. Ten, Który Zakrada się Nocą krąży po wsiach i porywa dzieci do podziemnej krainy. Bajarz ostrzegał swych słuchaczy, że jeśli ta istota odwiedzi ich wieś, mają nikomu o tym nie mówić. Nigdy nie wspominać o nim w rozmowie z rodzicami czy innymi dorosłymi.

A jeśli złamią zakaz, Ten, Który Zakrada się Nocą dowie się o wszystkim i zemści się straszliwie.

Bajarz potrafił doskonale opowiadać. Kiedy opuszczał wieś, dzieci zwykle były bliskie postradania zmysłów ze strachu.

I kiedy krótki czas potem jedno z nich zniknęło, milczały. To była sprytna strategia. W takich ubogich wioskach dzieciaki często spały po kilkoro w jednym pokoju. I jeśli któreś obudziło się i ujrzało czarną postać, porywacze wiedzieli, że nie piśnie o tym ani słowem, zbyt przerażone opowieściami Bajarza. Każde dziecko wiedziało, że jeśli odważy się działać, jeśli spróbuje podnieść alarm, jeśli ostrzeże dorosłych, to czeka je taki sam los.

Banda porywaczy działała według tego schematu już od kilku miesięcy, przenosząc się z jednego lenna do następnego, często zmieniając miejsca obozowania, tak by do władz nie dotarły wieści na ich temat.

Wyszukiwali nowe miejsca i uprowadzali kolejne dzieci. Kiedy już zebrali wystarczającą liczbę jeńców – zwykle dziesięcioro czy trochę więcej – przechodzili do kolejnego etapu swoich działań.

Ten, Który Zakrada się Nocą podniósł głowę na odgłos końskich kopyt. To był jeden z jego zwiadowców. Miał na sobie połatany strój wieśniaka i bezkształtny filcowy kapelusz. Nikt w okolicznych wioskach nie zwróciłby na niego uwagi, wyglądał tak samo jak lokalni mieszkańcy. Rozejrzał się dokoła i podszedł do siedzącego przy stole przywódcy.

– Zdaje się, że możemy mieć pewien problem – powiedział. Usiadł naprzeciwko, odwrócił się i krzyknął: – Harold! Dawaj no tu piwo!

Harold mruknął coś pod nosem, ale wziął kubek i posłusznie podszedł do beczki. W bandzie istniała ścisła hierarchia, a on znajdował się niemal na samym dole.

Przywódca zmarszczył brwi.

– Gdzie? – zapytał. Zwiadowca podniósł rękę na znak, żeby zaczekał, bo w tym momencie Harold podał mu kufel z piwem. Zwiadowca, nie zwracając uwagi na ciekącą po ściankach pianę, zaczął pić łąpczywie. W końcu z zadowolonym pomrukiem walnął kuflem o stół.

– Esseldon – odparł, a potem beknął. Ten, Który Zakrada się Nocą znów zmarszczył brwi. Niedawno tam byli. Spojrzał na grupę małych jeńców pod drzewem, starając się przypomnieć sobie, które z dzieci pochodzi z Esseldon. Ale pracowali intensywnie od wielu tygodni i wszystkie twarze wydawały mu się takie same.

Zwykle strach, który wzbudzały w dzieciach opowieści o Tym, Który Zakrada się Nocą, stanowił wystarczającą gwarancję, że o niczym nie powiedzą dorosłym.

Zwykle.

Ale zawsze istniało ryzyko, że znajdzie się jakieś dziecko, odważniejsze bądź głupsze od pozostałych. A jeśli mieszkańcy wsi dowiedzą się, że po okolicy krąży przestępca, podniosą alarm i zorganizują akcję poszukiwawczą. W takim wypadku banda będzie zmuszona czym prędzej przenieść się do innego lenna. Dlatego właśnie, by zapewnić sobie bezpieczeństwo i w razie czego odpowiednio wcześniej dowiedzieć się o zagrożeniu, przywódca regularnie wysyłał zwiadowców na przespziegi do wsi, z których pochodziły porwane dzieci.

Widać w Esseldon ktoś się wygadał.

– To może być całkowicie bez znaczenia – podjął zwiadowca – ale taka jedna dziewczyna zadaje różne pytania.

– Miejskowa? – spytał Ten, Który Zakrada się Nocą.

Zwiadowca potrząsnął głową.

– Nie. Przybyła ze swoim ojcem, wędrownym pracownikiem. Zatrzymali się w zajeździe. Słyszałem, jak wypytywała jednego z miejscowych o Bajarza. I o zaginionego chłopaka. Na razie niczego się nie dowiedziała, ale pomyślałem, że powinienem cię o tym powiadomić.

Ten, Który Zakrada się Nocą pomasaował podbródek. Zawsze istniało ryzyko, że jakieś dziecko się wygada. I proszę, okazało się, że ostrożności nigdy zbyt wiele.

– Myślę, że należy tej panience uświadomić, co dzieje się z ludźmi, którzy zadają niewygodne pytania – oznajmił z namysłem. Potem odwrócił się i krzyknął w stronę mężczyzn, siedzących wokół ogniska:

– Benito! Podejź no. Mam dla ciebie robotę.

Tak, Benito był odpowiednią osobą. Kilka lat wcześniej został ranny w szyję w czasie bójki i teraz jego głos brzmiał jak ochrypły szept. Benito czuł się bardzo rozgoryczony i wściekły z tego powodu. I z ogromną przyjemnością podejmował się tego typu zadań jak dawanie nauki nieposłusznym dzieciom.

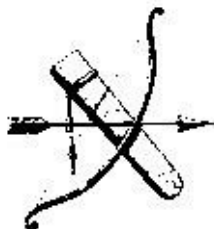
Podszedł do stołu i dotknął knykiem czoła na znak szacunku.

– O co chodzi, *Jefe*? – zapytał. Było to iberyjskie określenie wodza czy przywódcy. Kombinacja iberyjskiego akcentu z chrapliwym szepem zwykle wystarczała, by wzbudzić w dzieciach śmiertelne przerażenie.

– Jakaś dziewczyna w Esseldon zadaje pytania. Robert powie ci, jak wygląda i gdzie ją znajdziesz. – Ten, Który Zakrada się Nocą wskazał zwiadowcę. – Wybierz się tam dzisiaj w nocy i nastrasż ją trochę. Albo ją zabij – rzucił niedbale.

Na smagłej twarzy Benita pojawił się okrutny uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie, *Jefe*.





Wczesnym popołudniem, na długo przed zachodem słońca, Maddie wymknęła się ze wsi i poszła odwiedzić Zderzaka. Will, rzecz jasna, zabrał Wyrwija ze sobą, więc jej konik został sam na polanie opodal gościńca. Martwiła się o niego, ale na szczęście Zderzak zdawał się całkiem zadowolony z własnego towarzystwa.

Wyczyściła go i dała mu dwa jabłka. Napełniła wiadro wodą z przepływającego obok strumienia. Zderzak mógłby wprowadzić pić prosto ze strumienia, ale byłby wtedy widoczny z drogi i istniało ryzyko, że zobaczy go jakiś przypadkowy podróżny.

Albo i nieprzypadkowy, biorąc pod uwagę to, co ostatnio usłyszała. Cieszyła się, że postanowiła odwiedzić Zderzaka za dnia. Po zapadnięciu zmroku za bardzo by się denerwowała. Wróciła do wioski, kiedy nadal było jasno.

Cieszyła się też, że nocuje w zajeździe. Historia o złej i tajemniczej istocie, porywającej dzieci zrobiła na niej duże wrażenie. Pokój na poddaszu został wyposażony w porządne drzwi z dobrym zamkiem. W pewnym stopniu dawało jej to poczucie bezpieczeństwa, choć nie do końca, trochę jednak się denerwowała i podskakiwała na każdy niespodziewany dźwięk. Kiedy na schodach rozlegały się kroki, zamierała i z przekrzywioną na bok głową bacznie nasłuchiwała. I chociaż rozsądek podpowiadał, że to na pewno Jerome lub jego żona czy ktoś z obsługi, trzymała rękę blisko rękojeści saksy, wiszącej nad łóżkiem – do chwili, aż kroki cichły w oddali.

Zgodnie z sugestią Willa zaoferowała się z pomocą w kuchni. Propozycja została entuzjastycznie przyjęta. Dzięki temu mogła spędzić trochę czasu w towarzystwie innych ludzi, a harmider panujący w gospodzie stanowił miłą odmianę po cichym pokoiku na szczycie schodów.

Spięła włosy i zakryła je chustką, włożyła fartuch i przystąpiła do pracy. Jerome przyglądał się Maddie z uznaniem. Wycierała tłuste talerze, a potem zanurzała je w wielkim żelaznym kotle, zawieszonym nad ogniem, pełnym wody z mydlinami. Następnie szorowała je dokładnie drewnianą szczotką na długiej ręczce. Po kilku minutach jej twarz poczerwieniała i zwilgotniała od pary, a ręce pokryły się mydlinami aż po łokcie. Kiedy skończyła, zamiotła kuchnię i bar. Tymczasem ostatni goście skierowali się do wyjścia, żegnając się głośno z właścicielem. Kilku miało i dla niej dobre słowo, widzieli, że ciężko pracuje i podziwiali ją za to.

Gospoda opustoszała o dość wczesnej porze. Cóż, w środku tygodnia wszyscy kładli się wcześniej, bo musieli wcześniej wstawać.

Kiedy skończyła sprzątać i odstawiła miotłę do kąta, Jerome wszedł do baru, podszedł do drzwi i zaciągnął dwa potężne żelazne rygle – jeden na górze, drugi u dołu. Spojrzył na Maddie i uśmiechnął się krzepiąco.

– Drzwi kuchenne też zarygluję, kiedy Emma i Ted sobie pójdą – powiedział. Domyślał się, że Maddie denerwuje się z powodu nieobecności ojca i chciał jej dodać otuchy. Zdażył polubić tę dziewczynę. Ciężko pracowała przez cały wieczór. Owszem, zamierzał obciążyć Willa kosztami noclegu – w końcu ich wózek i wszystkie rzeczy nadal leżały w stajni – ale postanowił, że Maddie dostanie kilka monet za swoją pracę.

Maddie odpowiedziała uśmiechem. Drzwi były solidne, dębowe, od wewnątrz wzmocnione drugą warstwą desek, ułożonych ukośnie. W końcu w gospodzie znajdowało się wiele wartościowych rzeczy: jedzenie, wino i piwo, nie wspominając już o pieniądzach, które zostawili w barze goście. Prawdopodobnie był to najbezpieczniejszy budynek w całej wsi.

Kucharka Emma i jej pomocnik Ted powiedzieli dobranoc i udali się do swoich domów. Jerome wszedł do kuchni i zamknął drzwi, prowadzące na dziedziniec przed stajnią. Przez chwilę krążył po kuchni, zgasił świece i jedyną, wielką latarnię, zwisającą ze środkowej belki pod niskim sufitem. Teraz wewnątrz rozświetlał tylko blask dogasającego w piecu ognia. Cienie tworzyły migotliwe kształty w kątach pomieszczenia. W budynku zostali tylko Jerome, jego żona Tildy i Maddie. Jerome i Tildy zajmowali połowę pokoiu na parterze, pozostałe trzy były przeznaczone dla gości. Pokój Maddie znajdował się na górze i miał spadzisty sufit.

– Czas się kłaść, Maddie – powiedział Jerome. – Uważaj na świecę. Nie zapomnij zdmuchnąć jej przed snem.

Po całym tym radosnym wieczornym gwarze gospoda wydawała się dziwnie cicha. Maddie wchodziła po schodach, niosąc świeczkę na cynowej tacce i osłaniając jej płomień wolną ręką. Po budynku szalały przeciągi, a noc była zimna.

Pokój na poddaszu zaś wręcz lodowaty. Ciepło z dolnej kondygnacji chyba w ogóle tu nie docierało. Maddie, trzęsąc się na całym ciele, zdjęła sukienkę przez głowę. Po chwili wahania sięgnęła do tobołka, wyjęła spodnie i kurtkę i włożyła je na tunikę. Na stopy wciągnęła grube skarpety. W końcu położyła się i podciągnęła pod brodę dwa cienkie koce, służące jej za okrycie. Trochę lepiej, choć nie do końca ciepło. Wiatr zerwał się i hulał ze świstem dokoła, szukając szpar w ścianach, wstrząsał drewnianą konstrukcją,

czasem, przy mocniejszych podmuchach, pobrząkiwał szybkami w oknach.

– Takiej nocy dobrze nocować w środku – powiedziała Maddie do siebie.

Wiatr wywoływał tysiące przeróżnych odgłosów, drewniane belki skrzypiały i jęczały, ocierając się o siebie. Kiedy Maddie już przyzwyczaiła się do jakiegoś zestawu dźwięków, nagle pojawiał się nowy i cała spinała się ze zdenerwowania. Nasłuchiwała przez kilka minut, skurczona pod kocem, aż upewniła się, że to nic groźnego.

W pewnej chwili sięgnęła za głowę, wyjęła sakse z pochwy przy pasie, wiszącym koło łóżka i wsunęła pod poduszkę. Położyła dłoń na rękojeści i w końcu, uspokojona dotykem broni, zasnęła.

I zaraz się obudziła.

Otworzyła szeroko oczy, lecz leżała całkowicie nieruchomo. Oddychała równo, w tym samym rytmie. Will nauczył ją spać czujnie i budzić się w razie zagrożenia – ale tak, by nie zdradzić się z tym, że już nie śpi. Prędko przymknęła oczy, ale nie do końca, zostawiła wąską szparkę.

Wyczuwała czyjąś obecność w pokoju. Ktoś – lub coś – stał tuż obok jej łóżka. Leżała na prawym boku, odwrócona tyłem do drzwi, prawą dłonią wciąż dotykała rękojeści saksy, schowanej pod poduszką.

Ten ktoś – czy coś, cokolwiek to było – znajdował się za jej plecami, poza polem widzenia. Sama nie wiedziała, skąd wzięła się pewność, że tam jest. Nie słyszała żadnego oddechu, żadnych ruchów. Na zewnątrz wiatr nadal walił w ściany i szyby w oknach.

Ale ona po prostu to czuła. Tuż obok. Coś złego.

– Ty nie śpis. Wiem, że nie śpis. Nie ruszaj się. Nie odwracaj. I zostaw pod poduszką to, co tam leży.

Głos przypominał schrypnięty szept. I chyba należał do cudzoziemca, Maddie wyraźnie słyszała obcy akcent, poza tym ten ktoś powiedział „ty nie śpis” zamiast „nie śpisz”. Leżała całkiem sztywno, nie odważyła się poruszyć. Miała wielką ochotę odwrócić się, wyciągnąć sak-sę i zaatakować. Ale nie potrafiła się na to zdobyć. Usłyszała cichy szelest tkaniny – obcy poruszył się. Jak on w ogóle dostał się do środka? Zarówno drzwi frontowe, jak i kuchenne były zamknięte na solidne rygle. Drzwi do pokoju także.

Zrozumiała jednak, że takie rozważania nie mają sensu. Ten człowiek już tu wszedł.

– Zadaje pytania – zachrypiał głos. – To niezdrowo. Niezdrowo dla ciebie. Niezdrowo dla chłopaka, z którym rozmawiała.

Serce podskoczyło jej w piersi ze strachu – o samą siebie i o Davida. Był narażony na niebezpieczeństwo, pozbawiony ochrony. Jego rodzice byli zwykłymi wieśniakami, zapewne dzielnymi ludźmi, ale na pewno nieszkolonymi w walce.

– Wie, co spotyka tych, którzy rozpowiadają o Tym, Który Zakrada się Nocą. Nie chce, żeby to się stało twojemu przyjacielowi. Albo tobie. Więc gęba na kłódkę. Zrozumiała?

Nie odpowiedziała, niepewna, czy przyznać się, że nie śpi czy nie. Cisza stawała się nie do wytrzymania.

– Pytam, czy rozumiała? – powtórzył włamywacz. Najwyraźniej oczekiwał reakcji. Chciała odpowiedzieć, ale ze strachu zaschło jej w ustach. W końcu zdołała wydusić – głosem niewiele różniącym się od szeptu:

– Zrozumiała.

Znów usłyszała cichy szmer, a potem stwierdziła, że mężczyzna kieruje się w stronę wyjścia.

– Oby – odezwał się jeszcze ten okropny głos. Rozległ się cichy szcęk zasuwki. Maddie poczuła wielką ulgę. On naprawdę wychodził! Skrzypnęły zawiasy. Na koniec powiedział jeszcze: – Nie szuka mnie. I nie próbuje mnie śledzić. I tak się dowiem. A ten, Który Zakrada się Nocą przyjdzie po ciebie.

Zaczęła drzeć. Ta groźba, wizja groźnej istoty, samo brzmienie tego imienia, które wypowiedział głos należący do nieznanego, sprawiły, że ze strachu krew zastygła jej w żyłach. Drzwi zamknęły się cicho i nieznanomy – kimkolwiek był – poszedł sobie.

Przez chwilę leżała całkowicie nieruchomo, sparaliżowana strachem. Ale potem strach ustąpił wściekłości. Nie była bezbronnym dzieckiem, żeby przestraszyć się jakiegoś głosu w ciemności. Była uczennicą zwiadowcy! Potrafiła posługiwać się saksą, rzucać nożem, strzelać z łuku i procy. Umiała też w razie konieczności walczyć wręcz. Należała do elitarnej grupy dumnych zwiadowców. W dodatku była pierwszą dziewczyną w ich szeregach! Jeśli dalej będzie tak leżeć, trzęsąc się pod kocykiem z powodu jakiegoś włamywacza z chrypką, który nie śmiał pokazać swojej twarzy i który próbował nastraszyć ją wizją cudacznej postaci rodem z bajeczek o duchach, to nigdy nie dostanie się do Korpusu. I tym samym potwierdzi, że ci wszyscy sceptycy (a wiedziała, że ich nie brakuje), którzy twierdzili, że dziewczyna nie ma czego szukać pośród zwiadowców, nie mylili się!

Ta ostatnia myśl pchnęła ją do działania. Usiadła na posłaniu i wyciągnęła sakse spod poduszki. Była już ubrana. Jak dobrze się złożyło, że w pokoju panował chłód! Ruszyła do drzwi, ale nagle przystanąła. Proca i pas wisiały nad wezgłowiem. Przy pasie miała przypięty sztylet, a prócz niego woreczek z dwudziestoma ołowianymi nabojami. Chwyciła obie te rzeczy, pas zarzuciła sobie na ramię i wsunęła sakse do pochwy. Procę trzymała w prawej dłoni, gotową do rzutu. Otworzyła drzwi, jednocześnie lewą ręką sięgając po jeden z gładkich ciężkich pocisków.

Wsunęła pocisk do miseczeki i ostrożnie zaczęła schodzić po schodach, rozkładając ciężar ciała na jedną lub drugą nogę i stąpając tuż przy ścianie, by było ją jak najmniej widać i słychać. Na dole rozejrzała się prędko dokoła. Okno było szeroko otwarte, prymitywne zamknięcie odgięte i odkształcone. A więc to tędy wszedł intruz. Drzwi frontowe również były uchylone. Maddie podeszła do nich prędko i już miała otworzyć je na całą szerokość, ale zmieniła zdanie.

Pomyślała, że to nie jest dobry pomysł. Tamten człowiek może obserwować gospodę, by upewnić się, że Maddie za nim nie pójdzie. Zamiast tego tylko uchyliła lekko drzwi i wysunęła się na zewnątrz, trzymając się jak najbliżej ściany, w cieniu nisko zwisającego okapu.

Rozejrzała się dokoła, wypatrując jakiegoś ruchu. Nic. Zakłęła pod nosem. Czyżby uciekł? Chyba jednak miał za mało czasu. Bardzo szybko przecież zdecydowała się za nim pobiec. Przeczesała wzrokiem cienie po obu stronach ulicy. I nagle dostrzegła jakiś ruch, czterdzieści metrów dalej, w wąskiej alejce między domami.

W tym samym momencie przejmujący ból przeszył jej stopę – niechcący nadepnęła na ostry kamień.

Z trudem łapiąc oddech, odruchowo zgięła się w pół i chwyciła za bolące miejsce. I to ocaliło jej życie.

Coś ciężkiego przeleciało nad jej głową i walnęło z hukiem w drzwi gospody. Teraz wyraźniej widziała napastnika – jako ciemny kształt, stojący na uliczce między dwoma domami. Odwiodł rękę do tyłu, szykując się do kolejnego rzutu.

Długotrwały trening okazał się skutecznym. Maddie wyprostowała się i zareagowała instynktownie, nie myśląc.

Ramię w tył, stopa do przodu, zakreślić procą, rzucić. Ołowiany pocisk wyleciał z procy. Ułamek sekundy później jej przeciwnik również wyrzucił następny pocisk. Padła na ziemię.

Pierwszy trafił do celu jej pocisk, szybszy i mocniejszy dzięki temu, że użyła procy. Usłyszała paskudny odgłos uderzenia i stłumiony okrzyk bólu. Ciemna postać zachwiała się, wyrzucając ramiona w powietrze, po czym padła na wznak. Sekundę później pocisk, wyrzucony przez obcego, trafił w drzwi za plecami Maddie, półtora metra ponad jej głową.

Podniosła się, nie odrywając wzroku od ciemnego kształtu na ziemi. Mechanicznie załadowała kolejny pocisk i ruszyła w stronę mężczyzny, ostrożnie stawiając stopy, starając się robić jak najmniej hałasu. Kiedy wyszła na środek ulicy i znalazła w bladym świetle księżyca, które nagle wydało się jej jasne jak światło dzienne, poczuła się bardzo niepewnie. Szła zakosami, robiąc pętle w prawą stronę, zawracając. Gdyby okazało się, że mężczyzna oszukuje i nagle by się podniósł, nie zobaczyłyby jej w tym miejscu, w którym spodziewał się ją zobaczyć.

Jakaś część jej umysłu nie mogła się nadziwić, że z taką łatwością wykonuje te wszystkie czynności. Odpowiedziała na atak, przypadła do ziemi, a teraz zbliżała się do napastnika, klucząc. A w prawej dłoni trzymała procę gotową do strzału. Dzięki lekcjom z Willem wszystko to robiła całkowicie automatycznie.

Mężczyzna nadal się nie ruszał. Przystanęła kilka metrów od niego. Nie dawał znaku życia. Chyba nie oddychał. Pomyślała, że przy tak niewielkiej odległości proca na nic jej się nie przyda. Wetknęła ją prędko do kieszeni i wyciągnęła sakse. Cichy szept stali, ocierającej się o skórę i drewno dodał jej otuchy.

Obeszła mężczyznę dokoła, zachowując bezpieczną odległość od jego rąk i nóg. Podeszła bliżej. Ukłękła. Na jego czole widniała rana. Oczy miał szeroko otwarte, wytrzeszczone. Nie żył.

Zdrętwiała z przerażenia. Ogarnęły ją mdłości. Uświadomiła sobie, że właśnie zabiła człowieka. Miała ochotę zwymiotować, ale opanowała się jakoś. Ukucnęła i przyjrzała mu się uważnie. Zareagowała czysto instynktownie, wyrzucając pocisk. To było automatyczne działanie – akt samoobrony. Nie myślała o konsekwencjach, nie miała na to czasu. Mężczyzna próbował ją zabić. I właśnie zamierzał wyrzucić kolejny pocisk. Gdyby nie odpowiedziała, to ona teraz leżałaby martwa na ziemi. Doskonale pamiętała, jak drugi pocisk świsnął jej nad głową i jak huknął w drzwi gospody.

To był prosty wybór: ona albo on. Po chwili zastanowienia, kiedy pomyślała, że ten człowiek jej groził, próbował zastraszyć ją i zmusić do milczenia oraz wyrzucił w jej stronę dwa w zamierzeniu śmiertelne pociski, stwierdziła, że niczego nie żałuje. Zrobiła to, co musiała zrobić.

Był ubrany cały na czarno. Czarna wełniana czapka, czarne spodnie, wetknięte w czarne wysokie buty, czarna tunika i sięgająca pasa peleryna z wysokim kołnierzem. Przy czarnym skórzanym pasie wisiał długi zakrzywiony sztylet. Mężczyzna miał ciemne włosy, ciemne opadające wąsy – niespotykana ozdoba twarzy wśród araluńskich mężczyzn – i smagłą cerę.

Skórzany pas przecinał na ukos jego pierś. Maddie odsunęła pelerynę czubkiem saksy. U lewego boku zwisała skórzana sakiewka. Nie tak łatwo było ją odczepić, peleryna utrudniała to zadanie, w dodatku mężczyzna leżał na plecach, przyciskając pas, przecinający pierś.

Maddie wsunęła pod pas ostrze saksy, przecięła go i odczepiła sakiewkę.

W środku znajdowało się trochę rzeczy osobistych: kilka monet, mały nóż o krótkim ostrzu, zapewne służący jako nóż stołowy, żelazna łyżka, krzesiwo. Zainteresowanie Maddie wzbudziły dwa niewielkie przedmioty w kształcie krzyżyka. Wzięła ostrożnie jeden z nich do ręki i obejrzała dokładnie. Składał się z ciężkiego mosiężnego kółka i czterech ostrzy, ustawionych pod kątem prostym do siebie. Każde z ostrzy mierzyło jakieś osiem centymetrów. Ich brzegi były tępe, ale czubki ostre niczym brzytwa.

– Quattro – mruknęła. Widziała kiedyś coś takiego w zbrojowni na Zamku Araluen. Używano tej broni w Iberii. Podczas rzutu cztery ostrza szybko obracały się w powietrzu, nadając rzutowi wielką szybkość i celność. Morderca mógł być niemal pewien sukcesu. Maddie zdała sobie sprawę, że to właśnie quattro świsnęło jej nad głową i uderzyło w drzwi gospody. Powoli pokręciła głową. W myślach dziękowała losowi, że nadepnęła wtedy na ten ostry kamień.

Wkładając quattro na miejsce, usłyszała szelest papieru i odkryła, że na tylnej ścianie sakiewki znajduje się oddzielna kieszonka. Otworzyła ją, zajrzała do środka i zobaczyła kilka złożonych kartek.

– Później rzucimy na to okiem – powiedziała cicho, po czym podniosła się. Przez chwilę zastanawiała się, co zrobić z ciałem. W końcu zdecydowała, że nie będzie go ruszać.

Gdyby obudziła teraz ludzi we wsi, zaczęliby zadawać pytania. Jak udało się jej pokonać dorosłego mężczyznę, w dodatku uzbrojonego w długi sztylet i sakiewkę pełną quattro? Co tu robi? Co jest w papierach, które przy nim znalazła?

Bez wątplenia szybko odkryliby prawdziwą tożsamość jej i Willa. Szybko wyszłoby na jaw, że Will nie jest nieszkodliwym wędrownym pracownikiem, ale królewskim zwiadowcą. Wkrótce Ten, Który Zakrada się Nocą i jego kamraci dowiedzieliby się, że są ścigani.

A wtedy uciekliby do innego lenna i znikli im z oczu.

Pomyślała, że jeśli zostawi ciało, towarzysze zabitego bandziora na pewno będą zastanawiać się, co się z nim dzieje. Być może dojdą ich wieści, że w wiosce znaleziono martwego człowieka. Nie wpadną jednak na to, jak to się stało. Będą mogli co najwyżej spekulować. Ale nie dowiedzą się prawdy.

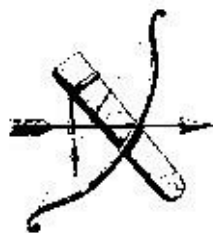
Maddie przez chwilę wodziła wzrokiem dokoła. Wreszcie w świetle księżyca błysnął metal. Ołowiany pocisk, który wyrzuciła z procy. Podniosła go, odwróciła się i podeszła do drzwi. Wyciągnęła oba quattro, wbite w futrynę, weszła do środka, zamknęła drzwi i okno w barze i wreszcie pomknęła do siebie na górę.

Wczesnym rankiem obudził ją hałas, dochodzący z ulicy. Wyjrawszy przez wąskie okno, zobaczyła niewielki tłumek, zgromadzony dokoła czarnej postaci, leżącej na ziemi. Ciało odkrył mleczarz, który o świcie szedł na błonia, by wydoić krowy. Podniósł alarm i teraz ośmiu czy dziewięciu wieśniaków tłoczyło się dokoła tajemniczego trupa. Zastanawiali się głośno, skąd on mógł się wziąć i co się wydarzyło. Czarny strój i broń wskazywały na to, że raczej nie zjawił się we wsi w uczciwych zamiarach.

W końcu ułożono go na noszach i zaniecono do jednego z domów. Pogrzeb miał się odbyć wkrótce.

Tożsamość mężczyzny, cel wizyty we wsi i jego śmierć były jedną wielką tajemnicą. A w takiej małej wiosce jak ta, gdzie rzadko

coś się dzieje, takie wydarzenie z pewnością będzie głównym tematem rozmów jeszcze przez długie miesiące, a może nawet lata.
Nikt jednak nie podejrzewał, że z zagadkową śmiercią może mieć coś wspólnego młoda dziewczyna, mieszkająca w zajezdzie.





Kiedy Will odstawił Wyrwija na polankę niedaleko wsi i przywdział strój, w którym udawał najemnego pracownika, było już dobrze po zmroku.

Pospiesznie ruszył w kierunku wsi. W przeciwieństwie do Maddie nie bał się ciemnych cieni pośród drzew, rosnących wzdłuż drogi. Nie był jednak głupi i wiedział, że tych stronach świata mroczne siły nie próżnują. Dlatego przez cały czas trzymał dłoń w pobliżu rękojeści saksy. Z kolei łuk i kołczan niósł w drugiej ręce, w płóciennym zawiniątku.

W gospodzie paliły się światła, z zatłoczonego baru dochodził gwar głosów. Wieśniacy odpoczywali po sześciu dniach ciężkiej pracy.

Will włożył łuk i kołczan do wózka. W stajni było ciemno. Will przypuszczał, że zastanie Maddie w zajeździe. Spała tam poprzedniej nocy.

Ruszył do głównego budynku. Kiedy pchnął drzwi, powitały go ludzkie głosy i zapachy smakowitego jedzenia, dymu i piwa. Kilka osób podniosło głowy. Na widok znanego im już wędrownego pracownika obojętnie wrócili do swoich rozmów. Znali już jego historię, bardzo prozaiczną i nieciekawą. Jerome stał za kontuarem, podając gościom pełne kufle. Uśmiechnął się do Willa i przywołał go ruchem ręki, jednocześnie obsługując kolejnego klienta. Will przeciął zatłoczone pomieszczenie, torując sobie drogę między stołami, krzesłami i hałaśliwymi gośćmi.

Jerome postawił kufel przed Willem.

– Wróciłeś! – powiedział wesoło. – Szczęście dopisało?

Will skrzywił się.

– Gdzie tam. Nie ma pracy dla uczciwego człowieka.

– A dla nieuczciwego? – zapytał Jerome i wyszczerzył się od ucha do ucha.

Will potrząsnął głową, w odpowiedzi zmusił się do słabego uśmiechu. Upił łyk piwa. Jak mówił Maddie, nie gustował w tym napoju, ale byłoby dziwne, gdyby postać, którą udawał, nie lubiła piwa.

– Też nie – odparł. – Ciężkie czasy.

– To niezbyt dobra pora roku na szukanie dorywczej pracy – zgodził się Jerome. – No i ominęły cię niezłe atrakcje.

Will z zaciekawieniem uniósł głowę.

– Atrakcje? A co się stało?

– Na ulicy znaleziono martwego mężczyznę. Tuż obok.

– Kim był? – spytał Will.

Jerome wzruszył ramionami.

– Właśnie w tym szkopuł. Nikt nie wie. Nikt wcześniej go nie widział. Aż mleczarz Neville Malton znalazł go wczoraj rano, leżącego na środku ulicy z wielką dziurą w czole.

Ten szczegół przyciągnął uwagę Willa. Istniało kilka rodzajów broni, które mogłyby zostawić taki ślad, ale pierwszym, który przyszedł mu do głowy, była proca. Rozejrzał się dokoła, szukając wzrokiem Maddie. Potem spojrzął na Jerome'a.

– Jak wyglądał?

– Potężny gość. Ciemny. Na mój gust, cudzoziemiec. Miał takie długie zwisające wąsy, jakie często widuje się u obcokrajowców. I był od stóp do głów ubrany na czarno. Raczej nie miał dobrych zamiarów. Widać ktoś go ubiegł.

W tym momencie otworzyły się drzwi do kuchni i pojawiła się Maddie, obładowana czterema talerzami parującego mięsiwa i warzyw. Torując sobie drogę wśród tłumu, skierowała się do odpowiedniego stołu. Siedzący przy nim czterej mężczyźni pozdrowili ją radośnie, żartobliwie dziękowali za uratowanie od głodowej śmierci.

Zachowywali się sympatycznie i z pewnością nie mieli złych zamiarów. Maddie uśmiechnęła się, trochę blado. Wyglądała, jakby coś zaprzętało jej myśli. Podniosła wzrok i na widok Willa, siedzącego przy kontuarze, na jej twarzy pojawił się wyraz ulgi.

– Świetna dziewczyna – powiedział Jerome, zauważywszy wymianę spojrzeń między nimi. – Potrafi ciężko pracować i dobrze radzi sobie z gośćmi. Nie wezmę nic od ciebie za jej pokój. A nawet dorzucę kilka monet. Jeśli macie ochotę – dodał – możecie spać dzisiaj w zajeździe.

– Dziękuję – odparł Will. – To całkiem niewykłuczone.

Maddie patrzyła na niego znacząco, a teraz kiwnęła głową w stronę drzwi, wychodzących na podwórze przed stajnią. Przekaz był jasny.

Will dopił piwo.

– Pójdę się przywitać – rzucił, ruszając za Maddie.

– Powiedz jej, żeby zrobiła sobie dłuższą przerwę – zawołał za nim Jerome. – Ciężko pracowała przez cały wieczór. Lepszej kelnerki nigdy nie miałem – dodał. Żałował, że Maddie i jej ojciec nie mogą zostać we wsi na dłużej.

Will uśmiechnął się krzywo do siebie. Oto Maddie, księżniczka, wyniosła snobka z Zamku Araluen, odnalazła swe powołanie w podawaniu jedzenia gościom wiejskiej gospody.

Może to początek pięknej kariery, jeśli Horace i Evan-lyn nie odwołają swej decyzji. Zaśmiał się krótko. Nagle przystanął, zdumiony. Uświadomił sobie, że już drugi raz od bardzo długiego czasu zdarzyło mu się rozeźmiać. Potrząsnął głową i prędko wyszedł na podwórze, gdzie już czekała na niego Maddie.

Zatrzymał się. Była blada, jej wargi drżały. A kiedy spojrzała na niego, jej oczy wypełniły się łzami.

– Wuju Willu, zabiłam człowieka – powiedziała.

Ramiona Maddie zaczęły drżeć i wybuchła niepohamowanym płaczem. Przyciągnął ją do siebie i objął, mrużąc uspokajająco. Fakt, że zwróciła się do niego „wuju Willu” wiele mówił o jej stanie. Nagle uświadomił sobie, że Maddie nadal jest dzieckiem, mimo całej odwagi i pewności siebie. Została zmuszona do zrobienia najgorszej rzeczy, jakiej może dopuścić się człowiek – odebrania życia drugiemu człowiekowi. Will nie wątpił, że nie miała wyjścia. I że mówi o tajemniczym ubranym na czarno nieznanym, którego znaleziono martwego na ulicy.

– Cśś – szepnął miękko. – Już cicho. Jestem tutaj i wszystko będzie dobrze. Możesz mi powiedzieć, co się stało?

Powoli, walcząc ze szlochem, który wstrząsał jej ciałem co jakiś czas, Maddie opowiedziała, jak obudziła się przerażona i zorientowała się, że ktoś jest w jej pokoju. I jak ten obcy człowiek zaczął jej grozić. I jak strach ustąpił miejsca wściekłości i oburzeniu.

– Poszłaś za nim? – zdziwił się Will, puszczając ją, kiedy opowiedziała mu, jak zeszła po schodach, trzymając procę w pogotowiu. Maddie pociągnęła nosem i kiwnęła głową.

– Tak, pomyślałam, że powinnam.

Will znowu objął ją i przytulił.

– Jesteś bardzo odważna – powiedział z podziwem.

Maddie podjęła swą opowieść: jak nadepnęła stopą w samej skarpetce na kamień i dlatego schyliła się, co uratowało jej życie, bo w tym samym momencie quattro przeleciało ze świstem nad jej głową. I jak zobaczyła, że mężczyzna szykuje się do kolejnego rzutu i uprzedziła go, dosłownie o ułamek sekundy, wyrzucając pocisk z procy.

– Powiem krótko. Ten mężczyzna rzucił w ciebie śmiertelnoścą bronią. I zamierzał wykonać kolejny rzut, a ty go uprzedziłaś.

Maddie kiwnęła głową.

– Nie myślałam o konsekwencjach. Po prostu wyrzuciłam pocisk. I padłam na ziemię – opowiadała.

Will pokiwał głową ze współczuciem.

– Ależ oczywiście, że nie zastanawiałaś się nad konsekwencjami. Zareagowałaś tak, jak cię tego uczyłem. Odpowiedziałaś na zagrożenie. Nie ponosisz winy za to, co się stało.

– Ale on...

– Jestem pewien, że to był kamrat Tego, Który Zakrada się Nocą. Próbował cię zabić, kiedy tylko pokazałaś się w drzwiach i potem jeszcze raz, kiedy wyrzuciłaś pocisk z procy. I mówisz, że znalazłaś jeszcze dwa quattro w jego sakiewce?

Przytaknęła bez słowa. Will machnął ręką niedbale.

– W takim razie działałaś w samoobronie i nie ponosisz winy za jego śmierć. W najmniejszym stopniu. Jestem pewien, że gdybyś go nie uprzedziła, próbowałyby znowu i rzucił w ciebie tymi pozostałymi quattro.

– Pewnie tak. – Powtarzała to sobie bez końca od tamtej nocy. Ale dopiero kiedy usłyszała to z ust innej osoby, poczuła ulgę.

– Otrzyj łzy. Wiem, że to straszne, ale nie miałaś wyjścia. Musiałaś go zabić, bo inaczej on zabiłby ciebie. Jasne?

Kiwnęła głową, ocierając twarz wierzchem dłoni.

– Chciałam z tobą porozmawiać. Nie mogłam nikomu powiedzieć i czułam się tak... okropnie – pisnęła cicho.

Will kiwnął głową.

– Nie powinienem był cię zostawiać. Jeżeli ktokolwiek ponosi tutaj winę, to tylko ja. Ale chcę, żebyś wyrzuciła to zdarzenie z pamięci, nie myślała o nim. Dobrze?

– Dobrze. Ale to...

– Już. Koniec. Zapomnij.

– Ale... Chodzi mi o to, że znalazłam przy nim jakiś papier. Uznałam, że to może być coś ważnego.

Will uniósł głowę.

– Papier? Jaki papier?

– Nie wiem. Wygląda jak mapa. Jest w moim pokoju.

Wziął Maddie za rękę i ruszył w stronę wejścia do gospody.

– No to chodźmy ją obejrzeć.

– Ale... ja muszę wracać do pracy – zaprotestowała Maddie.

Potrząsnął głową.

– Jerome i jego żona wszystkim się zajmą. Powiedział, że masz sobie zrobić dłuższą przerwę. No to zrób.

– Czego dowiedziałeś się w Boyletown? – spytała, kiedy ruszyli na górę.

– Oczywiście, Bajarz był i tam. Na kilka dni przed tym, jak zginął Peter Williscroft. – Will urwał, po czym dodał: – Ten chłopak również miał piekło w domu, podobnie jak pozostali.

– Ojciec?

Will potrząsnął głową.

– Starszy brat. Ciągłe go dręczył. Nikt się nie zdziwił, kiedy Peter nagle zniknął. Weszli na górę, Will pchnął drzwi i przepuścił Maddie przodem.

– No to teraz pokaż ten papier.



39

ROZDZIAŁ

Wpatrywali się w kartkę ze zmarszczonymi czołami. Widniało na niej tylko jedno słowo: *pueblos*.

I sześć krzyżyków, a przy każdym numer. Will podrapał się po głowie. Coś w ułożeniu trzech z nich wydawało mu się dziwnie znajome.

– Co znaczy *pueblos*? – powiedział, bardziej do siebie niż do Maddie.

Ale Maddie odparła:

– Wydaje mi się, że to po iberyjsku. Ale nie mogę sobie przypomnieć. Może „jeźdźcy”? – Zmarszczyła brwi. Jej edukacja na Zamku Araluen obejmowała również podstawy obcych języków, w tym galijskiego i iberyjskie – go. Nie uważała jednak zbyt na tych zajęciach. Ani na żadnych innych, nawiasem mówiąc.

– Oto korzyści z klasycznej edukacji – mruknął Will.

Maddie nadal próbowała przypomnieć sobie znaczenie obcego słowa, wciąż marszcząc brwi i z zapamiętaniem pocierając czoło. Nie, na pewno nie „jeźdźcy”. Miała to na końcu języka.

– Wioski! – wykrzyknęła triumfalnie. – *Pueblos* po iberyjsku znaczy „wioski”.

Nagle Will uświadomił sobie, czemu ułożenie tych trzech krzyżyków wydawało mu się znajome. Wyciągnął z kieszeni mapę Liama i rozłożył ją obok mapy, znalezionej przy bandycie.

Potem wyjął z woreczka u pasa kawałek węgla i narysował linie, łączące trzy wioski: Danvers Crossing, Boy-letown i Esseldon. Linie utworzyły trójkąt o ostrych kątach. Potem wykonał tę samą operację na mapie, którą znalazła Maddie. Powstał identyczny trójkąt.

– To są wioski, z których zniknęły dzieci – stwierdził, odchylając się do tyłu.

Maddie wskazała na mapę, znalezionej przy nieznanym mężczyźnie.

– Ale są jeszcze trzy inne – zauważyła.

Will, marszcząc czoło, przeciągnął linię od punktu oznaczającego Boyletown do wioski położonej najdalej. Linie prowadziła na wschodni północny wschód. Zmierzył odległość kciukiem i palcem wskazującym, po czym porównał ją z odległością, dzielącą Esseldon i Boyle-town. Policzył prędko w myślach.

Goszcząc w Zamku Trelleth, dostał tam dokładną mapę lenna. Teraz wyjął ją i rozłożył, po czym przesunął palcem w prawo i do góry, aż trafił na wioskę, której położenie odpowiadało mniej więcej miejscowości, zaznaczonej na mapie bandyty.

– Willow Vale – odczytał.

Maddie spojrzała mu przez ramię.

– Czemu właśnie ta? Czemu nie numer cztery lub pięć? – zapytała.

– Właśnie dlatego, że jest to numer sześć. Czyli ją zamierzają odwiedzić na końcu. Może jeszcze tam nie dotarli. To dzień jazdy stąd – wyjaśnił.

– Co znaczy, że nie mamy czasu do stracenia.



Wyjęli ukryte na wózku łuki, kołczany i peleryny. Maddie schowała się w jednej z pustych przegród i zmieniła połataną suknię na spodnie, tunikę i kaftan. Rzuciła na ziemię sandałki z cienką podeszwą i włożyła wysokie buty z miękkiej skóry.

Kiedy otuliła się peleryną, westchnęła z ulgą. Dobrze było znów poczuć się jak zwiadowca.

Trzymając się w cieniu, wymknęli się ze wsi. Nikt ich nie zauważył. Kiedy tylko dotarli do końca głównej ulicy, puścili się biegiem w kierunku polany, na której zostawili konie.

– Wyrwij da radę? – zapytała, kiedy zatrzymali się na chwilę, łapiąc oddech.

– To koń zwiadowcy – odparł Will. – Gdybym go poprosił, szedłby jeszcze przez następne dwa dni.

Ruszyli dalej i po pięciu minutach dotarli do polany. Zwierzęta, usłyszawszy ich kroki, zarżały na powitanie.

Osiadłali je prędko i wskoczyli na siodła. Will spiął łydkami boki Wyrwija i skierował go w stronę drogi. Maddie trzymała się tuż za nim. Przeszli w skrócony galop. Słychać było tylko rytmiczne uderzenia kopyt o twardą powierzchnię drogi. Za jeźdźcami unosił

się obłok kurzu, wirował przez chwilę w promieniach księżyca, przesączaających się przez korony drzew, i w końcu osiadał na ziemi, tak że na drodze nie zostawał żaden ślad.

Pół godziny później wstrzymali konie i zeskoczyli na ziemię. Nalali wody z manierek do składanego wiadra ze skóry i napoiili wierzchowce. Przez dziesięć minut prowadzili je za sobą, pozwalając im odpocząć. Według takiego schematu mieli podróżować przez całą noc: na zmianę to jadąc tym charakterystycznym dla koni zwiadowców skróconym galopem, to idąc piechotą.

Teraz mogli spokojnie rozmawiać.

– Jednego nie rozumiem – powiedziała Maddie. – Po co ci ludzie porywają dzieci? Do tej pory od nikogo nie żądali okupu. Zresztą rodzice tych dzieci są bardzo biedni, nie byłoby przecież w stanie zapłacić większej sumy. Jaki to wszystko ma sens?

Zastanawiała się nad tym już od pewnego czasu. Will nauczył ją, że zawsze należy poszukiwać przyczyn zbrodni. Pytanie brzmiało: kto może na tym skorzystać? W tym przypadku nie widziała korzyści dla nikogo – chyba że Ten, Który Zakrada się Nocą i jego ludzie robili to bez powodu, dla samej przyjemności czynienia zła.

– Nie sądzę, by chodziło im o okup – odparł Will. Również myślał nad tą sprawą i dostrzegł kilka znaczących tropów. – Wydaje mi się, że trafiliśmy na szajkę handlarzy niewolników.

– Szajkę handlarzy niewolników? – Maddie przystanęła, zaskoczona. Zderzak mimowolnie dowiódł adekwatności swego imienia.

– Pomyśl tylko – powiedział Will. – Twierdzisz, że ten włamywacz był cudzoziemcem. Znalazłaś przy nim mapę, na której widnieje iberyjskie słowo. A quattro to broń, używana na terenie Iberii.

– A to ma jakieś znaczenie?

– Ma, jeśli wziąć pod uwagę, że w Iberii istnieje bardzo aktywny rynek niewolników – odparł Will. – Szczególnie poszukiwani są kilkunastoletni chłopcy i dziewczęta.

– Nie wiedziałam, że Iberowie trzymają niewolników – powiedziała Maddie. Zaraz jednak pomyślała, że tak naprawdę w ogóle niewiele wie na temat Iberii i panujących tam zwyczajów. Zawsze wydawało się jej, że niewolnictwo na kontynencie należy do przeszłości.

– Bo nie trzymają. Ich król zabronił tej praktyki. Zdaje się, że była w niezgodzie z jego religią. Ale o handlu niewolnikami religia nic nie mówi, więc król pozwala swym poddanym porywać ludzi i sprzedawać ich do innych krajów. W porcie Magala na południu Iberii działa niewielka, lecz bardzo aktywna flota okrętów niewolniczych.

– Kto ich kupuje?

– Z reguły sprzedaje się ich na targu w Socorro. – Na widok jej spojrzenia zapytał: – Nie znasz geografii? Czego oni uczą te dzieciaki w dzisiejszych czasach?

Urwał. Te słowa poruszyły dziwną strunę w jego pamięci. Dawno temu Halt chyba powiedział coś podobnego – kiedy Will był jego uczniem. Potrząsnął głową.

Miał wrażenie, że im bardziej się starzeje, tym więcej powraca do niego słów i wspomnień z przeszłości.

– Nauczyłam się sporo na temat robótek ręcznych – odparła cierpko Maddie. To był drażliwy punkt. Cierpiała za każdym razem, kiedy kazano jej haftować, podczas gdy ona wolałaby w tym czasie pobiec do lasu na polowanie.

– Hmm. Przypomnij mi o tym, kiedy porwie mi się koszula – powiedział Will. Potem podjął przerwany wykład na temat handlu niewolników: – Socorro to miasto-państwo na zachodnim wybrzeżu Arydii. Istnieje tam duży targ niewolników, jeden z największych na kontynencie arydzkim. Kupuje się tam i sprzedaje niewolników, którzy trafiają do wszystkich zakątków świata.

– I myślisz, że ci porywacze to ci sami ludzie? – zapytała Maddie.

Wzruszył ramionami.

– To wydaje się logiczne. Ten, Który Zakrada się Nocą, Bajarz i ich kamraci działają w wioskach, leżących na uboczu, nie kontaktujących się ze światem, tak by wieści o zaginionych dzieciach nie dotarły do innych miejscowości. Kto wie, ile dzieci zdążyli uprowadzić do tej pory? W dodatku wybierają dzieci bite i dręczone. Nikt nie dziwi się, że nagle znikają. W nikim nie budzi to podejrzeń. Wszyscy uznają, że dziecko w końcu się zbuntowało i uciekło z domu.

– Ale skąd porywacze znają sytuację tych dzieci? – zapytała Maddie.

Will postukał palcem po nosie.

– Właśnie tutaj wkracza na scenę Bajarz. Przybywa do wsi, zdobywa zaufanie dzieci i wybiera ofiarę. Cóż, to bardzo smutne, ale pewnie w każdej wsi można znaleźć jakieś dręczone dziecko. Potem straszy dzieci i każe im milczeć, więc nie rozmawiają z dorosłymi na ten temat. Następnie opuszcza wieś, a jakiś czas potem pojawia się Ten, Który Zakrada się Nocą i porywa dziecko, które wskazał mu Bajarz. Pozostałe siedzą cicho, ponieważ są przekonane, że w przeciwnym wypadku staną się kolejnymi ofiarami. A porwane dziecko jest tak przerażone okrutnymi opowieściami Bajarza o Tym, Który Zakrada się Nocą, że nawet nie próbuje stawiać oporu. Całkiem sprytny system, jak się przyjrzeć.

– Okropne – wzdrygnęła się Maddie.

– Niemniej genialne – odparł Will.

Spojrzała na niego.

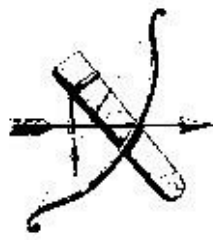
– I właśnie dlatego takie okropne. Co zamierzasz, kiedy dotrzemy do Willow Vale?

– Sprawdzę, czy był tam niedawno Bajarz i czy jest we wsi jakieś dziecko, dręczone przez rodziców.

– Jak chcesz to zrobić?

Przybrał kamienny wyraz twarzy.

– Mam swoje sposoby – odparł. – Chodź. Czas się przejechać.





40

ROZDZIAŁ

Słońce właśnie wzeszło. Fernald Creasy, właściciel Tłustej Kaczki, niewielkiej gospody w Willow Vale, potarł oczy i ziewnął. Głowa bolała go tak bardzo, że ledwie ustał. Poprzedniego wieczoru wykazał się brakiem rozsądku i trochę za długo dotrzymywał towarzystwa swoim gościom.

Innymi słowy, spożył za dużo piwa. Skutek tego był taki, że w środku nocy powlókł się do łóżka, zostawiając cały bałagan, brudne talerze i niedopite kufle. Nawet nie wyszorował garnków.

Oczywiście, powinien był zająć się tym jego pomocnik, ale sprytny chłopak, kiedy zobaczył, jak Fernald radośnie wznosi piątą kufel, skorzystał z okazji i wymknął się do domu. A teraz Fernald musiał sam stawić czoło temu całemu pobjowisku.

Zgromadził na tacy wszystkie brudne talerze, kufle i sztucce, by wrócić z nimi do kuchni, ziewając raz po raz. Głowa nie przestawała boleć i obiecał sobie, że nigdy więcej nie weźmie do ust alkoholu. Z niesmakiem powiódł spojrzeniem dokoła. Na blacie kuchennym, zasypianym resztkami jedzenia, piętrzyły się kolejne stopy garnków i naczyń. Fernalda czekało wiele pracy, zanim będzie mógł wrócić do łóżka. A w barze też zostało jeszcze sporo do zrobienia.

Zamruczał gniewnie do siebie. Nie miał gdzie postawić tacy, która ciążyła mu w ramionach. Umywalnia również zastawiona była brudnymi gratami.

Odwrócił się, by postawić swój ciężar na stole.

Zaledwie metr od niego stała zakapturzona postać, milcząca i groźna w szarym stłumionym świetle wczesnego poranka.

Fernald z przerażenia upuścił tacę. Cała zawartość spadła z hukiem na ziemię. Mógłby przysiąc, że kiedy wszedł do kuchni, nikogo tam nie było. Nie słyszał też kroków.

– Na Czarnego Trolla z Balath! – wykrzyknął, przyciskając rękę do serca, galopującego w zawrotnym tempie. – A ty skąd się tu wziąłeś?

– Interesujące przekleństwo – powiedział Will. – Od wielu lat nie słyszałem, żeby ktoś przywoływał Czarnego Trolla. Zapewne jesteś zwolennikiem dawnej religii.

Fernald potarł twarz jedną ręką, jego serce odrobinę zwolniło. Spojrzał w dół i zobaczył niedopity kufel piwa na stole. Chwycił go i wypił, krzywiąc się z powodu zwierzałego smaku.

– Nie podobają mi się ci nowi bogowie – mruknął, po czym zapytał: – Kim jesteś? I jak się tu dostałeś?

– Jestem królewskim zwiadowcą, jak zresztą pewnie zgadłeś. A zamek przy tych drzwiach z tyłu nie powstrzymałby nawet średnio zdeterminowanego trzylatka. Siadaj. Musimy porozmawiać.

Will lekko pchnął go w stronę ławki. Fernald posłusznie usiadł – czując, że kolana wciąż mu się trzęsą.

„Dlaczego ja?”, zapytał sam siebie w myślach. „Co ja takiego zrobiłem?”

Odpowiedź brzmiała: całkiem sporo. Fernald do mistrzostwa opanował sztukę oszukiwania na jedzeniu i picu. Od czasu do czasu chętnie dolewał wody do piwa. Zdarzało się też, że część reszty wydawał nieostrożnym gościom w postaci bezwartościowych ołowianych krążków. Teraz zastanawiał się, jak ten zwiadowca zdołał o wszystkim się dowiedzieć.

– Potrzebne mi pewne informacje – powiedział Will. – Przede wszystkim, czy ostatnio we wsi zniknęło jakieś dziecko?

Fernald zmarszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc sens pytania.

– Jak to zniknęło? Co masz na myśli?

– Zaginęło. Uciekło. Przepadło.

– O, – Po chwili namysłu Fernald potrząsnął głową. – Nie. Chyba o niczym takim nie słyszałem. – Will poczuł satysfakcję. A więc przybyli na czas. Chyba że... Zawahał się, ale w końcu zadał kolejne pytanie. Zasadnicze pytanie. – Czy przychodzi ci na myśl jakieś dziecko, które mogłoby uciec przy nadarzającej się okazji? Na przykład takie, które rodzice źle traktują?

Jeszcze zanim dokończył, Fernald energicznie pokiwał głową.

– A i owszem. Mała Violet Carter. Taka sympatyczna dziewczynka. Trzynaście lat. Ale jej rodzice ciągle się kłócą i wyżywają się na niej. Biedna mała, już nie wie, co ma robić. Czasami, kiedy jest naprawdę źle, pozwalam jej tu nocować.

„Aha”, pomyślał Will. „Wszystkie fragmenty układanki pasują.”

– Gdzie ona mieszka? – spytał.

Fernald machnął ręką gdzieś w kierunku ulicy.

– Trzeci dom od końca. Taki z niebieskimi drzwiami. Chociaż przydałoby się odmalować. Z tyłu na podwórzu leżą całe stopy części od wozów i tym podobne: koła, dyszle, uprząż. Na pewno trafisz.

– Bardzo mi pomogłeś, Fernaldzie – powiedział Will.

„Skąd on zna moje imię?“, zastanawiał się mężczyzna, zapominając, że widnieje ono na tabliczce przy drzwiach frontowych.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Czy ostatnio nie gościł tu przypadkiem wędrowny gawędziarz?

– Masz na myśli Bajarza? – zapytał Fernald. Serce Willa przyspieszyło. – Cudaczny gość w niebieskim płaszczu i czerwonych butach? A był tutaj, był. Poszedł sobie dwa dni temu. A czemu? Co on takiego zrobił?

Will zignorował pytanie. Bardzo się cieszył, że przecucie go nie zawiodło. Willow Vale znajdowało się na liście porywaczy. Bajarz już tu był. Ale Ten, Który Zakrada się Nocą jeszcze nie.

Will wiele ryzykował, zdradzając swą prawdziwą tożsamość i zadając pytania w tak bezpośredni sposób. Ale czas uciekał, musiał działać szybko. Teraz pozostało jeszcze upewnić się, że Fernald zachowa milczenie chociaż przez kilka dni. Na więcej pewnie nie mógł liczyć. Ale do tego czasu porywacz może już zniknie ze wsi.

– Fernaldzie – zaczął – powiedziałaś mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Ale nikt więcej nie może dowiedzieć się, że tu byłem. I o czym rozmawialiśmy. Jasne?

Fernald z zapalem pokiwał głową. Wyczuwał, że ta ponura postać zaraz sobie pójdzie i zostawi go samego – z brudnymi naczyniami. Fernald już się cieszył na chwilę, kiedy opowie o wszystkim w gospodzie. Ale kolejne słowa zwiadowcy kazały mu zmienić zdanie.

– Mówię poważnie. Masz nikomu nie mówić, że tu byłem. Masz nikomu nie mówić, o czym rozmawialiśmy. Zrozumiano?

– E? No tak. Jasne! Się rozumie samo przez się.

Will zrobił krok do przodu, świdrując Fernalda wzrokiem. Ten uciekł spojrzeniem w bok.

– Nie rób tak! – warknął Will. Fernald drgnął, jakby ktoś go uderzył. – Spójrz na mnie. Spójrz mi w oczy.

Fernald spojrzał. I nie spodobało mu się to, co w nich zobaczył. Były ciemne, niemal czarne. I wpijały się w niego bez choćby odrobiny współczucia czy litości. Przypominały ciemne złowrogie dziury.

– Jeżeli dowiem się, że pisnąłeś choćby słówkiem, że choćby zasugerowałaś cokolwiek w rozmowie, zaaresztuję cię i wrzucę do najciemniejszej, najbardziej wilgotnej i cuchnącej celi na Zamku Trelleth. Zrozumiano?

Fernald ułożył wargi na kształt słowa „tak”, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. „Zwiadowcy”, pomyślał. „Z nimi lepiej nie zaczynać”.

– I posiedzisz tam przez co najmniej pięć lat – podjął Will – a ja tymczasem każę odebrać ci koncesję. – Zobaczył cień wątpliwości w oczach Fernalda. Najwyraźniej nie wiedział on, o co chodzi. – Pozwolenie na prowadzenie gospody i wyszynk – wyjaśnił Will.

Teraz w oczach Fernalda pojawił się strach. Już widział siebie w przyszłości, bez pieniędzy, bez możliwości zarobienia na życie. Jedyne, co potrafił, to prowadzić gospodę. Co on by zrobił bez Tłustej Kaczki? Kolejne słowa Willa uczyniły wizję przyszłości jeszcze bardziej przerażającą.

– A potem wrócę i każę zrównać ten budynek z ziemią, rozebrać, cegła po cegle i deska po desce, a na koniec zaorać. Tak, że kiedy wreszcie wyjdiesz z więzienia, nie będziesz miał do czego wracać. Chyba nie wątpisz, że mógłbym to zrobić?

Fernald potrząsnął głową. Wiedział, że zwiadowcy mogą wszystko. Ten człowiek na pewno bez problemu mógłby wtrącić go do więzienia i zburzyć jego gospodę, jego ukochaną Kaczuszkę.

– Nie, panie.

– A więc zapamiętaj moje słowa.

Fernaldowi głos odmawiał posłuszeństwa. Czuł, jak łzy napływają mu do oczu na myśl, że jego wspaniała gospoda miałaby zniknąć na rozkaz tego bezlitosnego człowieka.

Will patrzył na niego przez chwilę. Tak naprawdę wcale nie był szczęśliwy, że potraktował biedaka w ten sposób. Ale nie mógł dopuścić do tego, by ktokolwiek dowiedział się o jego obecności we wsi i o całej sprawie. Być może nawet w tym momencie gdzieś tu byli porywacze, przysłani przez swego przywódcę na przeszeptki. W Es-seldon ktoś przecież doniósł mu, że Maddie zadaje pytania. Tak więc Will uciekł się do brutalnych środków, ale jeżeli to miała być cena za milczenie Fernalda, to nie była ona zbyt wysoka.

Przez chwilę zastanawiał się, czy potrafiłby spełnić swą groźbę, gdyby Fernald jednak się wygadał. I stwierdził, że tak, byłby do tego zdolny.



Minęła północ. Will siedział, schowany w wysokiej trawie za domem Carterów. Rzeczywiście, wszędzie walały się szczątki pojazdów, tworzące dziwaczne kształty w słabym świetle księżyca, który cienkim sierpem rysował się na niebie.

Maddie stała po drugiej stronie ulicy, obserwując dom od frontu. Will przypuszczał, że porywacz nadejdzie od strony pól za wsią – rosnące dokoła drzewa zapewniały odpowiednią kryjówkę i drogę ucieczki. Mało prawdopodobne, by wybrał drogę przez wieś – ale na wszelki wypadek Will postawił Maddie na czatach. Ze swego miejsca mogła obserwować fragment ulicy, ukryty przed oczami zwiadowcy.

Oparł się plecami o drzewo. Naciągnął kaptur na twarz, owinał się ciasno peleryną. Siedział całkowicie bez ruchu. Czuł się bezpiecznie. Z odległości jakichś trzech metrów był całkowicie niewidoczny. A nawet z bliska zlewał się z pniem drzewa, przypominał stertę gałęzi czy duży krzak.

Już drugą noc trzymali wartę przy domu Carterów. W dzień kryli się między drzewami. Po pierwszej nocy Maddie niecierpliwiła się i denerwowała z powodu przedłużającej się bezczynności.

– Nie przyjdzie – powiedziała. – Minęliśmy się.

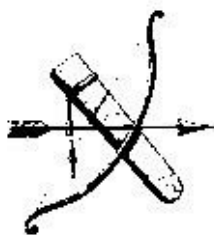
Will potrzęsnał głową.

– To jest zasadnicza część naszej pracy – odparł. – Czekać i obserwować. Zachować cierpliwość. Minęła dopiero jedna noc. Może jutro się zjawi. Albo kolejnej nocy. Ale zjawi się.

– Skąd taka pewność? – zapytała. Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu, po czym spojrział na nią spokojnie i odparł:

– Nie wiem. Po prostu. Pewnie instynkt myśliwego.

A teraz, kiedy znowu stali na czatach, instynkt podpowiadał mu, że to wydarzy się tej nocy.





Usłyszał ich, jeszcze zanim ich zobaczył.

Rozległ się słaby szelest trawy i krzaków za jego plecami. Zamarł w miejscu. Starał się oddychać płytko i jak najciszej, by nie zdradzić się żadnym dźwiękiem ani poruszeniem.

Miał niesamowitą ochotę odwrócić się i zobaczyć, kto to, ale jakoś nad nią zapanował. Nasłuchiwał uważnie cichego szumu traw i szelestu ocierających się o nie ubrań. Było ich dwóch. Sam nie potrafił powiedzieć, czemu tak pomyślał. Zapewne rezultat wieloletniego doświadczenia w tropieniu i czekaniu na zwierzynę.

Mężczyźni – zakładając, że byli to mężczyźni – znajdowali się zaledwie kilka metrów za jego plecami. Wiedział, że całą uwagę skupiają na domu Carterów, mało prawdopodobne, by go zauważyli, zwłaszcza skulonego pod peleryną. Wiatr pędził chmury po niebie, to zasłaniając, to odsłaniając sierp księżyca.

Mężczyźni przystanęli, zapewne po to, by rzucić okiem na dom i całą wioskę.

– Nikogo – zabrzmiał jakiś głos, zdumiewająco blisko Willa. Tylko dzięki wielkiemu opanowaniu i długoletnim treningom nie podskoczył w miejscu. Tamten człowiek znajdował się nie dalej niż dwa metry od niego.

Napastnicy ruszyli dalej. Przemknęli tuż obok, gdyby wyciągnął rękę, mógłby ich dotknąć. Rzeczywiście, było ich dwóch. Jeden miał na sobie ciemną pelerynę, drugi był od stóp do głów ubrany na czarno. Długie nierówne kawałki przezrystej tkaniny, przyczepione do rękawów, powiewały przy każdym jego ruchu, wirowały na wietrze, nadając mu wygląd dziwnej istoty z zaświatów, ducha powstałego z grobu.

Ten w pelerynie ukucnął, drugi włożył na głowę ciasno przylegający kaptur. Spojrzał na swego towarzysza i Will zobaczył, że jego twarz skrywa maska, pomalowana w biały wzór, tworzący zarys czaszki. Na końcu włożył jeszcze miękki czarny kapelusz o szerokim rondzie. Wyglądał teraz jak jakiś obszarpany dziwaczny strach na wróble. Pochylił się nisko i ruszył w stronę domu. Każde dziecko, budząc się i widząc nad sobą taką postać, z pewnością musiało śmiertelnie się przerazić. Will wyobrażał sobie, co czeka za chwilę biedną Violet. Miał wielką ochotę podjąć działania, oszczędzić jej tego koszmaru. Wiedział jednak, że jeśli złapie teraz tych dwóch, pozostali członkowie bandy uciekną – wraz z porwanymi dziećmi. Musiał pogodzić się z tym, że Violet będzie cierpieć. Przypuszczał, że porywacze mają kryjówkę gdzieś niedaleko. Zamierzał ją wysledzić, razem z Maddie uwolnić porwanych i zrobić porządek z bandą.

Czarna postać była teraz tuż pod domem. Niemal całkowicie ginęła w cieniu. Will zastanawiał się, czy Maddie zauważyła tych dwóch. Miał nadzieję, że jeśli tak, to nie będzie próbowała dawać mu znaków. Opracowali prosty system komunikacji, ale mogli go używać tylko wtedy, kiedy mieli pewność, że nie zdradzą w ten sposób swojej obecności.

Włamywacz stał teraz pod oknem w ścianie szczytowej. Will kiwnął głową – ale tylko w myślach, tak naprawę nadal siedział całkowicie bez ruchu. Poprzedniego wieczoru dokładnie obejrzał dom i sprawdził, któredy można dostać się do środka. To okno nadawało się do tego celu najlepiej. Nie było widoczne z drogi, a zamknięcie było słabe i prymitywne.

Mężczyzna w pelerynie, skulony w trawie zaledwie pięć metrów od Willa, poruszył się nerwowo, przenosząc ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Był spięty, czujny, przygotowany, że coś może pójść nie tak.

Jego kamrat otworzył okno, przełożył nogę przez parapet i wśliznął się do środka. Ten w pelerynie znów zmienił nogę. Czekał w napięciu na krzyk przerażenia, odgłosy walki. Nic jednak się nie wydarzyło.

Mijały minuty. Will nie odrywał wzroku od otwartego okna, które teraz wyglądało jak ciemna kwadratowa dziura w murze. Nagle dojrzał coś w ciemności. Drobna figurka w białej koszuli nocnej zeskoczyła z okna. Tuż za nią sunęła czarna postać, skrzyżowanie drapieznika ze strachem na wróble. Ruszyli przez łąkę. Mężczyzna mocno trzymał dziewczynkę za ramię. W pewnym momencie potknęła się, a wtedy jej oprawca brutalnie pociągnął ją do góry i postawił na nogi. Will zobaczył, że dziecko ma zarzucony na głowę kawałek płótna.

Ten w pelerynie wstał i zaśmiał się cicho, patrząc, jak przerażona ofiara zwija się w żelaznym uścisku porywacza.

– Zdejmij jej ten worek – powiedział Ten, Który Zakrada się Nocą. – Niech lepiej widzi drogę przed sobą, bo będzie opóźniła marsz.

– Jak poszło? – zapytał jego towarzysz.

Tamten wzruszył ramionami.

– Jej brat obudził się, kiedy wszedłem do pokoju. Ale kiedy tylko zorientował się, z kim ma do czynienia, zamknął się i udawał, że śpi. Zagroziłem mu, że jeśli podniesie alarm lub powie komuś, co widział tej nocy, wrócę i wyłupię mu oczy. O mało nie posikał się ze strachu.

Mężczyzna w pelerynie rozwiązał i zdjął worek z głowy dziewczynki. Violet była drobna, miała wymizerowaną twarzyczkę i krzywo przycięte brązowe włosy. Jej usta zatykał knebel z grubej tkaniny, łzy płynęły po policzkach. Milczała, jej wielkie przerażone oczy wędrowały od jednego mężczyzny do drugiego.

Ten, Który Zakrada się Nocą ściągnął maskę. Z westchnieniem ulgi potrząsnął głową, oswabadzając przyklepane pod kapturem włosy.

– Lepiej – powiedział. – Muszę przyznać, że Victor wykonuje dobrą robotę. Dzieciaki są naprawdę przerażone. Już trzeci raz zdarzyło mi się, że któreś się obudziło i po prostu zamarło ze strachu. – Zaśmiał się cicho.

„Łajdak”, pomyślał Will. Ten cały Victor to był zapewne Bajarz, siejący przerażenie w sercach dzieci.

– To wyłącznie twoja zasługa. W końcu to ty wymyśliłeś Bajarza. Victor tylko robi to, co mu kazałeś, Jory.

Will, mimo samokontroli i lat treningu, w tym momencie nie potrafił zapanować nad odruchem. Głowa sama podskoczyła do góry. Na szczęście w tym momencie mężczyźni stali zwrócenii w inną stronę i niczego nie zauważyli. Po chwili Ten, Który Zakrada się Nocą odwrócił się, przeciągnął dłonią po włosach i podrapał się po głowie. W tym samym momencie wiatr przegnał chmurę, zasłaniającą księżyc i słaby blask padł na jego twarz.

Tej twarzy Will nie potrafił zapomnieć. Widział ją tylko raz – kiedy stał, wściekły i bezsilny, na brzegu, patrząc, jak prom oddala się na środek rzeki. Wyrzyła się w jego pamięci jakby ktoś wypalił ją żelazem.

Tym, Który Zakrada się Nocą był Jory Ruhl.

Dłoń Willa powędrowała pod fałdami peleryny do rękonojki sakwy i zamknęła się wokół niej. Niepohamowany gniew wypełnił jego serce. Chciał się zerwać, odrzucić pelerynę i od razu wymierzyć sprawiedliwość człowiekowi winnemu śmierci Alyss. Ale jakoś się powstrzymał, wielkim wysiłkiem woli. Uspokoił oddech, zapanował nad ślepą furią, która o mało nim nie zawładnęła. Wreszcie odnalazł Ruhla – o ironio, w chwili, kiedy już go nie szukał. A Ruhl niczego nie podejrzewał.

Ale gdyby Will zabił go w tym momencie, nie odnalazłby dzieci porwanych z Danvers Crossing, Boyletown, Esseldon i być może jeszcze wielu innych wiossek. Instykt zwiadowcy podpowiadał mu, że musi odnaleźć obóz porywaczy. Najprawdopodobniej znajdował się on gdzieś na wybrzeżu, skąd dzieci zabierał iberyjski okręt i wywoził je do Sorocco, na targ niewolników.

Will zamierzał śledzić Ruhla aż do samego obozu, potem uwolnić porwanych i być może zniszczyć okręt.

I dopiero wtedy zabić Ruhla.

Kiedy już opanował wściekłość, nagle dotarło do niego, o czym rozmawiają Ruhl i jego pomagier.

– To ostatnia – powiedział Ruhl, wskazując kciukiem na łkającą dziewczynkę. – Mamy już dziesięć sztuk, na tyle umawialiśmy się z Eligiem. Zabieramy resztę i ruszamy do Zatoki Jastrzębiego Łba. Okręt ma przyplłynąć za trzy dni.

Drugi mężczyzna kiwnął głową.

– To był owocny miesiąc – powiedział. – Nie udało się tylko w dwóch miejscach.

– Byłby jeszcze bardziej owocny, gdyby ten zwiadowca nie zaczął węszyć. Przez niego straciliśmy cztery dni. – Ten, Który Zakrada się Nocą wyjął z kieszeni długą linę, odgiął ręce dziewczynki do tyłu i zaczął wiązać jej nadgarstki.

„Liam”, pomyślał Will. Jeżeli nawet do tej pory mógł mieć jakieś wątpliwości, że to oni zabili młodego zwiadowcę, to słowa Ruhla ostatecznie je rozwiały. Obiecał sobie w duchu, że za to Ruhl także zapłaci.

– I wciąż się zastanawiam, co się stało z Benitem. Miał tylko nastraszyć tę dziewczynę, ale przepadł jak kamień w wodę – ciągnął Ruhl.

Mężczyzna w pelerynie wzruszył ramionami.

– Zawsze uważałem, że nie można na nim polegać. Pewnie się schlał. Albo go przymknęli. Zawsze pakuje się w jakieś kłopoty.

– Cóż, jeden mniej do dzielenia zysków – stwierdził Ruhl. Pociągnął linę, sprawdzając węzeł. Dziewczynka wydała cichy okrzyk bólu.

– Cisz – warknął. A potem znowu zwrócił się do swego towarzysza: – Idziemy. Już i tak za długo tu stoimy.

Chwycił dziewczynkę za ramię, pociągnął ją za sobą i pobiegł przez łąkę w stronę ciemnej linii drzew. Drugi mężczyzna ruszył za nim.

Will odczekał, aż zniknęli w lesie. Nie musiał iść za nimi krok w krok, poza tym wiedział, że zmierzają do miejsca o nazwie Zatoka Jastrzębiego Łba. Zastanawiał się, kim mógł być ten cały Benito.

– Pewnie ten, który próbował zabić Maddie – powiedział do siebie.

Upewniwszy się, że sobie poszli i że go nie zobaczą, podniósł się. Poczul gwałtowny ból w kolanach, zeszywniałych od siedzenia przez kilka godzin w tej samej pozycji.

– Chyba robię się na to za stary – mruknął, nieświadomie powtarzając zdanie, które tyle razy wypowiadał Halt. Wyjął krzesiwo z woreczka przy pasie. Odwrócił się plecami w kierunku, w którym zniknęli porywacze i szeroko rozłożył pelerynę, tworząc coś w rodzaju parawanu. Potem prędko potarł krzemieniem, aż iskry poszły.

To był umówiony sygnał dla Maddie. Choć niewielka, iskra była doskonale widoczna w ciemności. Parawan z peleryny zasłaniał ją przed wzrokiem porywaczy, w razie gdyby któremuś z nich przyszło do głowy obejrzeć się za siebie.

Kilka sekund później zobaczył ciemny kształt. Kryjąc się w cieniu, rzucanym przez okapy dachów po drugiej stronie ulicy, Maddie prędko przemknęła w lewą stronę. Na chwilę zniknęła mu z oczu. I zaraz wynurzyła się z drugiej uliczki, równoległej do tej, przy której stał dom Carterów. Podeszła do Willa.

– Widziałam ich – odezwała się. – Zabrali dziewczynę?

Przytaknął.

– Owszem. A teraz wracają do obozowiska. Do miejsca, które nazywa się Zatoka Jastrzębiego Łba.

– Wiesz, gdzie to jest?

Potrząsnął głową.

– Jeszcze nie. Zobaczymy, czy jest zaznaczone na mapie. Jeśli nie, po prostu pójdziemy śladem Ruhla.

Spojrzała na Willa, lekko zdumiona, przekrzywiając głowę na bok.

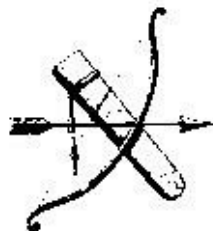
– Ruhla? Jakiego Ruhla?

– Ruhl to Ten, Który Zakrada się Nocą – odparł Will. Ale coś w brzmieniu jego głosu zwróciło jej uwagę.

– Znasz go? – spytała.

Will ponuro kiwnął głową.

– Ten człowiek zabił moją żonę.





Słońce miało wstać za cztery godziny i Will uznał, że powinni chwilę pospać, zanim ruszą za całą bandą.

– Nie możemy śledzić ich w ciemności. Poza tym przez dwie ostatnie noce staliśmy na czatach. Lepiej złapać trochę snu, póki nadarza się okazja – stwierdził. – Na pewno nie będą się spieszyć. Ruhl mówił, że muszą zebrać porwane dzieci. To z pewnością opóźni ich marsz.

Maddie ziewnęła. Nie zamierzała z nim dyskutować.

Wrócili na polanę, na której zostawili konie. Rozłożyli koce na miękkiej soczystej trawie. Maddie zasnęła, ledwo przymknąwszy oczy. Napięcie, towarzyszące im przez dwie poprzednie noce i wydarzenia ostatnich dni wyczerpały ją fizycznie i psychicznie.

Obudził ją – od pewnego czasu jej zdaniem cudowny – aromat świeżo parzonej kawy. Podniosła się i zobaczyła Willa, siedzącego przy niewielkim ognisku i pochylonego nad mapą lenna Trelleth, rozłożoną na ziemi. Usłyszała, że się poruszyła i spojrzał na nią, jednocześnie wskazując czajnik z kawą, stojący na węglach.

– Częstuj się – powiedział. – Jest też chleb, możesz sobie podpiec. Trzeba coś zjeść, zanim wyruszymy.

Nadziała kromkę chleba na patyk i wetknęła go w ziemię, a potem nalała sobie kawy. Nie mieli mleka, ale teraz mogła pić nawet czarną kawę, byle obficie posłodzoną miodem. Upiła łyk ze smakiem, odwróciła grzanekę i przysiadła naprzeciwko Willa.

– Znalazłeś Zatokę Jastrzębiego Łba? – spytała.

Przytaknął i dźgnął palcem mapę.

– Kawalek stąd na południe – odparł. – Nie ma wątpliwości, czemu tak ją nazwano.

Maddie spojrzała na mapę, marszcząc brwi.

– Jak dla mnie, wcale nie przypomina jastrzębiego łba – stwierdziła, pocierając oczy.

Will uniósł brew.

– Może dlatego, że patrzysz do góry nogami – powiedział cierpliwie. – A przy okazji, twoja grzaneką płonie.

Chwyciła grzanekę, parząc sobie palce, i wypuściła lekko osmaloną kromkę w trawę. Mruknęła pod nosem słowo, niezbyt przystające młodej damie. Tym razem obie brwi Willa podjechały w górę.

– Takie wyrażenia chyba nie powinny gościć w ustach księżniczki. Od kogo ty się tego nauczyłaś?

– Od matki – odparła zdawkowo.

Will kiwnął głową.

– No tak, to wszystko wyjaśnia.

– A tak nawiasem mówiąc, nie jestem już księżniczką, jak sam wcześniej zauważyłeś.

Zerknął na nią prędko. Z przyjemnością stwierdził, że w jej głosie nie słychać rozgoryczenia czy skargi. Po prostu stwierdziła fakt.

Pomyślał z lekkim zaskoczeniem, że w gruncie rzeczy Maddie chyba woli swoje obecne życie od poprzedniego. A potem dodał w myślach: właściwie dlaczego miałyby być inaczej? Teraz przynajmniej miała przed sobą jakiś cel, czuła, że się rozwija, a tego zdecydowanie brakowało jej na Zamku Araluen.

Podniosła chleb, posmarowała go masłem i ugryzła ze smakiem. Do kromki przykleiło się kilka źdźbeł trawy, ale nie zwróciła na to zbytnej uwagi, wyjęła je z ust, jednocześnie przekrzywiając głowę tak, by zobaczyć mapę z perspektywy Willa.

– Hmm – przyznała z wahaniem. – Może rzeczywiście od tej strony trochę przypomina łeb jastrzębia. To daleko stąd?

– Jakiś dzień jazdy gościńcem – odparł Will. – Porywaczom pewnie zajmie to dłużej. Półtora, dwa dni. Nie mają koni, poza tym muszą unikać innych ludzi. Trochę ciężko byłoby wytłumaczyć, czemu prowadzą ze sobą grupę młodocianych jeńców. Droga biegnie przez wieś i miasteczka, a oni muszą je wyminąć. – Wskazał na trakt, zaznaczony na mapie. – Jest alternatywna droga na południe, czyli niedokładnie w tym kierunku, co trzeba, ale przecina drogę, biegnącą na wschód. I to w prostej linii, podczas gdy gościńiec w wielu miejscach wije się i zakręca, ponieważ łączy wieś i miasteczka.

– Porywacze prawdopodobnie wybiorą tę ścieżkę?

Will potrząsnął głową.

– Po opuszczeniu wsi skierowali się na wschód. To by znaczyło, że zamierzają iść gościńcem. A ta druga droga być może nawet nie została zaznaczona na ich mapie. Kartograf z Zamku Trelleth jest bardzo dokładny, zawsze pamięta o szczegółach, które ktoś inny pewnie by zignorował.

– A więc, jeśli wybierzemy tę drogę, powinniśmy dotrzeć do wybrzeża przed nimi?

– Tak. Rozejrzemy się po okolicy. Pewnie mają tam jakieś obozowisko, może czekają w nim pozostali członkowie bandy. Słyszałem też, jak mówili, że za kilka dni powinien przyplłynąć iberyjski statek niewolniczy. Zawsze to dobrze obejrzyć wcześniej miejsce bitwy.

Spojrzała na niego.

– A będzie bitwa?

Will odparł z ponurą miną:

– To niewykluczone.

Dokończyli śniadanie, zwinęli koce i przywiązali je z tyłu siodła. Konie były niespokojne i podekscytowane. Po kilku dniach przymusowej bezczynności nie mogły się doczekać, kiedy wreszcie ruszą przed siebie. Maddie cieszyła się, że znowu siedzi w siodle i podzielała radość Zderzaka, który biegł przed siebie z wielką energią i entuzjazmem. Wyrwij popatrzył na młodszego kolegę z pełnym wyższości uśmiechem.

– Nie udawaj, czujesz to samo, co on – powiedział cicho Will. Odpowiedzią było potrząśnięcie łbem.

Owszem, oba konie, wyczulone na nastroje swych jeźdźców, wiedziały, że Will i Maddie znaleźli to, czego szukali, cokolwiek to było. Czuli, że mają przed sobą określony cel, że czeka je jakaś akcja – a konie zwiadowców były stworzone do akcji.

Biegły drogą na południe, skręcając nieco na zachód i po kilku godzinach dotarły do drogi, wiodącej na wschód, w stronę wybrzeża. Will zeskoczył z siodła i uważnie obejrzał ziemię, szukając świeżych śladów. Jedna rzecz to założyć, że Ruhl i jego kamraci nie jechali tą drogą, a inna – sprawdzić.

– Szedł tędy pasterz ze stadem krów – stwierdził Will. – Jakies dwa dni temu. Potem chyba nic.

– Mówiłeś przecież, że Ruhl nie wybierze tej drogi – zauważyła Maddie.

Will spojrzał na nią i odparł:

– A teraz wiem na pewno, że miałem rację.

Wskoczył na Wyrwijowy grzbiet i pojechali dalej, od czasu do czasu schylając głowy pod zwisającymi nisko gałęziami.

– To chyba nie jest zbyt uczęszczany trakt – skomentowała Maddie.

Will nic nie powiedział.

Wreszcie skończył się gęsty las, który ciągnął się przez dwie trzecie drogi. Maddie i Will znaleźli się na otwartej przestrzeni, pośród pól i wiejskich gospodarstw. Tu i tam skupiska drzew urozmaicały krajobraz. W powietrzu unosił się intensywny słony zapach, świadczący o tym, że zbliżają się do morza.

Wczesnym popołudniem dotarli do drogi, wiodącej wzdłuż wybrzeża, lekko podniesionej w stosunku do reszty terenu. Po obu stronach ciągnęły się rowy odpływowe. Will ruchem ręki dał Maddie znak, żeby została na miejscu, tak by nie było jej widać. Zeskoczył z konia i wspiął się na drogę, popatrzył na północ, potem na południe.

– Czysto – stwierdził. Potem wskazał kciukiem na południe. – Zatoka Jastrzębiego Łba jest trzy kilometry stąd. Ruszamy.

Krajobraz znowu się zmienił. Zielone pastwiska i starannie utrzymane pola ustąpiły miejsca przybrzeżnym wrzosowiskom, porośniętym niskimi krzakami i nielicznymi drzewami. Will skrzywił się i zauważył:

– Nie za bardzo jest gdzie się schować.

Maddie popatrzyła na niego.

– No to zobaczymy ich z daleka – powiedziała.

– Bardziej martwi mnie, że oni zobaczą nas. Pamiętaj, nie będziemy sami. Będą z nami dzieci. Nie jest łatwo ukryć się tak dużą grupą.

Wydeła usta. Nie pomyślała o tym. Zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu kryjówki. Jakies pół kilometra od drogi wznosiło się pasmo niewysokich skałek, u podnóża leżały zwały głazów, widocznie pochodzące z licznych osuwisk. Maddie zauważyła ciemniejsze plamy, zapewne wejścia do grot. A groty mogłyby posłużyć za skuteczną kryjówkę.

Jeśli rzeczywiście będą takowej potrzebować. A Maddie przypuszczała, że tak, i to już niedługo.

Droga zakręcała na południe i biegła bardzo blisko linii brzegowej. Kolejna linia gliniastych skałek opadała prosto do oceanu, jakby ktoś uciął je nożem. Woda była zielona i przejrzysta, płytka, przebijało spod niej piaszczyste dno.

– Ładnie tu – rozejrzała się Maddie.

Will pobiegł za jej wzrokiem i odchrząknął.

– Gdybyś pływała na statku, zmieniałabyś zdanie. Ta płycizna ciągnie się pewnie na kilometr od brzegu. Żeby przybić, trzeba czekać na przyplływ.

Zapisał sobie w pamięci kilka charakterystycznych punktów, zaznaczonych na mapie, by bez trudu trafić do celu. Teraz minęli właśnie ostatni z nich, niewielkie jeziorko i zagajnik niskich drzew. Will zarządził przystanek.

– Zostawimy tutaj konie – powiedział. – Dalej pójdziemy na piechotę, rozejrzemy się w sytuacji.

Ukryli koniki między drzewami i ruszyli przez sięgające pasa zarośla kolcolistu w stronę kolejnego przylądka. Według mapy właśnie za nim powinna znajdować się Zatoka Jastrzębiego Łba.

Kiedy dotarli do przylądka, Will wyciągnął rękę i wskazał w dół. Maddie ukucnęła, po czym zaczęła na czworaka przedzierać się przez krzaki. Musieli zejść z widoku, bo przecież nie mieli pewności, czy przestępcy nie chowają się w grocie.

Will zatrzymał się i dał Maddie znak, by do niego podeszła. Czołgała się przez zarośla, starając się robić jak najmniej hałasu. W końcu zrównała się z nim.

W dole rozciągała się Zatoka Jastrzębiego Łba. Tutaj klif był niższy, wznosił się na wysokość jakichś dziesięciu-piętnastu metrów, a jego stoki opadały łagodniej od tamtych wzniesień, jakby uciętych nożem, które minęli chwilę wcześniej. I nie był gliniasty, lecz uformowany z twardej skały i piachu, porośnięty kępami trawy i krzaków. U podnóża rozciągała się półkolista piaszczysta plaża.

Zaczął się przyplływ, widać było, jak woda tworzy drobne zmarszczki na płytkim piaszczystym dnie. Płycizna ciągnęła się na co najmniej ćwierć kilometra od brzegu.

Pośrodku plaży, znacznie powyżej linii utworzonej przez wodorosty i drewno dryfowe, oznaczającej najwyższy poziom wody,

wznosiły się cztery duże namioty z szarego wyblakłego płótna, naciągniętego na drewniane ramy. Wyglądało na to, że stoją tu już od jakiegoś czasu. To było stałe obozowisko.

Dziesięć metrów dalej znajdowało się spore palenisko – wystarczająco daleko, by dym nie przeszkadzał mieszkańcom obozu. Pod płóciennym daszkiem, wspartym na drewnianej konstrukcji, stały prosty stół i ławy.

Po terenie obozowiska krążyli dwaj mężczyźni, choć, oczywiście, w namiotach mogło być ich więcej. Maddie pomyślała, że skoro są cztery namioty, to w obozie może przebywać co najmniej szesnastu ludzi. Zaraz, poprawiła się w myślach. Porwane dzieci też przecież musiały gdzieś mieszkać.

W tym momencie Will dał jej kuksańca w bok i wskazał na wzniesienie po lewej stronie zatoki. Spojrzała w tamtą stronę i dostrzegła ciemny otwór w skale, tuż przy ziemi. Wytężyła wzrok. Otwór zamykała drewniana krata.

A więc to tam przetrzymywano jeńców.

Will powtórzył jej to, co powiedział Ruhl: porwanych dzieci było w sumie dziesięcioro. Zastanawiała się, ile znajduje się teraz w grocie, a ile dopiero prowadzą tutaj Bajarz i Ten, Który Zakrada się Nocą.

Will przysunął się do niej i powiedział:

– Po lewej stronie znajduje się ścieżka. Widzisz ją?

Mówił szeptem, mimo że porywacze znajdowali się ponad sto metrów dalej – w tym momencie zajęci rozpalaniem ogniska.

Maddie powiodła wzrokiem wzdłuż skały. Tak, widziała tę ścieżkę. Biegła w dół pod kątem, skręcała kilka razy i kończyła się u podnóża, może dwadzieścia metrów od wejścia do groty. Uniosła kciuk na znak, że ją dostrzegła.

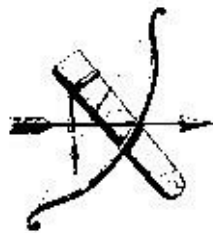
– Kiedy uwolnimy dzieci, poprowadzisz je tamtędy, aż na szczyt klifu.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na Willa.

– Ja je poprowadzę? A ty co będziesz robił?

Poklepał gładki łuk, leżący obok w trawie.

– Będę działał tak, żeby nikt was nie zobaczył.





Wieczorem przybyła reszta bandy wraz z porwanymi dziećmi.

Kroczyły one z trudem środkiem drogi, ręce miały spętane z przodu, były też związane ze sobą grubą liną, opasującą ich szyje. Było ich sześcioro. Ruhl i dwóch jego ludzi jeździło na kucach w tę i z powrotem, popędzając jeńców do szybszego marszu. Jednym z pomocników był mężczyzna w pelerynie, który pomagał przy porwaniu Violet.

A drugim Bajarz, wyróżniający się swym ekstrawaganckim strojem: niebieskim płaszczem, szerokim kapeluszem i czerwonymi butami. Oprócz nich w grupie znajdowało się jeszcze sześciu mężczyzn.

Kiedy przechodzili niedaleko kryjówki Maddie i Willa, którzy zaszyli się w wysokich trawach na skraju klifu, słaby podmuch wiatru przyniósł pobrzękiwanie dzwoneczków przy butach Bajarza.

Violet i pozostali jeńcy wyglądali na porządnie przerażonych. Will zauważył, że kurczą się ze strachu za każdym razem, kiedy Bajarz podejżdza bliżej. Raz mężczyzna w niebieskim płaszczu zaśmiał się okrutnie, kiedy inna dziewczynka – zapewne Carrie Clover z Danvers Crossing – uskokczyła przed nim z okrzykiem przerażenia. Will zacisnął wargi.

Pozostali członkowie bandy byli uzbrojeni we włócznie, kije i topory, dwaj mieli miecze u pasa. To byli zaprawieni w bojach twardziele, brodaci, potargani, odziani w stroje z surowej skóry i wełny. Każdy z nich dzierżył w dłoni kawałek liny z zawiązanymi supłami, służącej im do poganiania ofiar.

– Dziewięciu – szepnął Will.

– I co najmniej dwóch w obozie – dodała Maddie.

– A jeszcze więcej będzie na statku. Co najmniej pół tuzina.

Maddie z namysłem zagryzła wargi. Pomyślała, że ich przeciwnicy mają stanowczo za dużą przewagę. Dlatego zaskoczyły ją kolejne słowa Willa.

– Dobra wiadomość brzmi tak: mamy wystarczająco dużo strzał.

Ruhl i jego dwaj pomocnicy zsiadli z koni i ruszyli ścieżką w dół klifu. Za nimi szły gęsiego dzieci. Spętane ręce i ciężka lina, którą były razem powiązane, bynajmniej nie ułatwiały im zadania. Kiedy jedno się pośliznęło, pociągało za sobą to, które szło przed nim i to, które szło z tyłu. Niezgrabnie posuwały się po kamienistej ścieżce. Pochód zamykali pozostali porywacze. Ponieważ ścieżka była bardzo wąska, nie mogli iść obok jeńców. Przynajmniej przez chwilę nie mogli ich bić.

Potyając się i tracąc równowagę, dzieci wreszcie dotarły na sam dół. Ruhl i jego dwaj pomagierzy ustawili się w ten sposób, by skierowały się prosto do grotu.

Dwaj mężczyźni, czekający w obozie, przyglądali się nadchodzącej grupie. Maddie zwróciła uwagę, że nikt więcej nie wyszedł z namiotów. Wszystko wskazywało na to, że banda liczy jedenastu członków. Mężczyzna, który chwilę wcześniej rozpałał ogień, zdjął z jednego ze słupków podtrzymujących daszek duży pęk kluczy. Wziął wsparty o stół ciężki kij i ruszył niedbałym krokiem w stronę jaskini.

– Prędej, Donald! – wrzasnął Ruhl. – Nie ma czasu!

– Mnie również miło cię widzieć, szefie – odparł gniewnie Donald.

Dzieci kręciły się niepewnie przy wejściu do grotu, zastanawiając się, co je czeka. Will zauważył, że łącząca je lina przechodzi przez metalowe kółka, przyczepione do skórzanych obręczy, oplatających szyje. Mężczyzna imieniem Donald otworzył kratę. Chyba ktoś próbował wydostać się na zewnątrz, bo mężczyzna warknął i walnął kijem gdzieś w ciemność.

Zadowolony, że dał więźniom nauczkę, spojrzął na pierwszego z nowo przybyłych, zdjął mu z szyi obrożę i wepchnął do środka.

Ruhl poczekał, aż Donald odepnie obrożę dwóm kolejnym jeńcom, po czym, zadowolony, że wszystko przebiega jak należy, podszedł do namiotu, służącego za jadalnię, przywiązał konia do jednego ze słupków i spojrzął na drugiego z mężczyzn, którzy byli w obozie.

– Rusz się i daj coś do picia, Thomas! – warknął na tego, który stał beczynnym, patrząc na swego przywódcę. – Przez cały dzień nie schodziłem z konia!

– Nie można powiedzieć, żeby odnosili się do siebie z nadmierną czułością – mruknął Will.

Mężczyzna pobiegł spełnić polecenie i zaraz wrócił z dzbanem piwa i kilkoma kuflami. Ruhl nalał sobie porządną porcję, wypił i westchnął z zadowoleniem. Bajarz i drugi jeździec zeskoczyli na ziemię i przyłączyli się do niego. Najwyraźniej ci trzej zajmowali

najwyższe miejsca w hierarchii. Ruhl, rzecz jasna, był przywódcą, a Bajarz i ten w pelerynie pełnili funkcje najbliższych pomocników. Pozostali prawdopodobnie nie mieli zbyt wiele do powiedzenia.

Ruhl i jego dwaj pomagierzy pili, odpoczywali i gawędzili, od czasu do czasu głośno rechocząc, podczas gdy Donald i reszta zapędzali dzieci do wnętrza groty, klnąc przy tym siarczyście.

– Chyba robi się tam ciasno – zauważyła Maddie.

Will zerknął na nią z boku.

– Powiedziałeś, że w sumie jest dziesięcioro porwanych – podjęła. – Trzeba by całkiem sporej groty, żeby dla wszystkich starczyło miejsca. A groty z reguły są raczej nie za duże.

Bandyci wpełzli do środka ostatniego więźnia, po czym zatrzasnęli kratę. Potem ciężki klucz zaszczękał w zamku. Jeden z mężczyzn zebrał liny i skórzane obroże. Donald wrócił do namiotu przy ognisku i powiesił klucze na miejscu.

– Przygotuj jakieś żarcie – polecił Ruhl. – Od rana jesteśmy w podróży.

Najwyraźniej tego typu obowiązki należały do Donalda i Thomasa. Will zanotował to sobie w pamięci. Jeśli dojdzie do walki, zostawi ich sobie na koniec. Prawdopodobnie nie byli szczególnie agresywni. Ani bystrzy. Tacy ludzie zwykle po prostu posłusznie wypełniają polecenia. Rzadko kiedy myślą samodzielnie. Poza tym z tego, co Will zauważył, Ruhl wyglądał na człowieka, który prędko zdusiłby wszelkie przejawy indywidualizmu u swoich ludzi.

Życie w obozie wróciło do normalnego rytmu. Około siódmej wieczorem człowiek, do którego Ruhl zwrócił się imieniem Thomas, zaniósł jedzenie i wodę do groty. Donald otworzył kratę i pilnował, by żadne z dzieci nie uciekło. Znowu zaczął się przypływ, woda powoli podnosiła się i zakrywała szeroki pas zmarszczonego piasku.

Maddie i Will obserwowali obóz w milczeniu, aż Will dotknął ramienia dziewczyny i kciukiem wskazał na niewielki zagajnik, w którym zostawili konie.

– Chyba szykują się do spoczynku. My też moglibyśmy chwilę odpocząć. Wrócimy o świcie i pomyślimy, jak uwolnić te dzieciaki.

– Nas dwoje przeciwko jedenastu mężczyznom? – zapytała Maddie.

Will popatrzył na nią z powagą i kiwnął głową.

– Nas dwoje przeciwko jedenastu mężczyznom.

Pochyleni przemknęli do zagajnika, choć tak naprawdę była to nadmierna ostrożność. Porywacze spali w swoich namiotach, poza tym i tak nie mogliby ich zobaczyć, gdyż teren, na którym znajdował się obóz, był położony niżej co najmniej o jakieś dwadzieścia metrów. Will i Maddie napoili konie i rozsiadali je. Potem zjedli zimny posiłek złożony z suszonej wołowiny, owoców i kruchego chleba. Maddie podniosła czajnik z kawą, spoglądając pytająco na swego mentora. On jednak potrząsnął głową.

– Nie możemy rozpalić ogniska – odparł. – Mógłby zdradzić nas zapach dymu. Chyba nie chcemy, żeby nasi przyjaciele zaczęli rozglądać się po okolicy.

Napili się wody z menażek. Nie znaleźli w pobliżu źródła świeżej wody, a woda w niewielkim jeziorku, które mijali po drodze, była mulista. Rozwinęli koce. Maddie spojrzała na Willa i spytała:

– Trzymamy wartę?

Will przytaknął.

– Musimy obserwować plażę, w razie gdyby coś zaczęło się dziać – powiedział. – Biorę pierwsze cztery godziny.

Policzyła prędko w myślach. To znaczyło, że Will będzie miał tej nocy dwie warty, podczas gdy ona tylko jedną. Wzruszyła ramionami, pomyślała, że w sumie to całkiem sprawiedliwie, i wczołgała się pod koc.

Odprowadziła wzrokiem ciemną postać Willa, znikającą w ciemnościach. Kilka minut później już spała. Nie martwiła się, że ktoś mógłby ją podejść znieca. Zderzak i Wyrwij ostrzegliby ją, gdyby ktoś obcy zbliżył się do obozowiska.

Ale na wszelki wypadek owinęła procę dokoła prawej dłoni, a woreczek z pociskami położyła obok.



Maddie zbudziła się tuż przed świtem. Spojrzała na posłanie Willa. Było puste. Nadal siedział na klifie, obserwując zatokę. Maddie odrzuciła koc, ochlapała twarz zimną wodą z manierki i włożyła buty.

Na jej widok Zderzak wydał z siebie stłumione rżenie. Maddie spojrzała na niego. Zastrygł uszami. Czuł, że jego pani dokądś się wybiera i chciał jej towarzyszyć. Potrząsnęła głową i przytknęła palec do ust.

– Nie teraz, mały. I ani mru-mru.

Potrząsnął grzywą, opuścił łeb i znów zaczął skubać trawę. Odniosła wrażenie, że wygląda na rozczarowanego, ale zaraz pomyślała, że chyba coś jej się przywidziało. Koń nie może przecież wyglądać na rozczarowanego.

Szybko odsunęła od siebie te rozmyślenia, bo pewnie mogłaby spędzić na nich cały dzień i nigdy nie znaleźć zadowalającej odpowiedzi.

Napięła cięciwę i włożyła pas, przy którym wisiała podwójna pochwa, kryjąca w sobie saksę i nóż. Ich ciężar równoważył woreczek z ołowianymi pociskami, przyczepiony przy drugim biodrze. Potem włożyła kołczan przez głowę i przesunęła go na bok, w ten sposób, by bez trudu sięgać po strzały przez prawe ramię. Na końcu narzuciła pelerynę i odpięła klapkę na prawym ramieniu – również po to, by mieć swobodny dostęp do strzał.

Podeszła na skraj zagajnika, przystanęła i przykłękała na jednym kolanie, uważnie rozglądając się dokoła, tak jak uczył ją Will: nie przesuwając wzrokiem tak po prostu, ale przez chwilę oglądała uważnie tylko jeden niewielki fragment, potem przechodziła do kolejnego, aż upewniła się, że jest bezpieczna.

Nie podnosząc się z kucek, ruszyła przed siebie, wybierając drogę przez największe zarośla, w stronę klifu.

Poruszała się powoli, miękko, stawiając kroki ostrożnie, za każdym razem najpierw sprawdzając grunt. Jeśli wyczuła choćby niewielką gałązkę, ostrożnie przenosiła stopę w inne miejsce.

„Pośpiech to wróg ostrożności”, powtarzał jej Will. „Lepiej poruszać się powoli i cicho niż spieszyć się i narobić hałasu.”

Nagle zadygotała trawa po lewej stronie. A poranek był całkowicie bezwietrzny. Maddie zamarła w bezruchu.

„Zaufaj pelerynie”, pomyślała. Zawsze mieć na sobie pelerynę i nie ruszać się – dwie najważniejsze zasady, mantra każdego zwiadowcy.

Nawet nie odwróciła głowy, jedynie skierowała spojrzenie na punkt, gdzie zauważyła ruch. Po jakichś trzydziestu sekundach z wysokiej trawy wychynął lis i pobiegł dalej, z brzuchem przy ziemi, powiewając długim puszystym ogonem. W ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

– Chyba jestem coraz lepsza – powiedziała do siebie. Żałowała, że Will nie widział, jak lis przebiegł tuż obok, nieświadom jej obecności. Oczywiście, mogła mu o tym opowiedzieć, ale to nie to samo. Zabrzmiałoby jak przechwałki.

Bo to są przechwałki, uświadomiła sobie nagle.

Znalazszy się jakieś czterdzieści metrów od skraju klifu, po cichu opadła na kolana, chowając się w wysokiej trawie. Wiedziała, że Will tam jest, ale nigdzie go nie widziała. Wystawiła głowę i powiodła wzrokiem dokoła. Przy okazji niechcący przygniotła ręką kępę sztywnej suchej trawy. Rozległo się ciche „trach”.

Zamarła. Dźwięk był naprawdę bardzo cichy, na pewno nikt nie zwróciłby nań uwagi. Ale nagle jakieś dziesięć metrów dalej, w miejscu, w którym, jak wiedziała, siedział Will, przez moment mignęła jego ręka.

Usłyszał ją. Wiedział, że nadchodzi. I dał jej znak.

Poczołgała się dalej, uważając, by więcej nie hałasować. Po chwili zobaczyła cętkowaną pelerynę. Odwrócił się, ukazując brodatą twarz w cieniu kaptura. Niesamowite, jak cicho potrafił się zachowywać. Gdyby nie wiedziała, że ma szukać peleryny, pewnie by go nie zauważyła, mimo tak niewielkiej odległości.

– Coś się dzieje? – spytała szeptem.

– Oprócz tego, że narobiłaś rumoru jak stado słońi? – powiedział, również bardzo cicho.

Kiwnęła głową, przyjmując krytykę.

– Tak, oprócz tego.

Skinął głową w stronę brzegu klifu, jakiś metr od nich.

– Spójrz – powiedział. Po czym dodał, jej zdaniem zupełnie niepotrzebnie: – Tylko ostrożnie.

Sprawdziła położenie słońca. Wisiało nisko nad powierzchnią morza, po lewej stronie. Nasunęła kaptur niżej, by jej twarz pozostała w cieniu, po czym zbliżyła się do skraju. Pilnując, by nie wystawić głowy z wysokich traw, ostrożnie rozgarnęła źdźbła i wyjrzała.

Przy brzegu stał statek.

Mierzył jakieś piętnaście metrów długości, był smukły i lekki. Z pewnością skonstruowany tak, by osiągać dużą szybkość. Kadłub pomalowano na czarno. Maddie dodała w myślach, że statek zaprojektowano również z myślą o tym, by nie rzucał się w oczy – był niewielki, obliczony na sześć wiosł, po trzy z każdej burty. Kwadratowy żagiel wisiał na rei luźno zwinięty. Chyba również był koloru czarnego.

Za masztem, pośrodku pokładu, stała drewniana klatka, zajmująca mniej więcej jedną trzecią długości statku.

Will przysunął się do krawędzi klifu. Poruszał się tak cicho, że dopiero teraz go zauważyła.

– Widzisz tę klatkę? – zapytał cicho. – Trzymają w niej niewolników. Przypinają ich kajdanami do obręczy.

– Kiedy przybył ten statek? – spytała Maddie.

– Jakies dwie godziny temu, na fali przyływu. Teraz zaczyna się odpływ.

Zauważyła, że statek przechyla się lekko na bok, i że stoi na płyciźnie. Woda szybko się cofała, część dziobowa już leżała na piasku.

– Musimy ruszać, jeśli chcemy ich ubiec – powiedziała. Will jednak potrząsnął głową.

– Mogą wyruszyć dopiero, kiedy znów zacznie się przyływ, czyli za sześć-siedem godzin. Teraz woda jest za płytka. Poza tym na pewno zechcą poczekać, aż zrobi się ciemno, żeby nie trafić na morski patrol.

W czasie tej rozmowy woda mocno opadła, teraz już prawie cały statek leżał na piasku.

– Ile osób liczy załoga?

– Siedem. Sześciu wiosłarzy i sternik. Są teraz w namiocie koło ogniska.

Pobiegła wzrokiem w tamtą stronę.

– Sama powinnaś była zauważyć – upomniał ją Will.

Zagryzła wargi. Rzeczywiście, do tej pory całą uwagę skupiała na statku. Will uczył ją, że najpierw należy objąć wzrokiem całe miejsce, nie koncentrować się na jednym punkcie. A teraz, kiedy doszło co do czego, zagapiła się na statek, zapominając, że najpierw powinna przebiec spojrzeniem dokoła, po plaży i obozowisku. Namiot, w którym jedzono, otwarty ze wszystkich stron, wznosił się na brzegu tuż obok miejsca przeznaczonego na ognisko. Widać było nogi mężczyzn siedzących przy stole. Płócienny daszek nie pozwalał dojrzeć z wysoka górnej części ich ciał. Maddie słyszała szum rozmów, od czasu do czasu wybuch śmiechu. Płonął ogień, dym wił się leniwie do góry.

Zmarszczyła brwi. „Muszę bardziej się starać”, pomyślała. Uświadomiła sobie, że bycie zwiadowcą wymaga czegoś więcej poza umiejętnością celnego strzelania z łuku i poruszania się bezgłośnie. Ta praca w głównej mierze polegała na obserwowaniu otoczenia.

– Nie martw się. – Will, wyczuwając nastrój Maddie, dotknął jej ramienia. – Potraktuj to jako kolejną lekcję. Przyjrzyj się uważnie terenowi obozu, przyjrzyj się wejściu do groty i ścieżce, wiodącej na szczyt klifu. Patrz tak długo, aż będziesz potrafiła wszystko odtworzyć w pamięci. Wtedy wrócimy do obozowiska.

Kiwnęła głową, po czym zaczęła uważnie przypatrywać się plaży, a w szczególności wejściu do groty i kamienistej ścieżce. Pisywała w myślach odległości, kąty i miejsca na odcinku między grotą i ścieżką, mogące służyć za kryjówkę. A potem między grotą i namiotami. I wreszcie położenie statku. Kiedy już była pewna, że wszystko dokładnie zapamiętała, odsunęła się od skraju klifu i ponownie skinęła głową.

– Gotowe – oznajmiła. Will poparzył na nią, badawczo.

– Jaka jest odległość od groty do namiotu, w którym jedzą?

Zobaczyła wyryty w pamięci obraz.

– Trzydzieści pięć, może czterdzieści metrów.

Skinął głową.

– A do namiotów, w których śpią?

– Plus dziesięć.

– A do statku?

– Sto dziesięć metrów. Statek stoi po prawej stronie w stosunku do obozowiska.

– Czy statek widać z groty?

Maddie zmarszczyła brwi. Nie spodziewała się takiego pytania. Odpowiedziała ostrożnie:

– Nie sądzę. Wydaje mi się, że namioty zasłaniają widok.

– Brawo. – Will dotknął jej ramienia i machnął ręką za siebie. – Wracajmy do obozowiska, tam możemy swobodnie porozmawiać. Omówimy plan na wieczór.

– A mamy plan na wieczór?

– Oczywiście.

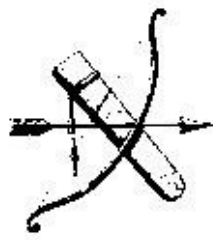
– Dobry? Spodoba mi się? – zapytała, uśmiechając się zawadiacko.

Will popatrzył na nią z powagą.

– Doskonały. Będziesz zachwycona.

Maddie zamyśliła się. Ich było dwoje, a banda porywaczy, teraz, kiedy doszło siedmiu ludzi z załogi, liczyła osiemnastu mężczyzn. Niezbyt korzystne proporcje.

Maddie wątpiła, by plan Willa rzeczywiście mógł ją zachwyć.





Will oczyścił fragment ziemi i czubkiem noża narysował szkic.

– To jest ścieżka wiodąca na szczyt klifu, tutaj mamy grootę... – zaczął.

– Grota znajduje się w odległości około dziesięciu metrów od ścieżki – poprawiła go Maddie. Spojrzał na nią. Wzruszyła ramionami. – Powiedziałeś, że mam zapamiętać wszystko ze szczegółami.

– Bardzo słusznie. – Poprawił rysunek. – Zadowolona? – Maddie kiwnęła głową, a Will podjął swój wywód: – Tu jest ścieżka. Tu jest grota. A tutaj namioty. – Wskazał ich położenie. – A tu statek. – Podniósł wzrok. – Jakież uwagi? – zapytał nieco zjadliwie.

Machnęła lekko ręką.

– Nie. Wygląda całkiem nieźle.

– Przyplływ zacznie się gdzieś o czwartej po południu.

O siódmej osiągnie apogeum i wtedy woda znów zacznie się cofać. Przypuszczam, że Iberowie zechcą wypłynąć, kiedy zrobi się całkiem ciemno. Czyli jakąś godzinę później. Woda nadal będzie wysoka, a fala odpływu zabierze ich ze sobą.

– Dlaczego mieliby czekać, aż zrobi się ciemno? – spytała Maddie.

– Po morzu krążą statki patrolowe. Na przykład Skan-dianie na służbie króla pływają wzdłuż wschodniego wybrzeża, wypatrując przemytników, piratów... i handlarzy niewolników. Iberowie z pewnością nie chcieliby się na nich napatoczyć, dlatego poczekają do zapadnięcia ciemności. Chyba zauważyłaś, że kadłub pomalowano na czarno?

Maddie kiwnęła głową.

– To dlatego, że wolą podróżować w nocy. Jeśli patrzeć od strony morza, grota znajduje się po lewej stronie. Statek cumuje po prawej. Zamierzam zejść na plażę od prawej strony, podejść do statku na odległość stu metrów...

– A jeśli nie można tamtędy zejść? – przerwała mu. Popatrzył na nią, wziął głęboki wdech, po czym odparł:

– Można. Zrobiłem rekonesans i znalazłem ścieżkę, kiedy ty chrapałaś w najlepsze. Nie przerywaj.

– Zawsze powtarzasz, że powinnam być dociekliwa – odparowała.

– Zgadza się. Ale to nie znaczy, że masz mi przerywać. Jeśli chcesz o coś zapytać, poczekaj, aż skończę.

No, w każdym razie, kiedy już zejdziesz na plażę, zacznę wypuszczać płonące strzały w stronę statku.

– Płonące strzały? – powtórzyła Maddie, a Will znów spiorunował ją spojrzeniem. – To nie było pytanie. Raczej stwierdzenie – usprawiedliwiła się pospiesznie.

– Niech ci będzie. Tak, płonące strzały. Jeśli jest na świecie jakaś rzecz, która potrafi wprawić w przerażenie ludzi morza, to wizja pożaru na pokładzie. Każdy statek to kupa sosnowego drewna, zwoje smołowanych lin i suchego płótna. Wystarczy iskra, by to wszystko błyskawicznie stanęło w płomieniach.

– I wszyscy rzucają się gasić ogień?

Will kiwnął głową.

– Przypuszczam też, że Ruhl i jego ludzie pobiegną im z pomocą. Gdyby stracili statek, cała ich praca poszłaby na marne. A kiedy już wszyscy będą zajęci walką z żywiołem, zlikwiduję kilku ludzi Ruhla. To zwiększy nasze szanse.

– Jeśli tak zrobisz, od razu cię zaatakują – stwierdziła Maddie z wyraźnym z troskaniem. Niezbyt podobała się jej wizja Willa walczącego samotnie z osiemnastoma zbirami.

Will potrząsnął głową.

– Właśnie o to chodzi. Odciągnę ich na bok, w stronę skał na południowym zachodzie. I na pewno nie będą biec bardzo szybko. Nic tak nie spowalnia biegu jak myśl, że w każdej chwili może trafić cię strzała – wyjaśnił ponuro.

– A co ja mam robić przez ten czas?

Will znów dotknął czubkiem noża mapy, wyrysowanej na ziemi – a dokładnie linii, oznaczającej ścieżkę.

– Jeszcze zanim zacznę, musisz znaleźć się na dole. Kiedy wszyscy rzucają się gasić pożar, ty uwolnisz dzieciaki. – Urwał i spojrzał na Maddie wyczekująco. – Wiesz, gdzie jest klucz?

Przytaknęła.

– Wisi na haku, wbitym w jeden ze słupków, podtrzymujących namiot obok ogniska, ten, w którym jedzą.

– Doskonale. Wypuścisz dzieciaki z groty i poprowadzisz je w górę tą samą ścieżką. Potem skieruj się na północ, tak szybko, jak

tylko zdołasz. Miejmy nadzieję, że nikt nie zwróci na ciebie uwagi.

– A jeśli?

– Cóż, wtedy będziesz mogła sprawdzić w praktyce swoje umiejętności strzelania z łuku i procy. Nie pozwól im podejść za blisko. To ludzie bez skrupułów, na pewno nie dadzą ci drugiej szansy. Jeśli ruszą za tobą, nie wahaj się, strzelaj.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym planem. Wydawał się logiczny. I prosty, ale Will często powtarzał, że proste rozwiązania są najlepsze. Mniejsze ryzyko, że coś pójdzie nie tak.

– Dobrze. I spotykamy się tutaj? – zapytała w końcu.

Will potrząsnął głową.

– Idziesz cały czas na północ. Ja odciągam Ruhla i jego kamratów na południowy zachód. Potem zmykam i doganiam cię.

Wydawał się bardzo pewny siebie, Maddie jednak wiedziała, że to wcale nie będzie takie proste. Wyczuł jej sceptycyzm i dodał:

– Jeśli coś pójdzie nie tak, kieruj się w stronę Amble-ton. To duże miasto przy głównej drodze, jakieś piętnaście kilometrów stąd. Jest tam szeryf, zapewni ci bezpieczeństwo. Tam się spotkamy.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Oby.

– Zaufaj mi – powiedział, po czym dodał: – Jest jeszcze jedna sprawa. Istnieje szansa, że kiedy statek zacznie płonąć, Iberowie nie będą czekać, tylko od razu wyruszą na morze. W końcu, jeśli stracą statek, są skończeni.

– A przypływ zacznie się dopiero za dziesięć czy jedenaście godzin – dorzuciła Maddie.

– Dokładnie tak. To znacznie zredukowałoby liczbę naszych przeciwników. Jakies pytania?

Spojrzała na niego. Wiedziała, że Will naraża się na wielkie niebezpieczeństwo. Ona również ryzykowała, lecz on zamierzał wystawić się bezpośrednio na atak przeciwnika, by odwrócić jego uwagę i dać czas jej i dzieciom uciec jak najdalej na północ. Nie wiedziała jednak, co powiedzieć, więc w końcu odparła:

– Nie. Wszystko jasne.

– Świetnie. No, mamy cztery godziny. Mogę się zdrzemnąć.

Ułożył głowę na siodle, nasunął kaptur na twarz i skrzyżował ramiona na piersi. Maddie czuła, jak ścisną ją w żołądku. Nerwy miała napięte jak struny.

– Jak możesz zasnąć w takiej chwili? – spytała, lecz odpowiedziało jej tylko ciche chrapanie. Zerknęła podejrzliwie na Willa.

– Błefujesz – stwierdziła.

– Skąd, śpię jak zabity – odpowiedział głos spod kaptura.



Will odpoczywał przez kilka godzin, a kiedy cienie zaczęły się wydłużać, wstał i przeciągnął się, a potem sięgnął po futerał z zapasowymi strzałami i sakwę, w której woził różne potrzebne rzeczy. Rozwiązał futerał, zajrzał do środka i wyjął kilkanaście strzał. Maddie podeszła bliżej. Każda ze strzał była powyżej grotu owinięta kawałkiem tkaniny.

– Co to? – spytała z ciekawością. Nie widziała takich wcześniej. Will podniósł wzrok i wyjaśnił:

– Płonące strzały. Zawsze warto mieć kilka w pogotowiu. Z powodu tego kawałka szmatki inaczej rozkłada się ciężar, więc trzeba je dociążyć, żeby leciały z taką samą siłą jak normalne strzały. Są też trochę dłuższe, by, kiedy naciąga się cięciwę, nie dotknąć łuku płonącym końcem.

– Zawsze je wozisz ze sobą?

Przytaknął.

– Zawsze mogą okazać się potrzebne. Gdybym musiał robić je na poczekaniu, straciłbym mnóstwo czasu.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – powiedziała Maddie z namysłem.

– Otóż to. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać – rzekł, podnosząc jedną ze strzał. Wyjął z torby niewielkie drewniane naczynie w kształcie walca, odkręcił pokrywkę. W środku znajdował się olej. Will wsunął trzy strzały do środka i ostrożnie postawił naczynie, tak by szmatki nasiąkły porządnie. Po kilku minutach wyjął strzały i obejrzał je, a potem owinął kawałkiem impregnowanej tkaniny, żeby olej nie wyparował. Umieścił w naczyniu kolejne dwie strzały i powtórzył całą procedurę.

Maddie przyglądała się temu z zafascynowaniem. Znowu pomyślała, że bycie zwiadowcą to coś więcej niż umiejętność strzelania i poruszania się w bezgłośny sposób.

– Jak chcesz je podpalić? – zapytała. – Jeżeli zaczniesz krzesać ogień, tamci zobaczą cię, zanim zdążysz oddać strzał.

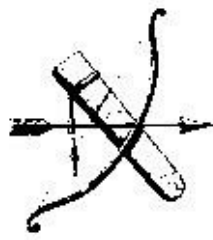
– Wezmę ślepą latarnię – wyjaśnił i pokazał jej małą metalową latarenkę. W środku stała świeca, a z przodu znajdowała się klapka, którą można było zamykać i otwierać, w zależności od tego, czy chciało się przysłonić światło czy nie.

Maddie z podziwem potrząsnęła głową.

– Pomyślałeś o wszystkim.

Will spojrzał na nią.

– Wątpię – powiedział. – Choćbyś nie wiem jak dokładnie obmyśliła plan, choćbyś nie wiem jak pewna była, że o niczym nie zapomniłaś, zawsze coś ci umknie.





Maddie przykucnęła na ścieżce, prowadzącej w dół klifu. Porywacze i członkowie załogi siedzieli w namiocie i kończyli posiłek. Kilka latarni jasno oświetlało stół. Maddie pomyślała, że dzięki temu będzie jej łatwiej pozostać niezauważoną. Oślepieni blaskiem, nie dojrzą jej w ciemnościach.

Większość siedziała dokoła stołu. Donald i Thomas, ci dwaj, którzy byli w obozie, kiedy dotarła z Willem na miejsce, przygotowywali i podawali jedzenie. Sami jedli, siedząc na ziemi w odległości kilku metrów od ogniska.

Porywaczom i żeglarzom dopisywały humory. Rozmawiali głośno i z ożywieniem, często wybuchali śmiechem. Maddie pomyślała, że mają powody do zadowolenia. Uprawdzili dziesięcioro dzieci, które zamierzali sprzedać na targu niewolników w Sorocco.

Księżyc wzniósł się nad oceanem, zmieniając wodę w płynne srebro. Czarny kształt statku rysował się wyraźnie na tym tle. Przybierająca woda chlupotała dokoła kadłuba i statek już nie przechylał się na bok.

Maddie zauważyła, że porwane dzieci nie dostały wieczorem jeść. Widocznie dawano im tylko jeden posiłek dziennie. Ruhl pewnie nie zamierzał wydawać na swych jeńców więcej pieniędzy niż minimum, konieczne, by utrzymać ich przy życiu.

Czekała, wyciągając rękę w stronę księżyca, do chwili, gdy zawisł nad wodami na szerokość czterech palców. Tak umówili się z Willem. Właśnie w tym momencie ruszał w dół klifu po północnej stronie zatoki. Maddie jeszcze raz spojrzała na mężczyzn. Byli całkowicie pochłonięci jedzeniem. A także piciem, sądząc po donośnych rechotach, które rozbrzmiewały z coraz większą częstotliwością.

Odłożyła łuk na ziemię. Tylko by przeszkadzał podczas wędrówki w ciemnościach, w takich warunkach lepiej mieć obie ręce wolne. Jeszcze obwiązała procę dokoła prawej dłoni i zaczęła schodzić.

Teren był nierówny. Maddie powoli posuwała się do przodu, stawiając ostrożnie każdy krok. Wiedziała, że w chwili, kiedy zejdzie ze szczytu, nie będzie jej widać na tle ciemnego zbocza. Ale bała się, że może się potknąć i spaść, i narobić hałasu, a wtedy bandyci, zaniepokojeni, zaczną rozglądać się i szukać jego przyczyny.

Jej stopa pośliznęła się na drobnym żwirku. Kilka kamyków potoczyło się po ścieżce i odbiło od skały. Zamarła w miejscu. Serce podeszło jej do gardła. W jej uszach odgłos spadających kamyków brzmiał jak huk lawiny. Lewą rękę położyła na woreczku z nabojami, gotowa w każdej chwili wyjąć jeden i załadować.

Odczekała minutę. Ale nic nie wskazywało na to, że ktoś ją usłyszał. Ruszyła dalej, teraz uważała jeszcze bardziej. Niewyraźny cień powoli zsuwał się w dół, prawie niedostrzegalny na tle ciemnego wzniesienia.

Dotarła do miejsca, gdzie ścieżka gwałtownie zakręcała. Zbocze pokrywał drobny żwir. Maddie pokonywała zakręt, stawiając kroki z wielką ostrożnością. Spojrzała przez ramię, na namiot koło ogniska. Bandyci nadal ucztowali. Znowu rozległ się wybuch śmiechu.

– Tak, tak, pohłasujcie trochę – mruknęła. – Wtedy mnie nie będzie słyhać.

Teren trochę się wyrównał. Wcześniej Maddie musiała poruszać się w kucki, by nie stracić równowagi, teraz wstała i szybkim krokiem dotarła do kolejnego zakrętu. Pokonując go, znowu stąpała z większą ostrożnością. Zostało tylko dwadzieścia metrów. Wysiłkiem woli skupiła uwagę. Kiedy widać metę, kusi, by odpuścić i przyspieszyć kroku. Maddie jednak ruszyła dalej powoli i ostrożnie, znowu w kucki. Czuła, jak ziemia usuwa się jej spod stóp, kiedy stąpnęła na jakiś większy kamień, czasami zapadała się w dziury i koleiny. Jedna z nich okazała się głębsza, niż Maddie przypuszczała. Uderzyła się boleśnie w plecy i mimowolnie wydała lekki okrzyk. Zamarła z przerażenia. Ten dźwięk brzmiał w jej uszach głośno jak wrzask. Ale mężczyźni nie zareagowali. Maddie ruszyła dalej i po chwili wreszcie dotarła do podnóża skałek.

Teraz znowu musiała czekać. Jak to kiedyś ujął Will, typowy dzień zwiadowcy składa się z wielu godzin czekania i kilku minut gorączkowej akcji.

Teraz Maddie czekała właśnie na tych kilka minut. Żołądek przypominał ciasny supeł... a napięcie było nie do zniesienia. Maddie nie wiedziała, czy Will już dotarł do podnóża góry na ponocnym krańcu plaży. Może na przykład upadł i jest ranny? Jeżeli ścieżka, którą wybrał, przypominała tę, którą schodziła Maddie, wystarczyłby jeden nieostrożny krok, żeby wylądował na ziemi ze złamaną kostką. Albo uderzył się i stracił przytomność.

Im dłużej czekała, tym bardziej przerażające obrazy malowała jej wyobraźnia. Co zrobi, jeśli Willowi się nie uda? Jeśli został

gdzieś tam, na drodze? Jak ona ma wtedy uratować dzieci?

Było za późno, by biec po pomoc. Najbliższą miejscowością było Ambleton. Zanim by tam dotarła i sprowadziła szeryfa i jego ludzi, porywacze z dziećmi byłoby już daleko stąd, zmierzając w stronę targu niewolników w Sorocco.

Może mogłaby podpalić statek, a potem uwolnić dzieci? Od razu odrzuciła ten pomysł. Szanse, że nikt nie zauważy jej, biegnącej przez plażę, były bliskie zeru. Poza tym Will miał przecież odciągnąć pościg na południe.

Istniała też inna opcja. Maddie miała w kołczanie dwa tuziny strzał. Wokół stołu siedziało osiemnastu mężczyzn. Mogłaby po prostu zacząć do nich strzelać. Zaskoczeni i przerażeni, zapewne by uciekli.

Ale po chwil zastanowienia uznała, że plan jest nierealny. Może zdołałaby zastrzelić dwóch, trzech – gdyby była naprawdę szybka. Ale ci mężczyźni nie byli prostymi wieśniakami, których może przestraszyć niespodziewany atak w ciemnościach. To byli bezwzględni złoczyńcy, gotowi za wszelką cenę bronić swoich zysków. Na pewno od razu padliby na ziemię, pochowali się za namiotami, pod stołem, za głazami, rozsianymi po plaży. A potem rozpoczęliby kontratak i prędko zyskaliby nad nią przewagę.

Zresztą, jak przypomniała sobie z rozgoryczeniem, zostawiła łuk na szczycie klifu.

Westchnęła. Jeśli Willowi się nie uda, nie będzie mogła nic zrobić. Będzie musiała patrzeć bezradnie, jak porywacze prowadzą dzieci na pokład i odpływają.

I nagle to zobaczyła. Krótki rozbłysk światła na tle ciemnej masy gór. Will otworzył klapkę w latarni, by podpalić strzałę. Kiedy zamknął klapkę, światło zniknęło.

Ale teraz pokazało się kolejne światło, maleńki punkt. Maddie uświadomiła sobie, że patrzy na płonący czubek strzały. Odwróciła się z przestachem i spojrzała na porywaczy. Nadal siedzieli wokół stołu, w kręgu ostrego światła. Żaden z nich nie dostrzegł krótkiego rozbłysku pośród skał.

Żółty punkt zakreślił łuk na tle nocnego nieba, po czym zaczął opadać w kierunku statku. Wbił się chyba tuż obok podstawy masztu. Przez chwilę nic się nie działo. Nadal był widoczny, ale nie powiększał się. Zapewne trafił w takie miejsce, gdzie nie leżało nic, co mogłoby zająć się ogniem. Strzała zaraz się wypali, nie robiąc żadnej szkody.

Maddie zakłęła w duchu.

Ciemne niebo przeciął kolejny ognisty punkt, zatoczył większy łuk niż poprzedni, łuk, kończący się chyba dokładnie w miejscu, gdzie wisiał luźno zwinięty żagiel.

Tym razem go zauważyli.

– Co to było? – Bajarz, który siedział zwrócony twarzą w stronę oceanu, wyprostował się raptownie i wyciągnął rękę w kierunku statku.

Ruhl spojrzał na niego z umiarkowanym zainteresowaniem.

– Ale co? – zapytał. Czuł się przyjemnie rozleniwiony, syty po obiedzie, zakrapianym winem i nie życzył sobie, by mu przeszkadzano.

Bajarz nadal trzymał rękę wyciągniętą w kierunku statku i pozostali mężczyźni odwrócili się, by sprawdzić, o co chodzi.

– Błysk światła – powiedział. – Coś jak spadająca gwiazda. Poleciało prosto na pokład. O, następne!

Ostatnie słowo głośno wykrzyknął. Oto trzecia strzała pomknęła nad plażą. Trafiła niedaleko podstawy masztu, ale tymczasem smołowany żagiel zajął się ogniem od poprzedniej strzały i buchnął jasnym płomieniem.

– Płonące strzały! – krzyknął kapitan. – „Czarownica” w niebezpieczeństwie! Ktoś próbuje ją spalić!

Krzesa, odepchnięte gwałtownie, uderzyły o ziemię. Mężczyźni skoczyli na równe nogi. Pierwsi zareagowali członkowie załogi, którzy natychmiast pobiegli ratować statek. Teraz płonęła też podstawa masztu. A po chwili niebo przeciął kolejny świetlny punkt i uderzył w kadłub.

Ogień na razie płonął spokojnie i nie rozszerzał się, ale wszyscy doskonale zdawali sobie sprawę, że lada chwila może nabrać wściekłej mocy, ogarnąć cały statek, kładąc kres jego istnieniu.

Obserwując tę scenę, Maddie nagle przypomniała sobie lekcje iberyjskiego.

– La Bruja. Czarownica – mruknęła. – Tak nazywał się statek.

– Pomóżcie! – krzyknął kapitan do grupy porywaczy, stojących niepewnie wokół stołu. Machnął gwałtownie ramieniem, by szli za nim. Jego ludzie już dobiegli do statku i polewali wodą morską płonąca podstawę masztu. Do żagla, który płomienie pochłaniały z coraz większą intensywnością, nie byli w stanie sięgnąć.

– Jeśli stracimy statek, stracimy wszystko! – krzyknął. Te słowa chyba wreszcie przełamały stupor, w którym tkwili Ruhl i jego ludzie.

– Dalej! – krzyknął Bajarz i wszyscy ruszyli biegiem. Kapitan krzyczał na swoich ludzi, wydawał rozkazy. Poleciał opuścić reję z płonącym żaglem i ugasić płomienie wodą.

W tym momencie świsnęła kolejna strzała. Wylądowała na dziobie, gdzie leżały zwoje smołowanej liny. Płomień strzelił w górę, polizał smołę, stopił ją i ogarnął cały zwój.

– Zgaście to! – wrzasnął kapitan do Ruhla i jego kamratów. Członkowie załogi właśnie cisnęli do wody resztki żagla. Rozległ się głośny syk, buchnęła para. Maddie, uświadomiwszy sobie, że w tym momencie wszyscy są zajęci gaszeniem ognia, skierowała się w stronę opuszczonego namiotu. W pośpiechu podbiegła nie do tego słupka, co powinna. Kiedy nie dojrzała kluczy, ogarnęła ją panika. Szybko jednak dostrzegła swój błąd. Klucze wisiały na następnym słupku. Chwyciła je, a potem spojrzała na statek.

Zwój liny na dziobie płonął gwałtownie, ogień zaczął rozprzestrzeniać się na zapasowe żagle, zwinięte i ułożone wzdłuż obu burt. Ruhl i jego ludzie próbowali zdusić płomienie kurtkami i płaszczami. Kapitan, dostrzegłszy to, posłał na dziób dwóch swoich ludzi z całym stosem wiader. Mężczyźni zaczęli polewać płomienie wodą morską. Powoli przejmowali kontrolę nad pożarem.

Ruhl próbował dociec, skąd nadleciały strzały.

– Kto to strzela? – wrzasnął w wściekłością, kiedy świsnęła kolejna strzała. Tym razem zwykła, używana podczas bitew – zagłębiła się w pierś stojącego obok niego mężczyzny.

Ranny zachwiał się pod siłą uderzenia ciężkiego drzewca, po czym padł prosto na płonący żagiel, przy okazji gasząc go częściowo. Ruhl rozejrzał się prędko, akurat, by dojrzeć kolejną płonąca strzałę, nadlatującą od strony skał. To była ostatnia – lecz

spanikowani mężczyźni na pokładzie oczywiście nie mogli o tym wiedzieć.

– Są u podnóża tych skał! – krzyknął Ruhl. Nagle poczuł, że pokład drgnął pod jego stopami. Rozejrzał się dokoła. Kapitan właśnie odrąbywał toporkiem linę kotwiczną. „Czarownica” zaczęła oddalać się od brzegu. Ruhl podbiegł do kapitana i chwycił go za ramię.

– Co ty wyprawiasz? Oszalałeś?

Kapitan spojrział na Ruhla. Twarz miał usmarowaną sadzą z płonącego żagla, ramiona czerwone i pokryte pęcherzami – ogień osmalił je, kiedy wyrzucał żagiel za burtę. Nie był w nastroju do dyskusji. Wiedział, że wystarczy chwila, by jego statek stanął w płomieniach.

– Ratuje statek. Tutaj stanowi doskonały cel, a ja nie zamierzam ryzykować!

Statek coraz bardziej oddalał się od brzegu na fali odpływu. Ruhl rozejrzał się, zdesperowany.

– Są na tamtych skałach! – krzyknął. – Strzelcy są na tamtych skałach! Możemy ich dopaść!

– To dopadaj! Zostawię ci dwóch ludzi. – Kapitan przesunął wzrokiem po członkach załogi. – Enrico! Anselmo! Idziecie z señorem Ruhlem! – Spojrział na przywódcę porywaczy. – Lepiej wyskakuj, ostatni moment. Wrócimy jutro.

Ruhl zawahał się. Szybko podjął decyzję. Przeskoczył przez burtę, wylądował w wodzie po pas i zawołał swoich ludzi. Ruszył do brzegu. Rozległa się seria plusków. Kiedy się obejrzał, zobaczył resztę bandy i dwóch członków załogi, brnących do brzegu.

Wyszedł na plażę, potknął się – i to uratowało mu życie. Strzała przecięła powietrze tuż nad jego głową. Popatrzył w kierunku skał. Nie miał pojęcia, ilu strzelców tam się kryje, ale wiedział, że on i jego ludzie mają do obrony jedynie noże.

– Biegnijcie po broń! – krzyknął. W tym samym momencie kolejna strzała trafiła w ramię stojącego obok mężczyznę. Krzyknął z bólu, ale to było tylko draśnięcie. Jeden z jego towarzyszy prędko obwiązał ranę chustką zdjętą z szyi.

– Nic mu nie będzie! – zawołał do Ruhla.

Ruhl kiwnął głową, po czym, kuląc się, by uniknąć kolejnych pocisków, poprowadził swoich ludzi w stronę obozowiska.



47

ROZDZIAŁ

Maddie dotarła do groty. Przez chwilę nerwowo szukała odpowiedniego klucza. Z głębi jaskini dobiegł rozpaczliwy krzyk. Widocznie dzieci sądziły, że zaraz zostaną zabrane na pokład. Widziały tylko ciemną postać w pelerynie. Jedno z nich zaczęło płakać.

– Cisza! – syknęła. – Wszystko w porządku, przyszedłam wam pomóc...

Nagle usłyszała za plecami kroki. Odwróciła się pospiesznie. Ruhl i jego ludzie biegli przez piaszczystą plażę. Przestraszyła się, że ją zauważyli, sięgnęła do woreczka z nabojami.

Ale potem usłyszała, jak Ruhl wydaje rozkazy.

– Biercie broń! Brad, przynieś kuszę! Są u podnóża skał. Rozbiegnijcie się i próbujcie się schować!

Maddie przycisnęła się do ciemnej skały. Jedno z dzieci nadal płakało. Inne próbowało je uciszyć i uspokoić. Maddie bardzo chciała, by dzieciaki się zamknęły. Bała się, że przyciągną uwagę Ruhla czy któregoś z jego ludzi.

Ruhl nadal wydawał rozkazy. Maddie odwróciła się w stronę groty. Miała nadzieję, że krzyki Ruhla zagłuszą jej głos.

– Cisza! – syknęła znowu. – Cisza albo dostaniecie w skórę!

Nie była zachwycona, że straszy i tak przerażone dzieci, ale jej słowa chyba odniosły zamierzony efekt. Płacz przycichł, zmienił się w zduszone łkanie. Wzruszyła ramionami. Postanowiła, że później przeprosi nieszczęsnego dziecko.



Will z ponurym zadowoleniem podziwiał rezultaty swojej pracy. Czarny statek znajdował się teraz pośrodku zatoki, oddalał się na fali odpływu, a członkowie załogi walczyli z wioślami.

Przeżył chwilę prawdziwej grozy – kiedy Ruhl wraz ze swymi ludźmi zawrócili w stronę obozu. Bał się, że mogą dostrzec Maddie. Potem jednak usłyszał, jak Ruhl wydaje rozkazy i uświadomił sobie, że porywacze pobiegli po broń i zamierzają go zaatakować.

– Powiniennem był to przewidzieć – mruknął do siebie. Oto właśnie jedna z tych rzeczy, które potrafią zepsuć cały plan. Miał nadzieję, że nadal nie dostrzegli Maddie. Potem zobaczył, że znów biegną w stronę plaży, ostrożnie, kryjąc się i klucząc.

Pomyślał, że mógłby trochę przetrzebić ich szeregi, ale zaraz porzucił ten pomysł. Gdyby uznali, że ryzyko jest zbyt wielkie, zapewne zostaliby w pobliżu obozowiska i Maddie nie mogłaby uwolnić dzieci z groty. Musiał poczekać, aż dotrą do skał, musiał odwrócić ich uwagę, odciągnąć ich na bezpieczną odległość.

– Jutro sobie do nich postrzelam – uznał, podążając wąską ścieżką na szczyt klifu.

Poruszał się cicho i zwinnie, bez chwili wahania, tak jak to robił przez wszystkie lata zwiadowczej kariery. Nagle jednak pomyślał, że w tej sytuacji nie ma sensu się skradać. Przeciwnie, tamci powinni go zauważyć i pobiec za nim. Zauważył kupkę kamieni na skraju ścieżki, pchnął je czubkiem buta, aż poleciały w dół, odbijając się z łoskotem od skalnej ściany.

Ruhl, zaalarmowany hałasem, podniósł wzrok i zobaczył ciemną postać.

– Tam są! – krzyknął, wyciągając rękę przed siebie. A potem pobiegł w stronę skał. Jeden z jego ludzi ukląkł i wymierzył z kuszy do ciemnego kształtu na skale, odciągając spust.

Will, usłyszawszy aż nazbyt dobrze znany dźwięk, przypadł płasko do ziemi. Sekundę później ciężki bełt świsnął nad jego głową i otarł się o skałę. Spod żelaznego grotka poleciały iskry.

Strzelec podniósł się. Widział, jak przeciwnik pada na ziemię.

– Trafiony! – krzyknął triumfalnie.

– Chybiłeś, durniu! – warknął Ruhl. – Patrz, tam jest!

Postać znów prędkim krokiem zmierzała w stronę szczytu. Ruhl kazał swoim ludziom ruszać dalej. Ten, który strzelał z kuszy, przystanął, by załadować kolejny bełt. Wsunął stopę w strzemię z przodu i obiema rękami odciągnął grubą cięciwę. Will, dotarwszy na szczyt, odwrócił się. Mężczyzna znajdował się na otwartej przestrzeni. Nadal walczył z cięciwą. Will nienawidził kuszników. Umocował strzałę w cięciwie, naciągnął i wypuścił ją. Strzała pomknęła w dół.

I trafiła kusznika prosto w pierś. Wydał z siebie okrzyk bólu, zachwiał się i padł na ziemię, wypuszczając broń z ręki. Ruhl

przystanął, podniósł kuszę i kołczan pełen krótkich ciężkich bełtów. Potem spojrzął w górę. Ale ciemna postać, którą wcześniej tam widział, zniknęła.

– Ruszajcie się! – krzyknął. – Jest tylko jeden człowiek!

Kiedy zaczął wspinać się ścieżką pod górę, nagle pomyślał, że owszem, być może tylko jeden, ale załatwił kusznika z niezwykłą łatwością – a to mogło nieco komplikować sprawę.



Maddie szarpała się z opornym zamkiem. Miała wrażenie, że trwa to całą wieczność. Nagle puścił. Otworzyła kratę. Przywitał ją chór przerażonych głosów. Bardziej wyczuła, niż zobaczyła, jak dzieci cofają się przed nią w ciemności.

– Nie bójcie się. Przyszłam z pomocą.

Starła się nadać głosowi uspokajające brzmienie. Ale napięcie i emocje sprawiły, że zabrzmiał on jak nerwowy pisk. Uświadomiła sobie, że dzieci widzą tylko zarys sylwetki w pelerynie na tle rozjaśnionym blaskiem świateł z plaży. Odrzuciła pelerynę do tyłu i uniosła rękę.

– Spójrzcie! Jestem dziewczyną! Zwiadowczynią. Przyszłam wam pomóc. Chodźcie za mną.

Jej oczy przyzwyczyły się do ciemności panujących w grocie. Widziała teraz grupkę niewyraźnych kształtów, stłoczonych razem. Jeden z więźniów, chłopiec, przewyższający pozostałych wzrostem, zrobił krok do przodu.

– Nie możesz być zwiadowczynią. Nie ma dziewczyn-zwiadowców – powiedział podejrzliwie.

Maddie wzięła głęboki wdech. Miała ochotę chwycić go za nos i wyciągnąć na zewnątrz. Ale wiedziała, że wówczas nigdy nie uda się jej skłonić pozostałych, by wyszli z groty. Tulili się do siebie, płacząc. Opanowała się jakoś, nadała głosowi prawie normalne brzmienie.

– A jednak. Mam na imię Maddie i jestem uczennicą Willa Treaty’ego.

Rozległ się cichy szmer. Wszyscy słyszeli o Willu. Widząc, jakie wrażenie wywiera jego imię, dodała:

– Will chce, byście poszli ze mną. Dołączy do nas jutro, kiedy rozprawi się z Tym, Który Zakrada się Nocą i jego kolegami. A teraz idziemy.

Nadal się wahali. Chwyciła chłopaka za ramię, potrząsnęła.

– Jak się nazywasz? – spytała.

– Tim. Tim Stoker.

– Posłuchaj, Tim. Potrzebuję twojej pomocy. Zajmij się najmłodszymi dziećmi, poprowadź je na szczyt klifu. Ja będę osłaniać tyły, w razie gdyby ktoś nas gonił. W porządku?

Mówiła głosem tak spokojnym i uspokajającym, na jaki tylko potrafiła się zdobyć, patrząc chłopcu prosto w oczy. W końcu wyprostował się, uniósł głowę i odparł:

– No dobrze. – Potem odwrócił się i powiedział do pozostałych dzieci: – Chodźcie za mną. Zróbmy tak, jak mówi zwiadowczyni. Nie bójcie się. W razie czego ona nas obroni.

Niepewnie, z wahaniem, zaczęli wychodzić z groty. Maddie stała z boku, popędzając ich w kierunku ścieżki na szczyt, popychając lekko co bardziej opornych. Zaczęli się wspinać. Irytująco powoli.



Bajarz był tchórzem.

Uwielbiał straszyć dzieci opowieściami o Tym, Który Zakrada się Nocą i wszystkich okropnościach, które spotkają każdego, kto piśnie rodzicom choćby słówko na jego temat. Natomiast ścigać sprawnego łuczniczkę, w dodatku w ciemnościach – to już była zupełnie inna sprawa.

On również zwrócił uwagę na to, z jaką łatwością Will zlikwidował kusznika. Widział też, jak jeden z członków załogi padł na pokład, a innego strzała trafiła w ramię. Nie zamierzał zostać kolejną ofiarą. Opowiadanie przerażających historii to jedno. Walka ze sprawnym i zdeterminowanym wojownikiem – drugie.

Przystanął u podnóża klifu. Zawahał się. Niepewnie obejrzał się przez ramię. Zmrużył oczy. Dojrzał jakiś ruch na ścieżce w pobliżu groty, w której przetrzymywali porwane dzieci. Wytężył wzrok. I zaklął cicho. Po ścieżce wspinała się gęsiego grupka drobnych postaci.

Odwrócił się, by ostrzec towarzyszy. Ale ten najbliżej znajdował się już w połowie drogi, a Jory zdążył nawet dotrzeć na szczyt. Podjął szybką decyzję. Niech Jory i reszta zajmą się łuczniczką, a on złapie jeńców, którzy jakimś cudem zdołali uciec.

Odwrócił się i puścił biegiem w stronę obozowiska.



Kiedy pierwszy z mężczyzn pokazał się na szczycie, nisko schylony w obawie przed strzałami, Will prychnął ze wzgardą. Gdyby chciał, i tak mógłby go załatwić, pochylonego czy nie. Ale nie było to jego celem w tym momencie. Przede wszystkim musiał odciągnąć ich jak najdalej od Maddie i dzieci.

Zaczął biec przez sięgające pasa zarośla. Zatrzymał się, chwycił najbliżej rosnący krzak, potrząsnął nim mocno, jednocześnie kopiąc w najniższe gałęzie, aż zaczęły się łamać.

Ruhl spojrzął w kierunku, skąd dochodził hałas. Na widok ciemnej postaci krzyknął:

– Tędy! – A potem dodał: – Rozdzielcie się! W grupie stanowicie łatwy cel!

Will z zadowoleniem kiwnął głową. Zamierzał hałasować tak od czasu do czasu i dawać znać o swej obecności, aż do chwili, gdy uzna, że doprowadził ich odpowiednio daleko na południe. Wtedy znacznie poruszać się bardziej ostrożnie, oddali się niepostrzeżenie i pobiegnie na spotkanie z Maddie.



Maddie usłyszała odgłos kroków na piasku. Znajdowała się w odległości kilku metrów od grotu, gotowa stawić czoło pościgowi. Ostatnie z dzieci były w połowie drogi do pierwszego zakrętu, jakieś pięć metrów nad poziomem plaży. Przywarła do szorstkiej skalnej ściany, ściśle owijając się peleryną. Wyjęła pocisk z woreczka i wsunęła go w kieszonkę procy.

Nagle Bajarz pokazał się na ścieżce i przebiegł obok niej, tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Gonił za uciekającymi dziećmi, długimi krokami prędko pokonując dzielącą ich odległość. Na widok przerażającej postaci w niebieskim płaszczu zaczęły krzyczeć, a ostatnia w szeregu, dziewczynka, próbowała uciekać i pośliznęła się na luźnym odłamku skały. Nagle Bajarz znalazł się przy niej, poły płaszcz zawirowały dokoła niego niczym skrzydła jakiejś mrocznej istoty. Podciągnął ją i postawił na ziemi, nie wypuszczając z mocnego uścisku i wrzeszcząc z wściekłością. Dziewczynka krzyczała ze strachu.

Maddie zawahała się. Gdyby wypuściła teraz pocisk, mogłaby niechcący trafić dziewczynkę.

– Chyba mówiłem, co się stanie, jak nie będziecie słuchać! Co? Mówiłem czy nie? – Bajarz brutalnie potrząsnął małą, która krzyczała coraz głośniejsze, coraz bardziej przerażona.

– Zostaw ją! Zostaw ją, ty tchórze!

Młody głos przebił się przez wrzaski Bajarza i łkanie dziewczynki. To był Tim Stoker, ten wysoki chłopak, któremu Maddie kazała prowadzić pochód. Teraz zbiegał po ścieżce, odpychał z drogi kolejne dzieci, ślizgał się na luźnych kamieniach. Straciwszy równowagę, nie mogąc się zatrzymać, wpadł z impetem na Bajarza, który puścił dziewczynkę, rzucając ją na skalną ścianę. Potem chwycił Tima za kołnierz, a wolną ręką sięgnął po nóż, ukryty w bucie.

– Chcesz walczyć? Zobaczymy, jaki jesteś odważny, kiedy cię podziurawię nożem, mała gnido!

Przesunął rękę z nożem do tyłu i najwyraźniej zamierzał poderżnąć chłopakowi gardło. Maddie wiedziała, że musi zaryzykować. Jeśli się zawaha, Tim zginie.

Zakołysała procą. Ołowiany pocisk pomknął do celu. I walnął Bajarza w pierś, z prawej strony, w miejscu, które odsłonił, podnosząc rękę.

Bajarz stracił dech w piersiach, najpierw z zaskoczenia, a po chwili z gwałtownego bólu – gdyż ołowiany pocisk zmiażdżył mu żebro. Wypuścił nóż z jednej ręki i kołnierz Tima z drugiej. Nabrał powietrza w płuca, chciał krzyczeć, ale niechcący zadał sam sobie jeszcze większy ból, kiedy strzaskane fragmenty żeber otarły się o siebie. Wrzasnął głośno, przyciskając obie dłonie do boku. Odwrócił się, potknął na nierównym gruncie i nagle zdał sobie sprawę, że pod prawą stopą nie ma nic prócz powietrza.

Zachwiał się, zastygł w bezruchu, ale w końcu przechylił się do przodu i poleciał. Po kilku sekundach rozległ się odgłos ciała uderzającego o skały.

Tymczasem Maddie ruszyła pod górę. Delikatnie ujęła dziewczynkę pod ramię i pomogła jej się podnieść.

– Chodź, kochanie. Już jesteś bezpieczna.

Mała popatrzyła na Maddie wielkimi oczami. Kiedy uświadomiła sobie, że przerażającego Bajarza już nie ma, na jej twarzy z wolna zajaśniał uśmiech.

– Już nic mi nie zrobi. Nic mi nie zrobi – powtarzała.

Maddie poklepała dziewczynkę po ramieniu, a potem pchnęła delikatnie. Pozostałe dzieci, które przez cały czas stały jak wmurowane w ziemię, teraz powoli ruszyły dalej.

– Szybciej! – ponaglała je Maddie zdenerwowanym głosem. – Musicie się pospieszyć.

Odwróciła się i wyciągnęła rękę do Tima Stokera, który padł jak długi na ziemię, gdy Bajarz wypuścił go gwałtownie z uścisku. Kiedy przypomniał sobie, jak bliski był śmierci, ze strachu poblądł jak kreda.

– Jesteś bardzo dzielnym chłopcem – powiedziała Maddie. Jakoś nie pomyślała, że jest od niej zaledwie parę lat młodszy. – Wszystko w porządku?

Przytaknął w milczeniu. Nie ufał własnemu głosowi, przypuszczał, że nie potrafiłby zapanować nad jego drżeniem. Położyła rękę na jego ramieniu i skierowała w stronę oddalającej się grupy.

– Ruszaj, Tim. Musimy się stąd zabierać. – Pomyślała, że może warto byłoby dać mu kolejne zadanie. – Popędzaj ich. Musimy się pospieszyć. Możesz to dla mnie zrobić?

Oczy miał wielkie jak spodki, nadal wyczierał z niech strach. Ale w końcu odzyskał panowanie nad sobą i kiwnął głową.

– G... gdzie jest Bajarz? – zapytał. Nadal nie bardzo rozumiał, co się wydarzyło. W jednej chwili widział tuż przed swoją twarzą to długie ostrze, które zaraz miało zatopić się w jego szyi. A w następnej leżał oszołomiony na kamienistej ścieżce. Maddie ścisnęła jego ramię krzepiącym gestem.

– Nie musisz więcej nim się przejmować – powiedziała. – Nie żyje.

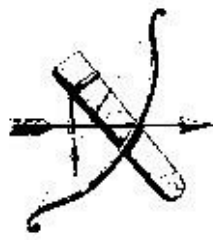
– Nie żyje? – powtórzył z niedowierzaniem. Maddie energicznie pokiwała głową.

– Zimny jak kamień – odparła. I nagle uświadomiła sobie niezamierzony żarcik językowy. Tim popatrzył na nią, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Pospieszę ich – powiedział. Odprowadziła go wzrokiem, wydała długie ciche westchnienie ulgi. A potem na wszelki wypadek podeszła na skraj wzniesienia i popatrzyła w dół.

Na skałach poniżej rysował się ciemny kształt. Płaszcz łopotał na wietrze. Bajarz wylądował na plecach, na skalnym występie, jego ciało wygięło się pod nienaturalnym kątem. Nie ruszał się.

– Byłaby z tego niezła opowieść do twojego zbioru – rzuciła mu Maddie na pożegnanie. A potem pobiegła za pozostałymi dziećmi.





Maddie dotarła na szczyt klifu. Uciekinierzy czekali na nią, tuląc się do siebie. Podniosła z ziemi łuk, który wcześniej ukryła w wysokiej trawie. Potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że od chwili, kiedy wyruszyła tą ścieżką w dół, minęło kilka dni, a nie godzin.

– Odsuńmy się od skraju – powiedziała. Ruhl w każdej chwili mógł zrezygnować z pogoni za Willem, wrócić do obozu i zobaczyć, że więźniowie uciekli. Gdyby podniósł wzrok, zobaczyłby ich na szczycie klifu, wyraźnie widocznych na tle nieba.

Dzieci posłusznie odeszły dalej i ustawiły się w półkolu, patrząc wyczekująco na Maddie. Grupa składała się z sześciu chłopców i czterech dziewczynek, na oko w wieku od dziesięciu do czternastu lat. Maddie przesunęła wzrokiem po ich twarzach. Widziała na nich mieszaninę strachu, oszołomienia i ulgi. Odetchnęła głęboko kilka razy. Adrenalina wciąż krążyła w jej żyłach po spotkaniu z Bajarzem, a wiedziała, że pod wpływem nerwów czy emocji jej głos zaczyna brzmieć piskliwie. Zdawała sobie sprawę, że to raczej nie doda otuchy wpatrzonym w nią dzieciom.

– No dobra – powiedziała, kiedy już udało się jej opanować. – Oto, co się wydarzyło: zostaliście porwani przez bandę handlarzy niewolników.

– Porwał nas Ten, Który Zakrada się Nocą. On jest duchem – poprawiła ją jedna z dziewczynek. Na wspomnienie przerażającego imienia dzieci zaczęły rozglądać się niespokojnie i nieświadomie przysunęły się bliżej do siebie.

Maddie potrząsnęła głową i cierpliwie podjęła:

– On nie jest duchem i nie musicie już się go obawiać. To tylko człowiek. Bardzo zły człowiek, handlarz niewolników. Zamierzał was sprzedać.

– Powiedział, że jeśli nie będziemy go słuchać, zamknie nas w ciemnym, ciemnym lochu i szczury zjedzą nam palce u nóg, a upiory będą nocami pić naszą krew, i że wyłupi nam oczy. – Tym razem odezwał się jeden z młodszych chłopców. Pozostali zgodnie zamruczeli. Maddie poruszyła dłonią w uspokajającym geście.

– Powiedział to, żeby was nastraszyć – odparła. „Zresztą skutecznie”, dodała w myślach. Przypomniała sobie, jak podziało na nich imię Willa, gdy o nim wspomniała podczas wędrówki pod górę. „Zniszcz ducha legendą”, pomyślała. – Powiedzcie mi, ilu z was słyszało o Willu Treatym?

Dziesięć rąk podniosło się jednocześnie. Mimo powagi sytuacji Maddie musiała się uśmiechnąć. Oczywiście, wszyscy słyszeli o Willu Treatym.

– No więc Will Treaty jest moim nauczycielem. On nam pomoże.

Jak można było się spodziewać, wszyscy zaczęli rozglądać się dokoła. Maddie dodała szorstkim tonem:

– Teraz go tu nie ma. Goni Tego, Który Zakrada się Nocą i jego ludzi.

Nie do końca było to prawdą, ale Maddie nie zamierzała tłumaczyć wszystkiego w szczegółach. Uznała, że może nieco podkolorować rzeczywistość.

– A kiedy już go dopadnie, zabije go.

Te słowa chyba dodały im otuchy. Wizja sławnego Willa, zabijającego człowieka, który sprawił im tyle cierpień, wyraźnie poprawiła wszystkim humor.

– Jak go zabije? – spytał ten sam chłopiec, który odezwał się już wcześniej. Maddie spojrzała na niego. No tak, jak to chłopiec, pragnął krwawych i okrutnych szczegółów. Ale to nie był najlepszy moment na tego typu opowieści.

– Nie martw się. Na pewno coś wymyśli.

– Mam nadzieję, że sprawi mu ból! – powiedział chłopiec nienawistnie. – Taki naprawdę porządny.

– Na pewno. I opowie nam o wszystkim, kiedy się spotkamy – odparła Maddie, a potem klasnęła w ręce, by odwrócić ich uwagę od myśli o porywaczu i jego bolesnej i nieuniknionej śmierci. – Słuchajcie! – zawołała energicznie. – Ruszamy dalej. Nie możemy tu zostać. Musimy jak najszybciej dotrzeć do Ambleton. Starsi z was będą szli na piechotę, młodszy mogą jechać na koniu.

Wetknęła palce do ust i cicho zagwizdała. Odpowiedziało jej krótkie rzenie i po chwili konie wynurzyły się z ciemności. Przeprowadziła je tutaj wraz z Willem wcześniej tego wieczoru, przypuszczając, że młodsze dzieci mogą nie dać rady pokonać całej drogi na własnych nogach.

Will nie chciał zabierać Wyrwija ze sobą.

– Chcę, żeby Ruhl widział mnie przez cały czas. Gdybym wszedł na konia, mógłbym zrezygnować z pościgu. Albo doszedłby do

wniosku, że blefuję, skoro jadę tak powoli. Niech lepiej oba konie zostaną z tobą. Mogą się przydać.

Maddie powiodła wzrokiem dokoła i wybrała najmłodsze dzieci.

– Was troje – powiedziała, wskazując na chłopca i dwie dziewczynki, mniej więcej w wieku dziesięciu lat. – Chcecie przejechać się na grzbiecie Wyrwija, słynnego wierzchowca Willa Treaty’ego?

Wyrwij potrząsnął grzywą i popatrzył na Maddie z uznaniem.

Od początku uważałem, że jesteś całkiem fajna.

Maddie, rzecz jasna, nie mogła go słyszeć. Dzieciaki popatrzyły oczami wielkimi jak spodki na myszatego konika i pokiwały głowami.

– No to wskakujcie. – Podniosła pierwszą z dziewczynek i już miała posadzić ją w siodle, gdy o czymś sobie przypomniała. Postawiła dziewczynkę na ziemi i podeszła bliżej do Wyrwija, szukając w pamięci hasła, które przekazał jej Will tamtego dnia, kiedy pojechali po Zderzaka. W końcu sobie przypomniała.

– Czy pozwolisz? – zapytała łagodnie. Miała nadzieję, że hasło działa również w przypadku osób trzecich. Konik popatrzył na nią swymi inteligentnymi oczami. Kilka razy poruszył łbem w górę i w dół.

Maddie była pewna, że nie zrzuciłyby dziecka, lecz ostrożności nigdy zbyt wiele.

Znowu podniosła dziewczynkę i usadowiła ją w siodle. Nie zdejmując ręki z jej ramienia, spojrzała podejrzliwie na Wyrwija.

– Tylko nie rób niczego głupiego, dobra? – powiedziała. Wyrwij odwrócił łeb i spojrział jej prosto w oczy. Miał taką minę, jakby uniósł znacząco brwi – czego, rzecz jasna, nie mógł zrobić. Ale nie zaczął wierzgać ani stawać dęba. Maddie podniosła więc kolejne dziecko, chłopca, i również wsadziła go na grzbiet Wyrwija. Koń stał bez ruchu, spokojnie. Maddie podniosła trzecie dziecko. Wiedziała, że tych troje nie waży tak dużo, by stanowiło to nadmierne obciążenie dla dzielnego konika. Kiwnęła mu głową w podziękę i podeszła do Zderzaka.

– A na tym koniu ktoś ma ochotę się przejechać? – zwróciła się do dzieci.

Dziewczynka skinęła głową, po czym zapytała:

– A czyj to sławny koń?

Zderzak zarżał. Niepokojąco przypominało to chichot. Maddie myślała gorączkowo.

– A mówi wam coś takie imię jak sir Horace, słynny Rycerz Dębowego Liścia, przyjaciel Willa Treaty’ego?

Dziewczynka przytaknęła.

– To właśnie jego koń.

Niedoczekanie! Taki ciężki kloc miałby mnie dosiadać?

Maddie podeszła bliżej i szepnęła Zderzakowi do ucha:

– Bądź tak miły i nie dyskutuj. A tak przy okazji, skąd wiesz, że mój tata jest ciężkim klocem?

Jest rycerzem. Rycerze to same ciężkie kloce. Ale dobra, dawaj ją tu.

– Nie zrzuć jej, zgoda? – Nie była pewna, czy powinna użyć hasła, lecz zrobiła to na wszelki wypadek.

No wiesz!

Posadziła dziewczynkę w siodle i rozejrzała się dokoła. Tim Stoker podniósł rękę.

– Panno Maddie?

Wywróciła oczami. Poczula się jak staruszka.

– Wystarczy Maddie. O co chodzi?

– Roba boli noga. Bajarz przypalił ją rozżarzoną żelazem.

Wskazał na chłopca, mniej więcej w jego wieku, trochę niższego, ale mocnej budowy ciała. Wiedziała, że jeśli wsadzi go na konia, to nie będzie mogła posadzić trzeciego dziecka. Ale co tam. Pozostałe dzieci były starsze. Wyciągnęła rękę w stronę Roba.

– No to wskakuj. Tylko uważaj na nogę.

Pomogła mu wsunąć stopę w strzemień. Teraz zauważyła, że na prawej nodze nosi opatrunek. Wskoczył na siodło i ostrożnie usadowił się za plecami dziewczynki.

Maddie spojrzała na pozostałą piątkę.

– Dobrze. Ruszamy w drogę. I musimy utrzymać szybkie tempo. Wiem, że niektórzy z was źle się czują, że niedojadacie od wielu dni, a nawet tygodni. Ale proszę was, zbierzcie jakoś siły. Jeśli ktoś za bardzo się zmęczy, niech da znać. Na chwilę może zmienić się z kimś na koniu. W porządku?

Wszyscy w milczeniu pokiwali głowami.

– No to chodźmy. Będziemy na zmianę biec truchtem przez dziesięć minut i przez dwadzieścia maszerować.

Czeka nas daleka droga i musimy pokonać ją najszybciej, jak tylko się da. Gotowi? W drogę.

Ruszyła przodem, równym tempem. Zderzak kłusował po jej prawej stronie, Wyrwij za nim. Dzieciaki wahały się przez chwilę, ale w końcu pobiegły za nią bezładną grupą. Z trudem stawiały stopy pośród wysokiej trawy, ale po chwili dotarły do gościńca i od tej chwili szło im się znacznie lepiej. Maddie wiedziała, że były źle traktowane i niedożywione. Ale były dziećmi, a dzieci zwykle są silne i odporne. Dadzą sobie radę. Nie miały wyjścia. Nagle wyczuła czyjąś obecność po swojej lewej stronie. Obejrzała się i zobaczyła Tima.

– Maddie? – zaczął, marszcząc brwi, głosem nierównym i urywanym z powodu biegu.

– Co takiego?

– Jeśli Will Treaty goni teraz porywaczy, to dlaczego musimy uciekać?

Otworzyła usta, lecz zawahała się i rozejrzała dokoła. Nikt więcej chyba nie słyszał tych słów.

– Zatrzymaj to dla siebie, dobrze?

Spojrzała mu prosto w oczy i zobaczyła, że rozumiał. Kiwnęła głową i wrócił na swoje miejsce.



Mijały godziny, a Will ciągnął zabawę w kotka i myszkę. Pozwalał porywaczom zbliżyć się do siebie, pokazywał się na chwilę, by zaraz umknąć im po cichu i nagle znaleźć się gdzieś daleko. Stąpał po cienkiej linie, musiał udawać ściganego w taki sposób, by nie zorientowali się, że tak naprawdę to on kontroluje sytuację. Ale po pewnym czasie stwierdził, że Ruhl dał się nabrać. Teraz na pewno nie zrezygnowałby z pościgu.

Will przywoływał w pamięci wszystkie informacje, które zebrał na jego temat. Tuż po śmierci Alyss przepytał tyle byłych ofiar zbira, ile tylko zdołał. A także tych członków bandy, których udało mu się schwytać.

Z tych rozmów wyłaniał się obraz człowieka okrutnego, bezwzględnego i pozbawionego litości. Obdarzonego inteligencją, lecz również pewną poważną przywarą. Otóż Ruhl nie mógł znieść, kiedy ktoś próbował mu się przeciwstawić. W takich przypadkach ogarniała go ślepa, nieopanowana wściekłość i pragnienie zemsty.

– Podobnie jak mnie jakiś czas temu – mruknął do siebie Will.

Te napady często prowadziły do tego, że Ruhl tracił zdolność racjonalnej oceny sytuacji i podejmował pochopnie nieprzemyślane decyzje.

Dlatego właśnie zwiadowca założył, że jeśli pokrzyżuje jego plany i uwolni dzieci, Ruhl będzie ścigał go zawzięcie i uparcie, z czystej chęci zemsty. Jak się okazało, miał rację.

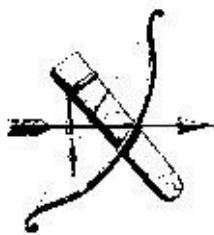
Will odciągał pościg coraz dalej i dalej na południe. Z zadowoleniem myślał sobie, że w tym samym czasie Maddie prowadzi dzieci w przeciwnym kierunku, że biegną tak szybko, jak tylko siły im na to pozwalają.

Spojrzał na niebo po wschodniej stronie. Nad horyzontem pokazały się pierwsze nieśmiałe pasma światła. Tu i tam rozlegały się ptasie wołania, zapowiadające nadchodzący świt.

– Trzeba się pospieszyć – powiedział do siebie. Wiedział, że musi zdążyć, nim zrobi się jasno, w okolicy brakowało miejsc, które mogłyby posłużyć za kryjówkę. Jeszcze raz pokazał się ścigającym. Dobięły go ich krzyki. Potem ukucnął w wysokiej trawie i odwrócił się w prawo. Przeszedł jakieś dwieście metrów, po czym przypadł do ziemi i owinął się peleryną. Wyjął saksę z pochwy i trzymał ją w pogotowiu. Słyszał kroki porywaczy po swojej lewej stronie. Wiele razy stosował ten trik i wiedział, że nie zauważą go, nawet jeśli przejdą w odległości zaledwie paru metrów. No, chyba że któryś by na niego nadepnął. Nieco mocniej zacisnął dłoń na rękojeści noża.

„Ten któryś miałby straszego pecha”, pomyślał.

Słuchał, jak przedzierają się przez wysoką trawę i zarośla. Jeden minął go w odległości zaledwie paru metrów. Will odczekał, aż ich kroki ucichną. Wtedy podniósł się i półprzykucnięty ruszył niepostrzeżenie z powrotem na północ.





Nowy dzień trwał już od kilku godzin i dzieci były bardzo zmęczone. Szły przed siebie, powłócząc nogami, z głowami opuszczonymi i wzrokiem wbitym w ziemię, w kolejny metr twardej pylistej drogi.

Maddie musiała zrezygnować z początkowego planu: dziesięć minut biegu, dwadzieścia marszu. Dzieci nie potrafiły utrzymać tempa, najsłabsze zostawały z tyłu, aż w końcu cała grupa tworzyła linię rozciągniętą na co najmniej sto metrów wzdłuż drogi. A im dłużej biegli, tym bardziej wydłużała się ta linia, bo najsłabsi zostawali coraz dalej z tyłu.

Co jakiś czas niespokojnie spoglądała na południowy horyzont. Bała się, że porywacze jednak mogą ich ścigać.

Owszem, wierzyła, że Will potrafi odciągnąć pościg, ale pamiętała też o czymś, co powtarzał jej podczas treningów.

„Każdy plan może pójść nie po twojej myśli. I w większości przypadków tak właśnie się dzieje, wcześniej czy później. Musisz być zawsze przygotowana, że coś nie wypali. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, będziesz przygotowana. Jeśli nie, będziesz miała przyjemną niespodziankę.”

To właśnie dlatego, że bała się pościgu, chciała mieć dzieci jak najbliżej przy sobie, tak by mogła widzieć je wszystkie i bronić ich w razie niebezpieczeństwa.

Tak więc teraz szły przed siebie, zmęczone, powłócząc stopami. A ona nieustannie krążyła od jednego do drugiego, zachęcała najwolniejszych do większego wysiłku, błagała, perswadowała, groziła – byle tylko wykonały kolejny krok. Sama była bardzo zmęczona, ale zbyt spięta, by tak naprawdę to sobie uświadomić.

– Dalej, Julio – powiedziała już chyba po raz setny do jednej z dziewczynek. – Jeśli młodsze dzieci dają radę, to i ty dasz.

Julia, jak to było do przewidzenia, wybuchnęła płaczem i stanęła ze zwieszoną głową, pocierając oczy piąstkami.

– To niesprawiedliwe – skarżyła się. – Chcę jechać. Teraz moja kolej.

Maddie co piętnaście minut wymieniała dzieci, jadące konno, tak by każde miało szansę przez chwilę odpocząć. Julia znajdowała się w poprzedniej grupie. Szybko zeszła na ziemię, narzekając, że jej niewygodnie. Kolejną szansę miała za jakieś dwadzieścia pięć minut, nie wcześniej.

Maddie popatrzyła na nią.

– Ruszaj dalej – rzuciła.

Julia wydeła wargi.

– Czemu Rob nie może iść? Jedź na koniu przez cały czas. To niesprawiedliwe.

Maddie pomyślała ponuro, że jeśli jeszcze raz usłyszy z ust Julii „to niesprawiedliwe”, mała oberwie. Rob to był ten chłopiec z poparzoną nogą. Wcześniej również próbował maszerować, ale kulał tak mocno, że tylko opóźnił pochód. Maddie zdecydowała, że ma nie zsiadać z konia, a pozostałe dzieci będą się zmieniać.

– Rob jest ranny, noga go boli – przypomniała Julii.

Julia popatrzyła na nią.

– A mnie bolą obie. Ja też chcę jechać.

Rob usłyszał tę wymianę słów – jak zresztą wszyscy w grupie – nachylił się do Maddie i powiedział:

– Mogę iść. Niech Julia zajmie moje miejsce.

Maddie spojrzała na niego surowo.

– Wykluczone – odparła stanowczo. – Nic jej nie dolega, po prostu jest samolubna.

Julia pociągnęła nosem. Maddie pomyślała, że zaraz pewnie znowu zacnie beczeć, podeszła do niej bardzo blisko i powiedziała, tak cicho, by tylko Julia mogła ją usłyszeć:

– Widzisz ten pagórek za krzakiem o fioletowych liściach? – Julia odwróciła się i popatrzyła we wskazanym kierunku. Było to niewielkie wzniesienie, nic szczególnego. Kiwnęła głową, marszcząc brwi, nie bardzo rozumiejąc, czemu Maddie o nim wspomina.

– To jest stary kopiec grobowy. Sporo można ich spotkać w tej okolicy.

Oczy Julii zrobiły się wielkie i okrągłe. Popatrzyła na pagórek, potem na Maddie.

– Żyją tam... – Maddie szukała odpowiednio przerażającego słowa i przypomniała sobie swoją rozmowę z Willem w Danvers Crossing. – Żyją tam upiory. Upiory grobowe. Chyba wiesz, co to jest?

Julia potrząsnęła głową. Nie wiedziała, ale nie spodobało się jej to słowo.

– Upiory to takie duchy, zamieszkujące grobowce. Mają długie kły i ostre pazury, atakują ludzi, przechodzących obok grobowców i wciągają ich do środka, i ci ludzie też stają się upiorami.

Jej wyobraźnia zaczynała pracować na pełnych obrotach. Podobnie jak Julii. Twarz dziewczynki pobladła.

– Ale jest coś, czego upiory się boją... – Maddie urwała, po czym ruchem głowy wskazała Wyrwija i Zderzaka. – Konie. Upiory najbardziej na świecie nie mogą znieść koni. Tak więc, dopóki Wyrwij i Zderzak są obok, nic nam nie grozi.

– Jesteś pewna? – zdołała w końcu wydusić Julia. Bardzo cienkim głosem.

Maddie z przekonaniem kiwnęła głową.

– Absolutnie – odparła. – Ale jeszcze jedno. Jeżeli nie przestaniesz marudzić, skarżyć się i żądać specjalnych przywilejów, zostawię cię tutaj samą. A kiedy zabraknie koni, upiory zaraz przyjdą po ciebie.

Julia wydała z siebie pisk przerażenia. Łzy znów pociekły jej po twarzy. Ale nie były, jak poprzednio, wyrazem uzalania się nad sobą, tylko autentycznego strachu. Maddie westchnęła. Czuła się okropnie, że potraktowała Julię w ten sposób, gardziła samą sobą.

„Nie jestem w niczym lepsza od Bajarza”, pomyślała. Ale przecież sama była jeszcze bardzo młoda, tylko kilka lat starsza od Julii. I również bliska wyczerpania. I bliska obłądu, bo już naprawdę nie wiedziała, jak zmusić kapryśną dziewczuchę, żeby się ruszała. Przez cały ranek prosiła i błagała, lecz Julia tylko uzalała się nad sobą i Maddie w żaden sposób nie potrafiła jej zmotywować. Straszenie okazało się jedyną skuteczną taktyką i Maddie, acz niechętnie, uznała, że niestety, musi się na niej oprzeć. W końcu to była kwestia życia i śmierci.

– Lepiej się ruszaj – powiedziała. – I przestań marudzić, bo zostawię cię na pastwę upiorów. Zrozumiano?

Julia popatrzyła Maddie prosto w oczy. Nie było w nich ani odrobiny litości, tylko determinacja i obietnica spełnienia groźby. Julia otarła łzy wierzchem dłoni i kiwnęła głową.

– NO TO RUCHY! – ryknęła Maddie. Julia, wyraźnie zachęcona siłą tego okrzyku oraz wizją czyhających na nią upiorów, roztropnie pomaszzerowała przed siebie. Po chwili dogoniła pozostałych, a nawet znalazła się na samym przedzie pochodu. Co i raz spoglądała przez ramię w stronę wzniesienia, jakby w każdej chwili spodziewała się ujrzeć przerażającą zjawę. Ale szła przed siebie, i to bardzo dziarskim krokiem.

Tim, który z zainteresowaniem przysłuchiwał się tej wymianie słów, teraz podszedł do Maddie. Oczy miał czerwone ze zmęczenia, twarz pokrytą grubą warstwą kurzu zmieszanego z potem, ale mimo wszystko uśmiechał się.

– Upiory? Grobowce? – powiedział cicho. – Jak na mój gust, to jest zupełnie zwyczajny pagórek.

Maddie potrząsnęła głową.

– Sama się o to prosiła.

Tim przytaknął.

– No i dostała.



Rano Jory Ruhl stwierdził, że został oszukany.

Już od co najmniej godziny, od kiedy wstało słońce, nigdzie nie było widać tej ciemnej postaci w pelerynie. Szli dalej na południe, wypatrując uciekiniera, lecz na próżno. Dopóki było ciemno, ukazywał się od czasu do czasu – czasem w odległości jakichś stu pięćdziesięciu metrów przed nimi, czasem nawet bliżej – tak że nigdy na dłużej nie tracili go z oczu.

A teraz zniknął. Przed nimi rozciągała się otwarta przestrzeń, porośnięta tą wszechobecną długą szorstką trawą. Ale tego, którego ścigali, nigdzie nie widzieli.

Ruhl zaczął wściekle przeklinać. Wszystko wskazywało na to, że mężczyzna im się wymknął. Nieświadomi, nadal podążali na południe, podczas gdy on pewnie od dawna zmierzał w odwrotnym kierunku.

Jeden z członków bandy, ten w ciemnej pelerynie, który towarzyszył Ruhlowi w Willow Vale, pospiesznie podszedł do swego przywódcy.

– Co się stało? – zapytał.

Ruhl zwrócił na niego wściekle spojrzenie.

– Ten przeklęty łucznik nas oszukał! Wywiódł nas na to pustkowie, a sam zwiął w przeciwnym kierunku. Niech go!

Mężczyzna rozejrzał się dokoła.

– Jesteś pewien? – zapytał. I od razu poniósł karę za to, że śmiał podać w wątpliwość słowa swego szefa. Jory zamierzył się i walnął go tak mocno, że tamten aż się zatoczył.

– Oczywiście, że nie jestem, debilu! Gdybym był, tobym wiedział, gdzie go szukać! – wydarł się herszt, strzelając śliną. Jego towarzysz cofnął się odruchowo. Wiedział, na co stać Ruhla w takich chwilach. Był nieobliczalny.

– Dobra, Jory, spokojnie – powiedział, unosząc ręce ugodowym gestem. Ale Ruhl bynajmniej nie zamierzał się uspokajać.

– Czemu otaczają mnie sami niekompetentni ludzie? – mruknął. – Żaden z was nie wpadł na to, że on mógł uciec? Nikomu nie dało do myślenia, że nie widać go już co najmniej od godziny?

„A tobie nie dało?”, pomyślał jego kamrat, lecz był na tyle rozsądny, by nie mówić tego na głos.

Ruhl powiódł wzrokiem po swoich ludziach i nagle zorientował się, że jednego brakuje. Bajarz gdzieś przepadł.

– Gdzie, u licha, jest Victor? Pewnie wrócił do obozu i teraz siedzi sobie, popija piwko i zbija bąki! Leniwa świnia! Typowe, oto cały on! I wy wszyscy! Banda nieużytecznych gamoni.

Nikt nie potrafił powiedzieć, co się stało z Bajarzem i Ruhl dalej wściekał się, wrzeszczał i obrzucał swych ludzi wyzwiskami, przeklinał ich, że nie zauważyli, kiedy zniknął Bajarz, i kiedy wymknął im się ścigany. Wszyscy wiedzieli, że w takich chwilach Ruhl potrafi być naprawdę nieobliczalny. Cofnęli się i uciekli wzrokiem w bok, by nie napotkać jego spojrzenia.

Wszyscy za wyjątkiem jednego – młodego Ibera, członka załogi, który został z porywaczami. Teraz wystąpił do przodu i spokojnie popatrzył Jory’emu prosto w oczy.

– *Jefe*, wydaje mi się, że masz rację – powiedział.

– Doprawdy? – W głosie Ruhla brzmiała drwina. – Jakiś ty bystry. I co w związku z tym proponujesz?

– W moim kraju, zanim zostałem żeglarzem, byłem myśliwym – odparł tamten, ignorując sarkazm.

– I co, mamy wiwatować na twoją cześć, iberyjski wieśniaku? – warknął Ruhl. Już miał się odwrócić, ale mężczyzna podjął, nadając głosowi większej mocy:

– Byłem...ee... *perseguidor*... – szukał aralueńskiego słowa, wreszcie dokończył: – Tropicielem. Potrafię tropić zwierzęta po śladach, które zostawiają na ziemi. – Wskazał na swoje stopy, a potem na ziemię. – I ludzi – dodał jeszcze.

Wściekłość Ruhla minęła równie gwałtownie, jak się zaczęła. Spojrzał na mężczyznę, mrużąc oczy.

– Dobry jesteś? – zapytał ostrożnie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Byłem najlepszy w całej prowincji – odparł z prostotą. – Chyba potrafię wyśledzić tego człowieka.

Powoli, bardzo powoli po twarzy Ruhla rozlał się szeroki uśmiech.

Mężczyzna w ciemnej pelerynie potrząsnął głową. Ten uśmiech był chyba jeszcze gorszy od wściekłych wrzasków i plucia śliną.

Nie po raz pierwszy zastanawiał się nad tym, co dzieje się z jego szefem. Potrafił w ciągu ułamka sekundy przejść od ślepej furii do całkowitego spokoju.

„Chyba coś jest nie tak z jego głową”, pomyślał.



Niedługo zarządę prawdziwy odpoczynek – mruknęła Maddie do siebie.

Na razie ogłosiła dziesięciminutową przerwę. Dzieci z ulgą osunęły się na ziemię. Maddie pomogła Robowi zsiąść z konia. Podziękował jej, pokuśtykał na pobocze i usiadł, ostrożnie, by nie urazić nogi.

Nawet on był zmęczony, a przecież przez cały czas jechał na koniu. Wszyscy milczeli, popadli w odrętwienie. Przez wiele godzin skupiali się na tym, by postawić kolejny krok, wykonać jeszcze ten jeden wysiłek, tak jakby poza tym w ich życiu już nic więcej nie istniało. Maddie odczepiła bukłak z wodą, przytroczony do siodła Zderzaka. Nagle poczuła, że wszystko przekracza jej siły. Na kilka bezcennych sekund oparła głowę o srokaty bok. Bolały ją nogi. Bolały ją stopy. Na prawej pięcie zaczął robić się pęcherz. W tej chwili nie byłyby w stanie iść dalej.

Czemu się nie przejedziesz?

Podniosła wzrok. Zderzak odwrócił łeb i patrzył na nią. Z jego wielkiego brązowego oka wydierało współczucie i troska.

Nie mogę. Muszę iść dalej, bo inni pomyślą, że mogą się zatrzymać.

Zderzak wzdrygnął się, jak to zwykły robić konie, ale w oczach Maddie wyglądało to jak wzruszenie ramionami – choć wiedziała, że koń nie może wzruszać ramionami. Jeszcze raz sięgnęła po bukłak z wodą. Zostało mniej niż połowa, mimo że oszczędnie wydzielala porcje. Przy siodle Wyrwija wisiał drugi bukłak, ale pusty.

Upiła łyk ciepłej wody o posmaku skóry, po czym zaczęła krążyć między wyczerpanymi dziećmi, podając im bukłak i pilnując, by nikt nie wypił za dużo.

Właśnie odebrała niemal pusty bukłak z rąk ostatniej dziewczynki, kiedy Tim Stoker, który stał pośrodku drogi, w najwyższym jej punkcie, zawołał cicho:

– Maddie. Ktoś nadchodzi.

Serce na chwilę zamarło w jej piersi. Podeszła do Tima, który, przysłaniając oczy prawą ręką, wskazywał na południe. Maddie pobiegła wzrokiem w tym samym kierunku.

Na horyzoncie widać było jakąś postać. Z tej właśnie strony nadeszliby porywacze – gdyby zrezygnowali z pościgu za Willem.

Ale również z tej strony powinien nadejść Will. Maddie jednak dobrze pamiętała jego nauki: „Zawsze spodziewaj się najgorszego, a nie spotka cię rozczarowanie.”

Spojrzała na dzieci. Żadne, za wyjątkiem Tima, nie wykazało zainteresowania zbliżającą się postacią. Siedziały na poboczu, ze zwieszonymi głowami, wspierając łokcie na kolanach.

Wiedziała, że są u kresu sił. Obawiała się, że jeśli nadchodzący człowiek to jeden z porywaczy, który ruszył przodem na zwiady, a zaraz za nim na horyzoncie pokaże się reszta bandy, nie mają żadnych szans; nie zdoła zmusić dzieci do szybkiego marszu.

Znów powiodła wzrokiem po horyzoncie. Na razie nie było widać nikogo więcej. W serce Maddie wstąpiła nadzieja. Jednakże na wszelki wypadek zdjęła łuk z ramienia, po czym kilka razy naciągnęła i zwolniła cięciwę, by rozgrzać mięśnie. Odpięła też klapkę przy pelerynie, mającą za zadanie chronić strzały w razie niepogody.

– Kto to jest? – zapytał Tim.

Maddie zmrużyła oczy, starając się dostrzec jakieś szczegóły. Mężczyzna nie miał nakrycia głowy. Zły znak. Will zwykle chodził w kapturze. Jej dłoń odruchowo wyjęła strzałę z kołczana i z wprawą umieściła ją w cięciwie.

– Nie wiem – odparła. Po chwili, kiedy człowiek znalazł się trochę bliżej, dostrzegła kolejne szczegóły. Niósł potężny łuk, a znad prawego ramienia wystawały groty strzał. Supeł w żołądku Maddie zaczął się rozluźniać. A kiedy mężczyzna zatrzymał się i pomachał, trzymając łuk wysoko nad głową, zaczęła się śmiać.

– To Will – powiedziała z nieopisaną ulgą. Zawołała do pozostałych: – To Will Treaty! Zabierze was do domu!

Większość była zbyt wyczerpana, by zareagować. Parę osób uniosło głowy na dźwięk słowa „dom”. Tylko Tim szczyrzył się od ucha do ucha. Tylko on zdawał sobie sprawę, jak bardzo Maddie się bała, że to mogą być porywacze i tylko on prócz Maddie odczuł ulgę, kiedy okazało się, że to jednak nie oni.

Podeszła do niego, otoczyła ramieniem jego chude plecy, po czym potrząsnęła głową i znów się zaśmiała.

Teraz, kiedy Will tutaj jest, wszystko będzie dobrze.



– Dobrze sobie poradziłaś, pokonaliście całkiem spory kawałek – pochwalił ją Will.

Maddie wzruszyła ramionami.

– Wcale tak nie uważam. Przed nami nadal daleka droga.

Wspólnie ustalili, że dadzą dzieciakom dłuższą przerwę, pozwolą odzyskać siły. Przygotowali prosty posiłek z chleba, wędzonego mięsa i suszonych owoców. Tym samym skończyli wszystkie zapasy.

– Dostaniemy coś w Ambleton – stwierdził Will.

Maddie westchnęła z ulgą. Cieszyła się, że już nie na niej spoczywa odpowiedzialność za los dzieci. A Will był taki doświadczony, tak świetnie sobie ze wszystkim radził. Teraz, kiedy do nich dołączył, czuła, że wszystko będzie dobrze. Miała wrażenie, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar.

– Jesteś pewien, że Ruhl i jego ludzie nas nie gonią? – zapytała.

Potrząsnął głową.

– Są wiele mil stąd. Zostawiłem ich tuż przed świtem. Biegłem na skróty, żeby was dogonić. Kiedy ostatnio ich widziałem, kręcili się wokół własnego ogona i nadal zmierzali na południe.

Odgryzł kęs wędzonego mięsa i żuł przez chwilę, by je zmiękczyć.

– Chyba że któryś z nich potrafi tropić – dodał. – Ale wątpię, sądząc po tym, jak błakali się po nocy. Musiałem pokazywać im się od czasu do czasu, bo inaczej by mnie zgubili.

Maddie rozsiadła się wygodnie, uspokojona jego słowami.

– A więc możemy trochę odpuścić? – powiedziała. Will popatrzył na nią uważnie i odparł:

– Troszeczkę – poprawił ją. – Nigdy nie należy zakładać zbyt optymistycznych scenariuszy. Odpoczniemy jeszcze przez godzinę, a potem ruszamy.



–*Jefe!* Tutaj! Tutaj zawrócił!

Iber uważnie oglądał ziemię dokoła, klęcząc na jednym kolanie. Wskazał na linię prawie niewidocznych zagłębień pośród wysokiej trawy. Żdźbła już zaczynały się podnosić. Ruhl ledwo był w stanie dostrzec to, co wychwytiło wyćwiczone oko tropiciela. Iber wyciągnął rękę i z niewielkiego krzaka zdjął szarą nitkę, która zahaczyła o gałąź. Will nie zachowywał się zbyt ostrożnie, przekonany, że nikt nie zauważy, jak zniknął w ciemnościach.

Ruhl uśmiechnął się. I nie był to przyjemny widok.

– Dobra robota, Enrico – przyznał. – Prowadź dalej. Jeśli go złapiemy, dostaniesz nagrodę w złocie.

Enrico również odpowiedział uśmiechem, pokazując zęby, lśniące bielą na tle oliwkowej skóry.

– *Si, Jefe* – odparł. – Enrico go znajdzie. Idźcie za mną.

Ruhl machnął ręką i jego ludzie ustawili się w rzędzie.

Enrico ruszył przodem niczym pies myśliwski, pochylony, bacznie szukając ledwo widocznych znaków, które mogła zostawić jego zwierzyna. Pomyślał, że ten człowiek nawet nie próbował zacierać za sobą śladów. Chociaż w tak wysokiej trawie i tak niewiele mógłby zrobić. A z drugiej strony trzeba było naprawdę doświadczonego tropiciela, by dojrzeć tak niewyraźne ślady.

Na chwilę stracił trop. Ale po chwili go odnalazł. Mężczyzna skręcił w lewo. Enrico pomachał do Ruhla.

– *Tędy, Jefe.* Mam go!



– Czas ruszać dalej – oznajmił Will. Odpoczywali od ponad godziny. Zjedli i wypili, a Maddie i Tim napełnili bukłaki wodą z niewielkiego strumyka, przepływającego przepustem pod drogą. Teraz już nie musieli racjonować wody.

Robiło się coraz cieplej i Will uznał, że czas zakończyć popas, bo kiedy słońce zacznie naprawdę porządnie przypiekać, dzieciaki za nic nie zechcą ruszyć się z miejsca.

Rozległy się skargi i pomruki niezadowolenia. Will i Maddie chodzili od jednego dziecka do drugiego, zmuszali je po kolei, by się podniosły i kierowali z powrotem na drogę. Tak jak poprzednio, najmłodsze dzieci i Rob mieli jechać na koniach.

Kiedy już się zebrali, chłopiec, siedzący na grzbiecie Zderzaka, zawołał:

– Willu Treaty, czy zabiłeś Tego, Który Zakrada się Nocą?

Will spojrzał pytająco na Maddie.

Wzruszyła ramionami.

– Powiedziałam mu, że masz taki zamiar. To żądny krwi młody człowiek. Pragnie okrutnych szczegółów.

Will odwrócił się i popatrzył na chłopca.

– Jeszcze nie – powiedział. Na widok jego rozczarowanej miny dodał: – Ale zamierzam to zrobić. Już niedługo.

– Mogę popatrzeć?

Will znowu spojrzał na Maddie.

– Mówiłam ci. Prawdziwy mały sadysta.

Will potrząsnął głową i ponownie przeniósł wzrok na chłopca.

– To chyba niezbyt odpowiednie. Ale wszystko ci opowiem.

– O. no dobrze. – Chłopiec wyglądał na szczerze zawiedzionego.

Will pokręcił głową, a potem zawołał:

– Dobra, ruszamy!

Nadal rozleniwieni po drzemce w słońcu, powoli ruszyli na północ. Will przeszedł na czoło pochodu, dźgnął końcem łuku pierwszego z chłopców.

– No, dalej! Potraficie iść szybciej! Ruchy, ruchy! Pokażcie, na co was stać!

Maddie uśmiechnęła się do siebie. Dokładnie tych samych zachęcających okrzyków używał, kiedy biegała przez tor z przeszkodami. Czuła dziwną satysfakcję, patrząc, jak inni przechodzą te same tortury. Ale odniosły one skutek. Dzieci w końcu otrząsnęły się z otępienia i ruszyły przed siebie nieco bardziej dziarskim krokiem. Will chodził w tę i z powrotem, wykrzykując swoje rzeźkie komendy. Nadal niektórzy mruclili i skarżyli się, oczywiście Julia najgłośniej ze wszystkich.

– To niesprawiedliwie – płakała. – Nogi mnie boją. Idę już cały dzień, pęcherz mi się zrobił.

Pociągała nosem i ostentacyjnie otarła łzę. Ale jeśli sądziła, że Will, ponieważ jest mężczyzną, okaże jej większą litość niż Maddie, to srodze się pomyliła.

– Wytrzymaj oczy, królowno! – krzyknął. – Nie czas na łzy. A może chcesz, żebym cię tu zostawił?

Przypadkiem właśnie mijali okolice, usianą pagórkami i wniesieniami, podobnymi do tego, który wcześniej posłużył Maddie do opowieści o upiorach. Julia tylko rzuciła na nie okiem, pobladła i natychmiast przyspieszyła kroku. Po chwili znalazła się na czele pochodu, a w następnej wyprzedziła nawet tych, którzy prowadzili. Willa nieco zdumiała ta gwałtowna reakcja. Maddie milczała. Czuła się winna, że musiała posłużyć się taką metodą wobec Julii i bała się, że gdyby Will się dowiedział, mógłby nią za to gardzić.

W miarę upływu czasu początkowy zapał i energia wyczerpały się. Maddie i Will znów musieli popędzać grupę i zachęcać do szybszego marszu.

– Jak długo jeszcze mamy ich terroryzować? – zapytała Maddie, kiedy stali na poboczu, patrząc na przechodzące dzieci, które znowu markotnie opuściły głowy i zwiesiły ramiona. – Wyglądają na całkowicie wyczerpane.

Will potrząsnął głową.

– Nadal mają zapas sił – odparł. – To wiejskie dzieci, przyzwyczajone do ciężkiej pracy. Tylko że teraz nie czują presji. W tym momencie nie grozi im niebezpieczeństwo, więc się wloką, bo nie mają ochoty za bardzo się przemęczać.

– Dzieci. – Maddie krytycznie pokręciła głową.

Will spojrział na nią z rozbawieniem. Była zaledwie o rok starsza od najstarszych z nich.

Sama właściwie była jeszcze dzieckiem. Ale miała w sobie wielką wytrzymałość i determinację. Nie przyszło mu do głowy, że jej postawa jest również wynikiem treningów pod jego okiem, a także szacunku, którym Maddie go darzyła.

– No dalej! – ryknął. – Ruszać się, bando leni!

Niektóre dzieci popatrzyły na niego z oburzeniem, ale po chwili pochód zaczął poruszać się nieco szybciej. Tim Stoker na przedzie nadawał tempo. Will z uznaniem kiwnął głową.

– Dobry dzieciak – powiedział. Maddie nie mogła się nie zgodzić.

– Zanim do nas dołączyłeś, bardzo mi pomógł. Walczył z Bajarzem, kiedy ten nas zaatakował.

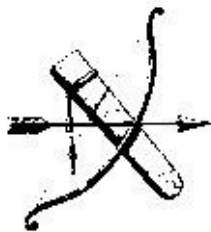
Wcześniej pobieżnie opowiedziała Willowi o całym wydarzeniu, nie wchodząc w szczegóły. Nie miała ochoty rozwodzić się nad tym, że zabiła człowieka. Ani nad tym, jaką szaloną radość poczuła w momencie, kiedy go zabijała. Nadal czuła z tego powodu pewne zakłopotanie.

– Maddie! Willu Treaty!

To był Rob, siedzący na grzbiecie Zderzaka. Podczas kiedy Will popędzał grupę, on odwrócił się w siodle i rozglądał dokoła. A teraz nie odrywał wzroku od południowego horyzontu.

– O co chodzi, Rob? – spytała Maddie. Drżenie jego głosu kazało przeczuwać najgorsze.

– Ktoś za nami idzie! – odparł Rob.





Rob zobaczył ich pierwszy, jako że siedział na końskim grzbiecie. Ale już po krótkiej chwili pościg dojrzeli też wszyscy pozostali.

Na razie byli tylko ciemnymi figurkami na tle nieba. Maddie próbowała policzyć prześladowców, ale ponieważ ciągle się ruszali, straciła rachubę. Z pewnością było ich ponad dziesięciu. Nadchodzili drogą od południa.

Jeden szedł przodem, w pewnej odległości od reszty. Teraz machnął ręką, dając znak pozostałym. Maddie domyśliła się, że wskazuje na ich grupę.

Dzieci zaczęły krzyczeć z przerażenia. Sądziły, że są bezpieczne. Gorzej, zapewniono je o tym. A teraz znów znalazły się w niebezpieczeństwie. Spoglądały nieufnie na Willa i Maddie. Doskonale wiedziały, kim są ludzie, którzy ich gonią.

– To Ten, Który Zakrada się Nocą! – powiedział ktoś. Kiedy padły te słowa, dzieci zaczęły popłakiwać ze strachu.

– Powiedziałeś, że on sobie poszedł! – krzyknął jeden ze starszych chłopców do Willa.

Zwiadowca spokojnie odpowiedział na oskarżycielskie spojrzenie.

– Bo tak myślałem. Ale najwidoczniej się myliłem.

Odwrócił się w kierunku nadchodzących mężczyzn.

Zmarszczył brwi na widok tego, który szedł jako pierwszy, i przypomniał sobie, jak wcześniej ten sam człowiek bacznie wpatrywał się w drogę.

– Chyba pomyliłem się też co do tego, że nie ma wśród nich tropiciela – powiedział na boku do Maddie. – Zdaje się, że ten gość na przedzie przyprowadził ich tu po naszych śladach.

Maddie poczuła, jak strach ściska jej gardło.

– Co teraz zrobimy? – spytała. Głos znowu ją zawodził, zmieniał się w cienki pisk. Próbowwała nad tym zapanować, zmuszała się do zachowania spokoju. Will wyciągnął rękę, chwycił ją za nadgarstek i ścisnął. Dotyk pomógł jej się uspokoić. Wzięła głęboki wdech i spojrzała mu prosto w oczy.

– Nic mi nie jest – powiedziała.

Will kiwnął głową.

– To dobrze. Teraz posłuchaj. Musicie uciekać. Zmusz te dzieciaki, by biegły najszybciej, jak potrafią. Ja zostanę tutaj i zatrzymam Ruhla i jego zbirów.

Maddie z lękiem rozejrzała się dokoła po otaczającym ich pustkowiu.

– Tutaj? – zapytała. – Nie zdołasz ich powstrzymać! Jesteśmy na płaskim otwartym terenie, tu nie ma gdzie się schronić! Otoczą cię i zabiją!

Skinął głową, zgadzał się z tą oceną sytuacji.

– Widzę, że sporo się nauczyłaś – powiedział. – Ale nie zamierzam ich powstrzymywać. I nie dopuszczę do tego, żeby mnie otoczyli. Chcę po prostu zająć ich przez jakiś czas, chociaż może przy okazji uda mi się kilku załatwić. Potem się wycofam, a po chwili powtórzę wszystko od nowa, tyle razy, by dać ci czas na ucieczkę.

Podszedł do Wyrwija i odczepił futerał ze strzałami, przytroczony do siodła. Wyjął z niego tuzin strzał i włożył je do kołczanu na plecach.

Wyrwij prychnął nerwowo.

Nie podoba mi się to.

– Nic mi nie będzie.

Maddie, sądząc, że to ją próbuje uspokoić, powiedziała spontanicznie:

– Zostanę z tobą. Może razem zdołamy ich powstrzymać.

Potrząsnęła głową.

– Nadal będą mieć nad nami przewagę. A dwójce jest dwa razy trudniej wymknąć się niepostrzeżenie. Poza tym chcę, byś zapewniła dzieciom bezpieczeństwo. Jeśli zostawimy je same, po paru kilometrach dadzą za wygraną. A ty zmusisz je, żeby biegły

dalej. Możesz im grozić. Wrzeszczeć na nie. Straszyc je. Oby tylko się nie zatrzymywały.

Spojrzał w niebo. Słońce zaczynało schylać się ku zachodowi.

– Do zapadnięcia zmroku zostało kilka godzin. Nim robi się ciemno, rozejrzyj się za dobrą kryjówką daleko od drogi. Pozwól im chwilę odpocząć, ale ruszajcie dalej jeszcze przed świtem.

– Ale... co z tym tropicielem? Może nas znaleźć.

Will uniósł jedną brew.

– Kiedy podejda bliżej, nim pierwszym się zajmę – obiecał.

Spojrzała z lękiem na ciemne postaci na drodze. Były coraz bliżej.

– Zabiją cię – powiedziała z rozpaczą. Czują, jak łyzy napływają jej do oczu.

Will potrząsnął głową.

– Do tej pory nikomu się to nie udało. A wielu próbowało. No, ruszajcie! – zakończył energicznie. Maddie wyciągnęła rękę, dotknęła jego ramienia, on zaś kiwnął głową. Potem odwróciła się i krzyknęła:

– No, dalej! Biegniemy!

Dzieci odwróciły się i rzuciły do biegu. Oczywiście najstarsze prowadziły, młodsze zostały na końcu. Tylko jedno z nich się obejrzało. Chłopiec, jadący wraz z Robem na grzbiecie Zderzaka. Chwycił wodze i na chwilę wstrzymał konia.

– Mogę zostać i popatrzeć, jak Will Treaty zabija Tego, Który Zakrada się Nocą? – zapytał.

– Nie! Ruszaj! – wrzasnęła Maddie. – Biegnij, Zderzaku, biegnij!

Chłopiec niechętnie poluźnił wodze i Zderzak pokłusował przed siebie, by po chwili dogonić pozostałych.

– Przynajmniej ktoś we mnie wierzy – stwierdził Will z bladym uśmiechem.

Obejrzał się. Ludzie Ruhla właśnie rozdzielali się, schodzili z drogi i rozpraszali po obu jej stronach. Will kiwnął głową. Maddie miała rację. Zamierzali go otoczyć, a on, z powodu płaskiego otwartego terenu, nie za bardzo mógł temu zaradzić.

Policzył ich. Jedenastu. Większość już znajdowała się pośród wysokich, sięgających im pasa traw, dwóch nadal szło drogą. Will pomyślał, że to zapewne Jory Ruhl i ten tropiciel. Zastanawiał się, skąd go wytrzasnęli. Miał wielką ochotę strzelić do Ruhla – tych dwóch stanowiło w tym momencie doskonały cel.

W końcu bandzior nie wiedział, z kim ma do czynienia i z pewnością nie myślał o tym, że w każdej chwili może trafić go strzała, wypuszczona z łuku z precyzją, z której słynęli zwiadowcy.

Po chwili Will, acz niechętnie, zrezygnował z tego pomysłu. Jego głównym celem było pozbyć się tropiciela, umożliwić Maddie i dzieciom ucieczkę. Osobista zemsta musiała poczekać – choć już nie tak znowu długo.

Niespiesznie, spokojnie wyjął strzałę z kołczanu. Obejrzał ją dokładnie, choć właściwie wiedział, że nie znajdzie żadnych usterek, po czym umieścił ją w cięciwie.

Odwrócił się bokiem w stronę napastników, na razie nie naciągając cięciwy, patrząc, jak się zbliżają. Ruhl i tropiciel niechcący wyprzedzili tych, którzy z trudem przedzierali się przez sięgające do pasa trawy. Znajdowali się teraz w zasięgu strzału, ale Will nadal czekał. Rzadko kiedy pudłował, chciał jednak mieć absolutną pewność. W myślach śledził wszystkie czynności. Naciągnął cięciwę, wymierzył, wypuścił strzałę. Odczekał, aż będzie całkowicie pewny, że strzała trafi do celu – zwykle potrzebował na to kilku sekund – wypuścił kolejną strzałę, przeznaczoną dla Ruhla.

– No dalej – mruknął. – Jeszcze kilka metrów.

Nagle poczuł, że jest gotowy. Uniósł łuk. Wymierzył, biorąc pod uwagę wszystkie elementy: pozycję łuku, linię lotu strzały i cel, niewielki, oddalony o kilkaset metrów. Naciągnął ciężki cisowy łuk i poczuł, jak palcem wskazującym dotyka kącika ust i jak gruba cięciwa wpija się w czubki osłoniętych rękawicami palców.

Częścią umysłu zarejestrował, że tropiciel nagle przystaje – jakby wyczuł zagrożenie. Za późno.

Will wypuścił strzałę. Od razu wiedział, że to był dobry strzał. Jego dłoń mechanicznie odnalazła kolejną strzałę, umieściła ją w cięciwie. Uniósł łuk, wycelował w Jory'ego Ruhla i strzelił po raz drugi.



Nagle Ruhl uświadomił sobie, że znacznie wyprzedził swych towarzyszy. Zawahał się, zawołał do Enrica, by się zatrzymał. I w tym momencie usłyszał świst, a zaraz potem głucho uderzenie.

Enrico krzyknął z bólu i zaskoczenia, wyrzucił ramiona do góry i zatoczył się do tyłu pod uderzeniem rozpędzonej strzały. I padł na plecy, wlepiając w niebo niewidzące oczy.

Ruhl w ułamku sekundy zdał sobie sprawę, że nie każdy człowiek potrafi oddać taki strzał. Już wiedział, co oznacza ciemna peleryna strzelca.

– Zwiadowca! – wrzasnął. Jednocześnie dotarło do niego, że stanowi następny cel. Padł płasko na ziemię. Strzała świsnęła tuż nad jego głową i walnęła w twardą powierzchnię drogi.

Przyciskając kuszę do ciała, przetoczył się na pobocze i zniknął w wysokiej trawie. – aq'

Will widział, jak Ruhl padł na ziemię dosłownie na ułamek sekundy wcześniej, nim strzała przecięła powietrze w miejscu, gdzie stał. Will zaklął. Wiedział, że chybił. Ruhl schował się w trawie, nigdzie nie było go widać.

Will skierował wzrok w prawo. Mężczyźni idący na samym końcu zbliżali się szerokim łukiem, najwyraźniej próbowali go otoczyć. Znajdowali się w zasięgu strzału. Z lewej strony – ta sama sytuacja.

Zacisnął wargi z namysłem. Gdyby trafił któregoś, zmniejszyłby ich szanse. Nawet gdyby strzała chybiła, lecz przynajmniej przeleciałaby tuż obok, mężczyzna z pewnością by zwolnił.

Naciągnął, wymierzył i wypuścił strzałę. Zakreśliła piękną linię w powietrzu. Kilka sekund później jeden z podchodzących padł w trawę i więcej się nie podniósł. Will nie wiedział, czy trafił czy też nie. Raczej nie. Ale teraz mężczyzna musiał poruszać się na czworakach, w dodatku niewiele widział przed sobą. Nie mógł posuwać się zbyt szybko.

Will odwrócił się w lewo, jednocześnie umieszczając kolejną strzałę w cięciwie.

Inny spośród napastników biegł, zapewne licząc na to, że uratuje go prędkość i duża odległość od strzelca. Will lekko wyjął usta. Naciągnął, wypuścił strzałę, od niechcienia, jakby nawet nie mierzył zbyt dokładnie. Ale strzała pomknęła prosto do celu.

Na chwilę stracił ją w z oczu, ale zaraz usłyszał krótki okrzyk i zobaczył, jak mężczyzna przyciska obie dłonie do gardła, po czym pada.

– No to dwóch mniej – powiedział do siebie.

Kątem oka dostrzegł ruch po prawej stronie. Ktoś podniósł się i zaczął biec. A zanim Will zdążył umieścić w cięciwie kolejną strzałę, tamten znów padł w wysokie trawy i zniknął mu z oczu.

Will zmarszczył brwi. Trawa znacznie utrudniała mu zadanie. Gdyby znajdowali się na innym terenie, a jego przeciwnik schowałby się na przykład za jakimś pnem czy głazem, Will mógłby wypuścić strzałę wysoko w powietrze, tak by spadła niemal pionowo, trafiając prosto w cel. Ale w tych warunkach było to niemożliwe. Nie mógł odpowiednio ocenić odległości ani nie widział punktu, w który ma trafić strzała.

Chyba jakiś szósty zmysł ostrzegł go przed niebezpieczeństwem. Odwrócił się. Trzej mężczyźni, kroczący pośrodku grupy, właśnie zaczęli biec.

Wypuścił strzałę, ale chybił – mężczyzna niespodziewanie zrobił krok w bok. Niemal natychmiast wypuścił następną strzałę. Tym razem rozległ się okrzyk bólu. Mężczyzna zatoczył się do tyłu. Ale podniósł się i ruszył dalej. Strzała jedynie go zraniła.

Nie mógł marnować czasu na kolejne próby. Mężczyzna po prawej stronie zdążył wstać i właśnie minął Willa. Will zawahał się, spojrzął w lewo i zobaczył, że inny zajął miejsce tamtego na samym krańcu. On również biegł, po chwili padł w trawę i zniknął mu z oczu.

– Na mnie też już czas – mruknął Will do siebie. Skierował wzrok na północ. Maddie i dzieci właśnie znikali w oddali, kilka kilometrów dalej. A więc mógł działać.

Odwrócił się i co sił w nogach pobiegł drogą. Zatrzymał się sto pięćdziesiąt metrów dalej, by podjąć grę z przeciwnikami. Miał nieprzyjemne przeczucie, że jest to gra przegrana, zamierzał jednak przeciągać ją tak długo, jak tylko się da. Myślał sobie, że jeśli zdoła doprowadzić Ruhla do furii, może ten zrezygnuje z pościgu za dziećmi i najpierw zechce zemścić się na nim – a przez ten czas dzieci uciekną.

Zatrzymał się i odwrócił. Trzy strzały. W lewo, w prawo i w środek, nieco w lewo.

Dwie pierwsze tylko napędziły stracha porywaczom, którzy znów przypadli do ziemi. Trzecia trafiła w szyję tego w ciemnym płaszczu. Rozwartymi szeroko oczami popatrzył na brzechwę, sterczącą pod jego podbródkiem, potem na Ruhla, chowającego się w wysokiej trawie, otworzył usta, chciał coś powiedzieć, lecz wydobyło się z nich tylko zduszone bulgotanie. A potem nogi ugięły się pod nim i padł na ziemię.

Na ten widok Will pomyślał: „Powoli zmniejszam ich przewagę. Ale zbyt powoli”.

Mężczyźni po prawej i lewej stronie wstali i zaczęli biec, ale nim zdążył zareagować, znów ukryli się w trawie. Ci idący pośrodku posuwali się w wolniejszym tempie, tuż przy ziemi, nie pokazując się nawet na chwilę. Will wiedział, że ci po bokach zaraz go miną i straci kontrolę nad sytuacją. Musiał czym prędzej określić ich pozycję. Przesunął ręką po brzechwach strzał w kołczanie. Został jakiś tuzin, może niewiele więcej.

Stwierdził, że być może czas postawić na ilość, nie na jakość. Mężczyźni po lewej znów się pokazali. Wypuścił trzy strzały, prędko, jedną po drugiej. Potem obrócił się błyskawicznie na pięcie i wypuścił kolejne trzy w prawą stronę, nie mierząc zbyt dokładnie. Przypadkiem jeden z mężczyzn podniósł się akurat w tym momencie, kiedy pierwsza strzała wbiła się w ziemię, zaledwie parę metrów od niego. Błyskawicznie padł znowu i krzyknął ostrzegawczo do swoich towarzyszy. Will popatrzył w lewo. Szybki ostrzał odniósł skutek. Mężczyźni pochowali się w wysokiej trawie i najwyraźniej na razie nie zamierzali wystawiać się na niebezpieczeństwo.

Will z zadowoleniem kiwnął głową.

– Czas ruszać – powiedział i pobiegł przed siebie.



Jory Ruhl, ukryty w wysokich trawach na poboczu, spojrzął na nieruchome ciało swego pomagiera. Pracowali razem od dwóch lat i jeżeli w ogóle istniał ktoś, kogo Ruhl mógłby określić mianem przyjaciela, to był nim właśnie ten człowiek. Wpatrując się w szare drzewce strzały, sterczącej z jego gardła, Ruhl próbował sobie przypomnieć, ile strzał wypuścił do tej pory zwiadowca. Strzelał w niezwykle szybkim tempie. Strzały muszą kiedyś się skończyć.

Ruhl krzyknął do swoich ludzi:

– Chcę go żywego! Nie zabijacie go. Dajcie mi go żywego.



Słońce zniknęło za horyzontem, zapadał zmierzch. Maddie wlokła się na końcu grupy. Już dawno temu przestała poganiać dzieci i zachęcać do biegu. Nie były w stanie. Zaśmiała się gorzko na tę myśl. Sama była niezdolna do takiego wysiłku, a co dopiero on!

Podniosła wzrok i policzyła je kolejno. Dręczył ją chorobliwy lęk, że któreś ze zmęczenia padnie w wysoką trawę na poboczu, a ona tego nie zauważy. Ale nie, nikogo nie brakowało. Zaraz jednak ogarnęła ją niepewność. Doliczyła się dziesięciorga czy dziewięciorga?

Uświadomiła sobie, że umysł płata jej figle. Ze zmęczenia nie mogła jasno myśleć. A skoro z nią było tak źle, to jak czuły się w takim razie te biedne dzieciaki?

Przypomniała sobie słowa Willa: „Nim zrobi się ciemno, rozejrzyj się za dobrą kryjówką”.

Łatwo powiedzieć. Gdzie niby miałby się ukryć na tym pustkowiu? Odwróciła się i spojrzała na drogę, którą przebyli. Nikogo. Ani porywaczy, ani Willa. Łzy napłynęły jej do oczu, kiedy pomyślała, że porzuciła go samego na pastwę Ruhla i jego bandy.

– Powinam była z tobą zostać – powiedziała cicho. Wiedziała jednak, że Will nigdy by się na to nie zgodził. W wyobraźni widziała, jak porywacze rozpraszają się i otaczają Willa, czekają, aż wyczerpie zapas strzał, po czym ruszają, by go zabić.

Czy aby na pewno? Z opowieści porwanych dzieci wynikało, że Jory Ruhl jest zdolny do najokrutniejszych aktów zemsty na tych, którzy mu się przeciwstawiają. A Will z pewnością zaliczał się do takich osób.

Zapewne torturowali go przed śmiercią. Może nadal to robią?

Spojrzała w lewo i zobaczyła linię niskich skał, które zauważyła już wcześniej, kiedy po raz pierwszy mijala tę okolice. Zatrzymała się, próbowała zebrać myśli. Coś zwróciło wtedy jej uwagę. Tylko co? To miało coś wspólnego ze słowami Willa. Coś o kryjówce. Nagle zdała sobie sprawę, że słania się z wyczerpania. Dzieci również przystanęły. Kilkoro osunęło się na twardą drogę, miejscami pokrytą drobnym żwirem, i natychmiast zasnęło.

Konie zatrzymały się i spojrzały pytająco na Maddie, czekając na dalsze rozkazy.

Te skałki. Kryjówka. Zachód słońca. O co chodzi? Nagle sobie przypomniała. U podnóża tych wzniesień zauważyła jakieś otwory. Wyglądały jak wejścia do grot.

Groty, skalne złomowiska – tam mogli schować się i odpocząć. Nawet jeśli Ruhl i jego ludzie będą przechodzić tą drogą, nie zauważą ich w ciemności.

Nagle poczuła przypływ energii. Zaczęła chodzić od jednego dziecka do drugiego, potrząsając i szturchając te, które pokładły się na ziemi.

– Wstawaj! Musimy zejść z drogi! – krzychała. Oczywiście wśród tych, które zasnęły, nie zabrakło Julii. Kiedy Maddie dźgnęła ją w plecy końcem łuku, dziewczynka zaczęła jęczeć:

– Zostaw mnie! To boli!

– Będzie bolało bardziej, jeśli użyję strzały – odparła groźnie Maddie. – A teraz wstawaj! – Podkreśliła wagę swych słów kopniakiem w kolano: lekkim, tak, by nie zrobić jej krzywdy, ale żeby zabolalo. Julia pisnęła żałośnie, ale w końcu się podniosła, tak jak pozostali.

Maddie, wskazując na linię wzniesień, powiedziała:

– Tam są groty, możemy spędzić w nich noc. Będziecie spać, kiedy dojdziemy, ale teraz musicie jeszcze raz zebrać siły. Idziemy!

Ruszyła przed siebie, a dzieciaki posłusznie powlokły się za nią. Nagle, przypomniawszy sobie, że przecież tropiciel być może nadal żyje, kazała im się zatrzymać. Dziesięć osób, idących w rzędzie, jedna po drugiej, musi zostawić w trawie wyraźny ślad, widoczny nawet w ciemności.

– Musimy się rozdzielić – poleciła. – Nikt nie idzie za mną. Rozpierzchnijcie się na obie strony.

Posłuchali w milczeniu. Obietnica odpoczynku sprawiła, że zebrali się w sobie i dzielnie przedzierali przez wysokie trawy w stronę ciemnej linii wzniesień, potykając się, czasami padając na ziemię, ale jednak cały czas zmierzając przed siebie.

W końcu dotarli do rumowiska u podnóża skał. Maddie wskazała na jedno z wejść – spory otwór, który wyglądał całkiem obiecująco. Okazało się jednak, że wcale nie prowadzi do obszernej groty, że w środku jest tylko niewielkie wgłębienie, może na jakieś dwa metry.

Maddie ogarnęła panika. Co będzie, jeśli to samo okaże się w przypadku pozostałych otworów? Sprawdziła kolejny i znów

spotkało ją rozczarowanie. Grota sięgała zaledwie jakieś cztery metry w głąb, w datku była bardzo wąska. Z pewnością za mała, by pomieścić dziesięcioro dzieci, dwa konie i uczennicę zwiadowcy.

Zajrzała jeszcze do trzech otworów. Z tym samym rezultatem. Ale prawdziwa niespodzianka czekała ją, kiedy sprawdziła jeden z najmniejszych otworów. Była to zaledwie wąska szczelina, mierząca może jakieś półtora metra wysokości. Ale w środku kryła się obszerna grota, wystarczająco duża dla całej ich grupy. Podłogę pokrywał miękki piasek. Konie z trudem precyzyjnie się przez wąski otwór, ale jakoś dały radę. Maddie powiodła wzrokiem dokoła, uradowana. Pomyślała, że nawet gdyby ich prześladowcom przyszło do głowy sprawdzić większe otwory, to tego pewnie nawet by nie zauważyli.

– Niestety, nie mamy nic do jedzenia – powiedziała, nagle jednak uświadomiła sobie, że mówi do samej siebie. Pozostałych zupełnie nie interesowała kolacja czy też jej brak. Wszyscy zdążyli wybrać sobie miejsce na piaszczystej podłodze i spali twardym snem, całkowicie wyczerpani.

– Chyba ktoś powinien stać na straży – dodała, wiedząc doskonale, że tym kimś może być tylko ona sama. Zderzak prychnął.

Idź spać. W razie czego cię ostrzegę.

– Pewnie tak – odparła, po czym zdjęła pelerynę, zwinęła ją i podłożyła sobie pod głowę. Wyciągnęła się na piasku i westchnęła z zadowoleniem. I zanim jeszcze zdążyła wypuścić całe powietrze z płuc, już spała.



Strzały się skończyły.

Will patrzył, jak otaczający go mężczyźni podchodzą coraz bliżej, coraz śmieiej, bo już zauważyli, że ich przeciwnik nie strzela, ponieważ nie ma czym.

Will potrząsnął głową z rezygnacją. Przeciagał tę grę, jak tylko mógł, licząc na to, że Maddie zdąży przez ten czas uciec. A teraz gra się skończyła. Wiedział, jak to zakończenie będzie wyglądało. Mężczyźni otoczyli go ze wszystkich stron, byli coraz bliżej. Długo trzymał ich na odległość, przy każdej nadarzającej się okazji wypuszczał strzały. A teraz otaczało go ośmiu ludzi. Zbliżali się powoli. Dwaj odnieśli rany, ale nadal mogli walczyć. A Will miał do obrony tylko saksę i nóż.

Wsunął łuk w skórzaną pętlę przy bucie i pochylił się do przodu, używając całego ciężaru ciała i napinając mięśnie grzbietu, by odczepić cięciwę. Sam zrobił ten łuk, był to jeden z najlepszych egzemplarzy, jakie kiedykolwiek posiadał i nie chciał, by dostał się on w ręce bandziorów.

Odrzucił go daleko w trawę.

Ruhl znajdował się zaledwie piętnaście metrów od niego. Will już widział jego twarz w zapadającym zmierzchu, widział wściekłość i nienawiść.

„No chodź tu do mnie, Jory”, pomyślał, kładąc rękę na rękojeści noża. Wszyscy ludzie Jory’ego trzymali w dłoniach oszczepy, a jeden mierzył do Willa z kuszy. Ruhl zostawił jemu to zadanie, sam nie był najlepszym strzelcem. Najbardziej lubił włócznie i oszczepy, w skórzanej tubie na plecach miał trzy lekkie egzemplarze. A w dłoni miecz.

„Jeszcze jeden krok”, pomyślał Will. Jego mięśnie spięły się. Już miał wyciągnąć nóż z pochwy i rzucić nim prosto w serce Ruhla, gdy nagle usłyszał jakiś świst za plecami. Coś mignęło w powietrzu i nagle wokół jego ramion zacisnęła się gruba pętla, unieruchamiając je w łokciach. Odwrócił się, zły, że czekał za długo i stracił szansę, by zabić Ruhla.

Ten zaśmiał się, zgadując jego myśli.

– Dobra robota, Anselmo – powiedział.

Iber prędko oplótł linę kilka razy dokoła ramion Willa i zaciągnął ją mocno. Potem podszedł blisko, przysuwając brodatą gębę do jego twarzy.

– Zabiłeś mojego przyjaciela – warknął.

– Co za pomysły wieści – Will ironicznie uniósł jedną brew. – Żałuję, że i ciebie nie trafiłem.

Anselmo bez ostrzeżenia wałnął Willa głową w twarz. Will zatoczył się, z powodu skrępowanych ramion nie mógł złapać równowagi i padł jak długi. Ruhl podszedł prędko do niego, wymierzył mu kopniaka, po czym schylił się, chwycił go za połą kaftana i brutalnie postawił na nogi. Przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy.

– A jeszcze bardziej żałuję, że spudłowałem w twoim przypadku – powiedział Will.

Ruhl wykrzywił się gniewnie i zamierzył pięścią. Zwiadowca patrzył na niego spokojnie, czekając na cios. Nagle Ruhl zawałał się. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się twarzy zwiadowcy.

– Ja cię skądś znam – powiedział.

Próbował przypomnieć sobie, gdzie wcześniej widział tę twarz. I po chwili go ołśniło. Znajdował się na łodzi, właściwie na promie, który właśnie wypływał na środek rzeki, a ten człowiek stał na brzegu, zaledwie pięć metrów dalej.

– Ty jesteś Treaty – powiedział cicho. Potem, z narastającym gniewem, dodał: – To ty zabijasz i chwytasz moich ludzi. Ścigasz nas po całym kraju i mieszasz nam szyki. A teraz znów próbujesz. Co ja ci takiego zrobiłem, do diaska?

– Zabiłeś moją żonę – odparł Will, głosem całkowicie wyzutym z emocji. Ale jego oczy były zimne jak kamień.

Ruhl kiwnął głową. Tak, wiedział, o czym mówi Will.

– Była kurierką, prawda? Hm, cóż, jak sobie przypominam, to sama się zabiła. Wbiegła do płonącego budynku. Głupia baba. To nie była moja wina, tylko jej.

– Ty ponosisz odpowiedzialność.

Ruhl przekrzywił głowę, przez chwilę zastanawiał się nad słowami Willa.

– Cóż, zapewne wiele osób by się z tobą zgodziło. Ale było, minęło. Przemineło z wiatrem. Albo raczej z dymem – zarechotał. Przyglądał się Willowi, czekając na wybuch gniewu. Ale dojrzał tylko zimną nienawiść.

– Zamierzam cię zabić, Ruhl. Tak sobie pomyślałem, że może powinienem uprzedzić.

Ruhl uśmiechnął się, potrząsając głową.

– Miło z twojej strony, ale chyba nic z tego. – Wskazał na linę, krępującą ramiona Willa. – Zdaje się, że masz ciut utrudnione ruchy.

– Dam sobie radę. Uwierz – odparł Will.

Ruhl znów potrząsnął głową z rozbawieniem.

– Wierzę, że szczerze tego pragniesz i że zrobiłbyś to, gdybym tylko dał ci szansę. Ale ja nie mam takiego zamiaru. Mam zupełnie inne plany. – Zwrócił się do Ibera: – Zwiąż go porządnie, Anselmo. Żeby na pewno nie uciekł. A potem zabierz do obozu.

Począł, aż Iber wykona zadanie. Ten wprawnie skrępował Willowi ramiona i nadgarstki oraz związał razem nogi w kostkach, zostawiając między nimi krótki odcinek sznura, tak że Will mógł poruszać się tylko bardzo drobnymi krokami. Will sprawdził węzły, napinając ramiona. Lina była nowa, Iber zaś znał swój fach. Will nie zdołał poluznić ich nawet o centymetr.

Ruhl przyglądał się temu wszystkiemu z zadowolonym uśmiechem. W końcu podszedł do milczącego Willa i zapytał:

– Nie chcesz wiedzieć, jakie mam plany co do ciebie?

Will wzruszył ramionami.

– Niekoniecznie.

– Ale i tak ci powiem. Przez pamięć dla twojej ślicznej żonki zamierzam spalić cię żywcem.



Maddie obudziło ciche rżenie.

Spała dwie godziny, twardym głębokim snem, i teraz czuła się wypoczęta i pełna energii. Ostrzegawcze rżenie Zderzaka przebiło się jednak przez zasłonę snu i dotarło do świadomości. Obudziła się gwałtownie.

Oba konie stały z łbami skierowanymi w stronę wejścia do groty. Uszy położyły po sobie, a mięśnie na piersi i grzbiecie Zderzaka drżały ostrzegawczo. Najwyraźniej konie coś usłyszały lub wyczuły.

Maddie wstała, poklepała je i poszeptała chwilę, by je uspokoić. Potem podeszła do szczeliny i wyjrzała ostrożnie. Nikogo nie było widać ani słysać. Ośmielona wysunęła się na zewnątrz i przemknęła do wielkiego głazu. Schowała się za nim i z ukrycia powiodła wzrokiem po okolicy.

Drogą szło dwóch ludzi. Właśnie minęli miejsce, w którym Maddie zesła z dziećmi z drogi, kierując się w stronę skał. A więc nie zauważyli żadnych śladów, nic nie zwróciło ich uwagi. Maddie gratulowała sobie, że coś ją wtedy tknęło i kazała dzieciom się rozproszyć. Nawet ktoś, kto nigdy nie uczył się tropić, z pewnością dostrzegłby wydeptany pas w trawie, który zostawiłaby po sobie zwarta grupa.

Maddie nie miała też wątpliwości co do tego, kim są ci ludzie. Poczwała, że odwaga ją opuszcza. Skoro dotarli aż tutaj, to znaczy, że złapali Willa. Bo on na pewno by do tego nie dopuścił. Pewnie leży już martwy gdzieś przy drodze. Łzy napłynęły jej do oczu, lecz wstrzymała je, gniewnie potrząsając głową. Jeżeli rzeczywiście tak się stało, to chciała wiedzieć. Chciała zdobyć pewność. A jeśli Will nie żył, zamierzała zemścić się na Ruhlu i jego bandzie – zaczynając od tych dwóch na drodze.

Teraz przystanęli i zapatrzili się na północ, niepewni, co robić. Nigdzie ani śladu uciekinierów. Do Maddie docierał stłumiony pomruk ich głosów. Rozglądali się dokoła. Maddie zamarła. Najdrobniejszy ruch mógłby ją zdradzić. Teraz była tylko kolejnym ciemnym kamieniem.

Mężczyźni zaczęli się kłócić. Maddie nadal nie potrafiła rozróżnić słów, ale gesty i język ciała wystarczyły. Jeden z mężczyzn wskazywał na północ. Najwyraźniej chciał iść dalej. Drugi wyrzucił ramiona do góry, odwrócił się i zaczął maszerować z powrotem na południe.

Pierwszy krzyknął za nim gniewnie. Ale potem wzruszył ramionami i wziął z niego przykład. Po drodze nadal się kłócili.

Maddie poczekała, aż znikną, po czym biegiem wróciła do groty. Przez chwilę rozważała w myślach za i przeciw. Instynkt podpowiadał jej, że musi odnaleźć Willa, sprawdzić, czy żyje, czy nie potrzebuje pomocy. Ale jednocześnie nie chciała zostawiać dzieci samych.

Przez kilka minut chodziła w tę i z powrotem, rozdarta i niezdecydowana. Will na pewno powiedziałby jej, że powinna zostać z dziećmi. Ale ona nie mogła się z nim zgodzić. Chodziło o Willa, jej ojca chrzestnego, jej mistrza. Myślała o tych wszystkich godzinach, spędzonych razem w lasach otaczających Redmont, kiedy udzielał jej nauk, z takim spokojem i cierpliwością. I jego cichą radość, kiedy prawidłowo wykonała jakieś zadanie. Nie mogła go porzucić! Nawet jeśli już nie żył, chciała wiedzieć. A gdyby teraz go zostawiła, być może nigdy nie poznałaby prawdy.

Już podjęła decyzję. Rozejrzała się, szukając wzrokiem Tima Stokera. Spał tuż pod ścianą groty. Podeszła do niego, przykłęka i delikatnie potrząsnęła jego ramieniem. Natychmiast otworzył oczy i spojrzał na nią z przerażeniem.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – To ja, Maddie.

Uspokojony, potarł oczy.

– Która godzina?

Maddie wzruszyła ramionami. Nie miała pojęcia.

– Jeszcze noc. Chcę, żebyś mnie zastąpił. Ja wracam poszukać Willa.

– A co z nim się stało? – spytał. W jego głosie brzmiało napięcie, widocznie też w całym ciele.

Maddie znów potrząsnęła głową.

– Nie wiem. Możliwe, że Ten, Który Zakrada się Nocą go pojmał. – Nie powiedziała: „Możliwe, że nie żyje”. Bała się, że wypowiedziane na głos słowa mogą okazać się prorocze.

Tim popatrzył na śpiące dzieci. W grocie panowała cisza, tylko czasami któreś z dzieci mruzczało, rzucając się we śnie.

– Mam ich obudzić? – zapytał, ale ona ponownie pokręciła głową.

– Niech śpią. I sam też zaśnij. Jesteście tutaj bezpieczni. Wrócę jutro, kiedy odnajdę Willa.

Niepewnie kiwnął głową. Czuł się bezpiecznie, kiedy Maddie była w pobliżu. Wiedział, że bez niej są całkowicie bezbronni.

Poklepała go krzepiąco po ramieniu.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze.

– Skoro tak twierdzisz – jego głos zdradzał, że wcale w to nie wierzy.

Włożyła pelerynę, sprawdziła broń, po czym wyprowadziła konie na zewnątrz, nieosiadłane, by łatwiej było im przecisnąć się przez wąski otwór. Na zewnątrz osiodłała je oba, Wyrwijowi obwiązała wodze dokoła szyi, by się nie potknął, a potem wskoczyła na grzbiet Zderzaka.

– Prowadź, Wyrwij – powiedziała. Myszaty konik podrzucił łbem. Maddie spięła Zderzaka łydkami i ruszyli skróconym galopem w stronę drogi. Kiedy już się na niej znaleźli, Maddie popatrzyła na południe. Tamtych dwóch nie było widać, ale ponieważ bardzo nie chciała ich dogonić, na wszelki wypadek ściągnęła wodze i przeszła do stępa.

Jechała tak już dwadzieścia minut, gdy nagle jej uwagę przykuł odbłask księżyca w trawie na poboczu. Coś tam leżało. Zeskoczyła na ziemię. To był łuk Willa. Gdyby srebrzysty promień akurat w tym momencie nie odbił się od woskowanego drewna, nigdy by go nie zauważyła. Poczowała, że traci odwagę. A więc to tutaj go dorwali. Tak jak wcześniej przypuszczała, zużył wszystkie strzały i wyrzucił łuk, żeby tamci go nie znaleźli. Podniosła łuk, obróciła go w dłoniach, ze smutkiem przesunęła palcami po gładkim drewnie. Rozejrzała się dokoła, lecz nie znalazła ciała Willa. W jej sercu zajaśniał promyk nadziei.

Może jednak go pojмали. Może Will nadal żyje.

Wróciła biegiem do koni, włożyła łuk do futerału za siodłem Wyrwija i wskoczyła na grzbiet Zderzaka. Wyjęła własny łuk i sprawdziła, czy klapka przy pelerynie jest odpięta. Już nie przejmowała się, że może spotkać na drodze tamtych dwóch. A nawet stwierdziła, że właściwie właśnie na to liczy.

Spięła konia łydkami, on zaś momentalnie przeszedł w cwał. Zdawał się niemal unosić w powietrzu, ledwo dotykał kopytami twardej powierzchni drogi. Wyrwij, bez jeźdźca na grzbiecie, z łatwością utrzymywał tempo, biegnąc kilka metrów za nim.

W słabym blasku księżyca droga przypominała bladą wstęgę pośród traw. Koniki pędziły przed siebie, idealnie zgrane, uderzenia kopyt brzmiały tak, jakby to biegł jeden koń, a nie dwa.

Pięć minut później Maddie wjechała na niewielkie wzniesienie i zobaczyła przed sobą dwóch mężczyzn z bandy porywaczy.

Do tej pory wzniesienie tłumilo odgłos kopyt, ale teraz mężczyźni odwrócili się, zaalarmowani. Znajdowali się dwieście metrów dalej. Maddie popędziła konia, wypuściła wodze i wydając polecenia samymi łydkami, sięgnęła po strzałę.

Mężczyzna z prawej strony był uzbrojony w kuszę. Uniósł ją i wycelował w Maddie. Odczekała dwie sekundy, po czym spięła konia, raptownie kierując go w lewo, a zaraz potem znowu w prawo.

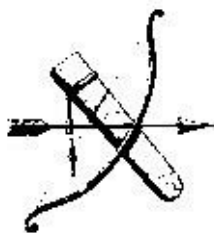
Ten podwójny unik odniósł pożądany skutek. Mężczyzna spanikował, przesunął kuszę i zbyt szybko nacisnął spust. Bełt bzyknął w powietrzu niczym wściekły szerszeń, mijając Maddie z lewej strony. Uniosła się w strzemiionach, naciągając cięciwę. Prawym kolanem lekko dotknęła boku Zderzaka, tak jak ją uczył Will, i koń przesunął się w prawo. Teraz miała idealne warunki do oddania strzału.

Odczekała na odpowiedni moment i wypuściła strzałę. Brzęknęła cięciwa, strzała pomknęła prosto do celu. Trafiła mężczyznę akurat w momencie, kiedy ten usiłował załadować kolejny bełt. Wypuścił kuszę z ręki, cofnął się o kilka kroków i w końcu padł twarzą na ziemię.

Drugi z mężczyzn popatrzył z przerażeniem na swego towarzysza, po czym ruszył biegiem w stronę Maddie, zamierzając się na nią oszczepem.

Spokojnie, bez pośpiechu ponownie naciągnęła cięciwę i wystrzeliła. Łuk Maddie, znacznie lżejszy od łuku Willa, nie nadawał strzałom aż tak wielkiej mocy. Ale strzała trafiła do celu; mężczyzna zatrzymał się raptownie i wypuścił oszczep z dłoni, wpatrując się w drzewce, sterczące z jego boku. Przycisnął dłonie do rany i osunął się na kolana, zgięty w pół. Kiedy po chwili Maddie minęła go w cwale, zostawiając za sobą chmurę pyłu, szlochał z bólu.

Zwolniła dopiero, kiedy od skał w Zatoce Jastrzębiego Łba dzieliło ją jakieś trzysta metrów. Przeszła do stępa i zjechała z drogi, by gęsta trawa słumiła odgłos kopyt. Kiedy odległość zmniejszyła się do stu metrów, zeskoczyła na ziemię, nie zatrzymując konia. Dała znak koniom, by zostały w miejscu, po czym, kuląc się, podbiegła na skraj klifu. Kilka ostatnich metrów pokonała na czworakach. Bała się tego, co za chwilę miała zobaczyć.





Przywiązali Willa do grubego słupa pośrodku plaży.

Wcześniej słup podtrzymywał namiot, w którym banda spożywała posiłki, ale Ruhl kazał swoim ludziom wyjąć go i wsadzić w gruby piach, między klifem a obozowiskiem. Ręce Willa skrupowano z tyłu, nogi związane razem w kostkach i dodatkowo przywiązano je do słupa. Trzeci sznur oplatał ciasno słup i szyję zwiadowcy, tak że musiał on siedzieć sztywno wyprostowany.

U jego stóp umieścili sięgający mu aż do kolan stos drewna. Było suche jak pieprz, a Ruhl dodatkowo poleił je olejem, by ogień na pewno rozpałił się szybko i gwałtownie. Will czuł w nozdrzach mdlącą woń oleju. Miał ochotę zakaszleć, ale powstrzymał się, nie zamierzał dawać im satysfakcji.

Siedział tak już od kilku godzin. Ręce i nogi całkiem mu zdrętwiały. Od czasu do czasu próbował rozluźnić więzy, rozciągnąć włókna, znaleźć jakiś słabszy supeł. Wszystko na próżno. Spróbował jeszcze raz, ale nie miał już czucia w rękach. Wiedział, że jeszcze chwila, a ustanie krążenie i straci palce u rąk i nóg. A może nawet całe dłonie.

Zaraz jednak zachnął się w myślach. W tym momencie groziło mu przecież, że straci znacznie więcej niż tylko palce.

Dwadzieścia metrów dalej Ruhl i jego ludzie siedzieli przy ognisku. Dzban iberyjskiej brandy krążył z rąk do rąk. Ruhl właśnie upił spory łyk, po czym odstawił dzban na ziemię.

Podniósł się, trochę chwiejnie, pochylił i wyjął z ogniska płonąca gałąź.

Zataczając się lekko, podszedł do Willa. Will, całkowicie bezradny, niezdolny się poruszyć, poczuł, jak żołądek ściska mu się ze strachu. Ruhl już dwa razy blefował, że zamierza podpalić stos. Drażnił się z Willem, zbliżał płonąca gałąź do stosu, by zabrać ją w ostatniej chwili. I tak kilka razy, a za każdym razem Will zastanawiał się, czy za moment przyjdzie mu pożegnać się z życiem.

Czy tym razem Ruhl postanowił jednak spełnić swą groźbę?

Stał chwiejnie naprzeciw swego jeńca, czerwony od alkoholu. Pochylił się i wlepił wzrok w jego twarz, szukając oznak strachu czy błagania o litość.

– Willu Treaty, jak myślisz, czy nadszedł już ten moment? Czy za chwilę spotkasz się ze swoją śliczną żonką? No, co powiesz?

Zbliżył płonący koniec gałęzi do nasączonego olejem stosu drewna. Will patrzył prosto przed siebie, choć niesamowicie kuśiło go, żeby spojrzeć na płomień, już prawie liżący stos u jego nóg.

– No jak, Treaty? Nie zamierzasz prosić mnie o łaskę? Bo może byłbym skłonny przystać na pewne ustępstwa. Szybki koniec, jeden cios mieczem i już nie musisz martwić się o to ognisko.

Zamachał płonąca gałęzią tuż przed twarzą Willa, tak blisko, że ten poczuł uderzenie gorąca na powiekach. Płomień osmalił brwi i brodę.

– Milczysz? Ale zaraz zrobisz się bardziej wymowny, kiedy rzucę tę gałąź na.. oj!

Wypuścił gałąź z ręki i chwycił ją, nim zdążyła spaść na stos. Will poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Nie dał jednak nic po sobie poznać.

– Było blisko, co, Treaty? – powiedział Ruhl, szczerząc się szeroko. Wywrócił oczami, a potem jeszcze raz pomachał gałęzią tuż nad stołem, podśpiewując przy tym drwiąco.

– Dalej, Jory. Zabij go, skończ już z tym. Przestań się z nim drażnić.

To był jeden z członków bandy, który odwrócił się i obserwował popisy swego przywódcy. Widział też dwie wcześniejsze próby. Nie zauważył najmniejszych oznak strachu u jeńca, co wzbudziło w nim wielki szacunek. Za to jego szacunek do Ruhla odpowiednio zmalał. Zabić wroga to jedna rzecz, ale drażnić się z nim, zgrywać, udawać, że nadchodzi jego koniec, by zaraz wycofać się po raz nie wiadomo który – to było dowodem okrucieństwa, jakiego nie potrafił znieść nawet najtwardszy zbir.

Ale Ruhl zareagował na te słowa jednym ze swoich napadów furii.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić, Anders! – wrzasnął. Jego głos zabrzmiał jak przenikliwy pisk, na granicy hysterii. Ruszył w stronę ogniska, po drodze cisnął płonąca gałąź na ziemię. Podszedł bardzo blisko do człowieka, który śmiał mu się przeciwstawić, stanął nad nim i zaczął wyzywać go od najgorszych. Will odetchnął z ulgą i odprężył się trochę.

– To mój jeńiec! – darł się Ruhl. – Chcę słyszeć, jak skomli! Jak błaga o litość! I tak będzie. A wy macie trzymać ryje na kłódkę. Albo do niego dołączycie. Zrozumiano?

Mężczyzna przesunął się do tyłu. Znajdował się w niezbyt korzystnym położeniu, ponieważ siedział, podczas gdy Ruhl nad nim

stał. Wiedział, że jego przywódca jest zdolny do spełnienia tej groźby. Ale pracował dla niego już od kilku miesięcy i wiedział również, że nie może okazać słabości. Bo Ruhl karmił się cudzą słabością. Poza tym Anders wątpił, by jego towarzysze posłuchali rozkazu i przywiązali go do słupa.

– Ale tak się nie stanie, Jory. Jak już powiedziałem, powinieneś wreszcie go zabić i skończyć tę zabawę.

– Zabiję go, kiedy mi się spodoba – odparł Ruhl dobitnie i wyraźnie – a nie na rozkaz jakiegoś podrzędnego złodziejaska. Zrozumiano?

Anders przytaknął. Pomyślał, że już wystarczająco pokazał, jaki jest twardy.

– Jak sobie życzysz, Jory – mruknął.

Ruhl sięgnął po dzban z brandy i usiadł ciężko na ziemi, plecami w stronę jeńca. Nie widział, jak Will odetchnął z ulgą z powodu odroczenia wyroku.

I nie wiedział, że podczas kiedy on bluzgał na swego podwładnego, jeden z nieregularnych głązów, którymi usłana była plaża, poruszył się i przesunął o kilka metrów w stronę jeńca.



Serce Maddie mocno waliło w piersi. Zastanawiała się, jakim cudem nie słychać jego bicia przy ognisku.

Kiedy już obejrzała obóz ze szczytu klifu i zorientowała się w sytuacji, zeszła po cichu ścieżką, kończącą się u podnóża, niedaleko wejścia do grotty, w której przetrzymywano dzieci. Przemykała od jednego potężnego głązu do następnego, za każdym razem chowając się na chwilę. Co za szczęście, że tyle ich leżało na plaży! I że Ruhl kazał postawić słup tak daleko, między ogniskiem i klifem, a nie po drugiej stronie obozowiska, gdzie rozciągała się pusta piaszczysta plaża. Maddie widziała, jak Ruhl drażnił się z Willem i pomyślała, że ten człowiek musi być obłąkany. I niebezpieczny.

Wcześniej czy później spełni swe groźby i naprawdę podpali stos. I coś jej mówiło, że nastąpi to jednak wcześniej. Następnym razem, kiedy podejdzie do Willa. Wiedziała, że Will nigdy się nie podda i nie będzie błagał o litość. I czuła, że Ruhl też o tym wie. Następnym razem, kiedy wstanie od ogniska, to będzie oznaczało koniec Willa.

Maddie siedziała skulona na plaży – niewyraźny kształt w pelerynie – w odległości zaledwie kilku metrów od Willa. Powoli odsunęła brzeg kaptura. Porywacze – w przetrzebionej liczbie – nadal siedzieli dokoła ogniska, znowu pili. Wpatrywali się prosto w płomień. Maddie wiedziała, że potem nie będą zdolni niczego dostrzec w ciemności. Zaczęła czołgać się dalej, za każdym razem zaledwie o kilka centymetrów, by nie robić hałasu, aż znalazła się tuż za plecami Willa. Przywarła do ziemi i, skryta za stosem drewna, wyciągnęła saksę i prędko przecięła szur, krepując mu nogi.

Poczuła, jak cały się spina i podniosła się powoli, kryjąc się za jego plecami.

– To ja, Maddie – szepnęła. – Zaraz cię uwolnię.

Will mimo woli wydał stłumiony jęk. Przez wiele godzin więzy pętały jego ciało. Teraz, kiedy krążenie powróciło, przechodził prawdziwe katusze. Po kilku sekundach Maddie przecięła liny krepujące jego nogi i szyję.

Teraz nieznośny ból ogarnął również ręce i ramiona. Will, nie mogąc utrzymać się na nogach, osunął się całym ciężarem ciała na słup. Z jego ust wyrwał się jęk. Tym razem usłyszeli go porywacze. Jeden z nich podniósł się i zapytał:

– Co to było?

Zobaczył, jak Will robi krok w przód, a potem zaciska dłonie wokół słupa, próbując odzyskać równowagę.

– To zwiadowca! Uwolnił się!

Wybuchło pandemonium. Mężczyźni chwycili za broń i zerwali się na równe nogi. Maddie rzuciła saksę na ziemię, prędko odplątała procę, którą nosiła przywiązaną do pasa, włożyła pocisk w miseczkę.

Początkowo mężczyźni, oślepieni blaskiem ogniska, nie zauważyli ciemnej postaci, stojącej za plecami Willa. Zobaczyli ją dopiero, kiedy przesunęła się w bok, kołyszając procę.

– Kto to?

– Tam ktoś jest!

Tylko Ruhl zareagował błyskawicznie. Wskazując na dwie postaci, krzyknął:

– Łapać ich! Zabić!

Ale w chwili, gdy wypowiadał te słowa, pocisk z procy właśnie uderzył jednego z ludzi Ruhla.

Stojąc na szczycie klifu, zwróciła uwagę, że dwóch nosi napierśniki z utwardzanej skóry. Przypuszczała, że jej strzały nie zdołają się przez nie przebić. I dlatego właśnie wybrała procę, a łuk i kołczan zostawiła na górze, by nie zaważały jej przy schodzeniu. Teraz okazało się, że uczyniła słuszny wybór.

Ołowiany pocisk z wielką siłą walnął w skórzany napierśnik jednego z bandytów tuż pod sercem, zdeformował zbroję i zrobił w niej spore wgniecenie. Wprawdzie nie przebił jej, ale wystarczyła sama siła uderzenia. Dwa żebra pękły, momentalnie utworzył się rozległy siniec, serce wytraciło rytm, potem z kolei przyspieszyło. Mężczyzna wydał zduszony okrzyk i padł na ziemię, podciągnął kolana pod brodę, z trudem próbował łapać oddech, ale za każdym razem czuł przeszywający ból, jakby ktoś dźgał go ostrzem.

Drugi z mężczyzn, stojący obok, ledwo miał czas spojrzeć na swego kamrata, gdy kolejny pocisk z procy Maddie trafił w cel – a konkretnie w jego prawe ramię. Pogruchotał mu kości i zmiażdżył staw. Mężczyzna zachwiał się, po czym, złożony bólem, osunął się na kolana, zgięty w pół, a potem przewrócił się na bok, wydając z siebie ciche kwilenie.

Pozostali trzej patrzyli w przerażeniu na swych towarzyszy, których zwała na ziemię jakaś potworna niewidzialna siła. Popatrzyli na siebie, po czym odwrócili się na pięcie i zaczęli zmykać, po drodze gubiąc broń.

Maddie zostawiła ich w spokoju. Teraz interesował ją Jory Ruhl. Najpierw musiała załatwić tych dwóch, którzy byli uzbrojeni, Ruhl na razie tylko się darł, wydając rozkazy. Teraz go zobaczyła. Stał przy ognisku i właśnie schylał się po coś. Kiedy się wyprostował, zobaczyła, że trzyma w ręku krótki oszczep. Ale nie patrzył na nią, tylko na Willa, który nadal opierał się bezwładnie o słup, niezdolny zrobić choćby kroku z powodu okropnych skurczy, szarpiących jego ciało.

Prawe ramię Ruhla cofnęło się lekko, po czym zaczęło przesuwac się z powrotem do przodu. Maddie podbiegła do Willa i zepchnęła go z trajektorii oszczepu. Z okrzykiem bólu padł na stos drewna. Maddie sięgnęła do woreczka przy pasie, miękkim automatycznym gestem, wynikającym z długich treningów. Kiedy wkładała pocisk do miseczki, nagle poczuła potężne uderzenie w prawe biodro, tak silne, że aż zatoczyła się kilka kroków w tył. A po chwili jej nogę przeszył szarpiący ból.

Zobaczyła, że oszczep przebił jej udo tuż poniżej biodra. Ogarnęło ją poczucie nierzeczywistości.

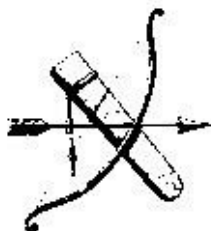
– Trafił mnie – powiedziała z niedowierzaniem. Nie spodziewała się czegoś takiego. A jednak się stało.

Ostry grot tkwił głęboko w jej ciele. Maddie poczuła, że noga odmawia posłuszeństwa, że nie jest w stanie udźwignąć ciężaru jej ciała. Z rany płynęła krew. Maddie osunęła się bezwładnie. Drzewce otarło się o ziemię, powodując jeszcze większy ból. Zaciśnęła zęby, walcząc z falami mdłości. Łzy trysnęły jej z oczu, z powodu bólu i szoku. Poczuła, że traci przytomność. Nie mogła oddychać. Ból zdawał się paraliżować płuca.

Wzrok zaczął jej się mącić i po chwili miała wrażenie, że ogląda wszystko przez długi ciasny tunel, otoczony ze wszystkich stron ciemnością. Zobaczyła jeszcze, jak Ruhl wyciąga z ognia płonąca gałąź i rusza w kierunku Willa. Chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie dobył się żaden dźwięk. Chciała wyciągnąć rękę, ale przecież znajdował się kilka metrów dalej, poza jej zasięgiem.

A potem świat zrobił się czerwony. A potem czarny.

A potem już nic.





Will nadal leżał bezwładnie na stosie drewna. Próbował się podnieść, lecz gałęzie przesunęły się, ustąpiły pod naciskiem jego dłoni i przez chwilę miotał się jak ryba wyrzucona z wody.

Widział, jak Ruhl się zbliża. Płonąca gałąź rzucała demoniczny blask na twarz bandyty, na której malowała się nienawiść, wymieszana z żądzą zemsty. Will wiedział, że Ruhl za chwilę rzuci tę gałąź na stos.

Przeklinał skurcze, wściekle szarpiące jego kończynami, tamujące ruchy. Znów próbował się podnieść i znów bez skutku. Ale zdołał trochę się przesunąć, na sam skraj stosu. Próbując podciągnąć się w górę, prawą rękę oparł o ziemię. Ręka zacisnęła się na znajomym kształcie.

To była rękojeść saksy – saksy, którą Maddie chwilę wcześniej rzuciła na ziemię. Niezgrabnym ruchem odwróciła ją i chwycił nóż za ostrze. Ruhl był zaledwie kilka metrów dalej, płomień wił się wściekle dokoła gałęzi, gotów pochłonąć ofiarę.

Zaciskając zęby z bólu, Will rzucił saksą.

Od razu wiedział, że to był najgorszy rzut w jego życiu. Z powodu przykurczu mięśni cisnął nożem niezgrabnie i nie zdołał nadać mu takiej precyzji, jak zwykle. Na szczęście Ruhl znajdował się niedaleko. Nóż trafił w czoło powyżej prawego oka – ale rękojeścią, nie ostrzem.

Uderzenie było bolesne, lecz niegroźne. Ciężka mosiężna główica przecięła łuk brwiowy bandyty, krew spłynęła mu do oka.

Ruhl cofnął się instynktownie i nadepnął na gałąź, która wypadła ze stosu.

Gałąź, krzywa i poskręcana, przekręciła się pod jego stopą, Ruhl zatoczył się w tył. By nie stracić równowagi, całym ciężarem ciała rzucił się do przodu, ale ponieważ krew zalewała mu oczy, przesadził i poleciał prosto na stos nasączonego olejem drewna. Luźno ułożone gałęzie ugięły się pod nim i w tym momencie uświadomił sobie, że nadal trzyma w ręku tę płonąca gałąź – a właściwie na niej leży.

Próbował podciągnąć się, ale na próżno. Sekundę później ogień buchnął z ogłuszającym hukiem, przekształcając się w wielkie ognisko.

Płomienie otoczyły go w mgnieniu oka, zaczęły pożerać jego ubranie i włosy. Wrzasnął. Znów próbował się podnieść, lecz gałęzie znów ustąpiły pod jego ciężarem. Chciał krzyknąć, ale rozgrzane powietrze wcisnęło się w jego gardło i płuca. Zdołał wydać z siebie jedynie potworny nieludzki pomruk.

Will, leżący na samym brzegu, również poczuł zbliżające się płomienie. Ale nie powtórzył pomyłki Ruhla, nie próbował znaleźć punktu oparcia pośród ruszających się gałęzi. Zebrał się w sobie i przetoczył na bok, byle dalej od ognia. Poczł piasek, ale toczył się dalej. Twarz miał poparzoną, brwi zniknęły, a broda i włosy porządnie się przysmażyły. Ale był bezpieczny. I powoli odzyskiwał czucie w kończynach. Nie zważając na ból, odsunął się jeszcze dalej od ognia, nie odrywając przerażonego spojrzenia od czarnego kształtu, rzucającego się bezskutecznie pośród płomieni. I próbując nie słyszeć tego potwornego, dziwnie stłumionego wycia.

W końcu ucichło.

Will podciągnął się do pozycji siedzącej, wyprostował nogi. Stopniowo skurcze ustępowały. Ale nadal nie mógł poruszać się normalnie. Teraz, kiedy zdołał zebrać myśli, zastanawiał się, nadal nieco oszołomiony, gdzie też podziela się Maddie. Pamiętał, że odepchnęła go na bok, ratując przed oszczepem, wyrzuconym przez Ruhla. Nie wiedział jednak, co dalej z nią się działo. Dziwne, że nie próbowała pomóc mu uciec przed ogniem. Odwrócił głowę, powiódł dokoła wzrokiem.

– Maddie? – powiedział. Jego głos przypominał skrzek. A potem zobaczył ciemną postać skuloną na plaży, kilka metrów dalej.

Podniósł się z trudem, walcząc ze skurczami, które nagle powróciły pod wpływem gwałtownego ruchu. Rzucił się w jej stronę. Z jego gardła dobył się nieokreślony, przejmujący krzyk gniewu i rozpacz.

Padł na kolana. Kiedy zobaczył oszczep, zatopiony w nodze Maddie, serce na chwilę przestało bić w jego piersi. Ubranie znaczyły rozległe plamy krwi, czarnej w świetle księżyca. Dla kontrastu twarz Maddie była śmiertelnie blada. Will wiedział, że w udzie znajduje się tętnica, lecz z tego, co pamiętał, po wewnętrznej jego stronie. A poza tym krew wypływała z rany powoli, nie tryskała, tak jak w przypadku przeciętej tętnicy. Will przysunął się na kolanach do Maddie i przyłożył palce do jej szyi, szukając pulsu.

Nic.

Znowu wydał z siebie ten rozdzierający okrzyk bólu i rozpacz.

Ale nagle poczuł pod palcami lekkie drganie. Potem nieco mocniejsze. Nadal bardzo słabe, ale pojawiło się tam, bez wątpienia. Maddie żyła. Serce podskoczyło mu z radości.

A potem jeszcze raz – ze strachu. Tak, Maddie żyła, lecz była poważnie ranna i straciła bardzo dużo krwi. I nadal ją traciła. On zaś nie miał żadnych bandaży, niczego, czym mógłby zatamować krwawienie. Musiał wyciągnąć oszczep, ale wiedział, że kiedy to zrobi, krew zacznie płynąć dwa razy szybciej.

Przypomniał sobie o podróźnej apteczce w torbie przy siodle. Podniósł wzrok i spojrzał na skały.

– Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą konie – powiedział. A potem gwizdnął przenikliwie.

Po dziesięciu sekundach usłyszał zaniepokojone rżenie. Zderzak i Wyrwij patrzyły na niego ze szczytu klifu. Zerwał się i powstrzymał konie, unosząc rękę.

– Zostańcie – zawołał.

Nie zdołałyby zejść po tym skalistym, usianym kamieniami zboczu. Będzie musiał zanieść Maddie na górę. Jego mózg znów zaczął pracować, układał spójny plan. Kiedy go chwytał, Ruhl zabrał mu sakse i nóż. Pamiętał, że jeden z mężczyzn rzucił je gdzieś obok ogniska. Odwrócił się, krzywiąc się z bólu, bo znów chwycił go skurcz. Wyglądało na to, że skurcze mogą powrócić w każdej chwili, wystarczy, że zrobi nieostroźny ruch, rozciągnie jakiś mięsień czy odwróci się raptownie. Ale po pewnym czasie, kiedy już rozruszał mięśnie i krew zaczęła krążyć normalnie, skurcze stopniowo ustępowały. Pokuśtykał do ogniska. Minął słuł, próbując nie zwracać uwagi na straszliwy smród spalonego mięsa. Ogień już dogasał. Pośród żarzących się węgli leżało szerniałe zniekształcone ciało. Will potrząsnął głową, odwrócił się i zaczął szukać noży. Znalazł je po chwili, przypiął pas, po czym pokuśtykał z powrotem do Maddie.

Wyciągnął sakse i odciął od jej peleryny pas długości metra. Obwiązał go kilka razy dokoła uda Maddie, tak ciasno, jak tylko potrafił, powyżej i poniżej drzewca, na koniec zawiązał dokładnie, by powstrzymać upływ krwi.

Przysiadł na piętach i ze zmarszczonym czołem przyjrzał się drzewcu, mierzącemu półtora metra. Nie mógł przetransportować jej na górę w takim stanie. Ale nie chciał teraz wyciągać oszczepu, zamierzał zrobić to, kiedy będzie miał pod ręką apteczkę. Zdecydował, że musi odłamać drzewce, choć wiedział, że narazi Maddie na wielkie cierpienie. Kilka razy odetchnął głęboko, po czym chwycił drzewce w obie dłonie, prawą przytrzymując koniec, starając się utrzymać je w stabilnej pozycji.

Złamało się z głośnym trzaskiem. Maddie krzyknęła tylko raz i umilkła. Spojrzał na jej twarz. Biała jak duch. Ale jej powieki drgały. A więc żyła.

Przykląkł na jednym kolanie i podciągnął Maddie do pozycji siedzącej. Potem pochylił się, chwycił za jej pasek i przerzucił sobie dziewczynę przez prawie ramię. Wziął głęboki wdech. Wiedział, co zaraz nastąpi.

Natychmiast chwyciły go skurcze, pod wpływem wysiłku mięśnie zacisnęły się boleśnie. Krzyknął i w tym samym momencie krzyknęła Maddie. Przez chwilę stał w miejscu, chwiejąc się niepewnie. Potem zrobił krok w stronę klifu, przygotowany na to, że jego mięśnie znowu skurczą się boleśnie. Ale tak się nie stało, więc zrobił kolejny krok. Tym razem poczuł skurcz. Na chwilę stracił dech w piersiach, ale zmusił się do zrobienia kolejnego kroku. I jeszcze jednego.

Odkrył, że trochę pomaga, kiedy daje ujście bólowi, więc krzyczał głośno, krocząc z wysiłkiem przez plażę i dalej, kamienistą ścieżką w górę klifu. Potykał się, ślizgał, ale jakoś udało mu się nie upaść. A przy co trzecim kroku krzyczał co sił w płucach.

Minął dwa zakręty. Nie patrzył w górę, bo wiedział, że wtedy nigdy mu się nie uda. Wlepiął wzrok w podstępne kamienie i kawałki łupku, na których tak łatwo mógł się przewrócić. Postawił jedną stopę, zaraz za nią drugą. Krzyknął, by dać ujście rozdzierającemu bólowi. Kolejny krok. Potknięcie. Podnieść się. Iść dalej. Kolejny krok. Kolejne potknięcie. Iść dalej. Dalej, dalej! Teraz wykrzykiwał głośno te słowa, zamiast po prostu ryczeć z bólu. Usłyszał krzepiące rżenie Wyrwija – znacznie bliżej, niż się spodziewał.

I nagle zobaczył, że ścieżka się kończy, że dalej rośnie wysoka trawa i zdał sobie sprawę, że jest na szczycie klifu. Wyrwij podszedł do niego, rżąc i cicho parszczając. Will chwycił się siodła, a konik poprowadził go na płaskie odsłonięte miejsce opodal. Will ułożył Maddie na ziemi. Zdjął z niej pelerynę, zwinął i podłożył jej pod głowę. Potem poszedł po drewno na opał, odłamał trochę suchych gałązek z karłowatego krzaczka, zebrał z ziemi gałęzie, które przywiał wiatr i zbudował niewielkie ognisko.

Poruszał się już znacznie swobodniej, choć od czasu do czasu nadal łapał go skurcz. I nawet kiedy już minął, jeszcze długo odzywał się bolesnym echem. Will pomyślał, że przypomina to ból, towarzyszący poważnym sińcom. Odnalazł zwój tkaniny, w którym trzymał medykamenty i wyjął z niego długi bandaż i naczynie ze specjalną maścią na rany. Każdy zwiadowca woził taką maść przy sobie. Nawlekł na igłę jedwabną nić i położył ją na rozwiniętym płótnie. Wiedział, że musi działać szybko. Usunąć grot, posmarować ranę maścią i zszyć jej brzegi. A na koniec owinąć ją bandażem, na tyle ciasno, by zatrzymać upływ krwi, ale nie nazbyt ciasno, by z kolei nie tamować krążenia. Dobrze wiedział, jak tragiczne mogą być tego skutki.

Kiedy już wszystko było gotowe, przystąpił do pracy, szybko i energicznie. Odciął saksał przesiąkniętą krwią nogawkę, odsłaniając nagą skórę dokoła rany. Mniejszy nóż leżał koło ogniska, jego czubek dotykał rozżarzonych węgli. Wiele lat temu znachor imieniem Malcolm powiedział mu, że rozżarzony metal niszczy takie małe złośliwe żyjątko, które mogą wnikać do rany i spowodować infekcję. Kiedy ostrze rozżarzyło się do czerwoności, chwycił nóż i pomachał nim w powietrzu, by nieco je schłodzić. Lewą ręką rozwiązał bandaż, odwinął go delikatnie. Rana znów zaczęła krwawić. Chwycił drzewce i pociągnął lekko, mimo wszystko miał nadzieję, że wyjmie je z łatwością. Niestety, zadziór wbił się w ciało i nie chciał puścić. Maddie poruszyła się gwałtownie, krzyknęła z bólu. Will zacisnął zęby i wsunął ostrze noża w ranę. Przesunął je wzdłuż grotu, aż dotarł do miejsca, w które wbił się zadziór, po czym ostrożnie zaczął pracować ostrzem dokoła, by uwolnić grot.

Oszczep przesunął się o kilka centymetrów. Maddie znów krzyknęła z bólu. Will przerwał, lewą ręką otarł pot z czoła, po czym wrócił do pracy. Zaczął znów wysuwać ostrze, blokując zadziór ostrzem noża, by nie wbił się ponownie w ciało, ale nie do końca to pomogło. Kiedy w końcu wyjął oszczep, buchnęła krew. Will odrzucił drzewce na bok i osuszył ranę czystym kawałkiem materiału. Nabrał trochę maści na rożek tkaniny, wsunął go do rany i dokładnie rozprowadził leczniczą miksturę. Potem ścisnął brzegi rany i zaczął zszywać ją jedwabną nicią. Maddie podrygiwała z bólu i krzyczała za każdym razem, kiedy wbijał igłę w skórę. Potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale nie ma wyjścia – mruknął.

Po raz ostatni przeciągnął nitkę, po czym prędko obwiązał nogę Maddie przygotowanym wcześniej bandażem. Rana ciągle krwawiła, pierwsze warstwy opatrunku zabarwiły się na czerwono, potem na różowo. Ale krwawienie było coraz mniejsze, aż w końcu prawie ustało. Szwy i bandaż powstrzymały upływ krwi, a maść zaczynała działać wewnątrz rany.

Oby tylko Maddie przetrwała pierwszy szok i te wszystkie zabiegi.

Oddychała bardzo słabo. Puls przypominał bicie serca maleńkiego ptaszka. Will ukląkł obok niej ze zwieszoną głową, ujął ją za rękę. Konie stały nad nimi, przypatrując się swoimi wielkimi pełnymi współczucia oczami. Wyrwij wyczuwał niepokój Willa. Zderzak czuł ból Maddie.

– Nie umieraj, Maddie. Nie umieraj. Proszę. Nie mogę stracić jeszcze ciebie. Proszę, nie umieraj.

Powtarzał te słowa bez końca, niczym jakąś maniacką litanie, nie odrywając wzroku od nieprzytomnej dziewczyny.

„Uratowała mi życie”, pomyślał. „Jak ja spojrzę w oczy Horace’owi i Evanlyn, jeśli pozwolę jej umrzeć?” A potem wrócił do swoich zaklęć.

– Nie umieraj, Maddie. Nie umieraj, Maddie. Proszę, nie umieraj.

Ale wiedział, że nic więcej nie może dla niej zrobić. Mógł tylko czekać i powtarzać te same słowa, raz za razem, bez końca. Wpatrywał się w jej bladą twarz – stanowczo zbyt bladą – i w jego wyobraźni zmieniała się ona w twarz Alyss, leżącej cicho, bez życia. Po chwili złudzenie minęło. Wiedział, że to Maddie. I czuł, że się wymyka. Jego serce było niczym wielka otchłań bólu. Nie potrafił znieść myśli, że mógłby ją stracić, właśnie teraz, kiedy wyleczyła go z rozpaczy po śmierci najukochańszej istoty na świecie.

– Nie umieraj, Maddie. Nie umieraj, Maddie. Proszę, nie umieraj.

Słowa zlewały się, potykały o siebie, aż powstał z nich niezrozumiały bełkot. Ale Maddie nadal leżała nieprzytomna i blada jak ściana. Will nieraz, na niejednym polu bitewnym widział umierających ludzi i wiedział, że tak to właśnie wygląda.

Pierwszy brzask pokazał się na wschodnim niebie. Ptaki zaczynały codzienną krzątanie, nawoływały się, fruwały pośród krzaków i wysokiej trawy, polowały na owady, wprawiając gałęzie w ruch. To był zwykły dzień, jak każdy inny. Ale w jego pamięci na zawsze miał pozostać dzień szczególnym, dniem, w którym zmarła Maddie.

– Jestem głodna. Co na śniadanie? – usłyszał nagle.

Uniósł głowę i spojrzał na nią. Oczy miała otwarte, uśmiechała się do niego, bardzo słabo, ale jednak. Jego serce podskoczyło w piersi, przepełnione nadzieją, ulgą i radością jednocześnie.

– Co jest na śniadanie? – powtórzył mechanicznie. – Tylko tyle masz mi do powiedzenia, po tym wszystkim, co przez ciebie przeszedłem?

Wzruszyła ramionami i zaraz skrzywiła się z bólu.

– A co mam powiedzieć? Jestem nieodrodną córką swego ojca.

Zaczął się śmiać. Ale w pewnym momencie śmiech zmienił się w łzy. Will płakał niepowstrzymanie, łkania wstrząsały całym jego ciałem, łzy płynęły strumieniami po twarzy. Wiedział że to są łzy, którymi nie potrafił opłakać Alyss. Były przeznaczone dla niej. I dla Maddie. I dla niego samego.

Przede wszystkim dla niego samego.

I płakał dalej, pochylony nad nią, łzy kapały na jej policzki. W końcu Maddie niezgrabnie pogłaskała go po rękę, mówiąc:

– Już dobrze, Will. Już dobrze.

Kiedy Tim Stoker ich odnalazł, słońce stało wysoko na niebie.

Rano stwierdził, że nie może dłużej czekać i poszedł ich szukać. Po drodze znalazł ciała dwóch mężczyzn, których zabiła Maddie i zabrał oszczep jednego z nich.

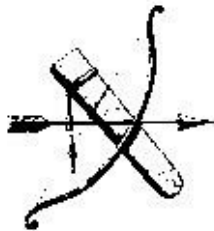
Teraz stanął przed Willem, uzbrojony w ten nieszczęsny oszczep, o wiele dla niego za długi.

– Willu Treaty – zapytał – czy zwiadowcy Maddie nic się nie stało? – Jego głos brzmiał niepewnie. Bo czy zwiadowca Will by płakał, gdyby wszystko było w porządku?

Will spojrzał na zmartwioną twarz chłopca i uśmiechnął się. I nagle uświadomił sobie, że nie uśmiechał się – tak naprawdę – od bardzo, bardzo dawna.

– Nic jej nie jest. A ty jak się nazywasz?

– Jestem Tim. Zabierzesz nas teraz do domu?





Sześć miesięcy później

Gilan złożył pergamin i wsunął go z powrotem do skórzanej teki. Podniósł wzrok i popatrzył na twarze zebranych otoczone morzem zielonoszarych peleryn. Wszyscy czekali w napięciu. Zgromadzenie dobiegało końca. Wkrótce miała rozpocząć się uroczysta uczta, złożona ze smakowitych dań i mocnych trunków, urozmaicona śpiewem i opowieściami.

– To wszystko, jeśli chodzi o nominacje i promocje na ten rok – powiedział Gilan. Wśród zebranych przebiegł pełen oczekiwania szmer. – Ale nim zaczniemy świętować – dodał, wskazując na długi stół, stojący pod drzewami i uginający się pod ciężarem jedzenia i picia – jeszcze jedna sprawa.

Znów rozległ się pomruk, ale już o innym zabarwieniu. Brzmiał raczej jak „co znowu”? Gilan uniósł dłoń przepaszającym gestem.

– To zajmie tylko kilka minut – podjął – a potem możecie pędzić do stołów i opychać się bez opamiętania.

Teraz zebrani zaśmiali się, po czym usadowili wygodniej. Wiedzieli, że Gilan nie jest jednym z tych mówców, którzy najpierw pocieszają publiczność, że „zabiorą im tylko chwilkę”, by potem głądzić przez godzinę albo i dłużej.

– Ma to związek z wizytą naszych znamienitych gości. – Tu wskazał na Cassandrę i Horace’a, siedzących na samym przedzie.

Jego słowa wywołały ożywienie. Zwiadowcy przez cały czas zastanawiali się, z jakiego powodu księżniczka i pierwszy rycerz królestwa przybyli tego ranka na uroczystości. Postronne osoby niezwykle rzadko brały w nich udział, nawet osoby królewskiego pochodzenia. Wszyscy spojrzeli w ich stronę. Cassandra uśmiechnęła się wdzięcznie. Horace poczerwieniał i spuścił głowę. Nadal nie przywykł do publicznych występów.

– Jak dobrze wiecie – podjął Gilan – kiedy Korpus bierze na naukę nową osobę, przez pierwsze dwanaście miesięcy może ona używać tytułu ucznia zwiadowcy grzecznościowo. Po tym czasie, o ile uczeń zakończy naukę z zadowalającym wynikiem, dostaje on brązowy liść i od tej pory ma prawo używać tytułu oficjalnie.

Wszyscy pokiwali głowami, to nie były dla nich żadne nowiny.

– Ale dzisiaj jest wśród nas ktoś, kto zaledwie po dziewięciu miesiącach nauki okazał się godny tytułu i nagrody w postaci brązowego liścia. Co więcej, jest to pierwsza kobieta w szeregach zwiadowców. Dowiodła ona, że dziewczyna o odpowiednich zdolnościach bez przeszkód może służyć w naszym Korpusie i wypełniać wszystkie obowiązki zwiadowcy.

Tak, te słowa wywołały naprawdę ożywioną reakcję. Większość zebranych słyszała, że Korpus rekrutował jakąś dziewczynę, ale nikt nie wiedział, kto został jej nauczycielem. Gilan i Halt zdecydowali, że lepiej nie zdradzać żadnych informacji, w razie gdyby eksperyment się nie udał.

Kilku zwiadowców, siedzących na samym końcu wstało, chcąc zobaczyć pierwszą kobietę-zwiadowczynię. Ale Maddie oczywiście naciągnęła wcześniej kaptur na głowę i niczym nie wyróżniała się spośród innych zakapturzonych postaci.

– W ciągu tych dziewięciu miesięcy zdała pomyślnie wszystkie testy, które wyznaczył jej nauczyciel, nawiasem mówiąc, człowiek bardzo surowy i wymagający. A poza tym wprowadziła nowy rodzaj broni. Po zakończeniu części oficjalnej zapewne chętnie nam ją zaprezentuje.

– Czyli kiedy? – odezwał się żalobny głos gdzieś ze środka i wszyscy zaczęli się śmiać.

Gilan kiwnął głową w kierunku zniecierpliwionego słuchacza.

– Już niedługo. Ale wracając do meritum. Osoba ta dowiodła swych umiejętności nie tylko w trakcie trwania nauki, lecz również podczas prawdziwej misji. Sześć miesięcy temu wyruszyła na wyprawę z Willem Treatym – to nazwisko z pewnością wiele mówi wam wszystkim – podczas której rozbili szajkę handlarzy niewolników, grasującą na wschodnim wybrzeżu, uwolnili porwane dzieci i odstawili je bezpiecznie do domów.

Coraz więcej osób szukało wzrokiem nowej członkini Korpusu.

– Po za tym – podjął Gilan – podczas tejże wyprawy uratowała Willowi życie. Coś, czym niewiele osób może się pochwalić. – Kiwnął głową w stronę siwowłosej postaci w trzecim rzędzie... – Do tej elitarnej grupy należy Halt, rzecz jasna. A poza tym rodzice owej dziewczyny... – Tu zrobił dramatyczną pauzę. Gilan lubił mocne teatralne efekty. –,czyli księżniczka Cassandra i sir Horace, Rycerz Dębowego Liścia, Wojownik Wschodzącego Słońca i pierwszy rycerz królestwa Araluenu.

Teraz wszyscy zwiadowcy zerwali się z miejsc. Już rozumieli, co robią na ich zgromadzeniu Cassandra i Horace, i nie mogli się doczekać, kiedy zobaczą tę dziewczynę, która dokonała tak wiele w tak krótkim czasie. Ktoś w tylnych rzędach zaczął klaskać, po chwili klaskali już wszyscy, wołając do Gilana:

– Chcemy ją zobaczyć!

– Gdzie ona jest?

Gilan uśmiechnął się i dał Maddie znak. Maddie wstała, odrzuciła kaptur i weszła na podium. Nadal lekko utykała i być może miała utykać już do końca życia.

Kiedy stanęła naprzeciw zgromadzonych, ci zaczęli gwizdać i wiwatować. Powiodła wzrokiem po ich twarzach, wyławiając te znane. Will, trzymając w ustach dwa palce, wydawał z siebie przenikliwy gwizd. Halt kiwał lekko głową, uśmiechnięty. W jego przypadku należało uznać to za odpowiednik dęcia w trąby i walenia w bębny. Była tam też lady Pauline – drobne ustępstwo, ze względu na prestiż Halt i jego wysoką rangę w Korpusie. I również gwizdała, jak ze zdumieniem stwierdziła Maddie.

I rodzice. Promieniejący z dumy. Maddie zamachała do nich nieśmiało. W następnej chwili spotkał ją prawdziwy szok: mama nagle zerwała się z miejsca i zaczęła wywijać pięścią w powietrzu, wydając z siebie dźwięk, brzmiący jak coś w rodzaju:

– Łuf! Łuf! Łuf!

Horace popatrzył na żonę, nieco skonsternowany. Wyszczерzyła się szeroko i zamachała pięścią z jeszcze większą werwą.

– Łuf! Łuf! Łuf!

– Gratulacje, Maddie. Jakie to uczucie być pionierką?

– Maddie usłyszała głos Gilana tuż przy swoim uchu i poczuła, jak wkłada jej łańcuch przez głowę. Ujęła brązowy liść dębu między kciuk i palec wskazujący i podniosła do oczu, które ze wzruszenia zaszyły łzami.

– A teraz wszyscy do stołu! – krzyknął Gilan, wywołując jeszcze głośniejsze wiwaty.



Jedli i pili. Śmiali się i wznosili toasty za poległych członków Korpusu, w tym Liama. Śpiewali, a na sam koniec tradycyjnie wykonali pieśń zwiadowców pod tytułem „Chata pośród drzew”. Maddie przyłączyła się do śpiewu, myśląc o tym, jak wiele te słowa mówią o życiu zwiadowcy i wspominając niewielką chatkę, którą dzieliła z Willem przez trzy czwarte roku.

A teraz świętowała w kręgu najbliższych jej osób: rodziców, Halt i Pauline, Gilana i oczywiście Willa. Raz po raz unosiła rękę i dotykała niewielkiego brązowego liścia na swojej szyi. Gilan i Will doskonale wiedzieli, co czuje. Pamiętali tę mieszankę niedowierzania i szczęścia, kiedy odbierali swoje liście, najpierw brązowy, a potem srebrny.

Horace zamknął córkę w niedźwiedzim uścisku.

– Jestem z ciebie dumny – powiedział. – Bardzo, bardzo dumny.

Głos mu się załamał, a kiedy wypuścił Maddie z objęć, odwrócił się pospiesznie, żeby nikt nie zauważył, jak ociera łzę. Maddie poklepała go po ramieniu.

Następna w kolejce była Cassandra. Kiedy już uściskała Maddie, wyjęła z rękawa zwój pergaminu.

– To dla ciebie – powiedziała, podając go Maddie. Świeżo upieczona zwiadowczyni popatrzyła nań z ciekawością. Zwój wyglądał strasznie oficjalnie.

– Co to jest?

– Przywrócenie do łask – odparła Cassandra. – Znowu jesteś księżniczką Araluenu. Zasłużyłaś na to.

Maddie zawahała się, zerknęła prędko na Willa. Odwrócił wzrok. Ta decyzja należała do niej, nie zamierzał na nią wpływać.

– To wspaniale i jestem bardzo wdzięczna. Bardzo wdzięczna, tylko... czy nie można z tym trochę poczekać? – powiedziała Maddie.

Cassandra spojrzała na nią ze zdumieniem.

– Zaczekać? Ale na co? Dowiodłaś, że zasługujesz na ten tytuł. Nic więcej nie musisz robić. Czas, byś wróciła do domu.

– Ale ja... wolałabym najpierw dokończyć naukę – wydusiła Maddie.

Halt i Gilan odwrócili się, kryjąc uśmiechy. Cassandra rzuciła Willowi oskarżycielskie spojrzenie.

– To twoja wina! – krzyknęła. – Mogłam się domyślić! – Odwróciła się i znowu spojrzała na Maddie. – Ale to kolejne cztery lata! – powiedziała z niedowierzaniem.

Maddie przytaknęła i nerwowo zagryzła wargi.

– Minie, zanim się obejrzymy. Poza tym często będę was odwiedzać.

Cassandra zaniemówiła – co zdarzyło się jej zaledwie kilka razy w życiu. Popatrzyła po twarzach zgromadzonych. Nagle odniosła wrażenie, że ma déjà vu. W pamięci powróciły wydarzenia sprzed wielu, wielu lat. Jest młodą dziewczyną, stoi na balkonie w Zamku Araluen, Horace obok niej, i razem patrzą, jak Will i Halt odjeżdżają w siną dal. Will właśnie zdecydował, że woli życie zwiadowcy od wygód królewskiego zamku. A teraz ta sama sytuacja się powtórzyła.

– Już to kiedyś przerabiałam – wydusiła w końcu.

Horace kiwnął głową. Wiedział, co miała na myśli.

– Powiedziałem ci wtedy, że zwiadowcy różnią się od reszty ludzi. I to prawda. Wtedy i teraz, nic się nie zmieniło.

Cassandra kilka razy otworzyła i zamknęła usta. W końcu zwróciła się do Horace'a, który tyle razy, w tylu trudnych sytuacjach wspierał ją swoją siłą i zdrowym rozsądkiem.

– Co mam jej powiedzieć? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej, potem do Maddie.

– Powiedz „tak” – odparł.